

MROCNĄ TRYLOGIA AUTORA BESTSELLERÓW
Z LISTY „NEW YORK TIMESA”

DIABŁO®

WOJNA GRZECHU

KSIĘGA DRUGA



SMOCZE ŁUSKI

RICHARD A. KNAAK

SPIS GRZECHU

- STRONA TYTUŁOWA
- STRONA REDAKCYJNA
- DEDYKACJA
- PROLOG
- JEDEN
- DWA
- TRZY
- CZTERY
- PIĘĆ
- SZEŚĆ
- SIEDEM
- OSIEM
- DZIEWIĘĆ
- DZIESIĘĆ
- JEDENAŚCIE
- DWANAŚCIE
- TRZYNAŚCIE
- CZTERNAŚCIE
- PIĘTNAŚCIE
- SZESNAŚCIE
- SIEDEMNAŚCIE
- OSIEMNAŚCIE
- DZIEWIĘTNAŚCIE
- DWADZIEŚCIA
- DWADZIEŚCIA JEDEN
- DWADZIEŚCIA DWA

- DWADZIEŚCIA TRZY
- O Autorze

DIABLO[®]

WOJNA GRZECHU

KSIĘGA DRUGA
SMOCZE ŁUSKI

RICHARD A. KNAAK

PRZEŁOŻYŁA
DOMINIKA REPECZKO

 insignis

Tytuł oryginału
Diablo. The Sin War
Book Two: Scales of the Serpent

Copyright © 2007 by Blizzard Entertainment. All rights reserved.

Diablo i Blizzard Entertainment są znakami handlowymi i/lub zarejestrowanymi znakami handlowymi Blizzard Entertainment, Inc. w Stanach Zjednoczonych i/lub w innych krajach. Wszelkie pozostałe znaki handlowe w niniejszym dziele należą do ich poszczególnych właścicieli.

Niniejsza powieść jest literacką fikcją. Jakikolwiek występujące w niej nawiązania do wydarzeń historycznych, rzeczywistych osób i rzeczywistych miejsc również są fikcją.

Pozostałe imiona, nazwiska, postaci i wydarzenia są wytworem wyobraźni autora i jakakolwiek zbieżność z rzeczywistymi wydarzeniami, miejscami lub osobami, żyjącymi bądź zmarłymi, jest całkowicie przypadkowa.

Wszelkie prawa zastrzeżone, wraz z prawem do przedruku i publikacji niniejszej książki w całości lub fragmentach w jakiegokolwiek dostępnej formie.

Przekład

Dominika Repecko | ragana.com.pl

Redakcja i korekta

Dominika Pycińska, Lidia Kowalczyk

Pracownia 12A | pracownia12a.pl

Konwersja

Tomasz Brzozowski

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN-13: 978-83-63944-95-7



Insignis Media

ul. Szlak 77/228–229, 31-153 Kraków

telefon / fax +48 (12) 636 01 90

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl

facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

[@insignis_media](https://twitter.com/insignis_media)
[@insignis_media](https://www.instagram.com/insignis_media)

Dla lojalnych i niezwykle cierpliwych
fanów świata Sanktuarium

PROLOG



I świat zmienił się wraz z powtórным przyjsciem nefalemów, ale najbardziej zmienił się pierwszy z nich, Uldyzjan ul-Diomed. Swego czasu jedyne, czego pragnął, to wieść proste życie farmera, jednak okoliczności zmusiły go, by zapoczątkował wielkie zmiany. To za sprawą Uldyzjana została odkryta część prawdy dotycząca Sanktuarium – jak nazywali ten świat ci, którzy walczyli o władzę nad nim. To za sprawą Uldyzjana ludzie dowiedzieli się o wojnie, jaką anioły i demony prowadziły od wieków, ukrywając się za Katedrą Światłości i Świątynią Trójcy. A dostrzegłszy w Uldyzjanie zagrożenie dla swych planów, zarówno Katedra, jak i Świątynia starały się uczynić go swą marionetką, a może i zniszczyć na zawsze. Co gorsza, Uldyzjan zdradzony przez kogoś, kogo mylnie uważał za miłość swego życia, stał się zagrożeniem dla siebie samego. Przestał dostrzegać bowiem, co działo się wokół niego, nawet gdy próbował uwolnić ludzi spod jarzma tych, którzy uważali się za prawowitych panów wszystkich śmiertelników.

Choć Uldyzjan miał wrażenie, jakoby to na jego zmęczonych barkach spoczywa los całego Sanktuarium, to inni od setek już lat walczyli przeciwko temu samemu wrogowi, i to walczyli niestrudzenie, mimo że walka ta zdawała się skazana na porażkę.

Uldyzjan nie mógł o nich wiedzieć, co najpewniej wyszło mu jedynie na dobre, albowiem jego nieznani sprzymierzeńcy nie mieli pewności, czy nefalema powitać w swoich szeregach, czy jednak zniszczyć na zawsze, tak jak chciały anioły i demony.

Z Księgi Kalana
Tom piąty, arkusz pierwszy

JEDEN



Toradza płonęła...

Choć to miasto nigdy nie dorównywało ogromem ani sławą wielkiemu Kedżanowi na wschodzie, to niejedno w nim wciąż godne było obejrzenia i cieszyło się uznaniem zarówno wśród pielgrzymów, jak i mieszkańców. Tuż przy północno-zachodniej bramie znajdował się rozległy targ, gdzie można było nabyć albo i sprzedać wszystko, co tylko znajdowało się na ziemiach znanych ludziom. Bliżej centrum miasta kwitły ogrody liczące sobie setki lat, uprawiane starannie, tworzące skomplikowane mozaiki z kwiatów i innych roślin. Rosły tu nawet spiralne drzewa i słynne Kwiecie z Falo, mające więcej niż tuzin intensywnych barw na każdym z płatków i pachnące tak, że nie dorównywały im nawet najbardziej wyrafinowane z perfum. Za ogrodami wznosiła się Arena Klytos, gdzie odbywały się Igrzyska Niroliańskie, przyciągające widzów nawet z wielkiego Kedżanu.

Ale te wszystkie słynne i legendarne miejsca, zazwyczaj pełne ludzi, tego straszliwego wieczoru świeciły pustkami. Tylko w jednej jedynej części miasta coś się działo – coś, co można było dostrzec z daleka, aż z samych gęstwiny dżungli otaczających Toradzę.

Miasto płonęło... a w samym centrum płomieni stała Świątynia Trójcy.

Krwawa luna oświetlała niebo wysoko nad trzema wieżami trójkątnego budynku, największego, jeśli nie liczyć tego pod Kedzanem, przybytku Świątyni Trójcy. Czarne kłęby dymu spowijały wieżę poświęconą Mefisowi, jednemu z trzech duchów przewodnich. Ogromny czerwony krąg, symbol obrządku, a zarazem miłości będącej sferą podległą Mefisowi, zwisał teraz krzywo i niepewnie, bowiem płomienie pochłonęły część mocowania. Budowniczości Świątyni nie przypuszczali, że może ją spotkać tak straszliwy los, i nie przewidzieli dodatkowego mocowania dla odlanego z żeliwa kręgu.

Katastrofa, która zagrażała wieży Mefisa, wcześniej pochłonęła już wieżę poświęconą Dialonowi. Wprawdzie pełen dumy łeb barana, symbolizujący determinację, wciąż jeszcze wisiał wysoko, ale nad nim wznosiły się już jedynie zwęglone szczątki wieży. Przy czym niewielka część budulca, tworzącego wcześniej wyższe kondygnacje, spadła na ziemię; połamane belki i kamienie zwały się do wnętrza wieży jakby w skutek implozji.

U podnóża schodów tłoczyły się setki ludzi. Ci zgromadzeni bliżej wejścia do Świątyni odziani byli w lazuruwe, złote i czarne szaty trzech obrządków. Towarzyszyli im liczni Strażnicy Pokoju, jak zawsze zakapturzeni i chronieni przez metalowe napierśniki, uzbrojeni w miecze i włócznie. Wierni Świątyni starali się odeprzeć tłum, którego pierwsze szeregi złożone były z ludzi w prostych strojach wieśniaków i farmerów, typowych dla mieszkańców wyżyn położonych daleko na północny zachód od wielkiej dżungli. Mieli przy tym jasną skórę, w przeciwieństwie do przeważnie smagłych sług Świątyni. Różnili się też karnacją od tych, którzy postępowali za nimi. Nacierający w stronę Świątyni Trójcy tłum składał się bowiem w większości z mieszkańców Toradży, których nietrudno było zidentyfikować po luźnych, powiewających szatach, przeważnie czerwonych i fioletowych, i długich włosach związanych na karku.

I choć to w rękach atakujących znajdowała się większość pochodni, płomienie, które trawiły tę część miasta, nie były ich dziełem. Po prawdzie nie było nikogo, kto zdołałby określić, jak zaczął się pożar. Początkowo płomienie zdawały się sprzyjać kapłanom... i to wystarczyło, by sympatię dla Świątyni zmienić w gniew.

I gniew ten stał się wystarczającym impulsem dla Uldyzjana, by ruszyć na Świątynię bez dalszej zwłoki. Kiedy przybył do Toradży i kiedy już uporał się ze zdumieniem, że taka liczba ludzi może się zmieścić w tym jednym miejscu, postanowił stopniowo wpływać na mieszkańców miasta, by pozbyli się kapłanów i ich sług. Ale czyn tak straszliwy, w skutek którego potraciły życie dziesiątki mieszkańców, a nawet kilku z tych, co przybyli do Toradży z Uldyzjanem, sprawił, że były farmer stracił resztki sympatii i żalu, które jeszcze się w nim kołatały.

„Przybyłem tu w nadziei, że będę nauczał, że nawrócę ludzi – myślał, spiesząc w stronę świątynnych schodów. – Jednak sami to na siebie sprowadzili”.

Zgromadzeni przed budynkiem ludzie rozstąpili się przed Uldyzjanem, zanim jeszcze go zobaczyli. Dotknięci jego mocą – mocą nefalema – wyczuwali jego bliskość. Znieruchomieli, gdy tylko dotarło do nich, że Uldyzjan ma coś na myśli.

To nie on zapoczątkował dzieło zniszczenia Świątyni. Nie, był to skutek daleko prymitywniejszych wysiłków uczniów Uldyzjana. Takich jak Romus, jeden z najzdolniejszych akolitów Uldyzjana. Wywodził się z Party, miasta, które jako drugie po Seram miało okazję doświadczyć niezwyklej mocy nefalema. Jednakże gdy w Seram ogłoszono Uldyzjana potworem i mordercą, w Parcie został prorokiem, a lud bez wahania przyjął proste, ale i uczciwe prawdy, które głosił.

Uldyzjan nie był prorokiem, jaki w baśniach i legendach wyrusza na krucjatę w imię wiary. Nie był młodzikiem o anielskiej urodzie, który przewodził wiernym Katedry Światłości, ani dobrotliwym, srebrnowłosym

mędrcom, jakim był Pierwszy, stojący na czele Świątyni rywalizującej z Katedrą – ten sam, którego służy mieli teraz zmierzyć się z gniewem Uldyzjana. Uldyzjan ul-Diomed urodził się w chłopskiej chacie. Rysy miał twarde, częściowo ukryte za krótką brodą, szczękę kwadratową, a budowę ciała mocną wskutek zmagania się z przeciwnościami losu. Ale w żaden sposób nie wyróżniał się z tłumu. Jasne włosy spadały mu na kark w nieładzie. Odziany był w prostą brązową koszulę i spodnie oraz zniszczone buty. Poza nożem myśliwskim za pasem nie nosił broni, ale i żadnej nie potrzebował, bo sam stanowił broń o wiele groźniejszą niż najbieglejsza klinga albo najszybsza strzała.

Czy też, dajmy na to, oddział Strażników Pokoju, którzy pędzili na niego po świątynnych schodach. Biegający za nimi kapłan Dialona wyszczeniwał rozkazy. Uldyzjan widział w nim kolejnego głupca, wiedział bowiem, że klecha przekazuje jedynie polecenia zwierzchnika ukrytego gdzieś w głębi zabudowań Świątyni. Jednak zarówno kapłan, jak i wojownicy będą cierpieć za swą zagorzałą lojalność względem przeklętej sekty, której byli częścią.

Uldyzjan pozwolił strażnikom podejść blisko, tak blisko, że znalazł się w zasięgu ich broni, a potem w mgnieniu oka wyrzucił cały oddział w powietrze. Polecieli we wszystkich kierunkach. Niektórzy uderzyli w kolumny na szczycie schodów. Dobiegł go trzask łamanych kości. Inni pofrunęli aż pod ogromne odrzwia z brązu i tam pospadali bezwładnie, splątani jedni z drugimi. Kilku potoczyło się na boki, pod stopy zgromadzonych ludzi, którzy okrzykami radości powitali demonstrację mocy swego przywódcy.

Stojący obok kapłana łucznik wypuścił strzałę. Nie mógł podjąć gorszej decyzji. Uldyzjan zmarszczył brwi, bowiem nagle odżyło w nim wspomnienie śmierci przyjaciela, który poległ, gdy stanął przeciwko demonowi Lucionowi. Lucion, przybrawszy postać Pierwszego, założył Świątynię Trójcy, by zdeprawować Ludzkość i uzyskać nad nią

niepodzielną władzę. Wypuszczona teraz w kierunku Uldyzjana strzała przypominała mu inną – wypuszczoną przez Achiliosa, która, kierowana wolą demona, zawróciła i przebiła gardło łucznika.

Teraz Uldyzjan tak samo pokierował wycelowaną weń strzałą. Pocisk zawrócił i popędził w przeciwnym kierunku. Łucznik patrzył na nią osłupiały... Ale to nie on był celem.

Strzała przebiła na wylot pierś kapłana, jakby go tam w ogóle nie było, i mknęła dalej, przyspieszając jeszcze, póki nie dotarła do drzwi z czerwonym symbolem Mefisa. Tam, posłuszna woli Uldyzjana, wbiła się głęboko w sam środek metalowego kręgu.

Wszystko działo się tak szybko, że dopiero gdy strzała znieruchomiła, trafiony kapłan się zachwiał. Zacharczał, krew trysnęła mu nie tylko z rany, ale i z ust. Twarz straciła jakikolwiek wyraz, policzki zwiotczały, a sam kapłan runął w dół schodów niczym upiorna lalka.

Łucznik cisnął broń na ziemię i padł na kolana w głębokim szoku. Wpatrywał się w Uldyzjana wytrzeszczonymi oczami, oczekując śmierci z rąk proroka.

Śmiertelna cisza spowiła okolicę. Uldyzjan podszedł do strażników. Poza jednym klęczącym wojownikiem, reszta próbowała zewrzeć szeregi. Krew tych co bardziej porywczych uczniów Uldyzjana barwiła posadzkę, będąc widowym dowodem na determinację Strażników Pokoju, by nie przepuścić żadnego żywego.

Uldyzjan zacisnął zęby i położył dłoń na ramieniu klęczącego strażnika.

– Niech ten zostanie żywy... dla przykładu. – Spojrzeniem pełnym gniewu obrzucił pozostałych. – Reszta może dołączyć do swojego Pierwszego w piekle.

Słowa te wywołały niewielkie poruszenie wśród tych, którzy nie wiedzieli o śmierci Luciona z ręki Uldyzjana.

Nie po raz pierwszy zresztą Uldyzjan widział taką reakcję, zakładał więc, że ta wieść nie dotarła jeszcze do wszystkich zakątków. Najwyraźniej

najwyżsi kapłani postarali się, by słuchy o tym nieszczęściu nie niepokoiły ich trzódki, ale Uldyzjan miał zamiar dopilnować, by cały świat dowiedział się prawdy.

Nie żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie dla Toradży. Nim wstanie świt, niejeden z mieszkańców będzie przeklinał Trójcę. I najpewniej też Uldyzjana.

Ale teraz on powiódł spojrzeniem po strażnikach i kapłanach.

– Dość już przelaliście krwi niewinnych ludzi. Teraz nadszedł czas, byście zapłacili za to swoją.

Jeden ze Strażników Pokoju gwałtownie nabrał powietrza. Na jego gardle pojawiła się rysa... i wojownik zaczął broczyć posoką. Przerażony próbował zatamować krwotok dłońmi, ale i one obficie krwawiły. Kolejne miejsca na jego ciele poczęły spływać szkarłatem, zupełnie jakby ze wszystkich stron cięły go niewidzialne miecze.

Obrońcy Świątyni już chcieli się wycofać, lecz najpierw jeden, potem drugi, a naraz kolejni zalali się krwią z licznych ran i cięć. Sączyła się nawet spod ich napierśników i kapturów.

Strażnik, który zaczął krwawić pierwszy, upadł w kałużę własnej krwi, płamiącej nieskazitelny marmur posadzki. Niedługo później kolejny osunął się na kamień... Po chwili strażnicy i kapłani przewracali się jeden za drugim. Doznali niezliczonych, straszliwych ran, identycznych z tymi, które w ostatnich latach zadali nie tylko ludziom Uldyzjana, ale i innym ofiarom. Nikt, na kim spoczęło pełne nienawiści spojrzenie Uldyzjana, nie został oszczędzony.

I nagle dalsze szeregi obrońców straciły zapłon do walki. Porzucali swe pozycje, a kapłani nie robili niczego, by ich zatrzymać, bo i oni przerażeni byli mocą, jaką władał ten jeden niewyróżniający się niczym człowiek.

Tłum zaryczał w przeczuciu rychłego zwycięstwa i znów ruszył do ataku. Teraz Strażnicy Pokoju byli w mniejszości i zgodnie z tym, co powiedział Uldyzjan, nie mogli liczyć na litość. Sam Uldyzjan nie brał

udziału w krwawych zmaganiach, szedł dalej, w głąb świątyni. Strażnicy Pokoju i pomniejsi klerycy nie mieli dlań żadnego znaczenia. Prawdziwe zagrożenie czekało w samym sercu kompleksu w sanktuarium najwyższego kapłana, który odpowiadał bezpośrednio przed Pierwszym, a zatem był doskonale świadomy odrażającej prawdy dotyczącej pochodzenia Trójcy i jej celów.

Uldyzjan przystanął, mając przed sobą troje drzwi. Każde oznaczone były innym symbolem – łbem barana dla obrządku Dialona, kołem Mefisa i liściem Bali. Strzała, którą posłał wcześniej, nadal tkwiła w środkowych drzwiach i właśnie w ich stronę Uldyzjan skierował swe kroki, choć wyczuwał, że zostały zabarykadowane od przeciwnej strony.

Drzwi jęknęły rozdzierająco, zadygotały, jakby miały wybuchnąć, i wreszcie rozwarły się z taką siłą, że para zawiasów została wyrwana z kamienia. Jedno skrzydło zawisło krzywo.

Uldyzjan czuł, że podąża za nim kilku z jego uczniów. Nawet gdyby chciał, nie zdołałby ich powstrzymać – zbyt gorąco płonęła w nich żądza zemsty.

Ta świadomość nagle zaniepokoiła Uldyzjana. Wiedział przy tym doskonale, co rozpaliło ich gniew. Kiedy zaledwie przed dwoma tygodniami wraz z bratem Mendelnem, ich przyjaciółką Serentią i grupą partan wkroczyli do Toradży, patrzyli zdumieni na cuda miasta. Wtedy też Uldyzjan zdecydował, że swój dar zademonstruje tutejszym ludziom w sposób całkowicie pokojowy i zaoferuje go tylko tym, którzy chętni będą go przyjąć. Niestety, dla Świątyni Trójcy równie dobrze w mieście mogłoby się pojawić gniazdo żmij.

Wystarczyło, by przez dwa dni toradżanie zbierali się wokół Uldyzjana na targu i słuchali jego historii, a już straż siłą przegnała jego uczniów z miasta. Uldyzjana zawleczono do jakiejś celi – sam nie wiedział, gdzie umiejscowionej. Nikt mu niczego nie wyjaśniał, ale szybko stało się jasne, że takie rozkazy strażnicy otrzymali z samej Świątyni.

Do tej chwili Uldyzjan wierzył, że Toradża okaże się podobna do Party. Z drugiej strony jednak może i była nad wyraz podobna, bo przecież i w Parcie zaatakowali go wysłannicy Trójcy! Pod wodzą okrutnego Malika, arcykapłana Mefisa, Strażnicy Pokoju wymordowali przyjaciół Uldyzjana, a on sam ledwo im umknął.

Krzyk rozbrzmiał za jego plecami i urwał się nagle na przejmująco wysokiej nucie. Uldyzjan odwrócił się błyskawicznie.

Dwóch ludzi leżało rozciągniętych na marmurowej posadzce, u trzech innych dostrzegł poważne rany. Z ich gardeł, piersi i kończyn sterczały niewielkie metalowe gwiazdki. Obaj polegli byli partanami i strata tych kolejnych z grupy, którzy za niechętnym wówczas Uldyzjanem podążyli w głąb toradżańskich dżungli, wstrząsnęła nim wyjątkowo mocno.

Gniewnym gestem posłał falę powietrza ku przeciwległej ścianie komnaty. Zrobił to w najlepszym możliwym momencie. Zawiesił w bezruchu kolejną chmurę metalowych gwiazdek, wypuszczonych najwyraźniej przez jakiś mechanizm umieszczony w ścianach. Uldyzjan pozwolił, by większość tych niepozornych narzędzi zbrodni opadła z grzechotem na posadzkę, ale kilka posłał z powrotem do niewidocznej wyrzutni, żeby ją unieruchomić, i nie zwlekając, ruszył ku rannym.

Na marmurze konali toradżanie. Jednego z nich Uldyzjan znał doskonale, był to Jezran Rhasheen – pierwszy z mieszkańców, który podszedł do bladoliciego przybysza, przemawiającego na placu targowym. Ciemnoskóry młodzieniec był jedynym synem liczącego się w mieście kupca. Nie miał właściwie żadnego powodu, by tak chętnie słuchać nauk obcego, a co dopiero je akceptować – Jezran miał w życiu wszystko, czego mógł zapragnąć. A jednak słuchał, i to nad wyraz uważnie. Kiedy Uldyzjan zaoferował podzielić się swym darem z każdym z toradżan, to właśnie Jezran pierwszy wystąpił z tłumy.

Jezran spojrzał na pochylającego się nad nim Uldyzjana, któremu białka oczu chłopaka, tak jak i innych mieszkańców miasta, wydawały się

wyjatkowo jasne, wręcz śnieżnobiałe. Wiedział, że to tylko złudzenie spowodowane kontrastem z ciemną skórą tubylców, ale i tak nieustannie go to zadziwiało.

Jezran zdołał jeszcze uśmiechnąć się blado. Rozchylił wargi... i skonał. Uldyzjan zaklął – nawet przy użyciu całej swojej mocy nie zdołałby przywrócić chłopcu życia.

Ale pozostałym mógł jeszcze pomóc. Gdy tylko to sobie uświadomił, złożył delikatnie głowę Jezrana na podłozę i odwrócił się do kolejnej z ofiar. Położył rannemu dłoń na czole. Mężczyzna gwałtownie nabrał powietrza. Mordercze gwiazdki wysunęły się z ciała z niepokojącym dźwiękiem... a rany natychmiast się zamknęły. Toradżanin uśmiechnął się z wdzięcznością.

Uldyzjan uleczył jeszcze i trzecią ofiarę, kobietę, a potem z goryczą popatrzył na ciało Jezrana. „Dwóch przeżyło, ale jeden zginął. I to by było tyle, jeśli chodzi o cały ten mój dar” – pomyślał.

– On nie żywi do ciebie żalu – odezwał się Mendeln z tyłu. Brat Uldyzjana przemawiał tonem nieskończenie spokojnym nawet w obliczu katastrofy. – A teraz lepiej poznał prawdę o naturze wszystkich rzeczy niż którykolwiek z nas.

Mendeln był drobniejszej budowy niż starszy brat. Od zawsze miał zadatki na uczonego. Choć Uldyzjan dotknął go swą mocą, jak i każdego innego ze swych uczniów, Mendeln zmienił się inaczej niż pozostali. Uldyzjan czuł, że jego jedyny pozostały przy życiu brat stał się naczyniem dla mocy całkowicie odmiennej od tej, która przepelniała jego samego. Zupełnie jakby Mendelna wypełniał powoli cień. Aczkolwiek Uldyzjan nie mógł powiedzieć, że ów cień pochodził od czegoś złego.

Jednak nie mógł też powiedzieć, że pochodził od czegoś dobrego.

– Rozumiem tylko tyle, że on i wielu innych stracili życie – prychnął, patrząc prosto w przenikliwe, czarne oczy brata. – Ale czy to wina Trójcy, czy moja, chyba nigdy nie będę umiał ocenić.

– Nie o tym mówiłem... – i Mendeln zamilkł.

Uldyzjan minął brata odzianego w ciemną szatę i znów skierował się w głąb świątyni. Jego akolici podążyli za nim, trzymając się w pewnej odległości zarówno od swego przywódcy, jak i jego brata. Choć w wypadku Mendelna nie tyle z szacunku, co bardziej dlatego, że nikt nie kwapił się, by przebywać blisko niego. Nawet ci niedotknięci mocą nefalema wyczuwali coś dziwnego w młodszym z synów Diomedesa.

– Dałem wam dar – Uldyzjan zwrócił się do ludzi idących za nim, w tym samym czasie umysłem szukając niebezpieczeństw, jakie mogły czaić się na ich drodze. – Pamiętajcie, by go używać. To wasze życie. To wy sami.

Naraz poczuł, że oni nadchodzą. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Uldyzjan modlił się, by ludzie go posłuchali, w przeciwnym razie niejednen z nich zginie dziś straszną śmiercią.

Stali w przestronnej komnacie, w której wierni trzech obrządków zbierali się przed modlitwami. Trzy wysokie posągi, przedstawiające duchy przewodnie, stały przy kolejnych wejściach prowadzących do miejsc, gdzie odbywały się ceremonie poszczególnych obrządków. Każda z nieśmiertelnych istot ubrana była w powłóczyste szaty, a kontury ich twarzy były zaledwie zarysowane. Po lewej Bala z młotkiem i torbą, zawierającą nasiona wszelkiego życia. Po prawej Dialon, trzymający przy piersi Tablice.

Pośrodku Mefis... zawsze Mefis... niczego nie niósł, tylko składał ręce, jakby w jego ramionach miało spocząć niewinne dziecko.

Dziecię przeznaczone na rzeź, jak zawsze myślał Uldyzjan.

I z tym obrazem płonącym w myślach podniósł rękę w geście ostrzeżenia, bowiem w każdych drzwiach stanęły groteskowe, potworne postaci zakute w czarne zbroje. Z okrzykiem, w którym pobrzmiwała żądza krwi, makabryczni wojownicy unieśli broń i ruszyli do ataku. Było ich stosunkowo niewiele, a jednak robili przerażające wrażenie, zwłaszcza

na Uldyzjanie, który spotkał ich już wcześniej. Niewiele zostało w nich ze śmiertelników, przywodzili na myśl istoty, które od dawna powinny spoczywać w grobie. Uldyzjan wyczuł przerażenie towarzyszących mu ludzi i zrozumiał, że musi pokazać swym akolitom, że morlu, choć potworni, nie są niezniszczalni.

Zanim jednak zdążył uderzyć, oślepiająco jasne światło rozbłysło mu przed oczyma. Z krzykiem zatoczył się na tych, którzy szli za nim. Po raz kolejny tak bardzo skupił się na chronieniu innych, że przecenił swoje możliwości. Powinien był przewidzieć, że kapłani przygotowują jakiś podstęp, by zapewnić przewagę morlu.

Czyjeś dłonie odciągnęły Uldyzjana i w tym samym momencie coś uderzyło go w prawy bok. Mężczyzna okręcił się wokół własnej osi i zwałił na podłogę.

Walczył ze ślepotą, słysząc rozlegające się wokół przerażające wrzaski. Ohydny odgłos pękających kości przejął go dreszczem. Dobiegł go ochrypły śmiech – natychmiast rozpoznał demoniczny głos morlu, uradowanego rozlewem krwi.

Uldyzjan nie spodziewał się w Toradży tych straszliwych sług Trójcy. Był przekonany, że makabryczni wojownicy rezydują zwykle w ogromnej świątyni blisko wielkiego miasta, a oddział, który towarzyszył Malikowi, został wysłany przez Pierwszego specjalnie po to, by pojmać synów Diomedesa. Teraz Uldyzjan zaczął podejrzewać, że każda świątynia posiadała własne oddziały złożone z morlu, a to nie wróżyło najlepiej. Oznaczało bowiem, że istnieje więcej morlu, niż Uldyzjan mógłby... chciałby sobie wyobrazić.

Zaczął odzyskiwać wzrok. To, że nie mógł w żaden sposób przyspieszyć tego procesu, doprowadzało go do pasji. Powoli z jednolitej mgły wyłaniały się kształty.

A jednym z nich okazał się morlu sięgający ku Uldyzjanowi. Jak na tak potężnie zbudowaną istotę był zaskakująco szybki. Pochwycił Uldyzjana za

kołnierz i podniósł na wysokość swoich oczu.

Uldyzjan spojrział w dwie czarne dziury, które morlu miał zamiast ślepi. Wiedział, że odrażający stwór widzi go lepiej, niż gdyby spoglądał ludzkimi oczami, i zdążył się już przekonać, jak straszliwe i potężne siły powoływały do życia tych wojowników w czarnych hełmach. Wciąż czuł gorycz na wspomnienie starcia z nimi w domu mistrza Etona.

– Ty jesteś nim... – Chrapliwy głos nie mógł należeć do żadnej żywej istoty. – Nim...

Uldyzjan zebrał się w sobie, ale znów błysk białego światła pozbawił go wzroku. Morlu roześmiał się głośniejsze... i nagle stęknął ciężko. Puścił oślepiętego Uldyzjana, który niemal rozbił sobie głowę, spadając na marmurowe płyty.

Mężczyzna potrząsnął głową, koncentrując się z całych sił na odzyskaniu wzroku. Świat po raz kolejny nabrał ostrości... i Uldyzjan zobaczył Serentię, która włócznią przyszpiliła makabrycznego wojownika, jakby ten nie miał na sobie ciężkiej zbroi i ważył tyle co nic. Włócznia lśniła srebrem, długie czarne włosy Serentii powiewały, jakby żyły własnym życiem. Niebieskie oczy dziewczyny, zawsze pełne blasku, teraz płonęły determinacją. Mlecznobiała skóra zaróżowiła się rumieńcem gniewu, a na usta dziewczyny wypłynął grymas ponurej satysfakcji. Uldyzjan był pewien, że wbijając grot włóczni głębiej w ciało, Serentia myślała o tym, jak zginął Achilios. Pokochała Achiliosa na krótko przed jego śmiercią, wcześniej przez lata próbowała zwrócić na siebie uwagę Uldyzjana, o czym ten do dzisiaj myślał ze wstydem.

Serentia jako pierwsza otrzymała dar i teraz należała do tych, którzy rozwinęli moc w sobie najlepiej i najsilniej. Uldyzjan nie wątpił, że jej umiejętności w znacznej mierze wzmagają poczucie straty, ale i tak był zdumiony, widząc jej poczynania.

Morlu próbował sięgnąć dziewczyny szponiastymi łapami. Wyglądniały uśmiech zniknął z jego paskudnej twarzy, zastąpiony przez coś, co mogło

uchodzić za strach. Włócznia pozwalała Serentii utrzymać potwora w stosownej odległości.

W żadnym razie nie wyglądała teraz na córkę prostego kupca. Zamieniła bluzkę i spódnicę na udrapowaną, barwną suknię toradżanki o szerokim powiewnym dole, a wysokie buty – na sandałki ze skórzanych pasków, jakie nosili tutejsi. I rzeczywiście, ze swoimi kruczoczarnymi, jedwabistymi włosami mogła uchodzić za kogoś, kto ma w żyłach nieco toradżańskiej krwi.

Morlu wstrząsnął się gwałtownie, jego masywna sylwetka zaczęła się kurczyć. Morlu coraz bardziej wyglądał jak coś, co wynurzyło się ze starego grobu – jego kości okrywała już tylko pomarszczona skóra. Jednak Serentia nie przestawała wbijać weń włóczni. Na jej twarzy malował się niepokojący zapach...

– Serri! – Uldyzjan użył dziecięcego przezwiska Serentii. Dopiero niedawno przestał ją tak nazywać. Nie mógł patrzeć bez lęku, gdy gniew do tego stopnia zawładnął dziewczyną.

Jego głos przebił się przez hałas... i przez jej furję. Serentia popatrzyła najpierw na Uldyzjana, potem ze wzdrygnięciem na morlu. Po policzku spłynęła jej łza. Bez trudu wyciągnęła grot włóczni z ciała przeciwnika. Wojownik padł na posadzkę jak marionetka, której ktoś poprzecinał sznurki. Kości i części zbroi potoczyły się po marmurze. Dziewczyna popatrzyła na Uldyzjana z ulgą i wdzięcznością. Skinął jej milcząco głową w odpowiedzi na znak, że rozumie doskonale, po czym poszukał spojrzeniem pozostałych uczniów.

Tak jak się obawiał, pułapka kapłanów pochłonęła niejedno życie. Wielu poległo, i choć wśród nich dostrzegł i morlu, to nie brakowało też toradżan i partan. Uldyzjan zobaczył szczupłą twarz partanki, którą ujrzał pierwszy raz, gdy uleczył chłopca ze zdeformowaną ręką. Uldyzjan przełknął gorycz, jaką niosło ze sobą wspomnienie Barty i jej synka – oboje zginęli w starciu z Lucionem. Chłopiec był jedną z tych ofiar, które demon wybrał

przypadkowo, demonstrując swą potęgę. A Barta, niezłomna Barta, zmarła niedługo po nim. Złamane serce odmówiło jej posłuszeństwa.

„Tyle krwi... – pomyślał Uldyzjan z bólem. – Tyle krwi rozlanej przeze mnie... i ich wiary w moje słowa...”

Ale gdy wokół nastąpiła cisza, zrozumiał, że przynajmniej na tę chwilę walka dobiegła końca. Morlu zostali pokonani przez zdobywców świątyni. Potwory Luciona zostały wybite. I choć zwycięstwo kosztowało немало, bo niejedno życie, to akolici Uldyzjana przetrwali ten atak.

Zakrawało to na cud – ale jeszcze ważniejsze było to, że ludzie wzięli przykład ze swego przywódcy oraz Serentii i morlu nie zostali pokonani samą tylko bronią, ale i mocą, tą samą, którą władał Uldyzjan, choć nie tak porażającą. Jeden z wojowników został przecięty równiutko na pół – wyglądał, jakby wystarczyło go tylko złożyć w całość, by ożył ponownie. Drugi zwisał bezwładnie ze złożonych ramion Mefisa. Inni leżeli na posadzce połamani i poskręcani w makabrycznych pozycjach. Uldyzjan ufał, że widok ten napełni serca jego towarzyszy odwagą i nadzieją, mimo strat, jakie ponieśli w ataku.

Patrząc na ciała, Uldyzjan poczuł, jak coś go dusi w gardle. Trójkątne płyty marmuru pokrywały teraz rozbryzgi czarnej mazi, która wypłynęła z żył morlu. Ale z czarną juchą zmieszany był bezcenny szkarłat płynący z ran tych, którzy albo działali zbyt wolno, albo nie dość wiary pokładali w swej mocy. Uldyzjan opłakiwał w duchu każdego ze swych poległych towarzyszy i nieskończenie ubolewał nad tym, że cała jego moc nie była w stanie przywrócić im wszystkim życia.

I z powodu, którego sam nie potrafił wyjaśnić, ta myśl kazała mu rozejrzeć się za Mendelnem.

Zobaczył brata pochylonego nie nad martwymi towarzyszami, ale nad dwoma morlu, którzy splątani leżeli bez życia. Uldyzjan uniósł brwi, zdumiony, zastanawiając się, który z jego akolitów był w stanie tego dokonać.

Mendeln oderwał się od tego, co akurat robił. Jego twarz, zazwyczaj nieprzenikniona, teraz stała się znacznie mroczniejsza.

– To jeszcze nie koniec – powiedział to, co wszyscy wiedzieli, jednak jego kolejne słowa zaalarmowały starszego z synów Diomedesa. – Uldyzjanie, tu są demony!

I w tej samej chwili Uldyzjan też poczuł ich obecność. To przez morlu... skażonych demoniczną mocą nie poczuł tego od razu.

Wyczuwał je teraz... czekały na niego.

Stawał już twarzą w twarz z demonami, nie tylko z Lucionem – choć żaden nie był równie groźny co Pierwszy. A jednak te tutaj czekały tak cierpliwie... a cierpliwość nie była ich mocną stroną i tylko najmądrzejsze były zdolne do takiego oczekiwania... To jeszcze wzmogło jego złe przecucia. Znały go, wiedziały, kim się stał...

Nie miał wyboru.

– Mendelnie, Serentio, pilnujcie reszty! Niech nikt za mną nie idzie.

Jego brat skinął głową, ale dziewczyna zmarszczyła gniewnie brwi.

– Nie puszczę cię samego...

Uldyzjan zamknął jej usta nieznoszącym sprzeciwu spojrzeniem.

– Nie pozwolę, by kogokolwiek spotkał los Achiliosa... szczególnie żadnego z was!

– Uldyzjanie...

Mendeln ujął ją pod ramię.

– Nie kłóć się z nim, Serentio. Tak musi być.

Powiedział to w taki sposób, że nawet starszy brat zatrzymał się, by na niego spojrzeć. Mendeln jednak milczał, co ostatnio stało się jego zwyczajem. Lecz bez względu na to, jak enigmatyczne były z rzadka rzucone przez niego zdania, Uldyzjan nauczył się już brać je pod uwagę.

– Nikt za mną nie idzie – powtórzył, patrząc groźnie po towarzyszach. – Albo to nie z gniewem przyjdzie wam się mierzyć.

Miał nadzieję, że go posłuchają, aczkolwiek nadal obawiał się, że niektórzy, szczególnie Serentia, mogą za nim podążyć. Z tą obawą wszedł w korytarz za drzwiami przy posągu Dialona. Gdy tylko przekroczył próg, drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem. I wiedział, że tak samo zatrzasnęły się i pozostałe. Przynajmniej na razie. Nawet Mendelnowi i Serentii nie przyjdzie łatwo mu przeszkodzić. Tak długo jak będzie w stanie, nie pozwoli, by ktokolwiek ruszył ku podziemnym komnatom, tam, gdzie czczono prawdziwych panów Świątyni. Zbyt wielu już poległo w tych zmaganiach.

Wyczuł bliskość demonów, choć nie wiedział, gdzie dokładnie się kryją. Prawdę powiedziawszy, ich obecność była tylko jednym z powodów, dla których nie chciał narażać na ryzyko nikogo prócz siebie.

„Być może o to właśnie chodziło Mendelnowi” – uświadomił sobie nagle. Być może zdolności młodszego brata pozwoliły mu wyczuć subtelną, ale wyraźną obecność, czekającą na Uldyzjana... obecność o wiele potężniejszą niż jakikolwiek arcykapłan i doskonale znaną im obu.

Lilith.

DWA



Wokół Mendelna rozlegały się szepty. On najlepiej świadom był ohydnej prawdy na temat tego miejsca, słyszał ją bowiem bezpośrednio od ofiar.

„Tak wielu – myślał. – Tak wielu czyniło tu zło. Wystarczy tylko tego, co tu się działo, by zagrozić Równowadze”.

Mendeln nie do końca rozumiał, czym była Równowaga, ale wiedział, że wydarzenia, jakie miały miejsce w wewnętrznej części świątyni na przestrzeni ostatnich lat, były tak przerażające, że zdołały ową Równowagę zakłócić. A to martwiło go bardziej niż wszystkie śmierci, jakich był świadkiem tej nocy. Aczkolwiek ich suma też miała nie najlepszy wpływ.

No i nie należało zapominać o Lilith... czy też Lylii, bowiem pod tym imieniem ją znali – on, Serentia, a przede wszystkim Uldyzjan, któremu owa znajomość przyniosła prawdziwe cierpienie.

Serentia chodziła tam i z powrotem niczym zirytowany kot, nie spuszczać wzroku z drzwi tak dokładnie zamkniętych przez Uldyzjana. Reszta grupy zajęła się niszczeniem wszystkiego, co tylko znaleźli w pomieszczeniu, w tym bogatych gobelinów, nie bacząc, że ogień, który trawił już część budynku, koniec końców pochłonie wystrój całej sali. Mendeln doskonale zdawał sobie sprawę, że jeszcze nie zwyciężyli, dlatego też uważnie słuchał tego, co mieli mu do powiedzenia umarli, nawet martwi

kapłani i Strażnicy Pokoju. Nie słuchał tylko morlu – ci bowiem pomarli tak dawno, że pozostała po nich jedynie pustka. Mendeln starał się wychwycić te słowa, które zdawały się bezpośrednio nawiązywać do obecnej sytuacji.

„Jakże prostymi ludźmi byliśmy kiedyś – pomyślał niemalże z tęsknotą. – Farmerami, braćmi, mieszkańcami niewielkiej wioski. Życie miało nam upłynąć na uprawianiu roli i hodowli zwierząt”.

To z winy Lilith wszystko się zmieniło. To Lilith wybrała Uldyzjana na swojego sługę i pionka w nieludzkich zmaganiach między aniołami a demonami o władzę nad tym żalosnym kawałkiem skały nazywanym Sanktuarium.

Światem Mendelna.

Sam Mendeln nie uważał ani siebie, ani brata za Obrońców Rodzaju Ludzkiego, ale Uldyzjan został zmuszony do przyjęcia roli czempiona wszystkich ludzi i teraz nie mógł się już wycofać. Ich los zależał najwyraźniej od wyboru, jakiego dokona starszy z synów Diomedesa. Mendeln mógł tylko starać się być wsparciem dla brata.

Jego myśli zakłóciło przeczucie nadciągającej katastrofy. Głosy ucichły – poza tym jednym, który właściwie do nich nie należał. Był silny, pełen życia, niósł Mendelnowi pocieszenie i prowadził przez cały proces tajemniczej przemiany.

„Strzeż się rąk Trzech...” – usłyszał Mendeln.

„Pochwyć wszystko, co znajdzie się w ich zasięgu i zgniotą w uścisku...”

Zmarszczył brwi na te zagadkowe słowa. Co za pożytek był z takich...

– Serentia! – krzyknął nagle poruszony, co nie zdarzało mu się od wielu dni. – Wy wszyscy! Trzymajcie się z daleka od posągów!

Ale ostrzeżenie przyszło za późno. Ogromne posągi pochyliły się, jakby były uczynione z żywego ciała. Ciężki młot Bali spadł na dwóch toradzan. Dialon bił bezbronnych partan kamienną tablicą.

Mefis... Mefis pochwycił jedną z kobiet i ścisnął ją. Nawet Mendeln poczuł mdłości na widok rezultatów. Przy wtórze zgrzytu, który poniósł się po komnacie niczym jęk chóru umarłych, posągi zstąpiły z postumentów. Ludzie, przed chwilą jeszcze pełni wiary w zwycięstwo, teraz rzucili się do drzwi, którymi tu dotarli, ale one też były zamknięte na głucho... i to nie za sprawą Uldyzjana.

– Lilith – szepnął Mendeln, gdy kamienny Dialon zwrócił się w jego stronę. Kolos uniósł ramię do ciosu. – Na pewno Lilith... Szedł przez pustą salę modlitewną. Oczy miał szeroko otwarte, zmysły wyczulone. Spoglądały nań androgeniczne wyobrażenia Dialona i nie wiedzieć czemu ich spojrzenie wydało się Uldyzjanowi wyjątkowo prześmiewcze.

„Jakim wielkim demonem jesteś, Dialonie? – pytał w duchu ponuro. – Jakie jest twoje prawdziwe imię?”

Zewnętrzne komnaty oświetlone były pochodniami umieszczonymi w licznych niszach. Tutaj jedynie kilka lamp oliwnych zwieszało się z łukowato wysklepionego sufitu i światła było niewiele. Co więcej, korytarz wiódł w nieprzeniknioną ciemność, odległą zaledwie o dziesięć jardów.

Jednak Uldyzjan się nie zatrzymał. Minął wielkie posągi i ruszył korytarzem, który, był pewien, doprowadzi go do niej.

Dokładnie tak, jak tego chciała.

Pamiętał tę szlachetną i piękną postać, pamiętał, jak pierwszy raz zachwycił go ten widok, i wciąż jeszcze ten obraz był niezwykle wyraźny w jego myślach, nawet po tym, jak poznał straszliwą prawdę, jak został boleśnie zdradzony. Gęste, złote włosy, często starannie upięte na czubku głowy zgodnie ze szlachecką modą, błyszczące szmaragdowe oczy, wąskie, idealnie wykrojone usta – nigdy ich nie zapomni.

Ale nie zapomni też obmierzłej postaci niehumanoidalnej uwodzicielki o ciele pokrytym łuską, długimi piórami zamiast włosów i gadzim ogonie.

– Lylia... – mruknął pod nosem. Imię to było przekleństwem, ale i wyrazem tęsknoty. – Niech cię szlag, Lilith...

Coś przebiegło mu po stopie. Przestraszony, bardziej dlatego, że nie wyczuł wcześniej stworzenia niż samą jego obecnością, Uldyzjan przyjrzał się temu czemuś, mrużąc oczy w słabym świetle. To był tylko pająk, aczkolwiek spory. Obecność pająka w świątyni nie była niczym zaskakującym i Uldyzjan niemal natychmiast zapomniał o tym stworzeniu, skupiając się na szkodniku daleko większym i bardziej niebezpiecznym.

Pozostawił za sobą ostatnią z dogasających lamp oliwnych. Otoczyła go ciemność. To był pokaz specjalnie dla niego, uświadomił sobie. Przybył tu, polując na coś, co uważał za zło, więc zapewnili mu odpowiedni nastrój dla łowów. Dla nich była to w pewnym sensie gra, co tylko podsycalo furię w człowieku. Za nic mieli ludzkie życie, nawet życie tych, którzy im służyli.

Coś spadło mu na twarz. Uldyzjan klepnął się w policzek i poczuł, jak coś wchodzi mu na grzbiet dłoni. Kolejny pająk.

Doszedłszy do wniosku, że nie może zrezygnować z tego ruchu w grze, Uldyzjan przyzwał światło.

Pierwszy raz zdołał tego dokonać – co zrozumiał dopiero później – dzięki obecności Lilith. Teraz stało się to dlań równie naturalne co oddychanie. Ale kula białego blasku nawet po części nie była tak jasna, jak być powinna. Światło odsłaniało nie więcej niż dwa jardy korytarza przed Uldyzjanem. Zmysły mężczyzny sięgały o wiele dalej, ale zgodnie ze swą ludzką naturą instynktownie pragnął widzieć, nie tylko czuć.

Mógłby wzmocnić blask sfery, gdyby się skoncentrował, ale to by oznaczało, że będzie mógł mniej uwagi poświęcić otoczeniu. Teraz nic nie było takie jak w trakcie walki z Lucionem, gdy to, czego Uldyzjan dokonał, brało się w tej samej mierze z płonącego w nim gniewu, co i umiejętności nefalema. Teraz Uldyzjan musiał poruszać się ostrożnie, bo przebiegłość

Luciona bladła całkiem w porównaniu z tym, do czego zdolna była jego diabelska siostra.

Korytarz ciągnął się dalej, niż powinien, przynajmniej wedle wyczucia Uldyzjana. Czy to było iluzją, czy nie – mężczyzna miał się wkrótce dowiedzieć. Lilith nie każe mu długo czekać.

Krzyknął, bo nagle coś ukłuło go w kark. Złapał się za szyję i palcami musnął włochate odnóża.

Pająk uciekł poza zasięg światła. Uldyzjan potarł piekący kark i w tej samej chwili zauważył, że za nim korytarz też zalany był ciemnością.

Rana na karku poczęła pulsować. Skarcił się w duchu, że pozwolił zwykłemu pajakowi przebić się przez osłony, których ani morlu, ani jak na razie Lilith nie zdołali pokonać.

A może ona jednak zdołała?

Skupiwszy się na ranie, Uldyzjan usunął z ciała to, co zostawił tam pająk, i zasklepił skórę. Znajomość tej sztuczki zawdzięczał arcykapłanowi Malikowi, widział bowiem, jak tamten pozbywa się z pleców strzały Achiliosa, a potem leczy ranę.

Jednak, gdy tylko uporał się z raną na szyi, wokół niego zaroilo się od wielonogich stworzeń o ostrych zębach. Uldyzjan dorastał na farmie, nie raz i nie dwa miał do czynienia z różnymi insektami, w tym i pajakami, ale nigdy jeszcze takimi jak te. Ich atak był jak najbardziej celowy i kąsały tak często i tak szybko, jak tylko mogły. Jego próby strącenia ich dłońmi były śmiechu warte. W mgnieniu oka oblaży go od stóp do głów.

Na szczęście wtedy Uldyzjan odzyskał rozsądek. Wziął głęboki oddech, pilnując, by nie połknąć żadnego ze szkodników, i skoncentrował się na lśniącej sferze.

I wreszcie zapłonęła ona tak jasno, jak powinna, tysiąc razy mocniej niż wcześniej. Jednocześnie żar oblał Uldyzjana i jego niepożądanych towarzyszy. Ale podczas gdy ciepło płomieni jedynie ogrzewało człowieka, to pajaki paliło bez litości.

Stworzenia dygotały gwałtownie, a wysokie krzyki, podobne ludzkim, raniły uszy Uldyzjana. Dziesiątki, a moment później setki zwęglonych pajaków obsypały się na posadzkę.

Uldyzjan, spocony bardziej z wysiłku niż gorąca, zredukował intensywność, z jaką płonęła kula. Smród unoszący się w powietrzu kojarzył się raczej z rozkładem niż spaleniwą. Mężczyzna trącił nogą stos zwęglonych stworzeń.

Ale jego stopa nie opadła na podłogę, nie znalazła żadnego oparcia, zatonała w kamieniach posadzki niczym w wodzie.

Uldyzjan wyczuł obecność jednego z demonów, ale było już za późno. Coś pochwyciło zanurzoną w podłodze nogę i pociągnęło go w dół. Niski, powolny i pełen złośliwości śmiech odbił się echem od ścian korytarza.

Na granicy światła padającego z płomienistej kuli uformował się jakiś kształt. Uldyzjanowi przypominał groteskową ludzką głowę, uformowaną z płyt podłogi. Paszcza niczym poprzeczna bruzda rozciągnęła się w okrutnym, zwierzęcym uśmiechu.

– Chceę... – przemówił stwór pożądliwie i znów się roześmiał.

Czymkolwiek było to, co pochwyciło nogę Uldyzjana, teraz ciągnęło go w kierunku rozwartej wyczekująco paszczy. Dwie mniejsze szpary rozchyliły się, formując coś na kształt pary oczu.

– Głoodnyyy... – zadudnił demon radośnie. – Chceę...

Uldyzjan otrząsnął się z zaskoczenia, zacisnął zęby i pochylił się. Demon ponownie się zaśmiał, przekonany zapewne, że jego ofiara pragnie szybkiego końca. I Uldyzjan tego właśnie chciał... choć nie do końca w tym znaczeniu, w jakim rozumiała to łapczywa bestia.

Uderzył pięścią w wodniste kamienie. Fala wywołana wstrząsem potoczyła się ku potwornemu napastnikowi, tak jak wcześniej rój pajaków ku człowiekowi. Uldyzjan nie wiedział dokładnie, co zamierzał w ten sposób osiągnąć, wiedział tylko, że skupienie woli i determinacji na celu nie raz pozwoliło mu wyjść cało z opresji.

Demon zaryczał z wściekłością i bólem zarazem, gdy przetoczyła się po nim fala czystej mocy. Potworne usta wykrzywiły się w złowrogim grymasie, oczy zapłonęły gniewem.

– Gulag zabije! – zadudnił, choć i bez tego jego intencje były oczywiste.

Ściany ruszyły na Uldyzjana, który dopiero teraz zrozumiał, że wszystko wokół stało się nagle częścią demona. Jęknął boleśnie, gdy poczuł uderzenie. Miał wrażenie, że kości pękają mu pod naciskiem ścian. Niemal poddał się sile demona. Jednak raz jeszcze zobaczył przed oczyma ją, piękną i potworną zarazem... wyśmiewającą jego porażkę.

Napinając wszystkie mięśnie, napał na kamienie raz i drugi... i zwyciężył. Ściany cofnęły się na tyle, by zdołał położyć na nich dłonie. Wtedy pchnął je tak mocno, jak tylko potrafił.

Dźwięk, jaki wydał Gulag, Uldyzjan uznał za wyraz konsternacji. Chyba nikt wcześniej nie słyszał, jak bestia gwałtownie nabiera powietrza.

Uldyzjan, nie zwlekając, wykorzystał swoją szansę, pochwycił płynny kamień w obie dłonie. Posadzka powinna przeciec mu przez palce, ale raz jeszcze moc nefalema okazała się potężniejsza od mocy Gulaga. Uldyzjan miał wrażenie, że ściska wijącego się węża, stwora pozbawionego kości. Szarpał się, ale uciec nie zdołał.

– Gulag nadal jest głodny? – kpił z niego Uldyzjan.

Demon był albo zbyt pewny swych sił, albo zbyt głupi, by zrozumieć, że nie walczy ze zwykłym człowiekiem. Uldyzjan miał nadzieję, że bestia nie grzeszyła rozumem, ale pewności mieć nie mógł, wiedział więc, że im szybciej zakończy to starcie, tym lepiej.

Z kolosalnym wysiłkiem przyciągnął Gulaga do siebie. Gdy tylko bestia znalazła się bliżej, poczuł, że coś chwyta go nie za jedną, ale za obie nogi.

Gulag zaryczał dziko. Ściany i podłoga ruszyły w stronę Uldyzjana, najwyraźniej miały zamiar zgnieść jego opór i jego samego. Uldyzjan odruchowo wstrzymał oddech. Popatrzył na tę część demona, którą nadal

trzymał w rękach. Przypominała mu wygarbowaną skórę albo pergamin... i to skojarzenie pomogło mu zdecydować, co dalej.

Tak jak wcześniej, rozłożył ramiona najszerzej, jak potrafił, wciąż z całych sił ściskając Gulaga.

I zupełnie jak pergamin, tak i esencja demona rozerwała się na dwie części przy wtórze ohydneho dźwięku. Ryk demona przypominał ryk wzburzonej rzeki. Ściany i posadzka zafalowały, sprawiając, że Uldyzjan rozwarł dłonie i upadł.

Ale nic więcej demon zrobić nie zdołał. Uldyzjan pokonał potwora. Rozdarcie rozszerzało się samo, nawet wtedy gdy dotarło do głębokiej paszczy i do złowrogich ślepi.

Gulag został dosłownie rozerwany na dwoje. Obie części zadygotały, obie jęknęły... I nagle, przy akompaniamencie ostatniego huku... demon się roztopił.

Gulag stracił kształty. Zmienił się w kałużę rozlewającą się po podłodze. Ściany i posadzka pokryte były śluzem, ale znów były tylko... ścianami i posadzką.

Kamienne płyty pod stopami Uldyzjana stały się twarde, nawet jeśli nieco lepkie, a smród gnijących resztek aż dławił.

Tam, gdzie jeszcze przed momentem korytarz zdawał się ciągnąć nie wiadomo jak daleko, Uldyzjan zobaczył kolejne mosiężne drzwi. Ruszył ku nim, ostrożnie przekraczając kałużę mazi. Odczekał kilka chwil, spodziewając się kolejnego ataku, ale nic się nie wydarzyło. Tylko wyobrażony na płaskorzeźbie Dialon przyglądał się intruzowi beznamiętnie.

Uldyzjan zmarszczył brwi. Zza łagodnej twarzy ducha przewodniego zdawała się wyglądać druga, jakby rzeźba ukryta w rzeźbie. Zmrużył oczy...

Zachłysnąwszy się powietrzem, szybko odwrócił wzrok. Choć jeszcze przed momentem patrzył wprost na drzwi, nie był w stanie przypomnieć

sobie żadnych szczegółów dotyczących postaci, której widok przeraził go jak nic innego nigdy dotąd. Chyba widział zakręcone rogi. I zęby ostre niczym sztylety.

Potrząsnął głową, odpychając ów cień wspomnienia. Nie ośmielił się ponownie skoncentrować spojrzenia na demonicznej płaskorzeźbie. To, co zdążył zobaczyć, w niewytłumaczalny sposób wypełniło go absolutną grozą, jaką zazwyczaj odczuwają jedynie dzieci. Każdy koszmar, który przyśnił się Uldyzjanowi w dzieciństwie, nagle stanął mu przed oczami.

Po raz kolejny Uldyzjan zebrał się w sobie i wyciągnął dłoń w stronę drzwi. Dobrze wiedział, że nie należy ich dotykać. Nawet jeśli Lilith nic z nimi nie zrobiła, to z pewnością arcykapłani zabezpieczyli je czarami.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, jakby pchnięte niewidzialnymi ramionami niewidzialnego ducha. Uldyzjan przekroczył próg.

Znalazł się w ogromnym pomieszczeniu, większym chyba jeszcze niż to, w którym zbierali się wierni. Olbrzymią przestrzeń oświetlały jedynie pochodnie wokół niewielkiego marmurowego podwyższenia.

A na owym podwyższeniu... ołtarzu spoczywało coś, co zapewne kiedyś było człowiekiem.

Uldyzjan nie próbował nawet zapanować nad odrazą. Nie zaskoczyło go, że znalazł dowód na składanie ofiar z ludzi, ale głęboko wstrząsnął nim widok krwi na ołtarzu, która nawet nie zdążyła zakrzepnąć. Kiedy on i jego akolici szturmowali świątynię, kapłani w okrutny sposób wydarli z kogoś życie, by zapewnić sobie przychylność demona.

W tej samej chwili zarejestrował jakiś nieznaczny ruch po drugiej stronie podwyższenia. Z tego, co zdołał zauważyć, istota ukrywająca się przed nim przypominała gigantycznego włochatego pająka, ale również w jakiś niewytłumaczalny sposób... człowieka.

Drugi demon? Uldyzjan wspomniął rój pajaków i był niemal pewien, że odkrył, skąd się wzięły. Jeśli miał do czynienia z demonem, ten był niewątpliwie bardziej ostrożny niż Gulag i zapewne też bardziej przebiegły.

Powoli ruszył w kierunku istoty... i zorientował się, że ze spowitych w cieniu odległych części pomieszczenia wyłaniają się inne postaci. Zastanawiał się wcześniej, kiedy zmierzy się z nim najwyższy kapłan Świątyni. Z tego, co Uldyzjan dowiedział się na temat hierarchii w obrębie przybytków, każda ze świątyń nadzorowana była przez kapłana jednego z trzech obrządków. Jemu podlegali klerycy zarządzający poszczególnymi wyznaniem. W największej świątyni, w Kedżanie, rezydowało niegdyś trzech, a po niedawnej śmierci Malika już tylko dwóch arcykapłanów, którzy rządzą całą sektą w imieniu Pierwszego.

Potężny, łysy mężczyzna w krwistoczerwonych szatach niemal niezauważalnie skinął dłonią w stronę Uldyzjana. I natychmiast tuzin akolitów w szatach wszystkich trzech obrządków uniósł dłonie i zaczął inkantację.

Uldyzjan poczuł, jak przeszywa go niesamowicie zimno, ale wystarczyło, by zapragnął, żeby się skończyło, i tak się stało. Śpiew kleryków się załamał, ale główny kapłan wydawał się nieporuszony. Z odrazą spojrzął na tych stojących najbliżej, ci zaś natychmiast ponownie zaczęli wyśpiewywać zakęcie, a reszta braci, nie zwlekając, podjęła inkantację.

– Uciszcie się – mruknął zniecierpliwiony Uldyzjan.

Śpiew umilkł. Aczkolwiek kapłani jeszcze przez kilka sekund poruszali wargami, zanim dotarło do nich, że stracili głos.

Najwyższy ksiądz zaśmiał się dziwnie i spomiędzy fałd szaty dobył niewielki lazurowy kamień. Pomniejsi klerycy poszli za jego przykładem.

Poprzednio, gdy Uldyzjan zobaczył takie kamienie, znajdowały się w rękach Malika i w jakiś sposób umożliwiły arcykapłanowi przyzywać demony na swe rozkazy. W czasie tamtej walki Lilith potajemnie wyeliminowała demona, który zapewne był najbardziej niebezpieczny, i użyczyła Uldyzjanowi swej siły, czego mężczyzna nie był świadom. Niemniej dzięki temu wsparciu pokonał pozostałe stwory ciemności. Teraz

ufał już we własną moc i uznał, że lepiej nie zapraszać potworów i zapobiec zagrożeniu, zanim przyjdzie mu się z nimi zmierzyć.

Zacisnął pięść.

Jeden z niższych kapłanów krzyknął, gdy kamień w jego dłoni nagle zapłonął. Pozostali zareagowali instynktownie, natychmiast wyrzucając swoje kamienie. Trzech wprawdzie zostało poparzonych, ale nie tak dotkliwie jak pierwszy z nich, który na kolanach szłochał, ściskając poczerniały kikut, który kiedyś był jego dłonią.

Główny kapłan ponownie się zaśmiał, co było dość dziwną reakcją. Jemu nic się nie stało, zdążył cisnąć kamień, zanim jeszcze Uldyzjan zwarł palce.

Uldyzjan zmarszczył brwi i przyjrzał się kapłanowi uważnie... sięgając spojrzeniem poza cielesną powłokę.

I zrozumiał...

Główny kapłan najwyraźniej był tego świadom.

– Sądzę, że nie będą już dłużej potrzebni – oznajmił, patrząc na swych podwładnych. – Możecie umrzeć.

Odwzajemnili jego spojrzenie całkowicie oszołomieni. Uldyzjan poczuł dla nich odrobinę współczucia, ale naprawdę nieznaczną. Byli gotowi odbierać życie niewinnym, by zaspokoić apetyty swych mrocznych władców.

Klerycy jak jeden mąż zwalili się na posadzkę. Żaden z nich nie krzyknął, nie zdążyli nawet zaczerpnąć powietrza. Poza wcześniejszymi oparzeniami na ich ciałach nie widać było śladu przemocy.

Uldyzjan, sam nie wiedząc dlaczego, przeszukał zmysłami cienie, w których wcześniej czaił się ogromny pająk. Był pewien, że potworna istota umknęła w trakcie konfrontacji Uldyzjana z kapłanami.

– Drogi Astroga jest ze wszech miar posłuszny – rzekł główny kapłan, co zaskakujące, kobiecym głosem. – Kiedy Pierwszy nakazuje mu odejść, odchodzi, nie zwlekając.

– A wie, że Pierwszym nie jest już Lucion, tylko jego siostra? – Uldyzjan popatrzył przeciwnikowi w oczy. – Wie już o tym, Lilith?

Rzuciła mu spojrzenie spod w półprzymkniętych powiek, które niewątpliwie byłoby bardzo kuszące, gdyby akurat nie miała ciała spoconego grubasa.

– Strach niejednego czyni ślepy, jak i miłość, moja miłości...

– Nie ma między nami miłości, Lilith, jedynie kłamstwa i nienawiść.

Kapłan wydał wargi w grymasie niezadowolenia.

– Och, Uldyzjanie, to przez mój nędzny strój? Temu można w mig zaradzić. Jesteśmy sami, a ten głupiec już spełnił swoje zadanie...

Opasłego kapłana otoczyły zielone, dzikie płomienie. Uldyzjan osłonił oczy przed oślepiającym blaskiem tego nienaturalnego ognia. A gdy wzrok mu się trochę przyzwyczaił, zobaczył, jak strój kurczy się, zwija i zmienia w popiół. Płomieniste krople poczęły kapać z ciała na podłogę, odsłaniając ścięgna, mięśnie i kości.

Twarz spłynęła w ogniu, odsłaniając wyszczerzoną groteskowo czaszkę, która przez chwilę jeszcze łypała nietkniętymi gałkami oczu, choć te zapadły się w głąb oczodołów, gdy makabryczna postać postąpiła w stronę Uldyzjana.

– W końcu dla ciebie chcę wyglądać jak najlepiej – zagruchała czule.

Płomienie pochłonęły już wszystko poza kośćmi. Szkielet dopalał się jednak szybko i Uldyzjan mógł zobaczyć alabastrową biel skóry i szmaragdową zielen szaty. Popękały nogi martwego kapłana, ustępując miejsca eleganckiej spódnicy, spod której wyglądały kobiece stópki. Klatka piersiowa z trzaskiem odsłoniła szykowny gorset znajomej sukni, skrojonej na szlachecką modłę, podkreślającej doskonale niezwykle kobiece kształty.

Z pękniętej czaszki kaskadą wypłynęły złociste loki. Wreszcie zniknęły i resztki spalonej twarzy.

I oto stanęła przed Uldyzjanem kobieta przecudnej urody, rozkładając szeroko ramiona. I choć nie raz, nie dwa deklamował, że jego uczucia dla

niej przeminęły bezpowrotnie, to teraz serce szarpnęło mu się w piersi. Wargi mimowolnie uformowały imię, pod którym znał tę zachwycającą istotę.

– Lyliia.

Uśmiechnęła się do niego dokładnie tak jak wtedy, gdy ich oczy spotkały się po raz pierwszy.

– Kochany, słodki Uldyzjanie – wyciągnęła ku niemu doskonałe, smukłe dłonie. – Otocz mnie swymi silnymi ramionami...

Jego ciało już miało skłonić się ku niej, gdy dotarło doń, co się dzieje. Zaklął, co tylko ją rozbawiło.

– Cóż za bogactwo języka! Powinieneś częściej pokazywać się z tej strony, Uldyzjanie. Znać wtedy, że masz charakter!

Zacisnął pięści, aż mu pobielwały kłykcie.

– Skończ z tymi kpinami, Lilith! Dość tych szarad. To nie twoja twarz, tak samo jak twarz kapłana czy Pierwszego! Skoro stajesz przede mną, stań we własnej postaci, jako demon!

Zachichotała.

– Czego tylko sobie życzysz, ukochany!

W przeciwieństwie do pełnej dramatyzmu zmiany kapłana w Lylię, przeobrażenie Lylii w Lilith trwało zaledwie sekundę. Szkarłatna aura spowiła arystokratyczną piękność i uderzenie serca później w tym samym miejscu stał demon we własnej osobie.

Rysy twarzy urodziwej szlachcianki przetrwały w demonie, ale na tym podobieństwa się kończyły. W swej prawdziwej formie Lilith była wyższa, dorównywała wzrostem Uldyzjanowi, a zamiast stóp miała potężne kopyta. Jej pokryte łuskami ciało było ciemnozielone, złote loki zostały zastąpione potężnymi kolcami, które biegły w dół pleców po sam koniec gadziego ogona. Palce, cztery miast pięciu, zakończone były szponami. Przesuwała uwodzicielsko owe makabryczne dłonie po ciele, jakby chciała mu przypomnieć, że i w tej formie ma kuszące krągłości. Były nawet bujniejsze

i, na nieszczęście Uldyzjana, nie spowite żadnym strojem. I choć nienawidził jej z całego serca, to i tak nie potrafił oderwać spojrzenia od jej ciała. Taką miała moc.

Jedna z jej dłoni poprowadziła jego wzrok do twarzy. Tak, nadal przypominała Lylię, ale z zarysu jedynie. Lylia nie miała igłokształtnych zębów, przeznaczonych do rwania mięsa, ani płonących, rubinowych oczu pozbawionych źrenic.

– Tęskniłam za twym dotykiem, kochany... – szepnęła Lilith i zwilżyła wargi rozdwojonym językiem. – I wiem, że ty tęskniłeś za moim...

Uldyzjan był świadom, że próbowała wytrącić go z równowagi, pozbawić obrony, i niestety bliska była sukcesu. Nie przewidział tego, jaki wpływ będzie miała nań ta konfrontacja. Za to Lilith zdawała się to wiedzieć aż za dobrze.

I wtedy Uldyzjan wspomniiał tych, którzy stracili życie wskutek jej obłąkanych ambicji, i pożądanie w dużej mierze zgasło. Dla demona życie ludzkie nie miało większego znaczenia. Lilith nie obchodził ojciec Serentii ani mistrz Eton, czy jego syn Cedryk, Barta ani żaden inny partanin lub toradzanin. Nie miała cienia współczucia nawet dla pomordowanych kapłanów, w tym dwóch misjonarzy, których skrwawione zwłoki zapoczątkowały cały ten łańcuch wydarzeń.

Co więcej, nie dbała też w ogóle o swego brata, prawdziwego Pierwszego. Najwyraźniej w jego śmierci dostrzegała jedynie okazję do przejęcia Świątyni Trójcy, którą stworzył Lucion. Jednak nie będzie jej dane cieszyć się długo tą nagrodą, jeśli tylko Uldyzjan zdoła przeprowadzić swój plan.

– Ta świątynia już obróciła się w pył, Lilith – wytknął jej. – To, czego nie zburzą ci, którzy przyszli tu ze mną, strawią płomienie, uwolnione przez twoje marionetki. Ten sam los spotka następną i następną... aż zostanie tylko ta pod Kedżanem. A wtedy padnie i ta. Krótko będziesz Pierwszym.

– Czyżby, mój miły Uldyzjanie? – Ogon demona uderzył lekko w podłogę, rozrzucając przy tym resztki zwłok kapłana. Lilith pochyliła się lekko ku Uldyzjanowi, jeszcze wymowniej prezentując swe obfite wdzięki. – Ależ to cudownie... tego właśnie pragnę.

Te słowa zaskoczyły Uldyzjana. Nieco zbyt późno zorientował się, że usta ma niemądrze otwarte. Zamknął je, oblewając się rumieńcem wstydu, i spróbował zebrać myśli. Po raz kolejny Lilith wystarczyło kilka słów, by udowodnić mu swą wyższość.

– Tak. – Sukkub uśmiechnęła się szeroko. Jej nieludzkie oczy błysnęły zadowoleniem, ku konsternacji Uldyzjana. – Chcę, byś położył kres Trójcy! Chcę, żebyś zniszczył świątynie...

– Ale to nie ma sensu – wykrztusił wreszcie Uldyzjan. – Teraz, gdy ty kontrolujesz Świątynię...

– Aaa! Ależ to ma sens, mój kochany! Ma sens! Mówię ci to wszystko w dowód mojego uczucia do ciebie. Nawet służy mojego odżałowanego brata tego nie wiedzą! Tak, mój mały nefalemie... zniszczysz dla mnie Świątynię... i Katedrę Światłości również...

Uldyzjan myślał gorączkowo. Skoro Lilith chce czegoś od niego, to powiedzenie mu o tym sprawiłoby, że postąpiłby wręcz przeciwnie...

Albo odczytała tę myśl, do czego była jak najbardziej zdolna, albo знаła go lepiej, niż on sam znał siebie.

– Ależ mój drogi Uldyzjanie! Nie będziesz miał żadnej możliwości wyboru w tym względzie! Widzisz, jeśli nie zrobisz wszystkiego, co w twojej mocy, by rozwinąć w sobie i tych głupcach, którzy podążają za tobą, prawdziwej potęgi nefalema, to sprawię, że Trójca cię zniszczy! Myślisz, że widziałeś już wszystko, czym dysponował mój brat? Nie widziałeś nawet połowy! Mój brat był bardzo mądry, jego jedyny błąd polegał na tym, że mnie nie doceniał... – Nagle stała tuż przed nim, twarzą w twarz. Jak udało jej się znaleźć tak blisko, tego Uldyzjan nie umiał powiedzieć. – Tak jak i ty, moje biedne kochanie!

Zanim zdołał ją powstrzymać, pocałowała go namiętnie. Już kiedyś zachowała się w ten sam sposób, Uldyzjan powinien być więc na to przygotowany. Jego irytacja na siebie samego dorównywała nienawiści, jaką czuł do Lilith. Próbował ją pochwycić, ale demon wymknął mu się z rąk.

– Nie będę realizować twoich planów, przeklęta! – ryknął. – Nie będę już twoją marionetką! Nie stworzę armii nefalemów posłusznych twoim rozkazom!

Tego naprawdę chciała, doskonale o tym wiedział. Należała do tych, którzy stworzyli Sanktuarium, ale ponieważ nigdy nie wahała się przed morderstwem, nawet wtedy, gdy chodziło o jej towarzyszy, została wygnana z tego świata przez swojego kochanka... anioła. O ile oczywiście można było wierzyć jej słowom. Morderstwa te związane były z dziećmi, z pierwszymi nefalemami narodzonymi ze zbuntowanych demonów, którzy łączyli się z aniołami-renegatami. Uldyzjan był gotów uwierzyć, że chciała je ocalić. Ale wszystko wskazywało na to, że widziała w tych dzieciach jedynie żołnierzy. Żołnierzy, których mogłaby wykorzystać w swojej obłąkanej kampanii zemsty.

– Nie? – droczyła się z nim. – Nie, czyżby, ukochany? – cofnęła się. – Dlaczego więc jeszcze mnie nie zaatakowałeś?

I tu go miała. Znowu. Ale przysiągł sobie, że po raz ostatni. Wyciągnął dłoń w jej stronę...

Powietrze wokół Lilith zafalowało, ale jej już tam nie było. Poczuł, jak materializuje się mu za plecami.

– Dużo lepiej, mój kochany, dużo lepiej.

Nie odwrócił się w jej stronę, tylko skoncentrował na miejscu, gdzie stała.

Ale... znowu się spóźnił.

– Jednak moim zdaniem wciąż potrzeba ci praktyki! – Jej głos rozlegał się echem w pomieszczeniu, ale samej Lilith nie było nigdzie widać. –

W końcu musisz być u szczytu sił, gdy zmierzysz się z potęgą Trójcy... że nie wspomnę o słodkim, zdradzieckim Inariusie.

Bez względu na to, jak się starał, Uldyzjan nie był w stanie jej odnaleźć, co skłoniło go do przyznania, że nie jest dla niej żadnym przeciwnikiem. Spodziewał się, że zdoła stawić jej czoła, ale zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym rozgrywała ten pojedynek wedle swojej fantazji.

– Chodź tu, zmierz się ze mną! – krzyknął, obracając się w kółko. Szukał jej w każdym ciemnym kącie, ale nie znalazł niczego, absolutnie niczego, poza jej głosem, który dochodził do niego z daleka.

– Wszystko w swoim czasie, ukochany. Najpierw trochę poćwicz. Możesz zacząć od uratowania swoich przyjaciół, tak niewielu już ci ich zostało...

Trawiony gniewem Uldyzjan nie zwrócił uwagi na jej słowa. I nagle ogarnęło go poczucie przerażającego zagrożenia; zagrożenia, które piekielne zdolności demonicznej istoty ukryły przed jego zmysłami.

Zamiast dbać o bezpieczeństwo Mendelna, Serentii i reszty, zostawił ich bez ochrony dokładnie tam, gdzie życzyła sobie tego Lilith.

TRZY



W miejscu, które nie było miejscem, postać spowita w czerń patrzyła poza otaczającą ją pustkę. Zagłębiała do wymiaru, który przez niewielu wiedzących nazywany był Sanktuarium. Otoczony cieniami mężczyzna widział, jak walki obejmują kolejne ulice Toradzy, i od razu zaczął kalkulować możliwe konsekwencje.

– Podąża zbyt szybko – powiedział do pustki. – Zbyt irracjonalnie...
„Porusza się, jak musi... tak jak i my...”

Głos ten zatrzymałby niejedno serce, był bowiem i dźwiękiem, i obecnością. A jednak mężczyzna w czerni jedynie skinął głową – tak długo słuchał tego głosu, że wyjątkowość jego właściciela zmieniła się w normalność.

Podobnie znajome stało się dla mężczyzny z cieni poczucie porażki. Nie chciał go doświadczyć po raz kolejny. Porażka zagrażała Równowadze i choć mężczyzna przez wieki uczył się kierować swe uczucia do wewnątrz, gdzie mógł je kontrolować, jego marmurowobiałe czoło przecięły głębokie zmarszczki.

– Zatem... musimy podjąć działania bardziej intensywne...

Gdy przemówił, nad jego głową błysnęły gwiazdy, a przynajmniej początkowo były do gwiazd podobne. Jednak poruszyły się, tworząc

wężowy kształt w połowie widoczny, w połowie będący wyobrażeniem, a całkowicie – mitem.

Smok...

„Bardziej jeszcze niż inicjacja jego brata?” – spytały gwiazdy tonem, w którym dało się posłyszeć ironię.

– Bardziej... – odpowiedział mąż w czerni. – Aczkolwiek Mendeln ul-Diomed dalece przerósł moje oczekiwania. Gotów byłbym przysiąc, że on...

„Jest potomkiem twojej krwi, tak... to również wyjaśniałoby, dlaczego wybrała starszego z braci do swych celów. Wyczuleś ich siłę. I ona także”.

– Moja matka z pewnością byłaby w stanie, masz rację. Także mój ojciec. – Zmarszczki na jego czole stały się jeszcze głębsze. – Tak, mój ojciec również.

Gwiazdy zawirowały, tracąc na chwilę podobieństwo do mitycznej bestii.

„O którym jak dotąd nie słyszeliśmy...”

Mężczyzna skinął potakująco i po raz kolejny skupił wzrok na Sanktuarium.

– I to niepokoi mnie ponad wszystko.

„I powinno. Tak należy podjąć działania, jak mówiłeś...”

Zakapturzony mężczyzna owinał się ciaśniej obszernym płaszczem i wyraźnie zamierzał odejść.

– Jak mówiłem – mruknął bardziej do siebie niż swego towarzysza. – Nawet jeśli oznaczałoby to odkrycie przed moimi rodzicami faktu, że przetrwałem...

Mendeln był pewien, że umrze. Obserwował opadający młot świadom, że nie zdoła umknąć spod ciosu. Żadne ze słów w obcym języku, którego uczył się w snach, nie przychodziło mu teraz do głowy. Potworna śmierć zdawała się być tuż, tuż, i choć chciałby zachować dystans wobec tego

faktu, jak zachowywał wobec fatalnych wydarzeń dni ostatnich, jednak czuł dojmującą gorycz. Uwierzył już, że czeka go zgoła inne przeznaczenie...

Ktoś się z nim zderzył. Potoczyli się na ziemię, a młot Bali uderzył w posadzkę z taką siłą, że na marmurowych płytach powstały rysy długości nawet i dwunastu jardów.

– Następnym razem nie śnij. Działaj – mruknęła Serentia Mendelnowi do ucha.

Posąg odwrócił się ku niej, zupełnie jakby był wściekły, że dziewczyna pozbawiła go ofiary, choć kamienna twarz pozostała nieruchoma.

Serentia zamierzyła się włócznią i cisnęła ją z celnością wzmaganą jeszcze przez moc dziewczyny. Włócznia przebiła pierś figury tak jak wcześniej strzała, którą kierował Uldyzjan, przeszła pierś kapłana.

W pierwszej chwili Mendeln myślał, że atak spełził na niczym, bowiem Bala zdawał się nieporuszony dziurą w piersi. W końcu był jedynie rzeźbą...

A jednak dziurę otoczyła siatka pęknięć, które szybko pokryły cały posąg. Gdy statua uniosła młot, jej członki poczęły się kruszyć.

Serentia krzyknęła ostrzegawczo do tych, którzy znajdowali się w pobliżu rzeźby. Ludzie cofnęli się w momencie, gdy odpadło potężne ramię ściskające młot. Nawet posąg patrzył, jak rozbiło się na setki kawałków po uderzeniu w podłogę.

Chwilę później reszta statui podzieliła jego los. Kawałki kamienia padały wokół niczym makabryczny deszcz. Statua popatrzyła w dół na kruszące się ciało i głowa spadła jej z karku.

Nadal jednak pozostałe dwie rzeźby bezlitośnie ścigały o wiele mniejszych ludzi. Mendeln w duchu podziękował mocom, które miały w opiece jego towarzyszy, bowiem mimo zajadłości kamienne figury nie miały szczęścia w polowaniu. Mendeln był zdumiony takim rozwojem sytuacji, póki nie dojrzał, jak ręka Mefisa odbiła się od powietrza przed Romusem i niewielką grupką za jego plecami. Brodacz, złoczyńca

odmieniony przez Uldyzjana, najwyraźniej im przewodził. Patrzył na kamienną figurę, jakby wręcz wyzywał kolosa, by ten spróbował się przebić.

Istniała jednak spora szansa, że statua podejmie wyzwanie. Mendeln uznał, że najwyższy czas włączyć się do walki i wesprzeć towarzyszy, zamiast stać tylko, gapiąc się z otwartymi ustami, podczas gdy pozostali walczyli o życie. Dar z cieni, który został dany Mendelnowi, z pewnością można było wykorzystać...

Wreszcie słowa napłynęły mu do głowy. Słowa w tym archaicznym języku, który po raz pierwszy Mendeln zobaczył na obelisku w Seram. I teraz dokładnie wiedział, które z nich powinien wypowiedzieć, więc to uczynił.

Zacisnąwszy kamienne dłonie w pięści, posąg rzucił się na niewidzialną barierę. Jednak już po pierwszym ciosie gigant został odepchnięty. Na kamiennym ciele pojawiły się pęknięcia, jakby coś zaatakowało go z taką samą furją, z jaką on wcześniej zaatakował Romusa i jego towarzyszy.

Mendeln pozwolił sobie na cień uśmiechu satysfakcji. Mefis, niezrażony obrażeniami, ponownie ruszył do ataku. Jednak każdy jego cios wyrządzał mu coraz większe szkody. Kierowany jakąś mroczną mocą gigant nie ustawał w wysiłkach, nie pojmował, że stał się narzędziem własnej zagłady za sprawą magii Mendelna.

Ale Romus szybko to zrozumiał. Gestem nakazał ludziom za swoimi plecami zachować spokój i czekać na rozwój sytuacji. Posąg Mefisa był olbrzymi i jego nieludzka siła wyrządzała mu niemałe szkody. W końcu, stojąc wśród kawałków kamienia, które sam z siebie odłupał, posąg zwałił się na posadzkę.

Musieli stawić czoła jedynie ostatniemu z posągów... a właściwie musieliby, gdyby nie to, że nagle zmarł on w bezruchu. Pochylony w pół ruchu, gdy próbował uderzyć trzech toradżan trzymanymi w dłoniach tablicami, zachwiał się nagle i przewrócił. Ale nie upadł zgodnie z prawami

natury, do przodu, ku swym niedoszłym ofiarom, tylko wbrew zdrowemu rozsądkowi przewrócił się do tyłu.

A gdy roztrzaskał się na milion kawałków, przyczyna tego nagłego i szczególnej natury upadku stała się oczywista. Uldyzjan, z miną mroczniejszą nawet od tej malującej się na twarzy jego brata, przestąpił resztki posągu – kawałki kamienia same usuwały mu się spod stóp.

Mendelnowi nie podobało się to, co wyczytał w oczach swego brata. Nie wspomniał Serentii, że Uldyzjan nie stawiał czoła dwóm demonom, ale samej Lilith. Gdyby dziewczyna była tego świadoma, wyprzedziłaby nawet Uldyzjana w dążeniu do konfrontacji. W końcu Lilith była równie, jeśli nie bardziej nawet, winna śmierci Achiliosa co Lucion – ten wprawdzie pokierował lotem fatalnej strzały, ale to ona wciągnęła ich wszystkich do tej rozgrywki. Lilith, której wspomnienie będzie rozdzierać Uldyzjanowi serce do samej śmierci.

Brat Mendelna rozejrzał się, oceniając straty.

– Niech będzie przeklęta...

Serentia na szczęście zajęła się jednym z rannych, więc bracia zyskali chwilę, by porozmawiać.

– Nic nie zostało rozwiązane... – stwierdził Mendeln.

– Nic. – Uldyzjan nadal liczył poległych. – Zbyt wielu...

Młodszy z braci wstrzymał się od komentarzy. Zdawał sobie sprawę, że jego niedawno nabyte poglądy na temat zmarłych i śmierci budziły czasem sprzeciw Uldyzjana.

Potężny grzmot wstrząsnął świątynią. Spojrzenie Uldyzjana stało się jeszcze twardsze.

– Ogień i inne zniszczenia dają o sobie znać. Świątynia runie. – Wyminął brata. – Uchodźcie! – krzyknął do reszty. – Nasze zadanie zostało wykonane!

Miarą autorytetu Uldyzjana było to, że nikt się nawet nie zawahał.

Poległych w walce pozostawiono tam, gdzie skonali. Nie zapomniano o nich, ale ci, którzy przeżyli, wiedzieli doskonale, że Uldyzjan nie wydałby rozkazu, nie mając ku temu powodów. Ci w lepszym stanie pomagali wynieść ciężej rannych, wiedząc, że Uldyzjan uleczy ich wszystkich później.

Mendeln popatrzył na brata i zauważył skupienie oraz wysiłek malujące się na twarzy tamtego.

– Uldyzjanie...

– Powiedziałem, że wszyscy musimy wychodzić – odparł starszy z braci. Jego ton pozostał niezmienny, ale tętnica na szyi poczęła wyraźnie pulsować.

Rozległ się kolejny huk, tym razem jednak bardziej stłumiony. Mendeln natychmiast zauważył, że puls Uldyzjana przyspieszył wyraźnie.

– Jak każesz – odparł więc tak spokojnie, jak tylko było to możliwe. – Ale drzwi są zapieczętowane...

– Już nie.

Mendeln przyjął słowa starszego brata jako stwierdzenie faktu i odwrócił się akurat w odpowiednim momencie, by zobaczyć, jak drzwi otwierają się na oścież przed akolitami Uldyzjana. Nikt inny nie zadawał pytań ani nie zgłaszał choćby cienia wątpliwości. Byli przekonani, że ich przywódca pomoże im się wyjść cało z każdej opresji.

– Muszą iść szybciej... – stęknął Uldyzjan.

Mendeln skinął głową i przyspieszył kroku.

– Nie ociągajcie się! – ponaglił pozostałych. – Bądźcie czujni, ale idźcie szybko.

Pochwyił wzrok Serentii idącej w pewnej odległości. Z jej miny wywnioskował, że dziewczyna zna prawdę o ich sytuacji. Za przykładem Mendelna zaczęła poganiać pozostałych.

Kolejny wstrząs przetoczył się przez świątynię. Na ścianach i sklepieniu pojawiły się wyraźne pęknięcia, ale gmach wciąż jeszcze stał. Posadzka

również trzymała się nienaruszona, jedyne ślady na marmurze pochodziły z wcześniejszych starć z kapłanami.

Ciepłe nocne powietrze owiało Mendelna, gdy przekroczył próg świątyni. Świadomość niebezpieczeństwa, z jakim przyszło im się mierzyć, sprawiła, że liczył każdy stopień uważnie jak uderzenia swego serca. Mógłby nakazać reszcie biec, uciekać z tego przekłętego miejsca ile sił w nogach, ale to tylko spowodowałoby większą katastrofę.

Požary rozświetlały noc. Makabryczna poświata pozwoliła Mendelnowi popatrzeć na miasto. Najlepiej widać było ulice ocienione drzewami, w koronach których zamieszkiwały sarki, niewielkie małpki otaczane wciąż przez tutejszych mieszkańców. Mendeln dostrzegał też okrągłe budynki z kolumnami rzeźbionymi w postaci zwierząt stojące jedne na drugich. Owe rzeźby były tak szczegółowe, tak pięknie wykonane, że niektóre ze zwierząt zdawały się spoglądać zaskoczone na panujący wokół chaos.

Nic nie mogło powstrzymać ognia przed strawieniem dzielnicy położonej najbliżej budynku świątyni, zresztą Uldyzjan i tak o to nie dbał. Małpki już dawno uciekły, a wszystko poza nimi nosiło znak Trójcy.

Grupa złożona z partan i toradżan wydostała się poza granice świątynnych gruntów. Dopiero wtedy Mendeln odwrócił się, by spojrzeć na ogromny budynek.

Tylko on widział nieustanne drzenie w ciemności. Płomienie pełzały już po dachu świątyni. Fasadę przecinały głębokie szczeliny, niewątpliwie otwierały się też i na pozostałych ścianach. Niektóre kolumny popękały i się skruszyły. Nadto widać było, że budynek został poważnie uszkodzony u podstawy po zachodniej stronie.

„Powinien się już zawalić – stwierdził Mendeln w duchu. – Powinien zwalić się nam wszystkim na głowy...”

Ale się nie zawalił, a to za przyczyną człowieka o stężałej z wysiłku twarzy. Z czoła Uldyzjana spływał pot, a on sam oddychał krótko

i chrapliwie. Spoglądał w lewo i w prawo, jakby chciał policzyć tych, którzy mu towarzyszyli.

– Nikt nie został – zapewnił go pospiesznie Mendeln. – To znaczy nikt żywy. Nawet ostatni z braciszków pouciekali.

– W głąb... dżungli... jeśli im... życie... miłe – wycharczał z trudem Uldyzjan.

Stał nieruchomo, najwyraźniej wahał się jeszcze podjąć decyzję.

– Możesz już puścić – zapewnił go brat łagodnie.

Uldyzjan skinął powoli głową i odetchnął.

Z potwornym rykiem i zgrzytem kamieni toradzańska Świątynia Trójcy zapadła się. Potężne bloki marmuru potoczyły się przez dziedziniec. W niebo wystrzeliły kolumny wściekłych głodnych płomieni. Niejeden z tych, co szli za Uldyzjanem, teraz głośno nabrał powietrza. Romus zaklął.

Marmur nadal sypał się na okolicę, ale żaden kamień nie zbliżył się do miejsca, w którym stali Uldyzjan i jego akolici. Nawet teraz starszy z braci kontrolował proces zniszczenia.

Wreszcie upadek gigantycznej świątyni zmienił się w zwyczajną katastrofę. Ogień wprawdzie nadal płonął, ale otoczony ruinami w ten sposób, że nie zagrażał miastu. Mendeln był pewien, że to nie zbieg okoliczności.

Uldyzjan popatrzył ponad ramieniem młodszego brata, a ten natychmiast wyczuł, co dzieje się za jego plecami. Odwrócił się i teraz już wszyscy uświadomili sobie obecność tłumu, który, wypełniwszy ulice, zatrzymał się przed Uldyzjanem i jego grupką. Mendeln czuł różne emocje płynące od mieszkańców Toradży.

Postać w czerwono-złoty szatach oderwała się od tłumu. Mężczyzna nosił szal na długich siwych włosach i kolczyk w jednym z nozdrzy. Wyobrazone na kolczyku słońce było znakiem wysokiej pozycji wśród mieszczan. Mężczyzna był szczupły i stary; na tyle stary, że mógłby być

ojcem braci ul-Diomedów. Lewą dłoń zacisnął na inkrustowanej srebrem lasce.

– Szukam obcego pochodzącego z wyżyn, asceńczyka zwanego Uldyzjanem.

Asceńczykiem tubylcy nazywali ludzi o jasnej karnacji pochodzących z takich miejsc jak Seram czy Parta. Prawdziwe znaczenie tego słowa zostało już dawno zapomniane nawet przez tych, którzy go używali, obecnie oznaczało każdego, kto miał policzki równie blade jak synowie Diomedesa.

Uldyzjan bez wahania wystąpił naprzód, choć kilku z jego towarzyszy próbowało go powstrzymać. Nie bez podstaw obawiali się o jego bezpieczeństwo. W tłumie Mendeln dostrzegał nie tylko skórzane lamelki żołnierzy, ale i przedstawicieli klanów magów. Ci drudzy trzymali się wprawdzie na uboczu i choć Mendeln wiedział, że byli obecni, ani razu żadnego z nich nie zobaczył. Mieli własne, wewnętrzne problemy, z którymi próbowali sobie radzić, i jak na razie Uldyzjan do ich problemów nie należał.

Aczkolwiek gdy ta noc dobiegnie końca, będą musieli przemyśleć swoje stanowisko w tym względzie.

– Uldyzjan, syn Diomedesa, stoi przed tobą, a w dłoniach nie ma broni – odpowiedział brat Mendelna równie oficjalnym tonem.

Starzec skinął głową.

– Zwę się Raonet, Starszy Rady Toradży. Przemawiam w imieniu ludzi... – zamilkł na chwilę, zauważywszy liczne śniade twarze w grupie za plecami Uldyzjana. – Choć nie wszystkich, jak widać. Znam wielu z tych, którzy stoją za tobą, synu Diomedesa, i jest to dla mnie przyczyną zdumienia i niepokoju zarazem. Powiedziano mi, że jedynie ci niżsi stanem posłuchali twych słów, zwabieni obietnicą bogactwa odebranego tym, którzy cieszą się wyższą pozycją...

– Wszystkim obiecywałem to samo – przerwał mu Uldyzjan, a w jego tonie pobrzmiwały jedynie nieznaczne nuty gniewu. Mendeln wiedział, że brat nie darzy sympatią tych, którzy szerzyli podobne plotki. – Szansę, by stać się tymi, którymi być powinniśmy, niezależnie od naszego urodzenia! Oferowałem więcej, niż mógłby oferować i król, lordzie Raonecie, tym, którzy byli gotowi posłuchać! To, czego ani Świątynia Trójcy, ani Katedra Światłości nigdy nie zamierzały dać swym wiernym! Wolność od ich jarzma!

Raonet ponownie kiwnął głową. Zaciśnął wąskie wargi i widać było wyraźnie, że ani nie chce ganić, ani chwalić Uldyzjana za te słowa.

– Świątynię Trójcy oskarżono o potworne zbrodnie, asceńczyku! Zbyt potworne, bym chciał je przytaczać publicznie. Ale mam dowody z pewnych źródeł, że i ty stanowisz zagrożenie dla tych, nad którymi mam pieczę...

– Pragniesz więcej dowodów na zbrodnie Trójcy, Starszy Rady? Leżą tam, wśród ruin, wciąż zachowane.

Po raz pierwszy Raonet sprawiał wrażenie, jakby ubyło mu nieco pewności siebie. Mendeln był pod wielkim wrażeniem. Jeśli zrozumiał słowa brata, to wynikało z nich, że Uldyzjan zdołał uchronić wewnętrzne komnaty świątyni przed zawaleniem pod ciężarem ton kamienia. Niesamowity wyczyn, który, jak się okazało, miał słuszne powody.

– Możliwe że to pomoże nam rozwiązać wątpliwości – odezwał się wreszcie Raonet. – Ale w żaden sposób nie umorzy zarzutów przeciwko tobie, Uldyzjanie, synu Diomedesa.

– Uldyzjan nie jest zbrodniarzem! – krzyknął ktoś, kto brzmiał bardzo podobnie do Romusa.

Coś wyleciało z ciemności prosto w stronę nieosłoniętego czoła lorda Raoneta. Starszy Rady zdążył jedynie otworzyć usta, widząc nadlatujący pocisk...

...który zawisł nieruchomo w powietrzu, nim zdołał rozbić głowę przedstawiciela Rady.

– Wybacz mi, panie – mruknął Uldyzjan z ogromnym zmęczeniem w głosie. Kamień o ostrych krawędziach, wielkości może jabłka, skruszył się, tworząc kupkę pyłu u stóp Raoneta.

– Na... – zaczął starzec i nagle gwałtownie zasłonił usta dłonią. Mendeln był przekonany, że Raonet zamierzał wezwać imienia Trójcy... ale był to tylko odruch, bowiem lord Raonet w żadnym razie nie emanował ciemnością, tak charakterystyczną dla prawdziwych wyznawców Świątyni. Był niewinnym głupcem, jak i pozostali.

– Wybacz – powtórzył Uldyzjan raz jeszcze. Odwrócił się do swych ludzi i choć jego spojrzenie obejmowało całą grupę, to Mendeln nie miał najmniejszych wątpliwości, że ten, który rzucił kamieniem, teraz czuł wzrok Uldyzjana skupiony wyłącznie na sobie. – Niech to się już nigdy nie powtórzy. Nie po to obdarowałem was mocą! Aby walczyć o prawdę? Tak! O nasze prawo dążenia do tego, co nam przeznaczone? Tak! Ale nie po to, by mordować i siać zamęt... nie bylibyśmy lepsi niż Trójca.

Odwrócił się do Starszego Rady, który dopiero teraz oderwał wzrok od usypanego u swych stóp pyłu. Trzeba mu było oddać, że choć przeraziła go myśl o rychłej śmierci, teraz ponownie wypełniała go determinacja, by bronić swojego miasta i swojego ludu.

– Odchodzimy z Toradzy, panie – powiedział Uldyzjan, zanim starzec zdążył się odezwać. – Resztę nocy spędzimy w obozie poza murami. Jutro już nas tu nie będzie. Przybyłem do tego miasta, by uczynić coś dobrego, ale owo dobro zostało zbrukane czymś, co i ty, i ja uważamy za wstrętne. Nie tego chciałem... nigdy nie chciałem.

Starszy Rady skinął lekko głową.

– Nie mam nad tobą władzy, asceńczyku. Za to, że odejdziesz z Toradzy, nie czyniąc większych szkód niż te, które stały się tej nocy... będę dziękował gwiazdom. Żaden z żołnierzy nie podniesie na ciebie broni, ani

na tych, którzy zechcą podążyć za tobą, albo będzie miał ze mną do czynienia. Nie zamierzam przelać już ani kropli krwi.

– Jeszcze jedno, lordzie Raonecie... – Stary spojrział na Uldyzjana z obawą. – Świątynia Trójcy zniknęła z miasta. Jeśli odrodzi się w Toradży, jak to bywa z chwastami, powrócę tu.

Raz jeszcze Raonet zacisnął usta.

– Jeśli to zło, tak jak mówiłeś, osobiście wyplenię je z miasta.

Ta obietnica najwyraźniej usatysfakcjonowała Uldyzjana. Nie spojrzawszy nawet na swych popleczników, ruszył w stronę starca, a oni w ciszy podążyli za swym przywódcą. Tłum rozstał się przed nimi niezwłocznie i setki oczu odprowadzały spojrzeniami pełnymi najrozmaitszych emocji swych sąsiadów, przyjaciół i krewniaków, którzy szli za Uldyzjanem. Ci z kolei patrzyli na mieszkańców miasta z uczuciami równie intensywnymi, choć była z nich głównie determinacja tak charakterystyczna dla neofitów. Nikt nie zdołałby ich przekonać, że źle wybrali.

Starszy Rady raz jeszcze skłonił głowę przed Uldyzjanem, a ten odpowiedział mu tym samym. Żaden się nie odezwał, nie było takiej potrzeby. Mendeln ukradkiem przyglądał się przywódcy toradżan. Raonet sam w sobie był interesującym człowiekiem, wokół niego tłoczyły się duchy, ale czy byli to zmarli krewni, czy wrogowie, nie sposób było powiedzieć. Ich liczba natomiast świadczyła jednoznacznie o silnej osobowości Starszego Rady. Gdyby ten zdecydował się wzorem niektórych swych podwładnych przyjąć dar Uldyzjana, wkrótce zaliczałby się do najznamienszych uczniów syna Diomedesa.

„I być może dlatego to dobrze, że go nie przyjął” – pomyślał Mendeln. Raonet był urodzonym przywódcą, mógłby mieć problem z podążaniem za kimś innym.

Tłum nadal rozstępował się przed grupą Uldyzjana. Nawet żołnierze czynili to z różnymi minami. Niektórzy cofali się z nieufnością

wymalowaną na twarzach, inni – z ciekawością.

„Urośniemy w siłę – myślał Mendeln. – Przybędzie nas wielu, zanim jeszcze odejdziemy z tego miasta”.

Zapewne i Uldyzjan był tego świadom. I tego, że niejeden toradzanin wymknie się pod osłoną nocy do obozu za murami miasta. Mendeln nie miał najmniejszych wątpliwości, że nie tylko dziś jeszcze zastąpią każdego z poległych, to znacznie powiększą grupę wędrującą z Uldyzjanem.

– Tak wielu – mruknął.

– Tak. Tak wielu – powtórzył Uldyzjan. I w tej chwili, choć każdy z nich zmienił się ostatnimi czasy, rozumieli się bez słów. Obaj wiedzieli, co zapoczątkował Uldyzjan, i czuli, że każdy dzień przyniesie im nowych wyznawców.

Wiedzieli też, że nawet gdy dołączą do nich dziesiątki, to wciąż może być za mało... że w ostatecznej walce mogą zginąć wszyscy. Co do jednego.

CZTERY



Prorok nie miał żadnej skazy. Przynajmniej żadnej dostrzegalnej skazy. W oczach swych wyznawców wyglądał tak młodo, a jednak jego słowa przepęłniała mądrość starożytnych. Głos miał niczym muzyka. Twarz idealnie gładką. Zdawał się młodzieńcem, który dopiero co wyrósł z lat dziecięcych.

Ci, którym dane było zobaczyć go z bliska, zawsze mówili, że nigdy nie widzieli piękniejszej twarzy, jednak szczegóły opisu zależały od tego, co sami za piękne uznawali. Wszyscy jednak powtarzali, że włosy spływające na ramiona miały barwę słonecznych promieni, a oczy – srebra zmieszanego z błękitem.

Był smukły, a zarazem umięśniony niczym akrobata lub tancerz. Poruszał się z taką gracją, że nawet najpiękniejsze z kotów byłyby zawstydzone. Nosił srebrzystobiałą szatę, charakterystyczną dla kapłanów Katedry Światłości, i sandały.

Teraz stał w chwale, ukończywszy kazanie, na które przybyło ponad trzy tysiące rozpalonych wiarą pielgrzymów. Za jego plecami chór śpiewaków o zachwycającej urodzie śpiewał pieśń pochwalną. Publiczność jak zawsze trwała oczarowana. I choć Katedra Światłości miała i inne przybytki, to

właśnie do tego, wzniesionego na północy Kedżanu, zawsze napływali nowi wierni. W końcu to tu mieszkał sam Prorok.

„Muszę to zmienić – pomyślał, przyjmując hołdy wiernych – Wszyscy powinni słuchać moich nauk. Być może mój głos mógłby płynąć z kuli niesionej przez kapłanów...”

Odłożył tę myśl na później, ponieważ niewiele miała wspólnego z bieżącymi sprawami, które daleko bardziej zajmowały Proroka.

Śmiertelnik Uldyzjan ul-Diomed i hołota, która szła za nim, znowu podjęli wędrówkę.

Długie złote rogi zagrały zgodnie, gdy Prorok schodził z podwyższenia. Chór płynnie zmienił pieśń na zapowiadającą odejście Proroka. Śpiewacy pochodzili ze wszystkich kast i ras, ale śpiewali w tak pięknej i radosnej harmonii, że nie sposób było rozróżnić poszczególnych głosów.

Dwoje starszych rangą kapłanów, Gamuel i Oris, wyszło Prorokowi na spotkanie. Oris mogłaby być jego matką, tymczasem na jej twarzy malowały się pożądanie i miłość. Widział w jej rysach dawne piękno, szlachetny owal mógł kiedyś zaćmić i urodziwe twarze chórzystów, jednak Prorok nie był zainteresowany kobietą, ani gdy jej uroda rozkwitała, ani teraz. Nie przejawiał też cienia skłonności do kapłanów. Nie pociągał go Gamuel o szerokiej mocnej szczęce. Ani nikt z pięknych śpiewaków i śpiewaczek. Nie, tylko jedna istota obudziła w nim namiętność i uczucia... a teraz była dlań przeklęta.

– Zachwycające, przebogate kazanie, jak zawsze – gruchała Oris.

Mimo jej zachowania w obecności Proroka, należała do najbystrzejszych z jego sług. Poza tym nie mógł mieć jej za złe uwielbienia. Była przecież jedynie człowiekiem, podczas gdy on – czymś znacznie więcej.

– Wydaje się zbędnym powtarzanie jej opinii, ale i tym razem muszę to uczynić, o Wielki – dodał Gamuel, zginając się w niskim ukłonie.

Kiedyś był żołnierzem, nadal jego potężne barki były dwakroć tak szerokie jak ramiona Proroka, a jednak nie było wątpliwości, który z nich jest potężniejszy. Prorok wybrał Gamuela, albowiem, w sposób niezwykle odległy, śmiertelnik przypominał mu jego prawdziwe ja.

– Kazanie było dobre – zgodził się ze swymi sługami. W opinii kapłanów wszystkie jego mowy były doskonałe, ale nawet on sam musiał przyznać, że ta przewyższała nieco pozostałe. Być może miało to coś wspólnego z obecnymi wydarzeniami. Dotychczasowy stan rzeczy przestał nagle obowiązywać. Prorok czuł z tego powodu wściekłość, ale i zainteresowanie.

– Można było wyczuć zmianę nastroju, panie, gdy mówiłeś o Trójcy. – Oris skrzywiła się, wymawiając ostatnie słowo. – Pojawiły się kolejne plotki o ich kłopotach, jakich przyczyną miał być ponoć jakiś asceńczyk

– Tak. Nazywa się Uldyzjan ul-Diomed. Przysporzył niemałych trosk Świątyni Trójcy w Toradży. Zapewne niedługo usłyszymy oficjalną wersję wydarzeń.

Żadne z kapłanów nie wydawało się zaskoczone wiedzą Proroka. Wystarczająco długo mu służyli, by nauczyć się, że wiadome mu były rzeczy, jakich nawet nie mogli sobie wyobrazić. Jednak nadal kazał im zdawać sobie raporty z tego, czego się dowiedzieli. Istniała bowiem niewielka szansa, że coś mogło umknąć jego uwadze.

Gamuel potrząsnął głową.

– Bardzo blisko. Ten cały... Uldyzjan... chce rozpocząć wojnę również i z Katedrą?

– Możemy się tego spodziewać, synu.

– W takim razie powinniśmy wyruszyć przeciwko niemu...

Prorok obdarzył go spojrzeniem, jakim ojciec obdarza naiwnego, aczkolwiek kochanego syna.

– Nie, mój drogi Gamuelu, musimy ruszyć wraz z nim.

– Święty Panie?

Ale Prorok już nic nie powiedział. Odszedł od kapłanów, kierując się do swych prywatnych komnat. Nikt nie ośmielił się pójść jego śladem. Wspaniały przywódca Katedry Światłości obstawał przy tym, by żaden sługa nie wchodził do prywatnych komnat niewzywany. Nikt nie kwestionował tej zachcianki. Wszyscy byli absolutnie oczarowani i pod wrażeniem świętej obecności.

W ramach ceremoniału i dla zaspokojenia oczekiwań akolitów pod pięknie rzeźbionymi podwójnymi drzwiami stała straż. Sześciu żołnierzy ani drgnęło, gdy się zbliżył.

– Bądźcie w pokoju – powiedział. – Dzisiejszy wieczór macie wolny.

Dowódca straży opadł na jedno kolano.

– Święty Panie, nie możemy opuszczać posterunku! Twe życie...

– Czy jest ktoś, kto mógłby mi zagrozić? Czy jest ktoś, kogo ja miałbym się obawiać?

Nie mogli się z nim kłócić, albowiem z tego, co było im wiadome, Prorok władał niewyobrażalną mocą. Sam byłby w stanie obronić się dużo lepiej niż z ich pomocą. Sami strażnicy mieli świadomość, że warta była tylko na pokaz, jednak ich oddanie nie pozwalało im zejść z posterunku bez sprzeciwu.

– Idźcie z moim błogosławieństwem – zachęcił ich bladolicy młodzieniec i obdarzył anielskim uśmiechem. – Idźcie, wiedząc, że jesteście w moim sercu...

Posłuchali go zarumienieni z dumy. Prorok nie czekał, aż się oddalą. Podeszedł do drzwi, które same się przed nim otworzyły, po czym zamknęły, gdy tylko przekroczył próg.

Okazała komnata urządzona była oszczędnie. Stała w niej wyściełana sofa, na której wedle swych wyznawców sypiał Prorok, o ile naprawdę wierzyli, że w ogóle sypiał. Dalej kilka marmurowych zdobionych postumentów, na których ustawiono zachwycającą kolekcję wazonów i szklanych rzeźb zebranych w całym Sanktuarium. Ze ścian zwieszały się

girlandy świeżych kwiatów, a marmurową podłogę pokrywały dywany tkane w najpiękniejsze i najbardziej skomplikowane wzory. Ściany dodatkowo zdobiły obrazy przedstawiające najpiękniejsze krainy, które stworzyli najlepsi z artystów pod dyktando złotowłosego młodzieńca.

Ale ci, którzy dostąpili rzadkiego przywileju przebywania w prywatnym sanktuarium Proroka, uważali, że najpiękniejszą częścią komnaty, najważniejszym jej elementem był sufit, w całości pokryty zapierającym dech w piersiach malowidłem. Przedstawiało ono stworzenia z legend, mityczne krainy, aż niewiarygodne, a przede wszystkim cudownie odwzorowane eteryczne istoty, wznoszące się na skrzydłach, które wyrastały im z ramion. Istoty były płci żeńskiej i męskiej, wszystkie odziane w zwiewne szaty; wszystkie tak piękne, że nie śmiałyby się z nimi równać najpiękniejsza z księżniczek. Uważny obserwator odkryłby, że istoty nie stanowiły części scenerii, a raczej ową scenerię tworzyły.

Były to anioły, przynajmniej takie, jak przedstawiali je ludzie. Prorok, mądrzejszy od każdego człowieka, widział w malowidle niezwykły talent artysty, ale i nic więcej. Zwykły śmiertelnik nie zdołałby uchwycić prawdziwej natury tych istot. Bo i jak mógłby, skoro nie były istotami do końca fizycznymi, a raczej harmonicznym rezonansem.

Zwykły człowiek nie był w stanie wyobrazić sobie prawdziwych aniołów. Ale Prorok mógł.

W końcu czyż sam nie należał do najwspanialszych z nich?

Stało się to w oślepiającym blasku światła, w czasie krótszym niż mrugnięcie. Wstrząs objął całą komnatę, jakby potężny wiatr zerwał się tam, gdzie jeszcze przed chwilą stał złotowłosy przywódca Katedry. Zniknął Prorok, który mimo całej swej doskonałości był zaledwie cieniem cudownej, prawdziwej natury zakapturzonej istoty o potężnych skrzydłach z czystego płomienia. W głębi kaptura nie było twarzy, lecz promienistość utkana z połączenia światła i dźwięku, tak zachwycająca i wspaniała, że oślepiłaby większość istot ludzkich. Srebrne sploty, które ją okalały, były

czystym światłem i dźwiękiem splecionymi na podobieństwo jedwabistych pasm. Istota odziana była w napierśnik, wykuty jakby ze lśniącej niespotykanej miedzi, i szatę, która zdawała się utkana ze słonecznych promieni. W oczach śmiertelników Prorok w swej prawdziwej postaci zyskałby miano boskiego wojownika i – w rzeczy samej – walczył w niejednej krwawej bitwie przeciwko demonom Płonących Piekieł.

Po prawdzie było tych bitew tak wiele, że anioł Inarius nie chciał już dłużej walczyć w odwiecznej wojnie między Królestwem Niebios a ich potwornym przeciwnikiem, i postanowił znaleźć sobie miejsce jak najdalej od nieustających zmagania. Zebrał więc tych, którzy myśleli podobnie, zmęczonych zwycięstwami i porażkami, przychodzącymi chwilę później.

„Szukałem pokoju, a zyskałem jedynie iluzję – pomyślał z goryczą. Znalazłem swoje sanktuarium i tak je nazwałem, jednakże...”

Popełnił błąd na długo przed stworzeniem Sanktuarium, gdy usłuchał błagania demonów, jak on zmęczonych walką, jak on obojętnych na to, która ze stron odniesie ostateczne zwycięstwo. A potem ów błąd jeszcze pogłębił, gdy dał się uwieść ich przywódczyni, zachwycony tym, że każda jej myśl była odzwierciedleniem jego własnych. To, że połączyli się we dwoje, że za ich przykładem poszli i inni, spowodowało, że Sanktuarium przestało być jedynie schronieniem, a stało się koniecznością.

To przez nią... Przez nią stało się to wszystko...

„Gdybym tylko cię nigdy nie spotkał, Lilith... Gdybym nigdy cię nie ujrzał i nie dotknął...”

Ale tak się stało i cały jego żal był niczym więcej jak żalem. Nawet on nie potrafił cofnąć czasu ani zmienić przeszłości. Ucieczka z Królestwa Niebios i Płonących Piekieł. Poszukiwania miejsca, gdzie mogliby żyć renegaci, stworzenie Sanktuarium... każde z tych wydarzeń stało się częścią niezmienną historii.

Tak samo jak zdrada Lilith.

Inarius machnął dłonią i ognista linia rozszczepiła sufit na dwoje. Komnatą ponownie wstrząsnęło.

Bez chwili wahania anioł wzleciał w niebo przez szczelinę w malowidle.

Nie obawiał się, że ktoś go zauważy. Śmiertelnicy nie dostrzegali jego obecności, a moc, jaką władał, pozwoliła mu ukryć się przed innymi istotami, które zdolne były zobaczyć niebiańską istotę. Inarius przestał się nawet obawiać, że mieszkańcy Królestwa Niebios zdołają jakoś wyczuć jego bądź też istnienie Sanktuarium. Był przekonany, że jego moc jest na tyle silna, by utrzymać w nieświadomości nawet Radę Angiris, szczególnie że ich uwagę zaprzętała niekończąca się wojna z demonami.

I tak, po raz pierwszy od stuleci, Inarius wzbił się wysoko w powietrze. Rozpostarł szeroko skrzydła i zatonął w uczuciu absolutnej wolności. Niepotrzebnie tyle czasu sobie tego odmawiał. Nie, nie ze strachu. Nie, Inarius zdał sobie sprawę, że zdrada Lilith głęboko go zraniła, głębiej nawet niż rzeź pozostałych aniołów i demonów. Jej zdrada była powodem ukrycia się za maską śmiertelnika, Proroka i innych.

„Nigdy więcej... Nigdy więcej... Gdy tylko to dobiegnie końca, zobaczą mnie w pełni mej chwały, tak jak być powinno...” W końcu gdyby nie on, nawet by nie istnieli. Jego prawem, jego obowiązkiem było dopilnować, by Sanktuarium stało się tym, czym stać się miało. Lilith zostanie ukarana, demony wygnane, a kłopotliwy śmiertelnik – jedynie bladym wspomnieniem. Sanktuarium będzie takie, jakie je sobie wyobraził... Albo je zniszczy i zacznie wszystko od nowa.

Anioł skręcił gwałtownie, wzbił się ponad gigantyczny budynek świątyni i nad miasto. Kedżan był tak rozległy, że sam w sobie mógłby uchodzić za krainę. Niektórzy twierdzili, że okoliczne ziemie zyskały swą nazwę od miasta, a nie odwrotnie. Tak przyziemne kwestie nie zaprzętały Inarius, ale światła miasta uznał za interesujące w jakimś prymitywnym sensie. W pewien odległy sposób przypominały mu blask Królestwa Niebios, w którym światło nie gasło nigdy.

„Przemienień Sanktuarium, gdy tylko ów incydent się zakończy – przysiągł. – Stworzę własne Królestwo Niebios, na które to pierwsze będzie spoglądać z zawiścią”.

Będzie to wymagało niemałych poświęceń, szczególnie ze strony jego śmiertelników, ale stanie się, niewątpliwie. Zbyt długo już cierpiał w nędzy, w milczeniu, podczas gdy powinien wieść życie bardziej stosowne do swojej pozycji, należnych mu praw. Stworzy raj wolny od wszelkich żałosnych wojen...

Nagle doznał uczucia tak znajomego, a przy tym tak intensywnego, że zboczył z obranego kursu. Natychmiast skorygował swój błąd.

W pierwszej chwili pomyślał, że to ona, ale znał już jej obecność. Nie, to było coś innego. Inarius poczuł coś, co dla człowieka byłoby zapewne mocnym uderzeniem serca. Najpierw Lilith... a teraz ten, który kiedyś był aniołowi niemal równie bliski.

Zachwycający kształt zawisł nad budynkiem Katedry. Anioł przez chwilę obserwował pogrążoną w ciemności ziemię. Niczego nie odkrył. Ów krótki przebłysk był jedyną oznaką, że do Sanktuarium wkroczył ktoś jeszcze.

„Ale on jest bystry, nawet jeśli kieruje się niewłaściwymi pobudkami... Jest nie tylko jej dziełem... Ale i moim...”

Zmartwychwstanie kolejnego ze starych wspomnień niczego nie zmieni. Gdy Inarius opadł na posadzkę swej komnaty, rozszczepiony sufit zamknął się bezgłośnie. Anioł nie wątpił, że gdy czas nadejdzie, rozprawi się z tym wspomnieniem tak, jak zamierzał uczynić to ze wspomnieniem swej kochanki.

Nie miało znaczenia, że chodziło o jego syna.

Uldyzjan podniósł się z koca, na którym sypiał, by spojrzeć w dziesiątki obcych twarzy wzniesionych ku niemu lękliwie.

– Nie mogłam utrzymać ich z dala od ciebie – przeprosiła Serentia, stając u jego boku. Ciemne włosy miała związane z tyłu, a jej ruchy

bardziej pasowały żołnierzowi niż kupieckiej córce. Mimo że coraz lepiej radziła sobie z mocą, nadal ścisnęła w dłoni drzewce włóczni.

– W porządku, Serri – odpowiedział odruchowo i dopiero wtedy uświadomił sobie, że znów użył jej dziecięcego przezwiska.

Twarz jej się ściągnęła i w kącikach oczu pojawiła się wilgoć, choć Serentia nadal twardo patrzyła przed siebie. Tylko trzy osoby tak ją nazywały, dwie z nich już nie żyły, w tym Achilios.

Uldyzjan wolał się nie poprawiać, bo to tylko pogorszyłyby sytuację – zamiast tego skupił się na nowo przybyłych. Jak przewidział, pochodzili ze wszystkich kast, byli w różnym wieku, dostrzegł nawet niejedno dziecko. Obecność maluchów niepokoiła Uldyzjana tak jak i wcześniej, gdy partanie przyprowadzili swoje potomstwo. Ich wędrówka nie była bezpieczna, już kilkoro z nich straciło życie, a śmierć każdego dziecka była prawdziwym ciosem dla Uldyzjana. Jednak mimo jego sprzeciwów i tak szły za nim całe rodziny.

„Powiniennem być w stanie ich chronić – pomyślał gorzko. – Dla kogo robię to wszystko, jeśli nie dla dzieci właśnie?”

Nigdy nie zastanawiał się głębiej nad tym pytaniem, bo odpowiedź zawsze znajdowała się na wyciągnięcie ręki. Robił to dla tych, którzy postanowili podążać jego śladem, to prawda, ale też ponieważ pragnął zemsty. Nie było sensu zaprzeczać.

I dlatego coraz ciężiej przychodziło mu patrzeć na twarzyczki kolejnych dzieci.

Uldyzjan wyprostował się, przyjął bukłak z wodą z rąk Serentii. Upił kilka łyków, a resztę chłodnej wody wylał sobie na głowę, żeby się całkiem obudzić. Nie dbał o to, co pomyślą sobie nowo przybyli, jeśli taki drobiazg był w stanie zrazić ich do niego, nie byli gotowi.

Nikt jednak nie odchodził. Stali, czekając cierpliwie. Nie pozwolił sobie na zmarszczenie brwi. W duchu liczył na to, że choć kilku rodziców

zabierze stąd pociechy. Umniejszyliby nieco przygniatające go poczucie winy.

– Przyszliście do mnie z tego samego powodu, mam nadzieję – powiedział. – Wiecie, co oznacza dar...

Kilku nowych pokiwało potakująco głowami. Uldyzjan oceniał, że przybyło ich około setki, niemal całkowicie wypełnili polankę, gdzie nocował. Ci, którzy byli przy nim wcześniej, stali teraz między drzewami, obserwując swego przywódcę z nadzieją i niepokojem zarazem. Każdy nowo nawrócony był dla nich kolejnym cudem.

Nie widział powodu, by marnować czas na przemowy. Obiecał Starszemu Rady, że zabierze swych uczniów daleko od Toradzy, a zwykł dotrzymywać słowa.

Wyciągnął dłoń ku najbliższej osobie, starszej kobiecie z kolorowym szalem na głowie. Uldyzjan wyczuł jej ciekawość i strach zarazem, i zrozumiał, że przyszła tu sama.

– Proszę – mruknął, wspominając swą dawno zmarłą matkę. – Proszę, chodź do mnie.

Nie zawahała się, co tylko dobrze o niej świadczyło. Była chuda, ale w twarzy o ostrych rysach płonęły piękne, brązowe oczy i Uldyzjan podejrzewał, że swego czasu była niezwykle pociągająca.

Nikt nie kwestionował obecności staruszki. Gdy chodziło o dar, wiek zdawał się nie mieć znaczenia, jeśli nie liczyć dzieci poniżej dziesiątego roku życia, u nich bowiem moc budziła się o wiele wolniej. Niewątpliwie było to naturalne zabezpieczenie, żeby nikomu nie zrobiły krzywdy, zanim nie nauczą się panować nad umiejętnościami.

– Jak ci na imię? – zapytał Uldyzjan staruszki.

– Mahariti – odpowiedziała śmiało mocnym głosem. Zapewne nie chciała uchodzić w oczach obecnych za staruchę, zbyt zgrzybiałą, żeby otrzymać dar.

Uldyzjan skinął aprobowująco głową.

– Mahariti... otwórz przede mną swój umysł, swoje serce. Zamknij oczy, jeśli taka twoja wola...

Nie zamknęła, tak jak się tego spodziewał. Coraz wyżej ją oceniał.

Coś zabręczało dziwnie w powietrzu.

Uldyzjan miał tyle czasu na reakcję, ile zajmuje oddech. Popatrzył w górę.

Chwilę później trzy wirujące przedmioty spadły nań i rozbiły się o niewidzialną barierę. Potoczyły się po ziemi. Łukowate kawałki metalu z drobnymi ząbkami połyskującymi na krawędziach. Gdyby sięgnęły Uldyzjana, bez wątplenia zginąłby w mgnieniu oka... zdekapitowany.

Z grupy czekających wyskoczyło dwóch mężczyzn. W pierwszej chwili wyglądali doskonale przeciętnie, ale gdy ruszyli na Uldyzjana, zmienili się w dwóch Strażników Pokoju.

Pierwszy nie wiadomo skąd wyciągnął krótką pikę i cisnął nią w Uldyzjana. Grot broni miał dziwną czerwoną barwę. Drugi Strażnik rzucił kolejne zębate łuki.

Zanim Uldyzjan zdążył zareagować, wirujący metal zawrócił w stronę swego właściciela. Trafił go prosto w pierś i w mgnieniu oka przegryzł się przez metal napierśnika, potem przez ubranie, ciało i kości pod nim. Sługa Świątyni wywrócił się między toradzan, którzy odskoczyli na boki, unikając dotyku zalanego krwią ciała.

Uldyzjan skupił się na pice, ale nie udało mu się jej zatrzymać, jedynie spowolnić. Czerwony grot musiał być demonicznego pochodzenia. Serentia skoczyła i używając swej włóczni, zbiła broń wroga z kursu.

Zanim Strażnik Pokoju zdołał zaatakować ponownie, pochwyciło go kilku z toradzan. Stęknął i zaraz krzyknął straszliwie, gdy poczęli rozrywać go na strzępy.

Tego Uldyzjan nie chciał.

To nie była bitwa, lecz rzeźnia.

– Stać!

Korzystając ze swej mocy, odsunął tych, którzy trzymali Strażnika Pokoju. Sługa Świątyni na próżno próbował odzyskać panowanie nad członkami. Stał wychylony pod takim kątem, że zapewne upadłby na plecy, gdyby nie moc Uldyzjana. Każdy mięsień wojownika stężał, gdy Uldyzjan się nad nim pochylał. Syn Diomedesa zauważył, że drgające palce wroga usiłują pochwycić sztylet.

– Mogę pozwolić ci dobyć tego ostrza – powiedział Uldyzjan spokojnie.
– Ale to nic ci nie da.

Jednak tamten ani na moment nie przestał walczyć, by uwolnić nóż z pochwy. Uldyzjan westchnął tylko, ustawił Strażnika do pionu i pozwolił mu ruszyć ręką.

Sługa Świątyni błyskawicznie wyszarpnął sztylet, uniósł ostrze i, ku zdumieniu Uldyzjana, poderznął sobie gardło.

Uldyzjan patrzył ogłupiały. Pozwolił, by krwawiący Strażnik zwałił się na ziemię. Tłum zaszumiał. Ludzie byli pewni, że wszystko to stało się za sprawą ich przywódcy, który ukarał wroga i ukazał mu zarazem swą wyższość.

Uldyzjan tylko patrzył na Strażnika, starając się jakoś ukryć zdumienie. Tamten zacharczał bełkotliwie, jego ciało drgnęło silnie i znieruchomiało ostatecznie.

„Cały czas jedyne, czego chciałem, to się zabić!” – myślał syn Diomedesa. Zawiódł i nie wiedział, co innego jeszcze mógłby uczynić...

Ten fanatyzm wprowadził go w osłupienie. Być może wojownik był przekonany, że czeka go los gorszy niż śmierć, ale Uldyzjan nie bardzo w to wierzył. Prawdę powiedziawszy, zastanawiał się nawet, jak darować Strażnikowi życie. Wystarczająco wielu poległo tej nocy, a teraz, zanim na dobre wstał dzień, znów poleła się krew. Miał już tego dość.

Sam wybrałeś tę drogę, przypomniał sobie.

– Mistrzu Uldyzjanie! Mistrzu!

Uldyzjan odwrócił się w stronę Romusa, wdzięczny, że tamten przerwał te niewesołe rozmyślania. Tymczasem partanin wskazywał na dwóch swych ziomków wlokących bezwładne ciało.

Trzeci ze Strażników.

Dopiero teraz Uldyzjan uświadomił sobie, że pierwszy atak rzeczywiście nastąpił z większej odległości.

– Znaleźliśmy go wśród drzew – wyjaśnił Romus, pocierając łysinę.

Gdy partanie cisnęli ciało na ziemię, od razu stało się jasne, co zabiło Strażnika. Strzała w podstawie czaszki. Ktoś wolał zaufać swym umiejętnościom łuczника niż nowo uzyskanej mocy.

Kolejna śmierć, choć tej nie można było uniknąć. Strażnik sam to sprowadził na siebie.

– Dobra robota, Romusie.

– To nie ja, mistrzu.

Dwóch jego towarzyszy też kręciło przecząco głowami. Uldyzjan zastanowił się przez chwilę.

– Któż więc?

Ale nikt się nie przyznał.

Uldyzjan zmarszczył brwi i ukląkł przy ciele. Tę strzałę musiał posłać doskonały łucznik. Niewielki błąd i grot minąłby cel albo odbił się od zbroi.

Na strzale widać było ślady jakiejś ciemnej substancji. Uldyzjan zebrał ją palcami.

To była ziemia... wilgotna ziemia, jakby strzała była wcześniej pogrzebana.

PIĘĆ



Czuł zimno. Nawet w gorącej dżungli było mu zimno. Prawdę powiedziawszy, ciepło było mu tylko wtedy, gdy był blisko nich... czy może raczej jej. „Tak – pomyślał – zapewne chodzi o nią. O kogóż innego mogłoby?”

Zaryzykował, podejmując działania, ale gdyby tego nie uczynił, Strażnik Pokoju zdołałby uciec. Jego zamglony umysł nie potrafił znaleźć odpowiedzi na pytanie, czy miało to jakieś większe znaczenie, ale na wszelki wypadek postanowił nie ryzykować. Strzała w kark załatwiła wszystko.

Ale teraz musiał oddalić się od pozostałych i to jak najszybciej. Nikt nie mógł go zobaczyć. Uznaliby go za zagrożenie... a on sam nie był pewien, czy to błąd, czy jednak miałiby rację.

Zarzucił łuk na ramię i zniknął w gęstwinie. Tu i ówdzie musiał oprzeć się o pień drzewa. W miejscach, gdzie spoczęła jego dłoń, zostawał ślad ziemi. Miękkiej, wilgotnej ziemi. Bez względu na to, jak często starał się otrzepywać dłonie, ziemia nieustannie je oblepiała.

Znieruchomiał nagle świadom, że nie jest już sam. Coś wielkiego, aczkolwiek gibkiego przemykało między drzewami. Jego śladem – choć był pewien, że porusza się bezszelestnie. Sięgnął po łuk.

Dziki kot o kłach długich jak szable wyskoczył z krzaków. Warknął, odsłaniając zęby.

Ale niemal w tej samej chwili warkot zmienił się w syk i bestia cofnęła się gwałtownie.

Opuścił łuk. Powinien wiedzieć, że nic mu nie grozi. Jak wszystkie zwierzęta i to natychmiast wyczuło, kim był.

Przepełniony obrzydzeniem do samego siebie, ale i chęcią, by zakończyć to nieoczekiwane spotkanie, postąpił do przodu. Bestia cofnęła się natychmiast, prychając ze wstrętem.

– Nie... mam... czasu... dla ciebie.

Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział od wielu dni, i ich chrapliwy dźwięk wzbudził w nim taką samą odrazę jak w zwierzęciu, które błyskawicznie zawróciło i podwinąwszy ogon, uciekło w krzaki.

Łucznik stał jeszcze przez chwilę, rozważając reakcję bestii. Potwierdziły się jego podejrzenia. Dokładnie tak zareagowałyby na jego widok ludzie.

Ale musiał trzymać się blisko. Nie dlatego, że chciał, ale dlatego, że coś go do tego zmuszało. Nawet teraz narastała w nim potrzeba, by zawrócić. Nie zdoła się już za bardzo oddalić, zanim ta potrzeba stanie się nie do zniesienia. Mógłby nawet policzyć, ile kroków mu zostało, a jednak wiedział, że zawsze będzie starał się zrobić jeszcze jeden. Upór skłaniał go, by przynajmniej w taki sposób zaznaczył swą niezależność.

Kot zniknął już dawno. Łucznik odsunął szeroki liść sprzed twarzy i ruszył za ludźmi.

Na zielonej powierzchni liścia zostały smugi ziemi.

Słońce wspięło się już wysoko, zanim Uldyzjan uporał się z nowo przybyłymi, ale mimo swej obietnicy złożonej Starszemu Rady syn Diomedesa nie chciał wyruszyć, póki wszyscy nie zrozumieją, co tak naprawdę w nich obudził.

„Edyrem”. Znaczyło „ci, którzy zobaczyli”. Uldyzjan uważał, że to idealny opis jego i mu podobnych. Użył go tego ranka i przekonał się, jak łatwo spływa z warg. I już podchwycili je inni.

Zostawili Toradzę za sobą, gdy tylko Uldyzjan skończył. Słońce stało wysoko, ale i tak wydawało się, że dzień ma się ku końcowi. Liście drzew były tak gęste, że do niższych partii lasu docierało niewiele światła. Jednak Uldyzjan i jego ludzie nie narzekali za bardzo na konieczność wędrowania w półmroku, bowiem upał i tak był przytłaczający, nawet gdy nie smażyły ich promienie słońca. Żar mniej dokuczał toradżanom, ale przybysze z wyżyn zalewali się potem. Poza Mendelnem oczywiście. Młodszy z synów Diomedesa zadawał się czuć w dżungli lepiej nawet niż tubylcy, podczas gdy odziany w czerń od stóp do głów powinien gotować się z gorąca. Tymczasem na jego czole nie pojawiła się nawet kropla potu.

Uldyzjan przeniósł spojrzenie z brata na Serentię. Dziewczynie wyraźnie dokuczał upał, aczkolwiek pociła się mniej obficie niż Uldyzjan. Przyglądał się jej teraz uważnie i chyba po raz pierwszy dotarło do niego, jak piękną kobietą się stała. I myśl ta niewiele miała wspólnego z braterskimi czy też przyjacielskimi uczuciami, jakimi dotąd darzył Serentię. Zazdrościł Achiliosowi miejsca w jej sercu. Miejsca, które przecież sam kiedyś zajmował i którego wtedy wcale nie chciał. Jednak natychmiast stłumił wszelkie myśli o tym, by zbliżyć się do Serentii. Wciąż czuł się odpowiedzialny za straszliwy los łuczника.

Serentia zatrzymała się, by napić się z bukłaka, ale gdy uniosła go do ust, wyślizgnął jej się z palców. Woda natychmiast wsiąkła w podłoże.

– Napij się z tego – Uldyzjan podał jej swój bukłak.

Serentia potrząsnęła przecząco głową.

– Zachowaj go lepiej. Dopiero co przekroczyliśmy strumień... Zawrócę. Przy okazji będę mogła też uporać się z kilkoma osobistymi sprawami.

– Ktoś powinien pójść z tobą...

– Nic mi nie będzie – uśmiechnęła się z wdzięcznością. – Pewnie przez cały czas będziesz widział czubek mojej głowy.

To nie do końca zadowoliło Uldyzjana, ale wiedział, że lepiej się z nią nie kłócić.

– Poczekam tutaj na ciebie. – Dał innym sygnał, by szli dalej. – Nigdzie się nie ruszę.

Serentia uśmiechnęła się raz jeszcze. Uldyzjan zaś odkrył, że lubi patrzeć na jej uśmiech.

Odbiegła w kierunku strumienia. Kilka osób zaproponowało Uldyzjanowi, że poczeka wraz z nim, ale odmówił uprzejmie. Mimo gęstego poszycia, głębokich cieni rzucanych przez liście, Uldyzjan starał się nie spuszczać z dziewczyny wzroku. Tak jak powiedziała Serentia, strumień był niedaleko, chwilę wcześniej inni uzupełniali swoje zapasy wody. Właściwie nie było powodu, żeby martwić się o dziewczynę...

Z drugiej strony już kilkakrotnie zrobił podobne założenie i szybko przekonał się, że straszliwie się mylił.

Serentia pochyliła się i zniknęła Uldyzjanowi z oczu. Wstrzymał oddech... i wypuścił powietrze, gdy zobaczył ją ponownie.

Zerknęła przez ramię i gestem nakazała Uldyzjanowi, by się odwrócił. I choć nie przestał się martwić, to w końcu jej usłuchał.

Liście zaszeleściły i zapadła cisza. Uldyzjanowi przyszło do głowy skorzystać z mocy, by sprawdzić, gdzie podziała się dziewczyna, ale obawiał się, że Serentia szybko by się zorientowała.

Z miejsca, w którym zniknęła, dobiegł jakiś stłumiony dźwięk. Uldyzjan zerknął w tamtą stronę. Odetchnął z ulgą, gdy zobaczył ciemnowłosą główkę. Kilka sekund później dziewczyna stanęła u jego boku.

– Niepokoiłem się... przez moment – przyznał.

Ku jego zdumieniu, jej oczy pojaśniały na te słowa. Dotknęła dłonią jego policzka i uśmiechnęła się niemalże nieśmiało.

– To miłe – mruknęła niewyraźnie po chwili.

I zostawiła go, odchodząc pospiesznie z twarzą pokrytą rumieńcem. Uldyzjan zastanawiał się, co to mogło znaczyć, o ile w ogóle miało jakieś znaczenie. Po czym, odegnavszy te niebezpieczne myśli, ruszył za resztą swojej grupy.

Nie zmierzali do Kedżanu, jak sądzili niektórzy z nich, ale dalej na południe, tam gdzie leżała główna świątynia. Uldyzjan nie zdecydowałby się sam, by tam się skierować, ale Lilith nie zostawiła mu wielkiego wyboru. A jeśli chciała, żeby zniszczył Świątynię Trójcy, jeśli nie było to jej kolejne kłamstwo, czuł w głębi duszy, że ruszenie na ich najważniejszą siedzibę znacznie przekraczałoby oczekiwania demona. Uldyzjan miał nadzieję wytrącić ją w ten sposób z równowagi.

Niestety podejrzewał też, że wciąż mógł być pionkiem w jej rękach. Jego armia „przebudzonych” zatrzymała się nad rzeką, która, wedle toradżan, płynęła przez południowe ziemie znajdujące się we władzy Trójcy. Uldyzjan uznał, że rzeka będzie mu doskonałym przewodnikiem. Romus z pomocą kilku innych znalazł miejsce na nocleg i nefałem zaczął szykować się do nocy.

Wspomniawszy rzeczne gady, które Achilios złapał w trakcie ich wędrówki, Uldyzjan upewnił się, że jego ludzie nocują w stosownej odległości od wody. Zakazał też wszystkim oddalać się w pojedynkę. Ci zaś, którzy w niewielkich grupkach schodzili nad rzekę, mieli najpierw poinformować o tym pozostałych.

– Powinniśmy nie bać się niczego – zwrócił się do Mendelna. Siedział z bratem przy jednym z wielu niewielkich ognisk. – To powinna oznaczać dla nas moc, koniec strachu. A spójrz tylko na nas...

– Szybko się uczą, Uldyzjanie. Nie zauważyłeś, że im więcej ludzi do ciebie przychodzi, im więcej masz uczniów, tym szybciej rozwijają się ich umiejętności?

– Muszą! Prowadzę ich na wojnę z demonami i magią, i kto wie, czym jeszcze! – Schował twarz w dłoniach. – Będą do tego przygotowani,

Mendelnie? Widziałeś, co stało się w Toradży...

– Lekcja, jaką odebraliśmy w Toradży, zostanie na zawsze wypalona w naszych wspomnieniach. Następnym razem będzie inaczej.

Uldyzjan podniósł głowę i popatrzył na brata spod przymrużonych powiek.

– Następny raz. Jak toradżanie nazywają to miasto?

– Haszir. Jest mniejsze niż Toradża.

– A jednak wątpię, że pójdzie nam łatwiej.

– Co będzie, to będzie – Mendeln wzruszył ramionami, po czym wstał, klepnął starszego brata w ramię i odszedł.

Uldyzjan siedział, wpatrując się w płomienie, myśląc o tych, których pochłonęły świątynie w Toradży. Czy to się powtórzy w kolejnym mieście? Ilu zginie tym razem? Był taki zdeterminowany po tym, jak zwyciężył Luciona, ale Toradża odebrała mu znaczną część tego zdecydowania i determinacji. Nikomu się do tego nie przyznał, nawet Mendelnowi.

– Nie powinieneś się tak zamartwiać, Uldyzjanie. Ani to dobre dla ciebie, ani dla tych, którzy idą za tobą.

Serentia zjawiała się w kręgu światła z ogniska niczym duch nocy. Rozpuszczone włosy spływały jej na plecy, Uldyzjan dopiero teraz zauważył, jak długie i jedwabiste się stały.

– Myślałem, że śpisz – odparł.

– Śpię... – odrzuciła niesforny kosmyk na plecy i usiadła obok niego. – Nie śpiam tak wiele, jak myślą niektórzy, Uldyzjanie.

To akurat rozumiał. I jego często męczyła bezsenność, jednak zmartwiło go, że i Serentia boryka się z tym problemem.

– Powinnaś była mi powiedzieć...

W jej oczach zapłonął blask ognia.

– Tobie? Jak mogłabym niepokoić ciebie, kiedy sam masz tyle na głowie? – oparła się o niego z tymi słowy. Jej bliskość poruszyła go, ale i pogłębiła poczucie winy.

– Dla ciebie zawsze znajdę czas – usłyszał własną odpowiedź.

Pogładziła go po grzbiecie dłoni.

– Gdybym chciała komuś o czymkolwiek powiedzieć, byłbyś pierwszy, przecież wiesz. I wiesz, że ja też zawsze będę tu dla ciebie. Jak dotąd...

Pamiętał doskonale te wszystkie lata, kiedy chodziła za nim, czekając, aż zauważy dziewczynkę, która zmieniała się w kobietę. I Uldyzjan zauważył, ale w przeciwieństwie do większości mężczyzn w Seram, nie tak, jak życzyła sobie tego Serentia.

Ale teraz, w chwili najmniej dlań odpowiedniej, zauważał ją w ten sposób, którego kiedyś pragnęła.

Przysunęła się bliżej... zbyt blisko.

– Uldyzjanie...

Rozdarty między pożądaniem a lojalnością wobec poległego przyjaciela, Uldyzjan unikał wzroku dziewczyny.

I gdy umknął spojrzeniem w bok, zauważył jakiś cień w pogrążonej w ciemnościach dżungli.

Poderwał się, gwałtownie wciągając powietrze.

– Uldyzjanie! Co się dzieje?

Spojrzał na Serentię odruchowo, ale zaraz powrócił spojrzeniem ku gęstwinie. Jednak teraz widział tylko ciemne zarysy drzew i pnączy. Nic więcej. Nic, co przypominałoby kształtem człowieka. Nic, co można by wziąć za bladą twarz, okoloną blond włosami, twarz należącą do kogoś, kogo Uldyzjan uważał za zmarłego.

– Achilios... – szepnął. I mimowolnie postąpił krok w kierunku drzew.

– Co mówiłeś? – Serentia gwałtownie zastąpiła mu drogę. – Co tam zobaczyłeś?

– Nie... nic... – Nie był w stanie powiedzieć, czy zobaczył ducha, czy chodzącego trupa. Ale niewątpliwie było to jego własne poczucie winy, które przyjęło kształt wizji. Zostawili Achiliosa pogrzebanego daleko stąd...

Jakby nie czuł się dość źle, Serentia położył mu dłonie na piersi i podniosła na niego wzrok.

– Uldyzjanie...

– Późno już – przerwał jej, cofając się o krok. – Serri, powinniśmy przynajmniej spróbować odpocząć, zasnąć. – Tym razem rozmyślnie użył tego zdrobnienia w nadziei, że to położy kres temu niestosownemu nastrojowi.

– Jak sobie życzysz – odparła Serentia, zmarszczywszy brwi.

Uldyzjan spodziewał się, że powie coś jeszcze, ale dziewczyna odwróciła się i odeszła w głąb obozu. Patrzył przez chwilę, zanim nie zniknęła pomiędzy ludźmi, po czym ponownie zasiadł przy ogniu.

Wypatrywał się w gęstwinę, próbując przebić wzrokiem cienie. Niczego nie zobaczył. Zupełnie niczego, ku własnemu żalowi.

Achilios zginął... i choćby z tego powodu Uldyzjan nie mógł pozwolić, by kiedykolwiek, cokolwiek wydarzyło się między nim a Serentią.

Uczucie, że coś jest nie w porządku, wyrwało Mendelna ze snu. Nienawidził tego uczucia, bo przeważnie wiązało się z niebezpieczeństwem, które groziło im wszystkim. Rozejrzał się szybko, ale nie dostrzegł przyczyny swego niepokoju, to jednak go nie uspokoiło. Razem z bratem zbyt często mierzyli się z niebezpieczeństwem wszelkiego rodzaju. Teraz wrogowie ukrywali się, póki nie byli gotowi zaatakować.

Powoli podniósł się z posłania. W przeciwieństwie do pozostałych nie układał się na noc przy ogniu, wolał ciszę nocy niż bezpieczeństwo, jakie dawały płomienie. Kolejna rzecz, jaka zmieniła się w chłopcu, który kiedyś kurczowo trzymał się brata, gdy tylko zapadły ciemności.

Najpierw zamierzał sprawdzić, co się dzieje z Uldyzjanem. O niego zawsze troszczył się najbardziej. Cicho niczym kot ruszył między śpiącymi ludźmi, edyremami, bo chyba tak teraz powinno się ich nazywać. Zatrzymał się nad Uldyzjanem. Brat spał niespokojnie i sam. Serentii nie było nigdzie widać. Mendeln poczuł się nieco rozczarowany z tego powodu. Miał

nadzieję, że tych dwoje odnajdzie się po śmierci Achiliosa. Zasługiwali na tę odrobinę szczęścia. Oczywiście Uldyzjan nadal czuł się zbyt winny z powodu śmierci łucznika, a Serentia dawno przestała już liczyć na wzajemność starszego z synów Diomedesa.

„Czyżby cały mój niepokój brał się z czegoś tak zwyczajnego jak miłość?” – zastanawiał się Mendeln. Wszystko byłoby w takim razie o wiele prostsze.

Ale co, jeśli to jakieś bezpośrednie zagrożenie, wiszące nad głową Uldyzjana, było przyczyną niepokoju młodszego z braci? Mendeln zastanowił się nad tym raz jeszcze, wracając do swego posłania. Nie otrzymał żadnego znaku, nie miał wizji. Niczego nie słyszał. Właściwie powinien spać głęboko.

Rozejrzał się ponownie i dopiero wtedy zauważył, że nigdzie nie ma tych, którzy nieustannie towarzyszyli mu od wielu dni. Jakiś duch zawsze trzymał się w pobliżu, przyciągany samą obecnością Mendelna. Grupa opuściła Toradzę powiększona nie tylko o nowych edyremów, ale i kilkanaście duchów, w większości ludzi, którzy polegli w walce. Część z tych duchów zniknęła po drodze, ale kilka nowych dołączyło w trakcie dnia. Byli to w większości pechowi łucznicy albo podróżni, którzy padli ofiarą niebezpieczeństw czających się w gęstwinie dżungli. Wszystkie duchy zdawały się pragnąć czegoś od Mendelna, a gdy docierało do nich, że on im tego nie da, rozwiewały się ponownie.

Ale nigdy nie zniknęły wszystkie.

Zaciekawiony Mendeln skierował się ku granicy obozu. W ciemnościach widział znacznie lepiej od przeciętnego człowieka, ale jedyne, co zobaczył, to więcej cieni.

A może jednak coś poruszyło się po prawej?

– Przyjdź do mnie... – wyszeptał.

Gdy Mendeln wymówił te słowa po raz pierwszy, przyciągnęły doń duchy jeszcze bliżej. Zazwyczaj wstrzymywał się więc od przywoływania,

ale jeśli ten duch miał jakieś znaczenie dla któregokolwiek z braci, to Mendeln musiał go odszukać.

Jednak tajemniczy kształt nie zbliżył się do Mendelna, a im bardziej ten wpatrywał się w ciemność, tym mniej był pewien, że zobaczył, co zobaczył. Teraz wydało mu się, że patrzy na paproć, a może inną roślinę, z pewnością nie na człowieka...

A jednak nadal czuł ów szczególny niepokój.

Westchnął z irytacją i wszedł między drzewa. Wiedział, że ryzykuje. Wprawdzie insekty wszelkiego rodzaju, które bez ograniczeń żerowały na innych ludziach w grupie, Mendelna jakoś omijały, ale nie miał pewności, że ta zasada sprawdzi się również w przypadku większych drapieżników, których obawiali się toradżanie.

W oczach Mendelna dżungla nocą była o wiele piękniejsza niż za dnia, niczym zachwycająca, tajemnicza kobieta. Niebezpieczeństwo czające się w ciemnościach czyniło ową kobietę jedynie bardziej interesującą. Mendeln wchodził głębiej w gęstwinę i sam się sobie dziwił, że przyszło mu do głowy takie porównanie. Z pewnością przestał być już wystraszoną chłopcem.

Ów kształt, który, jak wydawało się Mendelnowi, majaczył między drzewami, był całkiem blisko. Jednak teraz Mendeln nie dostrzegł niczego, co by choć w zarysie przypominało to, co widział wcześniej. Czyżby jednak było to jedynie złudzenie? Czy może ta osoba umknęła w głąb dżungli, bo została dostrzeżona?

Poczuł dotyk dłoni na ramieniu.

Obrócił się błyskawicznie... ale nikogo nie zobaczył.

– Kim jesteś? – szepnął.

Ale dżungla pozostała cicha. Zbyt cicha. Szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że nawoływania zwierzyny za dnia były niczym wobec śpiewów, które rozpoczynały się wśród drzew po zachodzie słońca. Więcej było

w dżungli życia niż w tysiącach wiosek podobnych Seram razem wziętych. A jednak teraz Mendelna otaczała niezmacona cisza.

I nagle zaszeleściły liście po jego lewej stronie... i kształt na dwóch nogach cofnął się poza zasięg wzroku Mendelna.

– Oszczędź mi tych sztuczek i gierek! – krzyknął. – Pokaż się albo pożałujesz!

Mendeln nie wiedział właściwie, w jaki sposób miałby do tego „pożałowania” doprowadzić. Kiedy wcześniej znajdował się w niebezpieczeństwie, wypowiadał nagle słowa w starożytnym języku, których się nigdy nie uczył. Słowa te zawierały w sobie taką moc, że za każdym razem udawało mu się wyjść cało z opresji. Teraz jednak nie miał pewności, że owe słowa ochronią go przed tym, co kryło się wśród drzew.

Tajemniczy ktoś znowu zrobił krok, tym razem w prawo. Mendeln instynktownie wypowiedział słowo i okolicę na chwilę zalał szary blask.

Jednak to, co zobaczył, było dlań całkowitym zaskoczeniem.

– Nie... – wycharczał, niezdolny zaakceptować tego, co odsłoniło przed nim światło. – Nie...

To musiało być złudzenie... jakaś sztuczka, Mendeln był tego pewien. Tak, to miało sens – utwierdził się w przekonaniu. I tylko jedna istota mogła uczynić coś tak ohydneho.

– Lilith...

A on był tu sam, zadufany głupiec, który wierzył, że ma jakieś wielkie umiejętności. Demoniczna kusicielka jak nic szykowała się do zadania śmiertelnego ciosu. Jak to się stanie? Mendeln skona w jakiś straszliwy sposób, a jego agonia będzie trwać w nieskończoność?

Sama śmierć, co dziwne, wcale go nie niepokoiła. Mendeln nie chciał jedynie umierać w cierpieniu.

Nie okaże strachu. Jeśli tylko zdoła, umierając, ostrzec Uldyzjana, to już będzie jakieś niewielkie zwycięstwo.

– Dobrze, Lilith. Dostałaś mnie. Chodź tu i zrób swoje.

Słowa formowały się w jego ustach. Poczuł słabe drgnienie nadziei. Wiedział, że słowa mocy dadzą mu przynajmniej szansę, by odwlec nieuniknione.

Coś bzyknęło mu obok ucha. Rozległo się karykaturalne zwierzęce wycie, a potem głucho stuknięcie, jakby coś zderzyło się z jednym z pni.

Mendeln spojrział w kierunku, z którego dobiegł go ów wynaturzony dźwięk, i zobaczył złowieszczy kształt na tle potężnego pnia. Kształt ten trwał nieruchomo, więc Mendeln odważył się doń zbliżyć.

To był morlu... morlu przyszpilony do drzewa strzałą w miejscu, gdzie między hełmem a napierśnikiem był może cal przerwy. Mendeln wyciągnął dłoń ku strzale, patrząc na brzechwę z przerażeniem.

Morlu uniósł głowę, wpatrując się w Mendelna czarnymi dziurami, i próbował pochwycić człowieka.

Słowa, te same, których użył przeciwko piekielnym wojownikom w domu mistrza Etona, ponownie spłynęły z warg Mendelna. Palce morlu zacisnęły się konwulsyjnie, stwór zacharczał boleśnie i zawisł nieruchomy, podtrzymywany jedynie strzałą sterczącą mu z szyi.

Bez wahania Mendeln wyciągnął dłoń ku piersi wroga. Wypowiedział kolejne słowa mocy, tym razem te wykorzystane w Parcie.

Mało kto byłby w stanie zauważyć obłoczek czarnego dymu, który uniósł się z ciała morlu i zawisł nad dłonią Mendelna. Ten przez chwilę patrzył na ów ślad zepsucia, po czym gwałtownie zamknął dłoń.

Obłoczek zniknął.

– Nikt już cię nie wskrzesi, byś czynił zło.

Bez względu na to, jaka mroczna siła podnosiła morlu z martwych, dając mu te ohydne pozory życia, nie zdoła już zmartwychwstać tego potwornego żołnierza. Mendeln upewnił się w tej kwestii.

Nadal jednak pozostał ten, który uratował młodszego z synów Diomedesa przed sługą Trójcy. Mendeln teraz dotknął strzały, z cieniem

niepokoję zauważając ślady ziemi na promieniu. Dokładnie taka strzała zabiła jednego ze Strażników Pokoju.

– To niemożliwe... on nie żyje...

„Życie jest jedynie opończę, którą wszyscy przywdziewamy, atoli ulotną...”

Myśl ta pojawiła się w głowie Mendelna, on nie miał jednak wątpliwości, że nie należała do niego. Już wcześniej czuł obecność kogoś innego w swym umyśle. Dotąd była mu przewodnikiem, ale teraz te słowa wzmogły niepokój Mendelna.

– Nie! – ryknął w ciemność. – On nie żyje! Sama myśl o tym, że mogłoby być inaczej, to zło! Jest pochowany! Byłem tam! Wybrałem miejsce! Wybrałem...

W istocie – wybrał miejsce pochówku, zaraz obok starożytnego obelisku, noszącego ślady tego samego pisma co artefakt pod Seram. Świadomość własnej naiwności niemal odebrała Mendelnowi dech. Dlaczego wybrał akurat to miejsce? Coś go do tego skłoniło, a on posłuchał bez zastanowienia.

Potrząsając głową, uczynił krok do tyłu...

I zderzył się z czymś.

Odwrócił się błyskawicznie... I spojrział prosto w bladą, pobrudzoną ziemią twarz Achiliosa.

SZEŚĆ



Astroga był demonem z ambicjami. Zasiadał po zbrojnej w szpony prawicy Diabło, największego z Najwyższych Złych, i niejednego się nauczył. Doskwierało mu to, że podlegał Lucionowi, ale Lucion był synem Mefista, więc Astroga niewiele mógł zdziałać w tej kwestii.

Jednak ostatnimi czasy Lucion zachowywał się bardzo dziwnie. Przybrawszy postać Pierwszego, arcydemon zawsze działał w określony sposób, jednak to się zmieniło od chwili, gdy wrócił ze swojej tajemniczej wyprawy. Astroga byłby gotów przysiąc, iż to nie syn Mefista zasiada na tronie Pierwszego, gdyby nie wiedział, że to całkowicie niemożliwe. Bo kto zdołałby się podszyć pod Luciona?!

Astroga poruszył się w swej sieci, splecionej wśród cieni jednej z wież głównej Świątyni Trójcy. Wybrał tę poświęconą Dialonowi, czyli duchowi przewodniemu, który w rzeczywistości był panem Astrogi, Diabło. Wokół demona pogrążonego w ponurych rozmyślaniach roiły się jego „dzieci”, złowróżbne czarne pająki wszelkich rozmiarów, niektóre równie wielkie co ludzka głowa.

Astroga był demonem wielu wcieleń, wielu kształtów. Obecnie przybrał kształt pająka i człowieka zarazem, makabryczne połączenie obu. Miał osiem kończyn, większych i mocniejszych niż jakikolwiek pająk, które

służyły mu jako ramiona bądź nogi – w zależności od potrzeb. Wszystkie zakończone były szponiastymi wyrostkami, doskonałymi, gdy przyszło do rozdzierania miękkiego mięsa i jeszcze lepsze do wsuwania kawałków tego mięsa do paszczy zbrojnej nie tylko w długie kły, ale i niezliczone igłokształtne zęby. Tors Astrogi był w ogólnym zarysie ludzki, choć znacznie szerszy w ramionach. Gdyby demon zmienił zdanie co do swego wyglądu, w każdej chwili mógł go odmienić.

Na czubku głowy miał osiem mniejszych kończyn, każda zakończona ludzką dłonią. Służyły mu do przyciągania ofiary bliżej straszliwych szczęk albo do chwytania pomniejszych szkodników, biegających po pokrytym czarnym futrem ciebie, gdy przychodziła mu ochota na małą przekąskę.

Oczy miały kształt czerwonych kul i pozbawione były źrenic. Astroga mógł spoglądać w każdym niemal kierunku, a wzrok miał bystrzejszy od ludzi i niejednego demona. Mógł jakimś sposobem zajrzeć nawet w głąb Płonących Piekieł, gdzie od czasu do czasu zdawał raport swemu panu i mistrzowi.

Astroga zwlekał ze złożeniem ostatniego raportu. Nie chciał obudzić gniewu Diabła, bo potężny demon mógł bez trudu sięgnąć ku swemu słudze i zgnieść Astrogę jak robaka. Tymczasem pajak zwlekał z raportem, bo wciąż próbował zrozumieć zmianę, jaka zaszła w Lucionie, i wynikające z niej konsekwencje. Jeśli Lucion nie był w stanie piastować stanowiska przywódcy, ktoś powinien wkroczyć i zająć jego miejsce... a to może okazać się dość trudne, jeśli wziąć pod uwagę rolę Mefista. Kolejny z Najwyższych Złych nie będzie patrzeć pobłażliwie na próbę zdetronizowania jego potomka... Chyba że rezultaty okażą się bardzo obiecujące.

I tak Astroga knuł własną intrygę. Ten człowiek, ten cały Uldyzjan, reprezentował zarazem olbrzymi potencjał, jak i równie wielkie zagrożenie dla Płonących Piekieł. Ludzie mogli stać się bronią, jakiej demony potrzebowały, by wreszcie ostatecznie zwyciężyć te świętoszkowate anioły.

Jednak skłonność do dobra, jaką niewątpliwie posiadał rodzaj ludzki, mógł go doprowadzić do przymierza z Królestwem Niebios. Przynajmniej dopóki ta świątobliwość, ta niewzruszona surowość skrzydlatych wojowników nie doprowadzi ludzi do mdłości, jak to się stało z demonami.

Astroga podniósł oderwane ramię, z którego wysysał resztki krwi. „Dzieci” pospieszyły ku resztkom zwłok młodego akolity, którego nikomu nie będzie brakowało. Lucion zawsze pozwalał Astrodze przekąsić jakiegoś niewinnego. W końcu demon musi jeść, czyż nie?

Ale gdy wysączył krew do ostatniej kropli, zdjął go nagły lęk. Demon odrzucił ramię. „Dzieci” biegły do najbardziej oddalonych kątów, choć żaden cień nie mógł osłonić ani ich, ani Astrogi przed powodem ich strachu.

Komnatę wypełniły ledwie słyszalne głosy. Szeptaly coś gorączkowo i ton tych szeptów podniósł sierść pokrywającą makabryczne ciało Astrogi. Demon czuł zawarte w nich błaganie i brak nadziei. Męka, jaką słyszał w tych głosach, była tak wielka, że nawet Astroga, który na przestrzeni wieków powodował ból i przerażenie, teraz wzdrygnął się gwałtownie.

I nagle oczy, które potrafiły spoglądać poza granice Sanktuarium, dostrzegły ogromny kształt w pół drogi między wymiarami. Najpierw popłynął ku demonowi atramentowy cień, ale gdy Astroga przyjrzał mu się lepiej, zobaczył twarze ludzkie i demoniczne o ustach rozwartych jak do krzyku. Twarze zlewały się ze sobą nieustannie i żadna właściwie nie była wyraźna. Wyglądały jak wyjęte z koszmarne go snu.

Gdy potworna wizja stała się nieco wyraźniejsza, Astroga dostrzegł kontur ognistego kształtu, wielkich pięści z czarnymi szponami i straszliwy zarys gnijącej czaszki o płonących ślepiach, które wpatrywały się w oczy Astrogi. Monstrualne, zakręcone na wzór baranich rogi wyrastały z pokrytej łuskami głowy o ciężkich brwiach. Ten kształt ustąpił miejsca szkieletowi w przerdzewiałej zbroi, który niósł w dłoniach gnijące organy pokryte wijącymi się larwami. A ten nagle zmienił się w olbrzymiego gada

o szerokim żabim pysku, w którym wił się rozszczepiony na czworo język. Paszcza wyglądała na dość szeroką, by pomieścić człowieka albo i pajaka wielkiego jak człowiek...

Obraz gada stawał się niewyraźny, mieszając się nieustannie z wizją wrzeszczących głów. I wtedy rozległ się potężny głos, a każde słowo brzmiało, jakby miało zgnieść smakowite ciało pajaka.

– Astroga... Czekałem, aż się odezwiesz, ty żaloszny robaku...

Demon-pajak poczuł budzącą się w nim nadzieję, bowiem okazany mu gniew nie płonął zbyt mocno.

– Wybacz mi... Wybacz mi mą opieszałość, Diablo, mój panie...

Mroczny kształt niemal całkowicie zniknął wśród cieni. Nawet Astroga nie pragnął oglądać swego pana w całej jego przerażającej chwale. Wiedział o kilku demonach, które postradały zmysły po takiej audiencji. Astroga był silniejszy niż inni, ale gdy raz dane mu było oglądać swego pana w całej jego postaci, przez kilka sekund za ledwie, to potem demon-pajak dygotał przez lata.

– Co się dzieje z tą kulką błota, którą nazywasz Sanktuarium? – spytał Diablo bez wstępów. Jego głos dotknął każdego nerwu w ciele pajaka, każda sylaba była jak tysiąc tortur. – Zaczynam się niecierpliwić, czekając na rezultaty działań mojego bratanka...

Na taką okazję czekał Astroga!

– Wielki i wspaniały Diablo, którego imię za ledwie przyprawia anioły o koszmary, twój sługa ze wszech miar starał się realizować twoje pragnienia, najlepiej jak to możliwe! Zaoferowałem nawet szlachetnemu Lucionowi słowo porady, ale on nie dał mi ucha! Prawda, syn Mefista musi borykać się z wieloma wyzwaniem! Tak ciężko mu wszystkim kierować, w pojedynkę układać wszelkie plany...

Chrapliwy śmiech sprawił, że Astroga zapragnął mieć uszy, by je zakryć, choć pewnie wtedy i tak śmiech ten wstrząsałby całym ciałem demona.

– Żałosny robak ma własne pomysły, jak robactwo z jego błotnej kuli powinno być przekonane, by służyć naszej sprawie? Pomysły, których mój bratanek nie zechciał wysłuchać?

– Tak... Pozostały niewypowiedziane. Trudno, by twój sługa, tak jak i ktokolwiek inny, zrozumiał, co zamierza szlachetny Lucion, i oferował mu słowo porady. Plany szlachetnego Luciona stają się chaotyczne. Zastawia pułapkę na przywódcę śmiertelnych, a potem zostawia mnie i Gulaga, który jest już tylko cuchnącą kałużą, byśmy bronili się przed mocą zarówno demonów, jak i aniołów...

– Taki potężny... – W tonie Diabło słyhać było wyraźne zainteresowanie. Zagłada jednego ze sług Baala nie miała dla Diabło najmniejszego znaczenia poza tym, że stała się dowodem na to, iż ludzie mogą rzeczywiście być użytecznymi żołnierzami.

– Twój sługa nadal walczył, Astroga obawia się tylko swego pana, ale Lucion wygnał mnie i swoje starcie z tym Uldyzjanem uczynił niewidocznym dla mych oczu!

– I śmiertelnik nadal nie jest nasz?

– Nie! Zaledwie ostatniego wieczoru, wedle rachuby Sanktuarium, zniszczył kolejną naszą świątynię! A jednak szlachetny Lucion zdaje się o to nie dbać, choć twój sługa rzadko go ostatnio widuje... Kolejne niewytłumaczalne zniknięcie! Nasze śmiertelne sługi zostały pozostawione samym sobie, nic dobrego z tego nie wyniknie, a twój sługa musi wciąż siedzieć i czekać, siedzieć i czekać, kiedy tyle można by uczynić!

Astroga spodziewał się, że Diabło coś na to powie, ale jego pan milczał. Cisza trwała i trwała, a Astroga stawał się coraz bardziej niespokojny.

I wreszcie...

– Masz coś na myśli, robaku?

– Tak, mój panie... Gdyby twój sługa mógł działać nieskrępowany również poleceniami szlachetnego Luciona.

I znowu cisza.

– Mów, mieszkańcu cieni, mów, mój Astrogo...

I z trudem kryjąc radość, Astroga dokładnie to zrobił.

Mendeln był dziwnie milczący, nawet jak na niego, co nie umknęło uwadze Uldyzjana. Starszy z braci raz po raz spoglądał na młodszego i dostrzegł, jak Mendeln wpatrywał się wprost przed siebie. Zupełnie jakby się obawiał, że gdy tylko spojrzy gdzieś w bok, może zobaczyć coś, czego zobaczyć by nie chciał.

Niestety, Uldyzjan miał zbyt wiele na głowie, by poświęcić więcej uwagi młodszemu bratu. Musiał skupić się na grożących im niebezpieczeństwach. No i jeszcze ta sprawa z Serentią.

Dziewczyna była gotowa przyjąć Uldyzjana, to akurat nie ulegało wątpliwości, a on uświadamiał sobie, że z dnia na dzień rosły w nim chęci, by poprowadzić sprawy w tym kierunku. A jednak oznaczałoby to zbrukanie pamięci jego najlepszego przyjaciela...

Z gniewnym mrugnięciem Uldyzjan starał się odpędzić te myśli. Po raz kolejny. Zbyt wiele niebezpieczeństw groziło im w krainie, którą przemierzali, żeby nie wspomnieć już o Trójcy, nie mógł być zaprzątnięty czymś innym. Nieustannie badał zmysłami drogę przed sobą, szukając ewentualnych zagrożeń. Nie raz i nie dwa siłą swego umysłu skłonił rozmaite drapieżniki do odwrotu. Posłał też kilka jadowitych węży i jednego potężnego dusiciela w głąb dżungli w rozmaitych kierunkach. To zadanie nie miało końca, w dżungli tyle kryło się niebezpieczeństw, tyle potencjalnych zagrożeń, że Uldyzjanowi wierzyć się nie chciało.

Bywało, że ich szlak skrywały ciemności, jak w nocy. Nawet Uldyzjan miał wtedy trudności z wyborem miejsc do postawienia stopy, choć widział o wiele lepiej niż inni. Musiał polegać nie tylko na własnej mocy, ale i na umiejętnościach dwóch toradzan: Tomo i starszego o pięć lat Sarona. Dwaj kuzyni zawędrowali w te strony dalej niż którykolwiek z ich ziomków. Byli niemal tak zdolnymi i doświadczonymi myśliwymi jak Achilios i zarządzali grupą odpowiedzialną za zdobywanie pożywienia.

– Uważaj, mistrzu, na postrzępione liście tyrokołu – Saron wskazał Uldyzjanowi krzew o niezliczonych czerwonych liściach. – Jedno skaleczenie wystarczy, by do krwi dostała się silna trucizna. – Dla podkreślenia swych słów starszy z kuzynów uniósł końcem włóczni najniższe gałązki krzewu. Pod nimi leżało rozkładające się truchło jakiegoś niewielkiego futrzaka. Małeńkie szkarłatne jaszczurki, które pożywiały się padliną, uciekły natychmiast pod osłonę innych liści.

– Kataka – wyjaśnił Tomo. – Są odporne na truciznę, ale ich skóra jest nią pokryta. Mogą zjadać ofiary krzaka, ale same są trujące przez to, czym się żywią.

Uldyzjan wyczuł wcześniej zagrożenie, ale odkrycie, że niebezpieczeństwo stanowił krzak, a nie jakiś drapieżnik, skłoniło go do zdwojenia dotychczasowych wysiłków. Sam pewnie zdołałby pozbyć się trucizny z ciała, ale co z tymi, których moce nie były jeszcze w pełni rozwinięte?

– Ostrzeż wszystkich przed tym krzakiem – polecił Romusowi i kilku innym. Nie pierwszy raz wydawał taki rozkaz i był doskonale świadom, że nie ostatni. Wydawało się, że wszystko w dżungli miało jakiś ukryty i często bardzo niebezpieczny aspekt.

Zmierzali w kierunku niewielkiego miasta o nazwie Haszir. W trakcie marszu wypatrywali szczególnie uważnie sług Trójcy. Uldyzjan nie miał żadnych wątpliwości, że nie skończy się na trzech zabójcach wysłanych jego śladem. Przeczucie podpowiadało mu też, że dziwaczne zachowanie Mendelna jest w jakiś sposób związane z Trójcą, ale uznał, że brat powiedziałaby mu o wszystkim, gdyby uznał, to za konieczne.

Na pewno...

– Wydajesz się głęboko zamyślony.

Uldyzjana zaskoczyła nieoczekiwana bliskość Serentii. To, że nie zauważył dziewczyny, było najlepszą oceną stanu jego umysłu.

– Muszę dbać o bezpieczeństwo nas wszystkich, a w dżungli to o wiele trudniejsze niż w naszych rodzinnych lasach.

– To prawda, z tej perspektywy Seram wydaje się takie spokojne. – Zmarszczyła brwi. – A przynajmniej kiedyś było.

Te słowa ponownie obudziły w Uldyzjanie poczucie winy.

– Serentio... Jeśli chodzi o twego ojca i to...

– Zamilcz, Uldyzjanie. Tamte wydarzenia nie były twoją winą. Ledwie byłeś świadom swej mocy, nie umiałeś jeszcze panować nad swym darem.

Jej wysiłki, by go uspokoić, nie odniosły zamierzonego skutku. Niemniej Uldyzjan skinął głową w milczącym podziękowaniu.

– Nie winię cię też za Achiliosa – dodała, zaglądając mu w oczy spojrzeniem pełnym blasku. – Achilios był człowiekiem dobrym i niezależnym. Sam dokonał wyboru. I tak jak ja nie obarczyłby cię winą.

– Serentio...

Jej dłoń delikatnie musnęła jego palce.

– Proszę, przestań się o mnie zamartwiać. Szczególnie gdy chodzi o Achiliosa. Opłakuję przyjaciela... ale chyba nie ukochanego, jak o nim swego czasu myślałam.

Uldyzjan prawie się potknął, słysząc to wyznanie.

– Co ty mówisz? Wy dwoje...

– Uldyzjanie, Achilios zawsze żywił dla mnie uczucie, ale wiesz, że ja...
– uciekła spojrzeniem w bok, policzki jej poczerwieniały. – Ja żywiłam uczucia do kogoś innego. Kiedy zrozumiałam, że nie ma nadziei... Chyba zwróciłam się do Achiliosa, szukając pocieszenia... i... mam tak ogromne poczucie winy...

Czekał na jej kolejne słowa, ale ona milczała.

– Tym razem to ty nie powinnaś czuć się winna – mruknął i wzruszył ramionami niepewny, czy to, co zamierza powiedzieć, ma jakiś sens. – Dałaś Achiliosowi szczęście. Umarł, myśląc, że twoje serce należy do niego. To już coś, prawda?

Uchwyciła mocniej jego dłoń, a Uldyzjan się nie odsunął. Po części czuł, że znowu zdradza przyjaciela, ale po części czuł też zadowolenie płynące ze słów Serentii.

Nie zdążył jednak nic powiedzieć ani uczynić, bowiem stanął przed nim Mendeln z wyrazem twarzy niewróżącym nic dobrego.

– Coś kryje się w lesie – powiedział cicho. – Czujesz to?

Okoliczności, w jakich się znajdowali, ponownie zaprzętnęły całkowicie uwagę Uldyzjana. Nie był w stanie wyczuć, czym jest owo coś kryjące się wśród drzew, ale wiedział, że jest blisko. Gestem przywołał Tomo.

– Znasz te okolice? Jest tu coś, czego szczególnie powinniśmy się obawiać?

Toradżanin zastanowił się przez chwilę.

– Jesteśmy już poza terenem, gdzie mój kuzyn i ja zwykliśmy polować, mistrzu. Ale coś mi się przypomina. Ponoć często można tu się natknąć na duchy dżungli, ale to tylko historie, które nam opowiadała babka!

– Duchy dżungli? – Te słowa wydały się szczególnie interesować Mendelna. – A dlaczego tu? Czym to miejsce różni się od innych?

– Są tu jakieś ruiny, mistrzu Mendelnie. – Podobnie jak inni toradżanie z ich grupy, Tomo zdawał się skrępowany, gdy zwracał się bezpośrednio do Mendelna. – Tak stare, że wszystkie znaki i malowidła dawno zmyły deszcze. Ot, taka ciekawostka...

– Powinniśmy je ominąć – zasugerowała Serentia. – Znajdują się z dala od rzeki, prawda, Tomo?

– O tak, pani. – Serentia traktowana była przez edyremów z niemal takim samym szacunkiem jak Uldyzjan. Tomo i kilku innych młodzików zdawało się żywić ku niej i inne uczucia. – Dwie, trzy godziny drogi przez bardzo gęsty las. A ruiny nie są warte tego czasu!

– Tak daleko? – W głosie Mendelna brzmiał cień rozczarowania.

– No... może nie tak daleko – przyznał niechętnie myśliwy. – Ale dość daleko!

O ile ruiny nie były jakoś powiązane z Trójcą – a najwyraźniej nie były – Uldyzjan nie widział powodu, by się nimi interesować.

– Ruszajmy dalej – poparł swoje słowa gestem. – Naszym celem jest Haszir i nic innego.

Kiedy podjęli marsz, Uldyzjan nadal wyczuwał coś z tamtej strony, gdzie miały się ponoć znajdować tajemnicze ruiny. Nie miał pojęcia, co to mogło być, ale wydawało się naprawdę stare i w jakiś sposób mroczne. Co ciekawsze, Uldyzjan wyczuwał też echo... furii, które przybierało na sile z każdą chwilą.

Zupełnie jakby owo coś ich zauważyło.

Uldyzjan próbował zignorować to odczucie, ale furia wzmagająca się, gromadziła z każdym jego oddechem. W końcu odciągnął na bok Serentię i Mendelna i bynajmniej nie był zaskoczony, dowiedziawszy się, że i oni to czują.

– Zwróciliśmy na siebie uwagę – zgodził się z nim brat. – Budzi się ze śmiertelnego snu...

– I co to oznacza, Mendelnie? – spytał nagłaco Uldyzjan, którego nieoczekiwanie zaniepokoiła tajemnica otaczająca młodszego brata. – Co ty właściwie wiesz na ten temat?

– Więcej niż ty, jak widać – warknął równie napastliwie tamten. – Nie chodzę wkoło ślepy na wszystko, co nie dotyczy mnie.

– Nie, ty chodzisz i gadasz do cieni, i robisz niejasne uwagi na każdy temat, widome objawy szaleństwa...

Obaj bracia popatrzyli na siebie rozszerzonymi ze zdumienia oczami, gdy uświadomili sobie ów niezwykły gniew, jaki w sobie nawzajem budzili. Uldyzjan rozejrzał się i odkrył, że wielu uczniów zatrzymało się, zaskoczonych niebotycznie tą kłótnią.

– Karmi nas swoją wściekłością – oświadczył Mendeln. – I zarazem się pożywia...

– Zabierz wszystkich tak blisko rzeki, jak to tylko możliwe – nakazał Uldyzjan Romusowi. – Wszyscy muszą panować nad swoimi myślami, a jeśli poczują gniew i go nie stłumią, będą odpowiadać przede mną!

Nie miał pewności, czy istota z ruin będzie miała wpływ na edyremów, ale wolał nie ryzykować.

– Tomo! – zawołała Serentia z rozjaśnioną twarzą. – Czy gdzieś tu jest bród? Chyba ktoś wspominał przejście przez rzekę?

– Nic nie wiem na ten temat, pani. – Toradżanin zmarszczył brwi w namyśle. – Ale może być...

– Jestem pewna, że dobrze zapamiętałam! – popatrzyła na Uldyzjana. – Im szybciej je odnajdziemy, tym lepiej!

Ta sugestia ucieszyła Uldyzjana. Bród byłby ich bramą do bezpieczeństwa. Intensywność furii starożytnej istoty wciąż przybierała na sile. Zaczynał się nawet obawiać, że po drugiej stronie rzeki mogliby nie być tak do końca bezpieczni.

Jednak w tej chwili nie miał zbyt wielkiego wyboru, jeśli chciał chronić swych ludzi. Gestem nakazał im ruszać, a sam popatrzył w stronę ruin i zła, które się w nich kryło. Skupiony, nie miał zamiaru dopuścić, by owa istota igrała z jego emocjami.

Mendeln stanął u boku brata.

– Idź z resztą, ja zostanę tu na straży.

– Ty zabierz Serentię i ruszaj z ludźmi – odpowiedział mu Uldyzjan.

– Nie ma czasu na kłótnie – uciął ze złością Mendeln.

Uldyzjan nie miał wątpliwości, że byli gotowi znowu się pokłócić. Być może powinni się wycofać wraz z resztą, być może byłoby to rozsądne, ale Uldyzjan czuł, że jak długo nieludzka wściekłość skupia się na nim, tak długo pozostali są względnie bezpieczni.

– Staniemy obaj w takim razie i osłonimy pozostałych – powiedział w tym momencie Mendeln. Najwyraźniej podzielał odczucia starszego brata.

Nie mówili już nic więcej. Stanęli ramię w ramię, wpatrując się w gęstwinę dżungli.

Ale Uldyzjan wyczuł subtelną zmianę w potwornym gniewie. Podczas gdy część owej furii nadal skupiała się na braciach, to część kierowała się ku uciekającym edyremom. Uldyzjan skupił się... i znał już odpowiedź.

– Serentia! – zachłysnął się. – Zło zwraca się przeciwko niej!

– Ale dlaczego...? – zapytał Mendeln.

Uldyzjan nie wiedział dlaczego i nie zamierzał marnować czasu na dyskusje nad tym przerażającym odkryciem. Mroczna siła coraz bardziej koncentrowała się na ich towarzyszcze.

Uldyzjan znał tylko jeden sposób, by powstrzymać pradawną istotę. Z ponurą miną ruszył przez gęstwinę w kierunku ruin. Jednocześnie napał swoją wolą, zmuszając istotę, by skupiła się na nim i nikim innym.

W miarę jak szedł, dżungla wokół stawała się coraz ciemniejsza, coraz bardziej ponura. Brzęczenie insektów, odgłosy zwierząt, wszystko to zostało gdzieś za Uldyzjanem. Mężczyzna zauważył, że drzewa i inne rośliny wyglądały, jakby spowił je cień odmienny od tego rzucanego przez baldachim liści nad jego głową. Konary zaczęły nagle przypominać ramiona szkieletów, a liście ów trujący krzak, który wcześniej pokazywali mu myśliwi.

Potknął się o jakąś nierówność. Spojrzał pod nogi i zobaczył kawałek kamienia, ale kamienia o nienaturalnym kształcie. Wyciągnął dłoń i odłamek znalazł się w niej natychmiast.

Była to część jakiejś rzeźby, a dokładniej twarzy, chyba kobiecej. Była w niej jakaś niezemska piękność...

Nieznana siła rzuciła Uldyzjanem o pień drzewa. Tylko jego umiejętności pozwoliły mu uniknąć złamania kręgosłupa. Kamień wyrwał mu się z dłoni, ale podczas gdy Uldyzjan wylądował ciężko i boleśnie, odłamek rzeźby spokojnie potoczył się na ziemię.

W tej samej chwili Uldyzjan wyczuł, że nie jest sam. Aczkolwiek to, co stało przy nim, nie było istotą ludzką. Nawet nie można było powiedzieć, że żyło w takim normalnym znaczeniu.

A będąc tak blisko, Uldyzjan zrozumiał, że owo coś pochodziło od demonów. Już wcześniej zabijał demony, ale nigdy nie zastanawiał się nad tym, co się z nimi dzieje po śmierci. Założył, że po prostu przestają istnieć. Jednak to, z czym Uldyzjan miał do czynienia, było raczej duchem, prędkiej rozłuszczoną duszą niż żywym demonem.

Jak to możliwe?

Jednak odpowiedź na to pytanie nie była najważniejsza. Najważniejsze było obronić Serentię.

– Zostaw ją w spokoju! – ryknął, zrywając się na nogi. – Zostaw ich wszystkich w spokoju!

Poczuł niezwykle intensywne gorycz i nienawiść, ale te uczucia nie były skierowane w jego stronę. Dla niego istota miała jedynie uczucie irytacji, jakby był zaledwie drobną przeszkodą na drodze planu, który musiał zostać zrealizowany.

Uznał, że czas udowodnić, iż jest czymś o wiele więcej. Spojrzał na drzewa przed sobą i podniósł dłoń.

Dżungla eksplodowała, drzewa zapadły się w sobie, a deszcz roślinnych szczątków poleciał na wszystko z wyjątkiem Uldyzjana. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą wznosiła się niemal jednolita ściana lasu, teraz widniał idealny owal, którego dnem biegła ścieżka.

A na jej końcu widniała kamienna struktura przechylona pod niebezpiecznym kątem. Dach, kiedyś chyba stromy, teraz został wgnieciony, jakby uderzeniem gigantycznej pięści. Wszystkie trzy okna miały dość nietypowy, pięciokątny kształt. Cała struktura wzniesiona została z kamienia o barwie kości, takiego samego jak rzeźba, której odłamek znalazł Uldyzjan wcześniej.

Tomo mocno pomylił się w ocenie odległości do ruin. Znajdowały się właściwie tuż obok.

Uldyzjan przymrużył oczy. Po lewej stronie budynku, który przechylał się akurat na prawo, tuż przy ziemi, Uldyzjan dostrzegł niewielką lukę i zorientował się, że to kolejne okno. Czyli przynajmniej całe piętro kryło się pod ziemią. A to świadczyło nie tylko o wieku tego budynku, bo trzeba było setek lat, by tak go pogrzebać pod ziemią, ale i o katastrofie, która spotkała tę część dżungli.

Gdy Uldyzjan zbliżał się do budynku, każdy mięsień w jego ciele był napięty. Tomo mówił, że czas i deszcze usunęły z ruin wszelkie znaki, ale ponieważ Uldyzjan dysponował znacznie wyostrzonymi zmysłami, bez trudu dostrzegł symbole i obrazy. Nie wiedział, co to za język, ale malowidła były dlań dość czytelne. Większość przedstawiała eteryczną kobietę, na kilku towarzyszył jej wysoki, groźny mężczyzna, jednak postaci przedstawiono tak, że nie kojarzyły się z zagrożeniem, a raczej z... miłością.

Na każdym z reliefów tych dwoje zostało przedstawionych inaczej, ale Uldyzjan zobaczył dość szczegółów, by mieć pewność, że zawsze była to ta sama para. Wspomniałszy, jak łatwo Lilith zmieniała swój wygląd, doszedł do wniosku, że jeśli tych dwoje było do niej podobnych, to zapewne mieli tysiące kształtów i przebrań do wyboru. A na malowidłach przedstawiono po prostu te najbardziej przez nich ulubione.

Dokładnie w tej chwili jakiś głos szepnął coś Uldyzjanowi do ucha, ten jednak nie zrozumiał ani słowa. Zawahał się, a potem postąpił krok do przodu.

W jego myślach pojawił się obraz. Przepiękna kobieta o skrzydłach stworzonych z... ognia?

Twarz jej wyglądała znajomo i chwilę później Uldyzjan zorientował się, że widział ją na reliefach. Te same rysy miała też roztrzaskana rzeźba. Aczkolwiek żaden z artystów nie oddał kobiecie sprawiedliwości...

podobnie jak wizja w umyśle Uldyzjana. Mężczyzna wiedział, że udało mu się zobaczyć zaledwie cień dawnej chwały.

Ostrożnie zrobił krok do przodu... i natychmiast otrzymał kolejną wizję. Skrzydlata kobieta stała z mężczyzną o uderzającej urodzie, śnieżnobiałej skórze i oczach lodowobłękitnych, pozbawionych źrenic. Stali razem w pozie znamionującej głębokie uczucie, mimo wyraźnych różnic między nimi.

Po raz kolejny Uldyzjan usłyszał szept. I po raz kolejny nie zrozumiał go. Podejrzewając, co teraz nastąpi, uczynił kolejny krok.

Ponownie zobaczył nieziemską parę... ale teraz ognistoskrzydła leżała na ziemi rozdarta, nieruchoma. Mężczyzna miał potrzaskane nogi, plecy rozcięte tak głęboko, że powinien być martwy. Pełzł do swej wybranki. Z jego ran płynęła zielona posoka. Obnażone zęby były ostre jak u gadów. Raz po raz uderzał pięścią w ziemię w rosnącej wściekłości, a łzy, które płynęły mu po twarzy, skwierczały, gdy tylko na coś spadały.

Za nimi widoczna była struktura z białego kamienia, przechylona tak, jak ją Uldyzjan zobaczył po raz pierwszy. Wszystkie cztery piętra. Coś zniszczyło dach budowli, jak również uszkodziło fundament po prawej. Krajobraz za budowlą też był zniszczony, ale Uldyzjan patrzył nie na dżunglę, a na drzewa, jakie znał z Seram. A przynajmniej na to, co z nich zostało.

Wizja, najdłuższa ze wszystkich, zbladła. Uldyzjan potrząsnął głową, jakby mogło mu to pomóc zebrać myśli. I raptem poczuł, że istota, z którą walczył, nagle sięgnęła poza niego... ku Serentii.

Uldyzjan szukał jakiegoś sposobu, żeby ściągnąć uwagę na siebie. Przeczucie powiodło go w stronę starożytnych ruin. Nie musiał użyć wielkiej mocy, by wstrząsnąć budowlą. Biały kamień zaczął szybko pękać.

I niemal w tej samej chwili został powalony na ziemię przez coś, co mógł określić jedynie jako czystą wściekłość. Uldyzjan krzyknął z bólu. Wiedział już, że nie docenił determinacji starożytnej istoty. W głowie

słyszał wściekłe wycie i słowa, których nie rozumiał. A przy tym zalało go poczucie dotkliwej straty, jednak przygnieciony do ziemi atakiem nie był w stanie zdobyć się na współczucie. Uldyzjan nie miał pojęcia, jak udało im się sprowokować tego ducha, ów gniew, czy cokolwiek to było, wiedział tylko tyle, że musi powstrzymać tę istotę przed skrzywdzeniem Serentii... i jego samego.

Z wysiłkiem uniósł głowę. Łzy sprawiły, że wszystko zdało mu się groteskowo powykrzywiane. Niemal wyobraził sobie, że zobaczył mężczyznę z malowideł, demona, nie miał co do tego wątpliwości, stojącego nad ruinami. Zagniewanego ich obrońcę.

Ułamek chwili później strażnik sięgnął ku Uldyzjanowi gigantyczną dłonią.

Nie trzeba było wyobraźni, by wiedzieć, co się stanie, gdy owa dłoń zamknie się na człowieku. Uldyzjan skoncentrował się na osłonie.

Jednak olbrzym zniknął, a na człowieka posypał się wściekły grad gałęzi, kamieni i wszelkiego rodzaju pozostałości po stworzeniu drogi wiodącej do ruin. Pociski uderzały weń z każdej strony, miotane z taką siłą, że coraz bliższe były celu. I nawet niesamowity wysiłek człowieka nie mógł ich zatrzymać. Ostre końce połamanych gałęzi rozdzierały powietrze o cale od jego twarzy. Przed oczyma przeleciał mu kamień, szybciej niż najszybszy z ptaków, który bez trudu skruszyłby czaszkę człowieka. Uldyzjan czuł, jak ziemia pod jego nogami dygocze, jakby coś próbowało się przez nią przedrzeć i go pochwycić...

Chciał, by demoniczny duch na nim skupił całą uwagę, i jego życzenie zostało spełnione. Teraz musiał tylko przeżyć... o ile zdoła.

Ale jeśli tu zginie, to duch demona ruszy śladem Serentii. Uldyzjan musiał przyjąć to założenie. W swym szaleństwie i wściekłości demon zdołał jakoś zachować część siebie od śmierci. I ta część teraz chciała, by Serentia zastąpiła mu ukochaną.

Uldyzjan musiał położyć temu kres. Skoro Lucion, demon niezwykle potężny, nie zdołał powstrzymać syna Diomedesa, to tym bardziej nie dokona tego nieumarły demon.

Po raz kolejny skoncentrował się na ruinach, ponieważ wydawało się, że one są bezpośrednio połączone z demonem. Zmuszając się do kolejnych kroków, starał się nie zwracać uwagi, jak blisko docierały doń kolejne pociski, mimo jego tytanicznych wysiłków... nawet wtedy, gdy jakaś gałąź trafiła go w brew. Pozostał po niej strumyczek krwi. Uldyzjan zamrugał, próbując usunąć szkarłat z oka, ani na chwilę nie spuszczać wzroku ze swego celu.

Kamienna struktura zadygotała ponownie, tym razem o wiele mocniej niż poprzednio. Część ściany po prawej osypała się, co posłało odłamki dachu w stronę drzew. Jedno z okien całkiem utraciło właściwe proporcje, a balustrada zmieniała się w proch.

W głowie Uldyzjana obcy głos krzyknął wysoko. Coś pochwyciło go za kostkę, zmuszając do zwrócenia uwagi.

Pozbawiona ciała dłoń, przypominająca ludzką, choć miała jedynie cztery palce, nie pięć, i bardzo długie paznokcie, rozdarła mu skórę. Uldyzjan uświadomił sobie, że mężczyzna w jego wizjach miał właśnie takie ręce. Dłonie demona.

Druga ręka wystrzeliła z ziemi. Ta wciąż miała resztki marmurowobiałej skóry. Uldyzjan wyrwał się z uścisku pierwszej ręki i od razu stracił równowagę, potknąwszy się o jakąś przeszkodę.

Nieszczęsna istota wstawała z ziemi. Demon, martwy i nie martwy zarazem. Jego kości przypominały ludzkie tylko w ogólnym zarysie, ale połączone były zupełnie inaczej. Tam, gdzie u człowieka pręty żeber tworzyły klatkę piersiową, demon miał litą kość. Jakaś część Uldyzjana z zafascynowaniem patrzyła na szkielet demona, odrażający Gulag zdawał się nie mieć ani jednej kości w swym makabrycznym ciele, ale

najwyraźniej rodzaj demoni występował we wszelkich możliwych odmianach.

Głowa nieumarłego przechylała się groteskowo na jedną stronę, szczeka zwisała luźno. Nie pozostał w nim ślad dawnej urody. Padlinożercy nadal jeszcze pracowali nad oczyszczeniem makabrycznego szkieletu, stonoga uciekła pospiesznie w głąb oczodołu.

I wtedy, ku zdumieniu Uldyzjana, Mendeln, który wedle przekonania brata rozsądnie został z pozostałymi, stanął u jego boku. Młodszy z braci krzyknął coś w języku, którego Uldyzjan nie znał... ale nagle zrozumiał, że słowa brzmią tak samo jak te, które demon wykrzykiwał w jego głowie.

Nieumarły się zawahał. Choć nie miał oczu, wyglądał, jakby przyglądał się Mendelnowi, i to jeszcze z zaskoczeniem.

Ale zdumienie było nie tylko z demona, ale również z Mendelna, który najwyraźniej spodziewał się, że wydarzy się coś więcej. Krzyknął kolejne słowo. I choć Uldyzjan nie znał jego znaczenia, to i tak poczuł zimny dreszcz na plecach.

To słowo odniosło większy efekt, ale najwyraźniej wciąż nie taki, na jaki liczył Mendeln. Upiorna postać zatoczyła się jak pijany wojownik, ale zaraz odzyskała równowagę. Uldyzjan wyraźnie poczuł narastające zagrożenie, ale zabarwione mocno niepewnością, jakby demon sam nie wiedział, co powinien uczynić.

– Wciąż żyje... – mruknął Mendeln tonem, w którym najwyraźniej pobrzmiwała fascynacja. – Nie... trwa między życiem a śmiercią, napędzany pragnieniem zemsty... i poczuciem straty tak wielkiej, że nadal nie może się z nią pogodzić...

Uldyzjanowi powody były całkowicie obojętne, chciał jedynie powstrzymać demona. Zebrał się w sobie i raz jeszcze popatrzył na ruiny budowli z białego kamienia.

Ściany popękały. Resztki budynku z przeciągłym jękiem zawały się, zupełnie jak ściany toradzańskie świątyni.

Ale nawet wtedy demon nie padł.

Uldyzjan wstał, ale zanim zdążył uczynić cokolwiek, Mendeln powstrzymał go gwałtownym gestem.

– Czeka! Patrz!

Nieumarły demon nagle stracił zainteresowanie intruzami i powoli odwrócił się w stronę ruin. Uniósł koszmarną twarz ku niebu i zaryczał. Uldyzjan wiedział, że był to krzyk straszliwej udręki.

Jakiś niewielki przedmiot poderwał się z ziemi niedaleko Uldyzjana i pomknął prosto w wyciągnięte dłonie demona.

Potłuczona twarz z kamienia.

Szkielet uniósł rzeźbę, druga dłoń złożyła się w pieszczotliwym geście... i ku zdumieniu braci demon i odłamek rzeźby po prostu rozwiali się w powietrzu.

Spodziewając się jakiegoś podstępu, Uldyzjan skoczył do przodu. Ale szybko uświadomił sobie, że ledwie wyczuwa obecność demona. Zupełnie jakby istota umknęła ze świata śmiertelników.

– Odszedł do miejsca między światami – mruknął Mendeln. – Już po wszystkim.

– Ale dlaczego w ogóle do tego doszło? Co obudziło to coś do życia... czy jak to w ogóle nazwać?

– Mówiłem – Mendeln wzruszył ramionami. – Zemsta... i strata.

Uldyzjan przypominał sobie wizję nieludzkiej pary, oboje różnili się od siebie bardzo. Demon i... anioł może?

Ale to było nedorzeczne. Uldyzjan nie mógł nawet wyobrazić sobie bardziej nieprawdopodobnej sytuacji. Odepchnął więc tę myśl, skupiając się na innej kwestii związanej z demonem.

– Serentia. Jest bezpieczna, tak?

– Jak mniemam. Dobrze jej bronieś.

– A ty bronieś mnie – przypomniał sobie nagle Uldyzjan.

– Ale już nie tak dobrze.

Uldyzjan machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

– Wiesz, o czym mówię, Mendelnie – warknął. – Byłem cierpliwy, ale coś cię dotknęło i to nie ma nic wspólnego z darem, który przekazałem pozostałym! Zmieniłeś się! Czasem nie wiem już nawet, z kim rozmawiam!

Mendeln pochylił głowę.

– I ja – szepnął. – I ja.

– Musimy o tym porozmawiać – nalegał Uldyzjan. – Muszę wiedzieć, co się z tobą dzieje... i jak to może wpłynąć na nas wszystkich. Stawka jest zbyt wysoka.

– Tak... zgadzam się – Mendeln zerknął na zawalony budynek. – Ale nie tutaj. Nie teraz. Dziś wieczorem. Kiedy pozostali zasną.

– Mendelnie...

Młodszy z braci podniósł dłoń.

– To musi być nocą – dodał niemal błagalnie. – I tylko my dwaj.

Zacisnął usta. Uldyzjan wiedział, że nic więcej z niego nie wyciągnie.

– W takim razie nocą. Dziś w nocy, nie później. Mówię poważnie.

Mendeln skinął potakująco, po czym odwrócił się i odszedł. Uldyzjan przez chwilę patrzył, jak brat się oddala. A potem ktoś inny bez wysiłku zawładnął jego myślami.

Serentia.

I mając przed oczami jej twarz rozświetloną łagodnym uśmiechem, Uldyzjan zapomniał o nieumarłych demonach i tajemniczych braciach. Liczyło się tylko to, by wrócić do pozostałych i upewnić się, że nic jej nie jest.

A później? Uldyzjan mógł się jedynie modlić, by Achilios, gdziekolwiek się teraz znajdował, wybaczył swemu przyjacielowi słabość.

SIEDEM



Słońce powoli zbliżało się do horyzontu i edyremowie zaczęli szukać miejsca na obóz. Mendeln, który po wydarzeniach w ruinach trzymał się z dala od swego brata, obserwował swych licznych towarzyszy z niezwykłym u niego niepokojem. Włókł się za nimi w stronę miejsca wybranego na nocleg, stosunkowo mało zarośniętego terenu, oddalonego od rzeki o jakieś dziesięć minut marszu. Potem zatrzymał się, wsparty o drzewo, jakby chciał uspokoić oddech.

Znaleźli bród, o którym Serentia ponoć od kogoś usłyszała. Bród był szeroki, wygodny, kilka osób naraz mogło przeprowiać się na drugą stronę. Kiedy Mendeln i Uldyzjan dogonili pozostałych edyremów, połowa grupy znajdowała się już na przeciwległym brzegu. Najwyraźniej przewodziła im Serentia.

Bardzo się ucieszyła na widok Uldyzjana. Tak bardzo, że rzuciła mu się w ramiona. Ten zaś podejrzewał, że gdyby nie towarzystwo Mendelna, to mogłoby dojść do czegoś więcej przy tym radosnym powitaniu. Starcie z nieumarłym z ruin zmieniło ostatecznie stosunek Uldyzjana do dziewczyny, a ona nie miała żadnych skrupułów dotyczących nieodżałowanego Achiliosa.

I fakt ten niepokoił Mendelna bardziej niż niebezpieczeństwo, któremu dopiero co stawili czoła.

Ostatnie rozbłyski dnia zostały zastąpione przez coraz liczniejsze pochodnie i kule światła, które tworzyli teraz edyremowie. Mendeln nie mógł zauważyć, że niektórzy ludzie przejawiają nadmierną pewność siebie w porównaniu do ich umiejętności. Lśniące kule raczej nie odstraszą Strażników Pokoju, morlu czy demonów.

Mendeln doczekał się wreszcie właściwej chwili. Wszyscy w obozie byli czymś zajęci, Uldyzjan widział jedynie Serentię, więc Mendeln powoli wycofał się między drzewa.

Skierował swe kroki nie ku rzece, ale tam, skąd wcześniej przyszli. Denerwował się coraz bardziej z chwili na chwilę, ale nadal oddychał miarowo i spokojnie. Zupełnie jakby w jego ciele mieszkało teraz dwóch mężczyzn, dawny i nowy, który dostosowywał się do każdej zmiany okoliczności.

W myślach liczył kroki. Dwadzieścia. Pięćdziesiąt. Sto...

Dokładnie w odległości stu kroków ten, którego Mendeln miał spotkać, wychynął zza pnia, jakby przy użyciu magii... i zapewne tak właśnie było.

– Zawsze... na czas... Mendelnie. – Głos tak znajomy, teraz zyskał chrapliwość, jakby coś nieustannie zalegało w gardle mówiącego.

Mendeln podejrzewał, że owym czymś była ziemia.

– Obiecałem, że spotkam się z tobą o umówionej porze...Achiliosie.

Łucznik, połowicznie skryty w ciemności, roześmiał się ponuro i postąpił krok do przodu.

Tym razem Mendeln nie zachłysnął się powietrzem, jak miało to miejsce przy okazji ich pierwszego spotkania. W końcu stał przed nim Achilios, przyjaciel, nawet jeśli ów przyjaciel miał w gardle dziurę, której brzegi pokrywała skrzepnięta krew zmieszana z ziemią. Mendeln nawet się nie zastanawiał, jak łucznik był w stanie mówić z taką raną. Achilios był tu,

ponieważ jakaś siła niezwykle potężna i niepojęta dla śmiertelnika dała mu głos i podniosła z grobu.

Nie, ten opis był stanowczo zbyt okrutny, uznał Mendeln. Achilios nie był żadnym ghoulami ani ohydą podobną morlu. Iskra, będąca prawdziwym „ja” Achiliosa, nadal tliła się w jego szczątkach. Nie było co do tego wątpliwości. Zgadza się, był śmiertelnie blady, skórę miał równie białą co białka oczu, które całkiem pokryły się bielmem, i zawsze był nieco obsypany ziemią, ale nadal był człowiekiem, którego Mendeln znał przez całe swoje życie. Co więcej, Achilios zdawał się zażenowany swym stanem. Nerwowo starał się oczyścić rękę ze śladów ziemi, zanim uściśnie dłoń Mendelna.

Młodszy z synów Diomedesa nie zamierzał pozwolić łucznikowi na kontynuowanie tych bezowocnych wysiłków w nieskończoność i zamknął brudną dłoń w mocnym uścisku. Tak jak to czynił, gdy obaj żyli jeszcze w Seram, w domu, jakby nic między nimi nie zaszło. Nawet śmierć.

Na twarzy Achiliosa pojawił się cień uśmiechu. Nawet w tym stanie łucznik był przystojnym mężczyzną, smukłym i umięśnionym jak zwierzyzna, na którą zwykł polować przed spotkaniem z Lucionem. Mendeln zawsze zazdrościł jasnowłosemu łucznikowi urody, aczkolwiek Achilios nigdy nie był próżny z tego powodu. Ironią losu był fakt, że urodziwy łucznik, który mógł mieć każdą kobietę, pożądał tylko tej, która nie chciała jego... Zdobył serce upragnionej dziewczyny krótko przed swoją śmiercią.

– Jesteś... odważniejszy... niż kiedyś.

– Jesteś moim przyjacielem.

– Jestem tak martwy, jak ci mieszkańcy gałęzi, których złapałem. – Achilios sięgnął za plecy i zaprezentował wiązkę zwierzątek o puszystych ogonach i wielkości kota. Wręczył swą zdobycz Mendelnowi.

Brat Uldyzjana poczuł się rozbawiony i zasmucony tą sceną. Nawet w obecnym stanie Achilios nie mógł oprzeć się swemu powołaniu. Być

może to dlatego, że w ten sposób mógł udawać, że wie dzie dotychczasowe życie; udawać, że te okropne wydarzenia nigdy nie miały miejsca. Mendelnowi wydało się to całkiem prawdopodobne.

– A jak mam wyjaśnić tę zdobycz, gdy wrócę do obozu? – zażartował łagodnie. – Wszyscy wiedzą, jakim beznadziejnym jestem myśliwym. Mam szczęście, jeśli upoluję grzyba, nawet biorąc pod uwagę, jakie są szybkie i przebiegłe.

Achilios skrzywił się lekko.

– Myślałem o tym... ale... i tak polowałem.

Ponownie spróbował pozbyć się ziemi. Mendeln widział, jak czarne grudki osypują się z koszuli, spodni, butów łucznika, a jednak niemal natychmiast w ich miejsce pojawiały się kolejne, które zdawały się powstawać z niczego na ciele łucznika.

– Rozmawiałem z Uldyzjanem – odezwał się Mendeln, przerywając wreszcie te bezowocne zabiegi, zdecydowany skierować rozmowę na istotny temat. Nie o tym mieli zamiar rozmawiać, ale uznał, że ten temat w obecnej sytuacji jest ważniejszy od wszystkich pozostałych. – I doszedłem do wniosku, że nadszedł czas, żeby mu powiedzieć o twojej obecności. Przyprawdzą go tu...

– Nie.

Mendeln spodziewał się tego i choć rozumiał, w jak okropnej sytuacji znalazł się jego przyjaciel, szanował jego opory, to wiedział, że tego spotkania uniknąć nie można.

– Uldyzjan jest twoim przyjacielem, tak jak ja. Nie będzie się kierował tym, co ci się stało...

Rysy łucznika ściągnęły się w grymasie bólu, białe oczy zmrużyły groźnie.

– Nie... Mendelnie... to nie może... tak być... nie mów...

To, co Mendeln usłyszał w tonie Achiliosa, sprawiło, że podniosły mu się włosy na karku. Ale i tak obstawał przy swoim.

– Nie będę tego przed nim dłużej ukrywał... albo przed Serentią, jeśli o tym mówimy! Co najmniej...

– Co najmniej – odezwał się głos za plecami Mendelna – możemy w ten sposób doprowadzić do straszliwej katastrofy.

Mendeln odwrócił się błyskawicznie. Znał ten głos. W końcu prześladował młodszego z synów Diomedesa już od dawna...

Zobaczył wysoką postać spowitą w ciemność, czarna opończa podkreślała bladość twarzy przybysza, a była to bladość śmiertelna jak u Achiliosa. Na pierwszy rzut oka mężczyzna wyglądał jak każdy inny człowiek, tylko jego rysy, choć ostre, były o wiele za doskonałe.

– Kim jesteś?! – zapytał Mendeln z naciskiem. – Znam cię, ale nie znam twego imienia!

Przybysz skłonił głowę.

– Owszem, było nam dane poznać się nawzajem, synu Diomedesa... Toteż wybac mi, proszę, to, co uczynić muszę. Niestety, nie pozostawiłeś mi wyboru.

– O czym ty mówisz?! – Mendeln cofnął się i natychmiast zderzył z Achiliosem. Brudne od ziemi palce zacisnęły mu się na ramionach, pochwywszy w dosłownie śmiertelnym uścisku. – Pytam raz jeszcze! Kim jesteś?! Kim?!

– Upartym głupcem, oto kim jestem – odparł przybysz, krzywiąc się przy tych słowach. Podniósł ramię, mierząc w Mendelna.

W jego dłoni tkwił sztylet... jego ostrze nie było wykute z metalu, miało znajomą białą barwę.

Kość?

Przybysz wypowiedział trzy krótkie słowa i choć Mendeln ich nie zrozumiał, natychmiast rozpoznał język, ten sam, który płynął w jego myślach.

Sztylet zapłonął blaskiem, oświetlając twarz w obramowaniu czarnego kaptura. Wyglądała dokładnie tak, jak w snach Mendelna, ale dopiero

patrząc na nią, chłopak uświadomił sobie, że wprawdzie zdawała się należeć do kogoś starszego zaledwie o kilka lat, to w rzeczywistości była to twarz starożytnej istoty.

– Jeśli zaś chodzi o imię, to matka nadała mi inne, ale teraz znany jestem jako Rathma. – Przepraszająco skłonił przed Mendelnem głowę. – A teraz musimy iść.

– Iść? Gdzie...

Zanim jednak Mendeln zdołał wypowiedzieć pytanie, w lesie pozostał jedynie samotny Achilios, który dokładnie wiedział, że tak właśnie się stanie. Patrzył na swe dłonie, puste, bowiem nie trzymał już przyjaciela, i nadal pobrudzone piekielną ziemią.

– Wybacz... Mendelnie... – mruknął w końcu w przestrzeń. Z oporem podjął z ziemi upolowane zwierzątka. – Tak musiało... się... stać...

Nagle jakiś odległy dźwięk sprawił, że Achilios poderwał głowę i spojrzał w stronę obozu. A potem, poruszając się bez najmniejszego szmeru, zniknął w ciemnościach. Nie mógł pozwolić, by ktokolwiek go zobaczył... szczególnie Uldyzjan, a łucznik był przekonany, że to starszy z braci się zbliża.

Jednak jeszcze bardziej niż wzroku dawnego przyjaciela Achilios obawiał się, że ona dowie się o jego obecności.

Uldyzjan zatrzymał się gwałtownie, uświadomiwszy sobie, że coś jest nie w porządku. Ruszył w głąb lasu, szukając brata, który obiecał mu wyjaśnienia. Jeden z edyremów skierował swego przywódcę w tę stronę. Uldyzjan natychmiast wyczuł bliskość Mendelna... a sekundę później już nie.

W pierwszej chwili pomyślał, że to jakaś nowa sztuczka Mendelna, jego nowa umiejętność. Nie wiedział przecież, jaką mocą dysponował jego młodszy brat, ani skąd ta moc pochodziła. Przypomniał sobie, jak Lucion próbował sprawić, by Mendeln wydawał się podobny demonom, a przynajmniej skażony ich mocą. Te wspomnienia prześladowały

Uldyzjana, bo chociaż wiedział swoje, to i tak wciąż zastanawiał się, czy nie było w tych słowach ziarna prawdy.

Uldyzjan ruszył śladem brata i szybko dotarł do miejsca, gdzie wyczuł go po raz ostatni. Nic jednak nie pomogło mu odgadnąć, w jaki sposób Mendeln zniknął z leśnego traktu, i to jeszcze bardziej zaniepokoiło Uldyzjana. Jego młodszy brat nie miał skłonności do gierek, szczególnie tego typu.

Nie mogąc odszukać brata przy użyciu swych nadprzyrodzonych zdolności, Uldyzjan zdecydował się zastosować prostszą metodę. Zawołał Mendelna po imieniu, najpierw szeptem, a gdy nie uzyskał odpowiedzi, począł wołać głośniej.

Ale Mendelna nie było.

Teraz Uldyzjanowi przychodziły na myśl wszelkie niebezpieczeństwa kryjące się w dżungli, zarówno te naturalne, jak i magiczne, i jego niepokój przybrał na sile. Jednak nic nie wskazywało na to, że wydarzyło się tu cokolwiek niezwykłego.

Uldyzjan schylił się i przebiegł palcami po miękkiej ziemi. Przywołał kulę światła i za jej pomocą zaczął szukać śladów.

Znalazł dwie pary odcisków stóp. Najwyraźniej zatrzymały się jakiś jard po jego lewej. Jedna osoba czekała chyba na drugą... ale dlaczego w takim razie była odwrócona plecami do obozu? Mendeln przecież powinien stać zwrócony w przeciwnym kierunku.

I wtedy zauważył coś obok pierwszego śladu. Ziemia w tym miejscu była poruszona, jakby ktoś stawiał kroki w ograniczonej przestrzeni. Nie potrafił odgadnąć, w którą stronę kierowała się druga para stóp, ale owa ziemia wzbudziła w nim przekonanie, że coś tu jest nie tak. Tutaj Mendeln zniknął i nie wyczuwał go żaden z wyjątkowych ponoć zmysłów starszego brata.

Uldyzjan podniósł się i zrobił krok...

– Tu jesteś!

Spojrzał przez ramię i zobaczył Serentię wyłaniającą się spośród drzew. Jego twarz pozostawała w cieniu, więc dziewczyna nie dostrzegła wyrazu konsternacji, jaki na moment zmienił rysy Uldyzjana. Mendeln zniknął bez śladu i ostatnie, czego Uldyzjan pragnął, to by kolejna droga mu osoba podzieliła ten los. Przecież nie wiedział, czy niebezpieczeństwo nie czai się gdzieś w ciemności, gotowe porwać dziewczynę przy pierwszej okazji?

– Serentio... Co ty tu robisz?

– Szukam ciebie rzecz jasna – ujęła go za ramię, a dotknięcie jej palców wzburzyło mu krew. – I zamierzam pytać cię o to samo. To nie jest miejsce, w którym powinno się przebywać w pojedynkę.

– Wydawało mi się, że coś słyszałem – odpowiedział wymijająco. – Chyba się myliłem.

Oparła się o niego, próbując przebić wzrokiem ciemność i gęstwinę.

– Obawiałeś się, że to ten... ten demon zza rzeki, prawda?

Wiedział, że nie powinien kłamać, ale i tak to zrobił.

– Tak. Tak pomyślałem.

W pierwszym momencie wydawała się usatysfakcjonowana jego odpowiedzią, ale tylko przez chwilę.

– Uldyzjanie, widziałeś Mendelna? – spytała nagle.

– Mendelna?

– Kiedy szukałam ciebie, pytałam też o niego. Myślałem, że jesteście razem. – Jej palce zacisnęły się na jego ramieniu, gdy nerwowo się rozglądała. – Myślałam... myślałam, że go tu wyczuwam... ale najwyraźniej się myliłam.

Uldyzjan stłumił przekleństwo. Oczywiście, spośród wszystkich uczniów to Serentia była mu najbliższa pod względem umiejętności. Nic więc dziwnego, że mogła zrobić to co on. Ale skoro była do tego zdolna, to w takim razie ukrycie przed nią prawdy stawało się naprawdę trudnym zadaniem. „Nie trudnym, a niemożliwym” – pomyślał Uldyzjan.

Nakrył dłoń dziewczyny swoją.

– Serentio... przyszedłem tu, szukając Mendelna. Mieliśmy się tu spotkać poza obozem. Chciał mi opowiedzieć o... o tym, z czym musi się zmagać. O zmianach, jakie się w nim dokonały...

Nie pytała go o te szczegóły, bardziej skupiona na bieżącym problemie.

– Więc gdzie on jest?

– Nie wiem.

Jej palce zacisnęły się mu na ramieniu z zaskakującą siłą. Dziewczyna spojrzała w prawo, potem w lewo, zupełnie jakby spodziewała się, że Mendeln pojawi się nagle obok nich.

– Ale on musi być gdzieś tu blisko! Miałam rację, mówiąc, że go wyczuwam! Ty też to czułeś, prawda?

– Owszem... a chwilę później... po prostu go tu nie było. – I kiedy to powiedział, prawda zawarta w tych słowach wstrząsnęła nim głęboko. Jego brat, jedyny żyjący członek jego rodziny, zniknął bez śladu.

– Musimy przeszukać okolicę – oświadczyła twardo dziewczyna. – Nie może być daleko! I wie, jak się bronić! Znajdziemy go, Uldyzjanie... – delikatnie pogładziła go po policzku. – Obiecuję ci, znajdziemy go...

Jednak choć kolejne minuty spędzili, wykorzystując swe zdolności, jak tylko byli w stanie najlepiej, nie znaleźli nawet cienia śladu. Tymczasem od strony obozu słyhać było zbliżające się głosy, między innymi Romusa.

– Mistrzu Uldyzjanie! Mistrzu Uldyzjanie! – Dawny rabuś szedł poprzedzany wiszącą nisko łuną srebrzystego blasku. Gdy natknął się na nich, odetchnął z ogromną ulgą. – Bogom niech będą dzięki! Obawialiśmy się najgorszego! Jorda zauważył waszą nieobecność, kiedy nikt nie zdołał was odnaleźć... – urwał nagle, gdy dotarła do niego zaskakująca bliskość tych dwojga.

I choć konkluzja partanina nie była tak całkowicie błędna, to Uldyzjan nie chciał, by przesłoniła prawdziwy powód ich nieobecności w obozie.

– Szukamy mego brata – wyjaśnił. A potem, co wyraźnie świadczyło o tym, jak bardzo był zdesperowany, zwrócił się do swych uczniów

z pytaniem: – A wy widzieliście Mendelna?

– Nie! I jakoś nie pomnę, kiedym go widział ostatni raz – odparł Romus, kłaniając się nisko. – Być może... być może wybrał się na nocną przechadzkę, może lubi, bo jest taki... – umilkł pod wymownym spojrzeniem Uldyzjana. Większość edyremów przypisywała Mendelnowi najrozmaitsze dziwaczne i tajemnicze poczynania, w większości będące wytworem ich wyobraźni.

Niestety, te opowieści na temat Mendelna, które były prawdziwe, w zupełności wystarczyły, by zaniepokoić większość edyremów, w tym Uldyzjana.

Teraz jednak, gdy Mendeln zaginął, nie miało to żadnego znaczenia. Trzeba było go odszukać. Kolejni przybysze z obozu gromadzili się za plecami Romusa, nie mając pojęcia o sytuacji. Uldyzjan obawiał się, że ich obecność tylko bardziej wszystko pokomplikuje. Jeśli coś porwało Mendelna – a myśl ta wstrząsnęła Uldyzjanem bardziej, niżby kiedykolwiek się spodziewał – to ta sama istota mogła również bez trudu pochwycić i innych. Mendeln w rzeczy samej był silniejszy niż którykolwiek z edyremów, a i tak nie miał szans...

– Wszyscy mają wracać do obozu – rozkazał Uldyzjan. – Idźcie! Natychmiast!

– Ależ mistrzu – zaprotestował Tomo, stojący u boku Romusa. – Nie możemy zostawić cię tu samego!

Fakt, że Uldyzjan mógłby obronić się lepiej niż którykolwiek z jego uczniów, jakoś nie docierał do toradżan, do pozostałych zresztą też nie, jeśli oceniać po ilości głów, które teraz kiwały potakująco.

– Wróćcie do obozu...

– A co z waszym bratem, mistrzu? – wypalił Romus. – Jeśli zaginął, jak się obawiacie...

Teraz i nowo przybyli wiedzieli już, dlaczego ich przywódca błąka się nocą po dżungli. I choć sam Mendeln budził ich niepokój, to wiedzieli, jak

ważny jest dla Uldyzjana.

– Teraz już nie odejdą – mruknęła Serentia. – Skłonisz ich do powrotu, tylko jeśli sam wrócisz...

– Nie mogę! Mendeln mnie potrzebuje!

Pogładziła go uspokajająco.

– Wiem, Uldyzjanie. Wiem lepiej niż ktokolwiek inny! Ale... czy naprawdę zdołasz mu pomóc, kiedy tyle osób będzie cię rozpraszać?

Miała rację. Jedyne, co robili teraz edyremowie, to przeszkadzali mu się skupić.

– Wszyscy wrócimy – zarządził nagle. – Upewnij się, że nikogo nie brakuje, Romusie.

Partanin skinął głową, ale najwyraźniej wciąż jeszcze jedna kwestia nie dawała mu spokoju.

– Ale wasz brat, mistrzu...

– Znajdzie się, Romusie. – Uldyzjan położył kres dyskusji, mijając swego akolitę z Serentią wspartą na ramieniu.

Ale choć szedł rażno na czele grupy, jedyne, czego tak naprawdę pragnął, to zawrócić i wołać Mendelna tak długo, aż młodszy brat odpowie. Nie mógł zrozumieć, co też mogło się wydarzyć. Nie wyczuwał żadnej mrocznej siły. Na pewno... na pewno Mendeln się po prostu zgubił i zapewne sam niedługo się znajdzie.

Ale co, jeśli nie?

– Uspokój się – szepnęła pokrzepiająco Serentia. Pochyliła ku niemu głowę. – Kiedy już się wszystko uciszy, popracujemy razem, żeby odnaleźć Mendelna.

– Popracujemy razem?

– Połączymy nasze moce w sposób, jakiego dotąd nie próbowaliśmy... myślę, że to możliwe.

Te słowa obudziły w nim nadzieję. Być może zdołają jakoś zwiększyć swoje siły, a co za tym idzie – efekty poszukiwań. Na pewno odnajdą

Mendelna.

Ale czy to, o czym myślała Serentia, w ogóle zadziała?

– Możemy jedynie próbować – mruknęła, jakby czytała mu w myślach.

– Ty i Mendeln współpracowaliście, żeby mi pomóc, czyż nie?

Kiwnął głową zadowolony, że dziewczyna nie ma pojęcia, jak niewiele brakowało, żeby pochwycił ją nieumarły demon.

W obozie Uldyzjan mógł tylko czekać, aż reszta ponownie ułoży się do snu. Nie martwiły go strażę – wartownicy nie zobaczą prób podejmowanych przez Uldyzjana i Serentię. Oboje znaleźli sobie miejsce w nieco bardziej ustronnej części obozowiska. Nadal byli częściowo widoczni dla strażników, ale ich działania już mniej. Uldyzjan nie chciał, by ktokolwiek im przeszkadzał, nawet z propozycją pomocy.

Serentia usiadła naprzeciw niego, za jego przykładem krzyżując nogi. Ponieważ dotyk zawsze działał najlepiej, gdy Uldyzjan oferował ludziom dar, teraz też ujął delikatnie dłonie Serentii. W głębi duszy czuł się winny, że jej bliskość sprawia mu taką przyjemność. Nie czuł się tak z nikim od czasu... Lilith.

– Nie mam pojęcia, od czego zacząć – powiedziała Serentia, uśmiechając się do niego. – No, może powinnam sięgnąć w głąb ciebie, tak jak ty zrobiłeś to ze mną i z innymi, budząc w nas moc.

– Spróbuj. – Był gotów sam to uczynić, ale jak na razie wszystkie pomysły Serentii miały dlań sens. Wiedział, w jakim stanie się znajduje, więc tym bardziej chętnie zgodził się, by to ona prowadziła.

Zamknęła oczy. On także. Poczuł, jak krzepiąco ściska mu dłonie, i odwzajemnił gest.

I nagle miał wrażenie, że jest dwiema osobami naraz.

Serentia dotknęła jego umysłu i duszy tak gładko, tak pewnie, że go to zdumiało. Zawahał się na moment, a potem zaprosił ją do siebie, tak jak ona go zaprosiła. Przez chwilę lub dwie byli niczym para zwierząt zwarta w uścisku. Ale Uldyzjan nabrał pewności i naparł silniej na umysł Serentii.

Stopili się w jedno. Nie było to połączenie doskonałe i całkowite, bo Uldyzjan ukrył przed dziewczyną niektóre swoje myśli, szczególnie te dotyczące uczuć, jakie do niej żywił. Czuł, że Serentia również nie wszystko przed nim odkryła. Niemniej nadal byli połączeni na tyle mocno, by spróbować wspólnie poszukać Mendelna.

„Pozwól mi... – usłyszał we własnej głowie dźwięk jej głosu. – Pozwól mi nas poprowadzić...”

Uldyzjan udzielił jej milczącego przyzwolenia i nagle zdało mu się, że ma otwarte oczy. Z tym że pędził przez otaczającą ich dżunglę, i to w kilku kierunkach jednocześnie. Co więcej, miał wrażenie, że wstał dzień, rozjaśniony promieniami złotego słońca. Wszystko wokół było zachwycająco żółte...

A razem z nim... z każdą jego częścią, jakby byli jednym, mknęła Serentia. Pędzili szybciej niż najszybszy z ptaków. Przemierzali milę za milą, przeszukując teren obozowiska. Nie tylko cofnęli się po własnych śladach, ale i ruszyli naprzód, i pognali o wiele dalej, niż byliby w stanie przebyć w trakcie jutrzejszego marszu. Na wszelki wypadek Uldyzjan postarał się zapamiętać co istotniejsze punkty orientacyjne wzdłuż ich przyszłej trasy. Miał nadzieję, że zdoła je przekazać pozostałym. Zarazem dotarło doń, że gdyby edyremowie dokonali pewnych zmian we wcześniejszej podróży, to zaszliby o wiele dalej.

Widział rozmaite zwierzęta, nocnych łowców teraz zalanych żółtym blaskiem. Jednak nie wyczuły one jego obecności, zdawały się nie wiedzieć nawet, że nie znajdują się już pod osłoną ciemności. Niektóre z nich były tak egzotyczne, że Uldyzjan mimo wszystko spoglądał na nie zafascynowany.

Ale nawet te najbardziej skrupulatne z poszukiwań nie przyniosły oczekiwanego rezultatu. Nie trafili na żaden ślad Mendelna.

I choć Uldyzjan czuł radość i ekscytację płynącą z faktu, że im się udało, nie mógł już dłużej znieść tych łowów. Serentia była zaskoczona,

gdy począł wycofywać się do obozu, czuł jej zdziwienie. Krajobraz przesunął się mu przed oczyma i Uldyzjan nadal wyteżał umysł, obserwował i badał, ale z tym samym skutkiem.

I nagle znów siedział naprzeciwko swojej towarzyszki. Nie wiedział, kiedy otworzył oczy. Oboje wpatrywali się w siebie, jakby robili to od kilku godzin. Niechętnie wypuścił jej dłoń z uścisku i otarł brwi. Dziewczyna uczyniła to samo.

– Przykro mi – odezwała się wreszcie. – Byłam pewna, że odszukamy Mendelna.

– Ja też. – Jednak mimo tej bolesnej porażki Uldyzjan czuł coś więcej niż tylko smutek i rozczarowanie. I to nie dlatego, że wspólnie z Serentią odkryli nową fascynującą możliwość... ale też dlatego, że zbliżyli się do siebie jak nikt przed nimi. Jedno spojrzenie na jej twarz wystarczyło mu, by wiedzieć, że czuła to samo.

Uldyzjan potrząsnął głową, zły na siebie, że rozprasza go takie rzeczy, podczas gdy jego brat znajduje się w strasliwym niebezpieczeństwie. To, że zdołali połączyć siły, może nawet było i sukcesem, ale prowadzącym donikąd. I to było najistotniejsze.

Serentia pochyliła się ku niemu.

– Uldyzjanie...

Chciał z nią zostać, ale wiedział, że jeśli to uczyni, to nie będzie mógł skupić się na Mendelnie. Tak gwałtownie, że Serentia aż się zachłysnęła, poderwał się i odszedł.

Niemal natychmiast tego pożałował, ale nawet przez chwilę nie myślał o tym, by wrócić. Liczył się tylko Mendeln... O ile nie było już za późno.

Ta myśl przejęła Uldyzjana lodowatym chłodem. Mendeln przepadł. Najpierw Achilios, a teraz brat.

Uldyzjan spojrział w ciemne niebo, przesłonięte chmurami, i pogroził mu pięścią. Chciało mu się krzyczeć, ale wiedział, że pobudziłby wszystkich w obozie, zmusił się więc, by mówić cicho.

– Bądź przeklęta, Lilith! – wysyczał. – Bądź przeklęta, boś ty to wszystko rozpętała.

Dżungla milczała, ale Uldyzjan był pewien, że demoniczna kusicielka usłyszała jego słowa... usłyszała i śmiała się wesoło.

– Nie... porzucaj... nadziei...

Głos był szeptem zaledwie, a jednak przebił się przez mgłę zasnuwającą umysł Uldyzjana. Mężczyzna odwrócił się, szukając tego, kto wypowiedział te słowa... ale nikogo nie znalazł.

Ze zmarszczonymi brwiami przez kilka chwil wpatrywał się w pustkę, potem skrzywił się zirytowany. Teraz, jakby miał nie dość problemów, zaczęły mu się jeszcze zwidywać głosy, a raczej jeden głos.

Achiliosa.

– Bądź przeklęta, Lilith... – powtórzył, widząc w myślach twarz zaginionego brata i zmarłego przyjaciela. – Jeśli straciłem Mendelna...

Ale tak naprawdę nie potrafił nawet rzucić groźby pod adresem Lilith, w którą sam by choć trochę wierzył.

OSIEM



Pozostali w tym samym miejscu przez kolejny dzień... i jeszcze kolejny. Przez ten czas Uldyzjan nie zmrużył oka w obawie, że ta chwila zwłoki zmniejszy jego szanse na odnalezienie Mendelna. Im dłużej jego brat pozostawał zaginiony, tym mniejsze było prawdopodobieństwo, że odnajdą go żywego.

Saron, Romus, Tomo i jeszcze kilku innych ośmieliło się zbliżyć do Uldyzjana pod koniec kolejnego dnia. Znaleźli swego przywódcę tam gdzie spędzał większość czasu, na skraju obozu. Miał zamknięte oczy i zaciśnięte pięści, a jego ciało otaczała srebrzysta aura.

Srebrny blask zniknął, zanim jeszcze Romus czy któryś z jego towarzyszy zebrał się na odwagę, by się odezwać. Uldyzjan odwrócił się twarzą w ich stronę.

– Jutro – mruknął. – Jeśli do jutra nic... Obiecuję, że ruszymy jutro.

Chudy i żyłasty Saron zgiął się w ukłonie.

– Mistrzu, nie chodzi o to, że spieszno nam porzucić twego brata... gdyby Tomo, który jest mi bliski jak brat, zaginął, to szukałabym go tak jak ty, panie, ale...

– Ale przeszukiwanie tego samego terenu wciąż od nowa nie ma sensu. Rozumiem, Saronie. Nie mogę ryzykować bezpieczeństwa całej naszej

grupy, każąc wszystkim czekać. – Popatrzył po twarzach kobiet i mężczyzn, którzy do niego przyszedli. Byli wśród nich ci najbardziej obiecujący z jego uczniów, ci, którzy posiedli na tyle kontroli, by stanowić zagrożenie dla większości wrogów Ludzkości. Może nawet dla morłu albo pomniejszych demonów. A jednak bez niego byli zgubieni.

– Jutro – powtórzył, odwracając się w stronę zielonej gęstwiny. – I dziękuję, że zrozumieliście.

Partanie odpowiedzieli skinieniem głów, toradżanie zgięli się w ukłonach. Kiedy odeszli, Uldyzjan znowu skupił się na poszukiwaniach. Musiało być gdzieś coś, co przeoczył. Jakaś wskazówka, jakiś ślad zostawiony przez to, co pojmało Mendelna.

Ale wszystkie jego wysiłki spełzały na niczym. Wreszcie, gdy słońce schowało się za horyzontem, Uldyzjan usiadł do posiłku. Nie zwrócił nawet uwagi na to, co jadł, bez reszty zaprzątnięty próbami znalezienia jakichś nowych sposobów prowadzenia poszukiwań.

Wreszcie zorientował się, że Serentia zasiadła naprzeciwko niego. Od tamtego momentu, w którym zostawił ją bez słowa, nie mieli okazji być razem. Wiedział, że Serentia chętnie byłaby przy nim, pocieszyła go, a fakt, że czuł to samo, sprawiał, że serce mu krwawiło. Jednak nie zamierzał się poddać tym uczuciom i miał ku temu więcej niż jeden powód.

Przełknął ostatni kęs i natychmiast wrócił do poszukiwań. Korzystając z tego, czego nauczył się podczas połączenia umysłów, Uldyzjan był w stanie sięgnąć myślami daleko poza zasięg swojego wzroku. Sam nie potrafił przeszukiwać dżungli w tak spektakularny sposób jak zjednoczony z Serentią, ale i tak nie miał wątpliwości, że przeszukiwał teren tak dokładnie i starannie, jak tylko było to możliwe.

A jednak nadal nie znajdował żadnych śladów, które mogłyby mu podpowiedzieć, co właściwie się wydarzyło.

W końcu została mu tylko ostatnia nadzieja, coś, czego wcale nie chciał próbować, bo nie on jeden narażałby się na niebezpieczeństwo. Jednak ta

ewentualność wydawała mu się najbardziej prawdopodobna.

Nie zwlekał więc już dłużej, tylko sięgnął umysłem ku ruinom... i temu, co się w nich kryło.

Uczył to z daleko mniejszym wysiłkiem, niż się spodziewał. Uznał, że to, czego dokonali wspólnie z Serentią, pomogło mu pełniej wykorzystać potencjał mocy, jaka w nim drzemała. Ten fakt zdumiał go i zachwyił zarazem. I uczucia te nie opuściły go nawet, gdy zmierzał do miejsca, gdzie mieszkała dusza starożytnego demona.

Ale gdy tylko tam dotarł, natychmiast wiedział, że w okolicy ruin nie znajdzie żadnych śladów brata. Nadto, ku jego zaskoczeniu, ślad demona był tak słaby, że Uldyzjan wychwyił go dopiero po chwili. Nieumarły nie mógł więc być odpowiedzialny za zniknięcie Mendelna, bo ten z łatwością poradziłby sobie z tak niewielką siłą.

Uldyzjan jednak nie przestał badać ruin. I w końcu wyczuł, że duch demona jakby się przebudził, ale teraz nie emanował już tą wściekłością, z jaką przyszło im się zmierzyć przy pierwszym spotkaniu. Wręcz przeciwnie, Uldyzjan miał wrażenie, że demon chce mu zawierzyć.

Uldyzjan musiałby wszelako zrezygnować z obrony, by stało się to możliwe. Badał przez chwilę przeciwnika, ale wyczuwał jedynie słabość... i jakby ponaglenie. W końcu, desperacko spragniony jakiegokolwiek wskazówki, Uldyzjan uległ.

Zanim jednak zdołał się otworzyć, ktoś gwałtownie potrząsnął jego ciałem. Ruiny oraz zamieszkujący je upiór natychmiast rozwiały się w ciemnościach i Uldyzjan znów znalazł się duszą i ciałem na granicy obozu edyremów.

Serentia stała przy nim, w jej oczach malował się lęk.

– Uldyzjanie, oszalałeś z kretelem?! Ledwie zdążyłam przerwać to połączenie!

– Miałem nadzieję wreszcie się czegoś dowiedzieć! – zirytował się, uświadomiwszy sobie, co zrobiła. – Uzyskać wskazówkę na temat

Mendelna...

– Nie od tego przeżartego złem czegoś! Pomyśl chwilę! Dlaczego miałoby ci w jakikolwiek sposób pomóc?! Dlaczego?

Już miał jej odpowiedzieć, gdy się zawahał. Właściwie nie potrafił wyjaśnić dlaczego, a im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej dostrzegał słuszność jej słów. Dlaczego starożytna istota miałaby w jakikolwiek sposób wesprzeć jego poszukiwania? Pograżony w desperacji najpewniej dałby tylko upiorowi okazję do zemsty.

A rozprawiwszy się z nim, demon z całą pewnością po raz kolejny zaatakowałby Serentię.

– Masz rację – mruknął, przeczesując włosy palcami. – Niech to szlag, masz rację.

– Przykro mi. Naprawdę – zajrzała mu głęboko w oczy. – Zrobiłeś dla Mendelna wszystko, co tylko było w twojej mocy, w czyjejkolwiek mocy. Co jeszcze mógłbyś uczynić?

I znów Uldyzjan nie znalazł odpowiedzi na jej pytanie.

– Jesteś zmęczony – mówiła dalej. – Musisz odpocząć.

Skinął potakująco głową. Nagle ledwie był w stanie ustać. Nawet on musiał przyznać, że kontynuowanie poszukiwań nie przyniesie już dzisiaj nic dobrego.

– Obiecałem ludziom, że wyruszymy jutro – zawiadomił ją. – Proszę, powiedz im, że ruszymy z pierwszym promieniem słońca.

– Powinnam zostać z tobą...

– Nie. Proszę, powiedz ludziom to, o co cię prosiłem. – I z tymi słowy Uldyzjan z rozmysłem skierował się do miejsca położonego blisko ognia i natychmiast się położył. Obserwował płomienie, gdy zorientował się, że Serentia wciąż mu się przygląda. Wreszcie, z nieprzeniknioną miną, odwróciła się i odeszła.

Uldyzjan zamknął oczy. Choć był wykończony i zgodził się odpocząć, to wiedział, że i tak nie zaśnie. Bo niby jak mógłby? Najpewniej jego brat

już nie żył. Uldyzjan wiedział, że do samego rana będzie rozpatrywał każdą sekundę poszukiwań, starając się znaleźć błędy, jakie popełnił. Że nieustannie będzie analizował wszystko, co dotychczas uczynił...

Uldyzjana obudził miękki dotyk dłoni na ramieniu. Szeroki uśmiech wypłynął mu na twarz, bowiem śniło mu się, że Mendeln powrócił cały i zdrowy. Jednak gdy otworzył oczy, przestał się uśmiechać, zrozumiał bowiem, że to Serentia go budzi. Nad jej głową zobaczył jaśniejące niebo.

– Pozwoliłam ci spać tak długo, jak to było możliwe – powiedziała cicho. – Ale już prawie jesteśmy gotowi do wymarszu.

Ogarnęło go intensywne poczucie winy, jakby to, że spał, było zdradą wobec brata.

– Powinnaś mnie wcześniej obudzić! – Sam nie umiałby powiedzieć, dlaczego jest taki zły, w końcu Serentia przejmowała się niemal tak samo jak on losem Mendelna. – Muszę spróbować raz jeszcze! Myślę, że tym razem zdołam...

– Gdybym wierzyła, że masz choćby cień szansy, stanęłabym u twego boku. Wiesz o tym – popatrzyła na niego smutno. – Jednak widzę to w twoich oczach. Nie masz żadnego nowego pomysłu, prawda? Chcesz tylko szukać, szukać i szukać, aż wreszcie go znajdziesz...

– Tak... nie... ale...

– Zrobiłeś dla Mendelna wszystko, co było w ludzkiej mocy... tak jak dla Achiliosa. Musimy ruszać dalej... nie chcę tego, tak samo jak ty, ale nie ma innego wyjścia. Dla dobra wszystkich pozostałych... dla twojego dobra. Mendeln pierwszy by ci to powiedział. Wiesz o tym.

Nic mógł na to nic odpowiedzieć. Uldyzjan wstał. Raz jeszcze spojrzął na otaczającą go dżunglę, po czym wezwał do siebie Tomo.

– Dotrzemy do Hasziru w ciągu czterech dni?

– Jeśli będziemy iść długo i w dobrym tempie. Wolałbym, żebyśmy liczyli pięć dni, mistrzu.

– Dotrzemy tam w cztery i już nikogo nie stracimy po drodze. Chcę, żeby to było jasne. – Uldyzjan ze wszystkich sił starał się mówić spokojnie.
– Nikogo więcej.

– Tak, mistrzu.

Uldyzjan spojrział na Serentię. Dziewczyna uśmiechnęła się doń rezolutnie.

– Nikogo więcej – powtórzyła.

Z Serentią u boku i Tomo za plecami Uldyzjan podszedł do czekającej nań gromady edyremów. Tomo natychmiast znalazł się obok Romusa i Sarona i szeptał coś do nich z przejęciem. Słowa Uldyzjana bardzo szybko dotrą do wszystkich, dokładnie tak jak sobie tego życzył.

Uldyzjan zajął swoje miejsce na przedzie, skinął na swych uczniów i podjął marsz. Edyremowie w milczeniu ruszyli za nim.

Tego dnia przemierzyli naprawdę spory dystans. Gnała ich naprzód głównie determinacja Uldyzjana, by znaleźć się jak najdalej od miejsca, gdzie zniknął Mendeln. Pod koniec dnia każdy jego mięsień krzyczał z bólu. Myśl o tym, jak pozostali znieśli ten marsz, szczególnie kobiety i dzieci, wzbudziła w nim poczucie winy i tylko dlatego obiecał wycieńczonym edyremom, że kolejny dzień będzie łatwiejszy.

Tak się jednak nie stało. Ledwie podjęli marsz, gdy nad dżunglą zagrzmiała burza. Burza tak gwałtowna, że Uldyzjan był zmuszony zarządzić postój.

– Znosi się na to, że do wieczora nie ścichnie! – krzyknął, osłaniając oczy przed nawałem śmieci niesionych wiatrem.

Deszcz siekł bez litości, zmuszając ludzi, by na gwałt szukali osłony. Ci, którzy lepiej panowali nad swymi umiejętnościami, próbowali stworzyć niewidzialne tarcze nad głowami swoimi i towarzyszy. Jednak im dłużej i mocniej padał deszcz, tym słabsze stawały się owe tarcze, by w końcu rozproszyć się całkowicie.

– Trzymajcie się blisko siebie! – Uldyzjan przeklinał w duchu burzę pewien, że pogoda wspiera w jakiś sposób działania Lilith i Trójcy.

Serentia pochwyciła go za ramię.

– Coś trzeba z tym zrobić! Ty musisz coś z tym zrobić!

Jej słowa wywołały falę wspomnień. Lilith, wtedy jeszcze udająca Lylię, zwróciła się do Uldyzjana z tym samym żądaniem. Chodziło wtedy o burzę nad Seram, która zresztą wkrótce się skończyła. Jednak stało się to za sprawą Lilith, nie Uldyzjana.

– Nie... – wycharczał, wcale nie miał ochoty ponownie przeżywać tamtych wydarzeń. – Nie... ja nie...

Pobliskie drzewo zatrzeszczało złowieszczo. Liście i połamane gałęzie latały wokół nich. Któraś z kobiet krzyknęła przestraszona, gdy gwałtowny podmuch cisnął ją na plecy towarzyszy. Dzieci płakały rozpaczliwie. Mimo tego wszystkiego, czego się nauczyli, mimo tego, co osiągnęli, edyremowie, nawet ci najbardziej utalentowani, teraz przegrywali ze strachem i zmęczeniem.

Uldyzjan wiedział, że powinien coś przedsięwziąć, choćby po to, by przypomnieć pozostałym, do czego są zdolni. Znaleźli się już niedaleko Hasziru, musieli być gotowi stawić czoła straszniejszemu przeciwnikowi, nawet jeśli tamtejsza świątynia była mniejsza niż w Toradzy. Kapłani w Haszirze z pewnością będą przygotowani na przybycie Uldyzjana i jego uczniów.

Jednak Uldyzjan stracił wolę walki, jakby osłabł po stracie Mendelna. Potrząsnął głową, zmagając się z samym sobą.

Bez ostrzeżenia Serentia wypuściła jego ramię z uścisku. Próbował ją pochwycić, ale chybił. Ku jego zdumieniu wyszła spod osłony drzew, stanęła tam, gdzie burza atakowała z największą zawziętością. Choć przemoczona do suchej nitki, dziewczyna stała z dumnie podniesioną głową. Podniosła swą włócznię, wygrażając czarnym chmurom.

– Odejdź! – krzyknęła w ciemne niebo. – Precz!

I gdy Uldyzjan patrzył, jak dziewczyna bezowocnie próbuje dokonać tego, co on sam byłby w stanie osiągnąć, poczuł, jak dojmujący żal wzbiera mu w piersi. Mendeln nie chciałby, żeby brat upadł na duchu z jego powodu. Jeśli istniał cień szansy, że Uldyzjan jest w stanie pokonać tę burzę, to przynajmniej powinien spróbować...

Ta myśl zgasła, bowiem przed oczami Uldyzjana rozgrywało się coś niesamowitego. Niczym bogini wojownicza, Serentia nie tylko oparła się żywiołom, ale zmusiła je, by oddały jej pokłon. Wywijała włócznią, jakby była gotowa cisnąć ją w samo serce burzy...

I wtedy... deszcz stracił na intensywności, by w końcu ustać zupełnie. Czarne chmury zbladły i poczęły się rozwiewać.

Pozostali, łącznie z Uldyzjanem, zamarli zdumieni tym cudem. Serentię otoczyła aura. Intensywna, złota aura. Dziewczyna jednak zdawała się tego nie zauważać. Nadal zmuszała niebo do posłuszeństwa i... udawało jej się to.

Ostatnie chmury zniknęły, w dżungli nastała cisza, nawet niezliczone owady, których brzęczenie było słychać zawsze, teraz nie wydawały ani dźwięku.

Serentia opuściła ramiona z westchnieniem. Wzdrygnęła się i wypuściła z dłoni włócznię. Aura, która ją otaczała, zgasła.

Powoli, bardzo powoli, Serentia spojrzała przez ramię na Uldyzjana.

– Zrobiłam to... prawda? – wydyszała z trudem. Pobladła i oddychała szybko.

Skinął głową, przepelniony wstydem i euforią zarazem. Serentia zrobiła to, co on powinien uczynić, i to bez zastanowienia. Zademontrowała moc, jaką dotychczas tylko on władał. Nie powinna narażać się na to wszystko, wymagać od siebie tak wiele, ale fakt, że udało jej się dać widomy dowód temu, co Uldyzjan głosił od zawsze, pobudził go do życia.

– Tak... zrobiłaś to – powiedział z dumą tak głośno, by słyszeli go wszyscy wokół. – I każdy z nas jest do tego zdolny! – Odwrócił się do

pozostałych. – A ja chcę was przeprosić z głębi serca, bowiem choć zawsze tyle mówiłem o pomocy, tym razem nie uczyniłem nic... zupełnie nic...

Serentia pierwsza zaprzeczyła jego oskarżeniom pod własnym adresem. Inni dołączyli do jej protestów. Uldyzjan wiedział, że nie widzieli w nim winy z powodu Mendelna, choć nikt nie wspominał zaginionego. Starszy z braci poczuł ogromną wdzięczność za ich troskę, za wyrozumiałość, za wsparcie, i przysiągł sobie, że już nigdy ich nie zawiedzie.

Nie przestał przy tym czuć radości i podekscytowania na myśl o triumfie Serentii, o tym jak bardzo zwiększyły się jej możliwości. Jego uczniowie nie do końca wierzyli, gdy powtarzał, że wcale nie jest potężniejszy od dowolnego z nich. Teraz zobaczyli, ile mogą osiągnąć. Nawet Serentia, która mimo swoich dzisiejszych dokonań wciąż jeszcze nie dorównała w pełni Uldyzjanowi.

– Burza minęła! – krzyknął. – I żeby uhonorować twoje zasługi, Serentio, to ty wydasz rozkaz do wymarszu. Ty!

Szeroki uśmiech pojawił się na wciąż mokrej twarzączce dziewczyny. Podniosła swoją włócznię i wskazała nią kierunek, w którym podążali.

– Naprzód do Hasziru! – zawołała ze swadą.

Edyremowie nagrodzili ją radosnymi okrzykami. Serentia ponownie spojrzała na Uldyzjana. Skinął głową, ruchem podbródka zasugerował, że powinna wrócić na szlak. Choć wydawało się to niemożliwe, jej uśmiech stał się jeszcze szerszy. Podjęła marsz, dumnie prostując plecy.

Uldyzjan podążył za nią w odległości kilku kroków. Romus i pozostali ruszyli za nim. Nastrój armii edyremów zmienił się diametralnie. Uldyzjan czuł ich pewność siebie. To były siły, które powaliły świątynię w Toradzy, które dokonają tego ponownie w Haszirze. Początek tego, czego Trójca będzie się prawdziwie lękać. Powoli zaczynał wierzyć, że nawet Lilith nie była przygotowana, by stawić czoła tym siłom.

I być może... być może, pomogą mu jeszcze odnaleźć Mendelna.

Arihan nie żył nawet w połowie tak długo jak Malik, któremu jego pan ofiarował nie jedno, ale więcej niż dwa życia. Jednak Arihan wyglądał, jakby był ojcem zmarłego arcykapłana. Kiedyś był złodziejem, kieszonkowcem, kłamcą i mordercą, teraz używał danych umiejętności w służbie Dialona. Nie był przy tym tak próżny jak Malik, po części asceńczyk, który przypominał pawia. Nie tylko dbał o szaty, ale i o utrzymanie twarzy i postaci, które tak naprawdę nie należały do niego już od dawna.

Pochodzący z niskiego rodu, wychowany w ponurych zaułkach Kedżanu, chudy i brodaty Arihan nie wątpił, że pewnego dnia najwyższy kapłan Malik przeceni w swej arogancji własne możliwości. Ostatnie wydarzenia dobitnie wykazały, że miał rację, ale Arihan był na tyle mądry, by nie okazywać swego zadowolenia. Co innego wspinać się po stopniach w hierarchii, a zupełnie co innego cieszyć się z porażki, której konsekwencje były poważniejsze dla Świątyni niż dla tego głupka, który zginął w jej wyniku. Ten Uldyzjan ul-Diomed miał znaczenie dla ostatecznych celów sekty, a całkowita klęska Malika zniweczyła wszelkie szanse na przekonanie wieśniaka, by ten zechciał służyć Trójcy. Teraz przyszedł czas na podjęcie stanowczych działań.

Arihan był gotów zaoferować swe usługi w tej kwestii natychmiast po zgonie Malika, ale wydarzyło się coś dziwnego, co sprawiło, iż się zawahał. Pierwszy, przewidywalny w swej doskonałości, ostatnimi czasy zachowywał się jak nie on. Zaczął spędzać coraz więcej czasu sam, a do tego zniknął gdzieś bez wyjaśnienia. Co więcej jego rozkazy wydawały się mieć na celu wprowadzenie zamieszania wśród kapłanów, zamiast pomóc im koordynować wysiłki.

Stanowczo coś tu się nie zgadzało... ale Arihan nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać. Stanowczo nie zamierzał dzielić się wątpliwościami z którymkolwiek kapłanem równym mu rangą. A już na pewno nie z wyjątkowo ambitnym następcą Malika. Gdyby tylko...

Na drodze Arihana stanął szczególnie brzydki Strażnik Pokoju. Kapłan tak był pogrążony w swoich myślach, że niemal wpadł na wojownika. Ten zaś musiał być szalony, bo w ogóle nie przejął się tym wykroczeniem.

- Pierwszy pragnie rozmawiać z tobą, arcykapłanie. Natychmiast.
- Gdzie jest? – zapytał Arihan, starannie ukrywając nagły niepokój.
- Oczekuje was w swych komnatach, czcigodny.

Arihan kiwnięciem głowy odprawił Strażnika i ruszył niespiesznie długim marmurowym korytarzem, by zaznaczyć pewność siebie, ale i nie powoli, aby nie okazać braku szacunku. Minął kilku innych Strażników Pokoju stojących na baczność, nieruchomych niczym posągi, po obu stronach korytarza. Z jakichś powodów to zaniepokoiło go jeszcze bardziej.

Żołnierze pełniący wartę pod drzwiami wewnętrznego sanktuarium przepuścili go bez słowa. Arihan miał przez to wrażenie, że przybył spóźniony. A Pierwszy nie tolerował opieszałości. Kapłan pamiętał, jak pewien grzesznik stracił z tego powodu swoje bijące jeszcze serce.

W komnatach Pierwszego panował mrok. Drzwi zamknęły się za Arihanem z jakąś ponurą ostatecznością. Kapłan zamrugał nerwowo, próbując przyzwyczać oczy do ciemności. Wiedział, w którym pomieszczeniu odnajdzie swego pana, ale jaki był powód braku jakiegokolwiek światła, nie potrafił odgadnąć. Zazwyczaj drogę do komnaty Pierwszego oświetlały lampki oliwne albo pochodnie.

Kapłan postąpił krok naprzód... i coś wielkości kota przebiegło po jego obutej w sandał stopie.

Arihan krzyknął i jego napięcie jeszcze się wzmoгло. Jak to wyglądało, żeby najwyższy kapłan Dialona, czy raczej Diabło, wystraszył się czegoś tak niewielkiego?! W końcu służył Władcy Grozy! Arihan modlił się w duchu, żeby uwaga Pierwszego była skupiona w tym momencie na czymś innym.

Wzrok przyzwyczał się mu do ciemności na tyle, by Arihan mógł odnaleźć drogę do najbardziej wewnętrznej z komnat. Przyszło mu do

głowy, że mógłby wyczarować światło, ale Pierwszy nie bez powodu życzył sobie mroku. Nawet jeśli ów powód pozostawał nieodgadniony dla kapłana.

Gdy Arihan dotarł do drzwi sanktuarium swego pana, te same się przed nim otworzyły. Przez próg wylało się upiorne światło. Kapłan zerknął na swe wąskie dłonie, które teraz miały siną barwę.

– Wejdz, wejdz, arcykapłanie! – zawołał Pierwszy, dziwnie podekscytowany.

Arihan posłusznie zbliżył się do tronu. Zobaczył Pierwszego, wielkiego mężczyznę o gęstej brodzie, który wyglądał na młodszego i zarazem starszego od kapłana, i wpatrywał się weń z niespotykaną wcześniej fascynacją. Po raz kolejny Arihan pomyślał o zmianach, jakie ostatnimi czasy zaszły w Pierwszym. Szczególnie jeśli wziąć pod uwagę osobowość. Dotąd kapłan zawsze wiedział, czego może się spodziewać, ale nie tym razem...

Zgodnie ze zwyczajem arcykapłan ukląkł u stóp swego pana. Wiedział, że Pierwszy był w rzeczywistości synem Mefista, jednak zawsze myślał o nim, używając ziemskiego tytułu, nie imienia.

Nigdy nie nazywał go Lucionem.

– Wielki i potężny Pierwszy, synu królewskiego Mefista, twój unizony sługa stawia się na wezwanie. Czym mogę ci służyć, panie?

Pierwszy zaśmiał się krótko. Arihan musiał się naprawdę postarać, by nie spojrzeć z zaskoczeniem w górę. Nigdy dotąd nie słyszał, by jego pan śmiał się w tak... obłąkany sposób.

Niemal w tej samej chwili, gdy to pomyślał, zdusił w sobie owo bluźnierstwo. Niewłaściwe było myśleć źle o Pierwszym, niewłaściwe i wysoce niebezpieczne dla zdrowia.

– Wstań, wstań, arcykapłanie! – polecił Arihanowi Pierwszy niemalże jowialnym tonem.

Arihan posłuchał. Starał się, by wyraz jego twarzy i spojrzenie pozostały pełne szacunku. Być może Pierwszy poddawał go próbie, może chciał się przekonać, jak bardzo lojalny i oddany jest jego sługa.

– Jestem na twe rozkazy, o najwspanialszy.

– Tak... tak, jesteś... – Pierwszy oparł się całym ciałem na podłokietniku. – Ten... Jam jest głosem Trójcy, czyż nie?

– Ależ oczywiście, o najwspanialszy. – Arihan uświadomił sobie, że zaczyna marszczyć brwi w konsternacji, i natychmiast się opanował. Utrzymał na twarzy wyraz spokojnego podziwu bez względu na to, jak dziwne stanie się zachowanie Pierwszego.

To z pewnością był jakiś sprawdzian.

Pierwszy poruszył się nerwowo i, jakby naraz zdał sobie sprawę z wrażenia, jakie wywołuje, popatrzył na arcykapłana z surową miną.

– Arcykapłanie, masz coś do powiedzenia?

– N-nie, o najwspanialszy! Jedyne czekam, aż wyjawisz mi, panie, czego sobie życzysz!

– Dobrze... dobrze... – Mały czarny pajak wychynął zza kołnierza Pierwszego. Przywódca Świątyni nie zwrócił nań uwagi, nawet gdy insekt począł wędrować mu w górę karku. – Ten... ja mam plan, jak pozyskać śmiertelnika dla naszych celów, arcykapłanie. Mistrzowski plan! Ale należy wprowadzić go w życie jak najszybciej, wymaga bowiem udziału naszych braci z Hasziru.

– Hasziru? – powtórzył kapłan, na próżno próbując oderwać spojrzenie od pajaka, który teraz wędrował po szczęce Pierwszego.

– Haszir... tak, Haszir będzie doskonałym miejscem, by wszystko odwrócić...

Arihan skłonił się przed mądrością pierwszego. Skoro jego pan miał plan, to niewątpliwie efekty będą imponujące.

Pajak zawędrował w okolice ucha, dwie nogi wsunął już nawet do środka. Najwyższy kapłan Dialona nie był w stanie się nie gapić.

Pajaki... Arihan kiedyś wiedział coś o pajakach. Tylko co?

Z niesamowitą prędkością Pierwszy pochwycił insekta, zacisnął dłoń i zgniół pajaka.

– Coś nie tak, mój Arihanie? – Po raz pierwszy w trakcie tego spotkania Pierwszy nie użył tytułu kapłana. Arihan, choć zaniepokojony, zdołał pokręcić przecząco głową. – Dobrze... tak dobrze... – Pierwszy, wciąż zaciskając pięść z uwięzionym pajakiem, uśmiechnął się szeroko. Wcześniej nigdy tego nie robił. – Wykonasz mą wolę. Oto, co trzeba ci uczynić, żeby sprowadzić człowieka Uldyzjana na naszą stronę... bez względu na to, czy będzie tego chciał, czy nie.

Arihan skłonił głowę i słuchał szczegółów planu. Słuchał uważnie, a wszelkie myśli na temat dziwacznych zachowań swego pana pogrzebał głęboko. W końcu Arihan żył, by służyć Pierwszemu, i tylko to się liczyło.

To i świadomość, że nawet gdyby rzeczywiście były to objawy szaleństwa, w jakie popadał syn Mefista, to nadal mógł zgnieść Arihana tak, jak zgniół pajaka.

DZIEWIĘĆ



Mendelna otaczała ciemność, ciemność, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Podejrzywał, że gdyby teraz biegł ile sił w nogach, tak daleko, jak tylko by zdołał, to i tak nic wokół niego by się nie zmieniło. Wciąż otaczałyby go ciemność i pustka. Jakaś jego część pozostawała nieporuszona, ale ta druga była chorobliwie zafascynowana.

Nadal jednak silniejszy niż fascynacja był niepokój o Uldyzjana i im dłużej tak stał w ciszy, samotny w mroku, tym bardziej robił się niecierpliwy... o ile było to możliwe. W końcu najwyraźniej był więźniem.

„Dlaczego mnie zdradziłeś, Achiliosie? – pytał w duchu. – Dlaczego mnie porwałeś, podczas gdy ja tylko chciałem połączyć cię z pozostałymi? Jaki miałeś powód, by mnie powstrzymać?”

„Ponieważ, to, co chciałeś uczynić, miałoby wielce niefortunne następstwa” – oparł głos, który Mendeln znał doskonale.

Z ciemności wyłonił się kształt, wyłonił, a zarazem pozostawał jej częścią.

Wysoki bladolicy mężczyzna o zbyt idealnych rysach. Mężczyzna otulony opończą był dobrą głowę wyższy od Mendelna, czego ten wcześniej nawet nie zauważył.

– Jakie następstwa? Jakie? Mów wyraźnie! Jakie następstwa?

Ale przybysz zamiast odpowiedzieć na pytania, odwrócił się od Mendelna i spojrzał w górę. Chłopak poszedł za jego przykładem, ale nie zobaczył tam nic prócz wszechobecnej ciemności.

Obcy, który kazał nazywać się Rathmą, zwrócił się do tej pustki.

– No i? Możesz wyczuć, co ona zamierza? – zapytał.

A pustka odpowiedziała:

„Nie... dobrze się w tej materii osłoniła. Tylko jeden może wiedzieć, jak dostać się za tę zasłonę i poznać prawdę...”

Rathma zmarszczył brwi.

– Nie możemy oczekiwać, że ojciec mój udzieli nam pomocy... a i należy przypuszczać, że byłby bardziej od niej nawet skłonny zetrzeć mnie w proch.

„Jest ta drobna kwestia...”

Głowa Mendelna pulsowała bólem za każdym razem, gdy rozlegał się ten drugi głos. Jakby jego umysł nie był dość silny, by doświadczyć tej obecności. Ścisnął skronie dłońmi, próbując odzyskać równowagę.

„Wybacz... – Głos brzmiał teraz mniej intensywnie. – Postaram się mieć twe granice na uwadze”.

Rathma podtrzymał Mendelna.

– Kiedy przemówił do mnie po raz pierwszy, myślałem, że mi rozłupie czaszkę.

– A czy moja właśnie nie pękła? – Mendeln zamrugał, próbując wypatrzyć źródło głosu. – Kim jest ten, który do nas przemawia? Już go wcześniej słyszałem! Pokaż się! – zwrócił się nagle do wszechobecnej ciemności. – Chcę znać wszystkich moich porywaczy!

– Ale nie jesteśmy nimi – poprawił go cicho Rathma. – W żadnym razie. Ani, bez wątplenia, twymi wrogami.

– Ani przyjaciółmi, nie ulega wątpliwości! W przeciwnym razie dlaczego zabrałibyście mnie od Uldyzjana, przy którego boku powinienem trwać zawsze?

„Ponieważ jeśli pragniesz być tam dla niego, gdzie jak najbardziej musisz, trzeba ci zostać teraz z nami...”

– Kolejne zagadki? Kim jesteś, głosie wśród cieni? Przestań się przede mną chować!

– Nie ma mowy, byśmy kontynuowali wyjaśnienia, póki cię nie zobaczy, mój przyjacielu – powiedział Rathma do pustki. – Pomnij tylko, że jest śmiertelnikiem.

„Jest ci niemal równy, Rathmo...”

– Nigdy nie mówiłem inaczej.

Słuchając tej wymiany zdań, Mendeln czuł, że tych dwóch zna się bardzo długo. Więzy między nimi była prawie tak samo silna, jak między Mendelnem a Uldyzjanem...

„Poznaj mnie zatem, Mendelnie ul-Diomedzie... – powiedział głos, wciąż pilnując, by jego intensywność utrzymywała się na poziomie huku w głowie człowieka. – Poznaj mnie jak Rathma poznał...”

I nagle w górze rozbłysły setki gwiazd, płonące blaskiem iskry wirowały jak pochwycone potężnym wichrem. Było ich tyle, że Mendeln musiał osłonić oczy. Początkowo zdawały się wirować w całkowicie przypadkowy sposób, ale szybko zaczęły gromadzić się w określonych miejscach i powoli formować kształt, kształt widoczny jedynie w połowie, ale Mendeln zdołał go odgadnąć.

Widział istotę z mitów i legend, pojawiającą się w bajkach, ale nigdy w rzeczywistości. W dzieciństwie Uldyzjan z upodobaniem straszył młodszego braciszka takimi opowieściami... a Mendeln kochał je wszystkie.

Jednak teraz... teraz widział giganta na własne oczy, i to stworzonego z gwiazd... Stał niezdolny wykrztusić choćby słowa.

To był... smok. Długi, mocarny, podobny wężowi smok, tak ogromny, że nie dało się tego wyrazić słowami.

„Smok cię wybrał”... te słowa, albo bardzo podobne, Mendeln zobaczył wyryte na kamieniu na upiornym cmentarzu w Parcie. Smok cię wybrał...

Niebiańska istota skierowała oczy, niesamowite skupiska mniejszych gwiazd.

„Poznaj mnie... – powtórzyła. – Poznaj Trag’Oula...”

– Ten, Który Jest Wieczny – dodał Rathma uprzejmie, jakby zdumiewający spektakl nie robił na nim wrażenia. – Przynajmniej tak brzmi jedno ze znaczeń. Jest ich kilka.

Ale Mendeln właściwie go nie słyszał, bo gdy smok przemawiał, zmieniał się nieustannie... i w ten sposób odsłaniał przed człowiekiem kolejne oszołamiające aspekty swej istoty.

W każdej łusce Mendeln dostrzegał krótkie przebłyski życia. Swojego życia.

Widział siebie jako niemowlę w ramionach matki. Krzyknął na ten widok. Ból spowodowany jej stratą, stratą całej rodziny, powrócił nagle ze zdwojoną siłą.

Zmusił się, by oderwać spojrzenie od tej chwili, i oto scena za sceną przewinęły mu się przed oczyma lata żalostnej egzystencji śmiertelnika, która dla Trag’Oula była zapewne niczym mrugnięcie.

Próbując otrząsnąć się z poczucia własnej znikomości, Mendeln spojrzał na ów niesamowity byt jak na całość... i wtedy zauważył, że nie tylko jego życie przewijało się przed nim, ale setki, nie, tysiące innych.

Wszyscy tu jesteśmy, zrozumiał. Cała Ludzkość, od pierwszego... każda łuska... każda łuska jest miarą jakiejś części nas.

I gdy przyglądał się kolejnym ludzkim istnieniom, jego wzrok zatrzymał się na Uldyzjanie. Obrazy obu braci przeplatały się wzajemnie, co oczywiście było jak najbardziej zrozumiałe. Razem czy osobno, łączyło ich coś więcej niż krew.

Jednak w miarę jak ich życia rozwijały się na ciele gigantycznego smoka, tym bardziej bracia oddalali się od siebie. Mendeln zobaczył, jak

odkrywa tajemniczy kamień niedaleko granicy Seram, jak jego brat zostaje uwiedziony przez Lilith w ciele Lylii. Kolejne obrazy pojawiały się coraz szybciej. Parta. Lucion. Śmierć Achiliosa. Toradża. Serentia. I tak dalej, aż...

Trag'Oul poruszył się i życiorysy synów Diomedesa zginęły w morzu żywotów. Mendeln znów krzyknął i spojrzał w gwiazdne oczy smoka.

„Niczego więcej nie powinieneś poznać. Albowiem dalej leży wymiar prawdopodobieństwa i ujrzałbyś ścieżki, które nie zostały jeszcze wybrane. Byłoby wielce niebezpieczne dla ciebie i świata próbować wybrać jedną z nich, zanim życie owego wyboru nie dokona...”

Mówił o przyszłości. Smok odzwierciedlał nie tylko przeszłość i terażniejszość, ale również to, co mogło się wydarzyć. Teraz dopiero uderzył Mendelna nieskończony bezmiar bytu, który widział nad sobą. Czuł, że Trag'Oul objawił przed nim i nawet przed Rathmą zaledwie niewielką część swej istoty.

– Czym...? – wykrztusił z trudem, zwracając się do mężczyzny w czarnej opończy.

– Czym jest, chciałeś spytać? – Rathma wskazał nieustannie zmieniający się kształt. – Nawet Trag'Oul nie wie tego do końca. Istnieje niemalże od początków stworzenia, choć nie do końca w takiej formie.

„Nie... ta przyszła później”.

Łuski zmieniły kształt i położenie, nieustannie pokazując inne życia, inne czasy.

„Ta przyszła wraz z odnalezieniem Kamieni... z ukształtowaniem Sanktuarium przez renegatów, anioły i demony”.

Mendeln nie miał pojęcia, o czym mówił smok, poza tym, że wspominał coś o demonach. Spojrzał gniewnie w stronę Rathmy, którego twarz zdała się Mendelnowi bardzo podobna do innej... za bardzo, prawdę powiedziawszy.

I nagle zrozumienie uderzyło go niczym strzała w samo serce. Dokładnie wiedział, kim jest jego towarzysz.

– Ty i ona! – eksplodował wściekłością, wskazując Rathmę gestem pełnym potępienia. Tamten jednak stał nieruchomy niczym śmierć. – Ty i ona! Widzę ją w tobie! Należysz do niej! Do niej!

Mendeln przyzwał słowa mocy. Słowa otrzymane w darze od tego, którego teraz zamierzał zaatakować.

Rathma uniósł dłoń. Natychmiast pojawił się w niej kościany sztylet. Gdy tylko Mendeln wypowiedział ostatnią sylabę, sztylet rozbłysnął intensywnym światłem.

Blask był tak niespodziewany i obcy w tym miejscu, że Mendeln, któremu oczy przywykły już nieco do ciemności, oślepnął natychmiast. Zatoczył się z krzykiem.

„Dobrze przyswoił sobie twe nauki, Rathmo...”

– Za dobrze nawet. Niemal się spóźniłem. Ale jego umysł... jego duch nie są do końca zestrojone z Równowagą.

„Odsłanianie siebie przed potomstwem Lilith może prowadzić do nieoczekiwanych rezultatów. Musisz brać pod uwagę emocje, Rathmo. Czasem odnoszę wrażenie, iż za głęboko wzięłeś sobie moje nauki do serca, przyjacielu”.

Mendeln nie zwracał uwagi na tę wymianę zdań, skupiony całkowicie na próbach odzyskania wzroku. Wciąż się przy tym cofał, mając nadzieję, że umknie demonowi.

– Nie jestem demonem... a przynajmniej nie całkiem, Mendelnie – zapewnił go Rathma, jakby czytając jego myśli.

– Wynoś się z mojej głowy!

– Mamy to już za sobą, mój uczniu. Dowiodłeś, żeś gotów przyjąć, co ci zaoferowałem tego dnia, kiedy niedaleko wioski zademonstrowano ci kamień. To był twój pierwszy sprawdzian...

– Sprawdzian z czego? Chcieliście zobaczyć, czy nadam się na sługę demona?

Gwiazdy nad jego głową poruszyły się gwałtownie. Mendeln spojrział w górę i zobaczył, że Trag’Oul patrzy niemalże z wyrzutem.

„Bywasz nadto arbitralny, Rathmo. Wyjaśnij mi wszystko dokładnie. Opowiedz o linii krwi. Powiedz o Lilith...”

– Zamierzałem – po raz pierwszy w głosie Rathmy dało się słyszeć cień emocji, jakby irytacji? – Wiesz, że zamierzałem.

„Ostatecznie...”

Gwiazdy znów zmieniły położenie, kolejne żywoty pojawiły się przed oczami Mendelna. Żaden się nie powtórzył.

„Zawsze w końcu...”

– Tak, być może waham się, mimo tego, co powiedziałem o konieczności pośpiechu. – Rathma westchnął nieoczekiwanie. – Mendelnie, synu Diomedesa, który był z kolei synem Teronusa, który był synem Hedassyiana... Powiadam ci, że pochodzisz z mojej krwi, jesteś moim własnym potomkiem... a przez to i tej, którą nazywasz Lilith...

„I także Inariusza wspomnij...”

– Niedługo dowie się i o Inariusie – Rathma uważnie obserwował Mendelna, trzymając sztylet w pogotowiu.

Ale ten nie próbował nikogo atakować ponownie, nie próbował nawet protestować. Umiejętności, jakie posiadał poprzez Rathmę, umożliwiły wyłuskiwanie prawdy ze słów innych.

– Nie kłamiesz... – wycharczał. – Upewniłeś się, że poznam tę prawdę! – Potrząsnął głową. – Uldyzjan i ja... pochodzimy od niej?

– Jak i kilku innych, dzieli was ogromna liczba generacji. I jak powiedziałem, pochodzisz też i ode mnie i ta liczba jest znacznie mniejsza...

Mendeln próbował to wszystko jakoś ogarnąć umysłem.

– To dlatego ona wybrała jego, a ty mnie? Bo łatwiej manipulować kimś, kto ma w żyłach waszą piekielną krew?

Po raz kolejny wyraz irytacji przemknął po twarzy Rathmy, ale zanim ten zdążył coś powiedzieć, gwiazdy raz jeszcze zawirowały i ponownie utworzyły kształt Trag'Oula.

„Pokój... – mruknął, jak umiał najłagodniej. – Jeśli Rathmę można nazwać demonem, tak i ciebie, i każdą istotę ludzką. Bowiem po części od demonów się wywodzicie, ale nie można zapominać o aniołach... ich rola w waszym stworzeniu była nie mniejsza...”

Demony i anioły.

Myśl, że on, że każdy człowiek od nich pochodził, wydała mu się niedorzeczna. Ale i tym razem umiejętności, jakie dał mu Rathma, sprawiły, że musiał dostrzec prawdę w tej koncepcji.

Nadto owa teoria pokrywała się z tym, co wyjawiał na temat Lilith. Mendeln w duchu zawsze odrzucał jej słowa, chciał w nich widzieć jedynie kłamstwa opowiadane po to, by pognębić Uldyzjana.

„Ale jedyne kłamstwa to te, które sam sobie wmawiałem” – pomyślał.

– Dobrze zatem. Wiesz, że muszę wam uwierzyć. Ale co to oznacza? Nie będę waszym pionkiem, jak mój brat nie poddał się jej!

Rathma westchnął z irytacją. Mendeln zdawał sobie sprawę, że te drobne gesty są wyrazem ogromnych emocji.

– Nie szukamy marionetki! Moja matka ma taki zwyczaj... i mój ojciec, jak wszystko na to wskazuje. Nie, Mendelnie, synu Diomedesa, szukamy kogoś, kto zdołałby powstrzymać wydarzenia, którym przeznaczone było się wypełnić od samego początku...

Smok poruszył się w górze. Dla Mendelna Trag'Oul miał w sobie więcej emocji niż towarzyszący mu mężczyzna, kiedy więc gigant przemówił, Mendeln od razu wychwycił potrzebę pośpiechu, jaką smok chciał przekazać.

„Rathma mówi o niemądrym pomyśle swego ojca. Pomyśle, by Sanktuarium pozostało tajemnicą dla tych poza nim. Jego istnienie już jest widome mieszkańcom Płonących Piekieł... a obłąd Lilith ujawni istnienie tego świata Królestwu Niebios...”

To dzięki Lilith Uldyzjan, a co za tym idzie i Mendeln poznali nazwę świata, nadaną mu przez jego stwórców, jak również kilka faktów z burzliwych początków Sanktuarium. Jednak Lilith nigdy nie wspomniała o tym, co się stanie, gdy ci, przed którymi renegaci szukali schronienia, dowiedzą się o istnieniu świata. Dotąd nie wydawało mu się to szczególnie istotne, wszelako teraz zrozumiał, że była to najważniejsza ze wszystkich kwestia. Przerazenie pochwyliło go w żelazny uścisk i niemal nie był w stanie otworzyć ust.

– I co wtedy? – wymamrotał.

„Wtedy, nawet gdy Lilith zostanie pokonana, a Inarius zaoferuje pokój... co zdaje się zgoła niemożliwe... najpewniej Sanktuarium i wszystko, co w sobie zawiera – a tego nawet najpotężniejsi po każdej ze stron wyobrazić sobie nie zdołają – zostanie zniszczone”.

– Ale dlaczego?

Z ruchów gwiazdnego cielska Mendeln wywnioskował, że nawet ów zdumiewający gigant jest głęboko poruszony tym, o czym rozmawiają.

„Bo to właśnie robią anioły i demony, gdy natrafią na cokolwiek, co mogłoby dać przewagę jednej ze stron. Walczą o to tak długo, póki nie zniszczą tego, czego pożądamy... los wielce ponury, zawrzeć jednak to lepiej niż stać się mięsem dla którejkolwiek ze stron”.

– I dlatego potrzebujemy ciebie, Mendelnie, synu Diomedesa – dodał Rathma. – I dlatego naprawdę potrzebujemy, byś stanął wraz z nami... z własnej i nieprzymuszonej woli, oczywiście.

Mendeln z trudem przełknął ślinę.

Po raz pierwszy zobaczyli Haszir około południa czwartego dnia wędrówki, tak jak życzył sobie Uldyzjan. Przeszli przez rozległą dżunglę tak szybko,

jak jeszcze chyba nikt przed nimi. Przynajmniej tak twierdzili Tomo, Saron i wielu innych toradżan, a Uldyzjan nie miał powodu, by im nie wierzyć.

Odległy Haszir widoczny za wzniesieniem był o połowę mniejszy od Toradży, a jednak Uldyzjan nie miał wątpliwości, że zniszczenie tej świątyni będzie kosztowało go po stokroć więcej wysiłku. Ale liczył nieustannie, że uda się uniknąć rozlewu krwi... o ile było to możliwe na tym etapie.

– Chcę wejść do miasta w pokoju – zapowiedział edyremom. – Chcę, żeby wszyscy zobaczyli, tak jak w Toradży, że nie mam żadnych wrogich zamiarów wobec tych, którzy nie mają wrogich zamiarów względem nas. To bardzo ważne.

– Trójca wie, że zmierzaliśmy w tę stronę. Mieli czas, by przygotować się na nasze nadejście, mogli zatruć umysły ludzi – stwierdziła Serentia. – Mogą nas nie przyjąć tak dobrze jak w Toradży.

Kilku innych pokiwało głowami na poparcie tych słów. Uldyzjan jednakże nie zmienił zdania.

– Nie jesteśmy jak Świątynia Trójcy czy Katedra Światłości. Przychodzimy tu z otwartymi rękami... lecz chwycimy nimi za broń, gdy zajdzie potrzeba.

Uldyzjan polecił większości rozbić obóz na tyle daleko od miasta, by byli poza zasięgiem wzroku hasziran. Ze sobą zabrał jedynie pięćdziesięciu edyremów, w tym Tomo i Serentię. Pozostałych zostawił pod pieczęcią Romusa, któremu ufał najbardziej.

Z każdym takim dowodem wiary i zaufania padał na kolana i ujmował dłoń Uldyzjana, by palcami jego dłoni dotknąć swego czoła.

– Mistrzu, nie zawiodę was. Nigdy. Ocaliliście mnie przed samym sobą. To największy dar, jaki w życiu otrzymałem.

– W pełni zapracowałeś na moje zaufanie. – Uldyzjan podniósł go z klęczek. – Jeśli nie wrócimy do jutrzejszego poranka, wiesz, co należy uczynić.

Romus zgrzytnął zębami, zacisnął dłonie w pięści.

– Wróćcie, mistrzu! Wszyscy wróćcie.

Uldyzjan chciałby podzielać tę pewność. Im bliżej miasta podchodzili, tym chętniej odprawiłby Serentię i pozostałych i wszedł do Hasziru sam. W razie zasadzki przynajmniej nikt poza nim nie zostałby schwytany.

Ale widział doskonale, że Serentia nigdy nie zgodziłaby się pozostać na tyłach. A i reszta edyremów zaprotestowałaby gorąco, gdyby chciał iść sam, bez wsparcia. Byli niezwykle czuli na punkcie jego bezpieczeństwa, choć on sam potężniejszy był niż cała reszta razem wzięta.

No może z wyjątkiem Serentii. W drodze do Hasziru Serentia w pełni zasłużyła na stanowisko zastępcy Uldyzjana i jej słowo cieszyło się takim samym szacunkiem jak jego. Uldyzjan nie potrafiłby się już obejść bez jej rady, tak jak i nie umiałby bez niej samej.

I dlatego też w noc poprzedzającą dotarcie do Hasziru poddał się uczuciom swoim i jej.

Nawet cień Achiliosa nie mógł już powstrzymać Uldyzjana. Ich połączenie trwało długo. Oboje dali upust tłumionym od dawna potężnym emocjom, związanym z tym, co utracili, i tym, co odnaleźli. Czerpali ukojenie i spokój płynące z zażyłości, z wieloletniej bliskości. Ona jedna została Uldyzjanowi z dawnego życia.

Teraz u jego boku prowadziła niewielką grupę edyremów do bram miasta. Uldyzjan z rozmysłem wybrał do tej grupy zarówno partan, jak i toradzan. Napotkani po drodze hasziranie przyglądali się jasnoskórym przybyszom ze zdumieniem, zapewne dotąd nigdy nie widzieli żadnego asceńczyka.

Nie wiadomo, czy straż przy bramie była równie zaskoczona, bowiem wartownicy stali nieruchomo z czujnością wymalowaną na twarzach. Ruch trwał nieprzerwanie. Drewniane wózki zaprzęzione w osły, piesi pielgrzymi w długich szatach, bogato odziani kupcy na końskich grzbietach i wielu innych, przewijali się w obie strony, obrzucani uważnymi spojrzeniami

wartowników. Krągły żołnierz, zapewne oficer, przyglądał się obcym, gdy już mieli przekroczyć bramę.

– Niesiecie dobra na targ? – spytał, choć widział doskonale, że idą z pustymi rękami.

Uldyzjan zaprzeczył ruchem głowy.

– Zatem pielgrzymi. Skąd pochodzisz, asceńczyku?

– Z wioski Seram. Moi towarzysze zaś z miast Party i Toradży.

– Rozpoznaję toradżan, asceńczyku – burknął strażnik. – Ale Parta, Seram... o nich nigdy nie słyszałem – wreszcie wzruszył ramionami. – Przestrzegaj praw, a Hasziru zawsze powita cię z radością.

– Przepelnia nas wdzięczność i szacunek dla Hasziru za jego gościnność – odparł Uldyzjan zgodnie z naukami, jakich udzielał mu Tomo. Ludzie z tych okolic zwykli wyrażać wdzięczność miastu, którego granice przekraczali.

Fakt, że Uldyzjan znał właściwą odpowiedź, rozjaśnił nieco srogą minę strażnika, który machnięciem dłoni nakazał im przekroczyć bramę miasta.

Hasziru przypominał Toradżę. Uldyzjan wiedział już – i widział w tym dowód na przewrotność losu – że mniejsze z miast było kolebką większego. Dawno temu z Hasziru została wysłana ekspedycja i jej członkowie założyli miasto, które nazwano na cześć bohatera.

W Hasziru wzdłuż ulic również ciągnęły się szpalery drzew, ale nie widać było małych, otaczanych szacunkiem w Toradży. Zamiast tego w listowiu gnieździły się rozmaite barwne ptaki, niektóre z nich były egzotyczne i niespotykane nawet dla Tomo i jego ziomków.

– Mówią, że hasziranie przywożą do miasta piękne ptaki, na które natykają się podczas swoich podróży, żeby ich rodzime niebo miało piękniejsze barwy – wyjaśnił Tomo, patrząc na ptactwo wielkimi oczyma. – Zawsze myślałem, że to takie puste przechwałki, bo Hasziru teraz jest już w cieniu Toradży... ale takie cuda?! Widzieliście tego?

Uldyzjan musiał przyznać, że ptaki były niczym olśniewający, zmienny gobelin, ale hałas, jaki czyniły, że nie wspomnieć o zostawianych wszędzie odchodach, wydatnie zmniejszył jego zachwyty. Zateśnił za trelami pojedynczych ptaków, jakie zdarzało mu się słyszeć w rodzinnej wiosce.

Hasziranie obrzucali ich grupę zaciekawionymi spojrzeniami, szczególnie chętnie popatrywali na Serentię. Uldyzjan poczuł się nieco zazdrosny, ale zdołał stłumić w sobie to uczucie. Patrzył tylko, czy kto aby nie odczuwa pokusy, by stać się nadto przyjaznym.

Tutejsi ludzie ubierali się podobnie do toradżan, z tym że wielu nosiło srebrne pasy i kolczyki w nosie z tego samego metalu. Na ulicach spotkać można było i innych przybyszów z dalekich stron. Na przykład żółtoskórych kupców z ziem na wschód od Kedżanu, którzy ze swymi wąskimi oczyma i nieprzeniknionymi minami zdawali się podobni do kotów. Szczególnie partanie przypatrywali im się z ciekawością, choć i toradżanie zdradzali objawy zainteresowania.

Symbolem miasta był lew dżungli, wyrzeźbiony na niejednej bramie czy kolumnie. Zwierzę najczęściej przedstawiano złowieszczo szczerzące zęby, przez co Uldyzjanowi przypominało demona.

I wreszcie zobaczyli powód, dla którego przybyli do miasta. Nad okrągłymi budynkami wznosiły się trzy znajome wieże Świątyni.

Uldyzjan chciał ruszyć tam bez zwłoki, ale marsz na Świątynię tylko wzbudziłby wrogość mieszkańców Hasziru, którzy chyba jednak nie zostali nieprzyjacielsko nastawieni. Co znaczyło, że to, co zadziało w Toradży, mogło sprawdzić się i tutaj.

Owalny rynek miejski znaleźli przy głównej ulicy. Dwie fontanny ustawione w przeciwległych krańcach bulgotały entuzjastycznie. Towary wykładane na wozach i wystawiane w namiotach były niekiedy tak egzotyczne, że na chwilę zaprzętnęły nawet uwagę Uldyzjana. Ale ten szybko wrócił myślami do Świątyni. Wkrótce też znalazł, czego szukał. Pośrodku rynku wzniesiono platformę, używaną przy okazji wydarzeń

publicznych, na której teraz domorośli prorocy prawili swe kazania każdemu, kto zechciał ich słuchać. Większość zebrała garstkę słuchaczy zaledwie, a i to nie zawsze.

– Po prawej – zwrócił się Uldyzjan do towarzyszy. – To będzie nasze miejsce.

Kiedy podszedł bliżej platformy, kilku obdartych mówców zamilkło na chwilę, ale Uldyzjan był pewien, że powodem była jego jasna skóra, nic innego. Ukłonił się grzecznie jednemu, a ten w odpowiedzi obdarzył go pogardliwym grymasem.

Edyremowie ustawili się zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami. Kilku, w tym Serentia, stanęło przy Uldyzjanie, reszta zmieniła się w publiczność. Tej sztuczki nauczył się Uldyzjan w Toradży, podpatrzywszy, jak niektórzy kaznodzieje podstawiali swych ludzi jako „nawróconych”, żeby zwrócić uwagę innych, którzy zechcą się przekonać, co też przyciągnęło tłum. Uldyzjan nie uważał tego za oszustwo, w końcu jego edyremowie szczerze i głęboko wierzyli, a dołączyli doń, wysłuchawszy go na podobnym rynku.

Jeden czy dwóch miejscowych dołączyło do publiki, zanim Uldyzjan zdążył choćby odchrząknąć, niewątpliwie zaintrygował ich jego obcy wygląd. Nie miał nic przeciwko temu. Swego czasu Tomo i jego kuzyn postąpili dokładnie tak samo. Nie oni jedni zresztą.

– Nazywam się Uldyzjan – zaczął, wzmocniwszy swój głos mocą. Głowy poczęły odwracać się w jego stronę. Uldyzjan starał się mówić spokojnie, przyjacielskim tonem, ot, jak jeden człowiek do drugiego. Wiedział, że to on sam przyciąga ludzi, nie jego słowa. – Proszę jedynie, byście posłuchali mnie przez chwilę.

Kolejnych kilku hasziran dołączyło do publiczności. Edyremowie nieznacznie zmienili pozycje, tak by nowo przybyli mogli lepiej widzieć Uldyzjana. Im więcej hasziran przychodziło, tym bardziej towarzysze Uldyzjana przesuwali się na tyły. Odzywali się tylko wtedy, gdy zadano im

jakieś pytanie. Uldyzjan chciał, by jego obecność była dla ludzi jedynym powodem przyjęcia daru.

Zaczął mówić o swym prostym życiu; o tym, że nie różnił się wcale od żadnego z nich. Zanim dotarł w swej opowieści do momentu, w którym odkrył swą moc, nowych słuchaczy było znacznie więcej niż tych, z którymi tu przybył. A kolejni nieustannie zmierzali w jego stronę. Serentia uśmiechnęła się doń pokrzepiająco. Wszystko wskazywało na to, że Haszir okaże się miejscem podobnym do Party, pełnym akceptacji, a nie strachu i nienawiści.

Nie jak utracone Seram.

Uldyzjan wiedział, że tłum na rynku należy już do niego. Na niejednej twarzy malowała się gotowość do poznania daru. Nie wyczuwał też żadnej wrogości, żadnego podstępu wśród zebranych. Spodziewał się przynajmniej jednego sługi Świątyni pomiędzy słuchaczami, ale choć szukał, żadnego nie znalazł.

Być może zaszyli się w Świątyni i przygotowują się do bitwy.

Jeśli tak, nie będą czekać długo.

Wszelki ruch na rynku ustał. Pozostali mówcy zamilkli już dawno, jeden nawet stał wśród słuchaczy Uldyzjana z zaabsorbowaną miną.

Zbliżając się do podsumowania swej mowy, Uldyzjan stworzył kulę światła. W tłumie rozległy się okrzyki zdumienia. Uldyzjan zgasił kulę. Dowiódł swych słów. To, o czym mówił, nie było oszustwem ani wymysłem. Magią – tak, ale taką, która dostępna była dla wszystkich, którzy tylko zechcą.

Strażnicy miejscy, wcześniej patrolujący rynek, teraz stali na krańcach tłumy. Obserwowali poczynania Uldyzjana z obojętnymi minami – przynajmniej takie mieć powinni – ale kilku zdawało się zainteresowanych jego przemową. Inni wykonywali swe obowiązki jak co dzień i Uldyzjan nie czuł z ich strony zagrożenia. Nadal pilnie wypatrywał sług Świątyni i nadal ich nie dostrzegał.

Wreszcie skończył mówić i, jak zawsze, zaproponował, że pokaże chętnym, jaki drzemie w nich potencjał. Tak jak się spodziewał, słuchacze zawahali się przez moment i wreszcie znalazła się pierwsza odważna osoba – młoda kobieta o twarzy zasłoniętej woalem wystąpiła z tłumu. Uldyzjan powtórzył te same kroki, które sprawdziły się już w Parcie i Toradży. Nie był zaskoczony, słysząc, jak kobieta gwałtownie nabrała powietrza, gdy tylko poczuła zachwyt i natychmiastowe zrozumienie.

Jej reakcja sprawiła, że niemal wszyscy będący z przodu zapragnęli pójść w jej ślady. Edyremowie stojący przy Uldyzjanie próbowali zaprowadzić nieco porządku, ale nawet wtedy wyciągał się ku niemu cały las rąk. Każdy chciał być następny.

„Każdy wyobraża sobie to inaczej – pomyślał Uldyzjan, wybierając jednego z chętnych. – Ale potem wszyscy widzą dar tak samo. Nikt nie postrzega go jako drogi do wykorzystywania innych”.

Już nieraz się nad tym zastanawiał. Czy to dlatego, że to on niósł dar do ludzi? Gdyby to był ktoś taki jak Malik, czy edyremowie byliby gotowi z własnej woli służyć Trójcy?

Uldyzjan nie mógł w to uwierzyć. Pozdrowił człowieka stojącego przed nim i nie wyczuł w mężczyźnie cienia zła. Na pewno daru nie można zbrukać.

Ale Lilith, Malik, Lucion byli innego zdania...

Tłum rósł nieprzerwanie. Uldyzjan mógł już tylko skupić się na swych wysiłkach. Ludzie najwyraźniej przekazywali sobie wieści o nim, bo nagle zdał sobie sprawę, że czeka ich więcej, niż początkowo w ogóle było na rynku. Nawet w Parcie nie spotkał się z taką gotowością do przyjęcia daru. Dopiero gdy wyleczył dziecko, ludzie się doń przekonali. W Toradży trzeba było jeszcze więcej wysiłku. A hasziranje zachowywali się tak, jakby oczekiwali przybycia Uldyzjana z niecierpliwością.

Zduślił w sobie niepokój. Już od jakiegoś czasu koncentrował się jedynie na ludziach chętnych dać wiarę jego słowom, zaprzestał przeszukiwania

tłumu. Teraz szybko nadrobił to zaniedbanie.

Odkrył ich natychmiast. Wmieszali się w tłum, głównie pomiędzy tych, co przyszli najpóźniej. Czekali, aż cała uwaga Uldyzjana skupiona będzie bez reszty na czymś innym, i dopiero wtedy się pojawili.

Strażnicy Pokoju.

Bez swych uniformów nie wyróżniali się z tłumu. Po raz któryś z kolei Uldyzjan okazał się zbyt pewny siebie. Rzucił wyzwanie Świątyni i Trójca mu odpowiedziała.

Ale dopuszczenie zabójców blisko siebie, a pozwolenie im na zwycięstwo – to były dwie różne sprawy. Uldyzjan bez trudu odnalazł trzech, którzy stali najbardziej z przodu. Jednak gdy sięgnął myślą do ich broni, żadnej nie znalazł. Mieli nadzieję zadusić go gołymi rękami? Po cóż wysyłać nieuzbrojonych żołnierzy przeciwko komuś, kto bez trudu jest w stanie ich pokonać?

A może nie jest? Gdyby spróbował, to dla pozostałych będzie wyglądało, jakby zaatakował prostych ludzi. Za pierwszymi trzema Strażnikami zauważył dwóch kolejnych. Pięciu. I nadal nie wiedział, w jakim celu się tu zjawili. Starali się dotrzeć do niego, choć zapewne wiedzieli już, że ich zauważył. Co takiego chciała osiągnąć Świątynia?

I nagle zrozumiał.

Zostawił proszących o dar. Poszukał myślami Serentii.

Znalazł ją, ale nie samą. Małeńka dziewczynka i starszy mężczyzna trzymali ją za ręce. Serentia najwyraźniej chciała przyprowadzić tych dwoje do Uldyzjana. Jednak wyraz jej twarzy, zaskoczony i zmieszany, świadczył o tym, że zaczynała sobie uświadamiać, że coś jest nie w porządku.

Dla wyczulonych zmysłów Uldyzjana coś było bardzo nie w porządku. Widział, kim są naprawdę, bo choć przybrali cudzą postać, wyglądali niepozornie i sprawiali wrażenie słabych, tak naprawdę oblicza mieli przerażające.

Morlu.

Uldyzjan sięgnął ku Serentii – moc w nim wezbrała i gotów był zaatakować wrogów w przebraniu.

Ale morłu zniknęli... a wraz z nimi Serentia.

DZIESIĘĆ



„Nie znowu! Nie znów!”

Te dwa słowa rozbrzmiewały w głowie Uldyzjana bez przerwy. Najpierw Achilios, potem Mendeln, a teraz Serentia. Wszyscy, którzy byli mu bliscy, ginęli jedno po drugim. Nic nie było w stanie ukoić jego bólu, tym bardziej, że podejrzewał już, co stało się z jego bratem. Morlu wykorzystali jakiś czar, pojawili się przy Mendelnie i porwali go tak jak przed chwilą Serentię.

Ale nieważne, jak tego dokonali – ważne było jedynie to, by ratować dziewczynę. Świątynia uknuła dobry plan, nikt nie zauważył, że Serentia zniknęła. Edyremowie pochłonięci byli próbami utrzymania porządku, przy czym z polecenia Uldyzjana nie wolno im było korzystać ze swych mocy. Teraz, zaalarmowani przez Uldyzjana, odwracali się z niedowierzaniem na twarzach w stronę miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą stała dziewczyna.

I wtedy, ku zdumieniu Uldyzjana, Serentia pojawiła się z powrotem wraz ze swymi porywaczami.

Stała niczym duch z innego wymiaru przywołany do tego świata, otoczona złotą poświatą aury. Włosy jej powiewały jakby targane wiatrem. Usta wykrzywił ponury uśmiech.

Spowijający dziewczynę blask strzelił nieoczekiwanie w stronę postaci trzymających ją za ręce. Zarówno staruszek, jak i dziewczynka zasyczeli nieludzko. W mgnieniu oka ich skóra stanęła w ogniu, a gdy tylko się dopaliła, zmienił się zarówno ich kształt, jak i rozmiar. I dwóch morlu stanęło obnażonych przed tłumem.

– Strzeżcie się prawdziwego oblicza Trójcy! – zakrzyknęła Serentia. – Strzeżcie się zła ukrywanego przed wami przez lata.

Jeden z morlu sięgnął za plecy, szybki niczym błyskawica. I ułamek sekundy później błysnęło zakrzywione ostrze tak długie jak ramię Uldyzjana.

Ale Serentia tylko zmierzyła makabrycznego wojownika spojrzeniem i klinga zmieniła się w proch, który sypnął prosto w oczodoły zaskoczonemu morlu.

Serentia wypuściła dłoń nieumarłego... a ten nagle uniósł się w powietrze, poleciał nad tłumem jak liść niesiony porywistym wiatrem. Wznosił się wyżej i wyżej, aż w końcu uderzył w dach jakiegoś odległego budynku.

Drugi morlu tymczasem trwał dziwnie nieruchomy. Uldyzjan wiedział, że przyczyną tego była Serentia. Jej aura wciąż spowijała pechowego wojownika, który ani drgnął, podczas gdy dziewczyna odebrała mu jego własną broń i jednym szybkim ruchem pozbawiła głowy.

Gdy bezwładny korpus zwałił się na ziemię, Serentia podniosła oczy na Uldyzjana.

– Świątynia określiła swoje stanowisko! Nie zostawili nam wyboru! Musimy ruszyć przeciwko Trójcy, i to natychmiast!

Jej determinacja stapała się z tym, co sam czuł. Wiedział doskonale, jakie były zamiary kapłanów względem Serentii, i jego gniew rozpałił się w okamgnieniu. Jednak przysięgał zachować kontrolę. Nie chciał, by powtórzyły się niedawne wydarzenia.

– Ludzie Hasziru! – krzyknął. – To jest prawda o Świątyni Trójcy! To jest...

Jego głowę wypełniły nagle ohydne szepty. Poczuł nacisk na czaszkę, jakby coś próbowało ją zgnieść. W jego myślach pojawił się obraz chudego brodatego mężczyzny, który mimo podeszłego wieku emanował ciemnością taką jak Malik. Niewątpliwie był to kolejny z arcykapłanów Świątyni.

Uldyzjan zdołał odeprzeć nacisk. Wyczuł przy tym konsternację przeciwnika ukrytego gdzieś w trzewiach przybytku.

Serentia natychmiast pojawiła się u jego boku. Położyła mu dłoń na głowie pełnym troski gestem.

– Uldyzjanie, kochany! Co oni ci robią?

Nie mógł jej odpowiedzieć, bo przeszył go ból tak dojmujący, że niemal stanęło mu serce. Uldyzjan mgliście wyczuwał, że Serentia nie przestaje doń wołać. Gdzieś dalej, w tle, rozbrzmiewały krzyki innych.

Krzyki... i wrzaski. Zrozumiał, że w tłumie było ukrytych więcej morlu. Spróbował się podnieść, ale ból był zbyt dotkliwy. Zdołał tylko spojrzeć w górę, na Serentię, ale jej twarz była rozmazana, nierówna.

Wrzaski przybrały na sile. Niebo stało się czerwone. Nic z tego nie rozumiał...

Serentia krzyknęła krótko i upadła. Uldyzjan potoczyłby się na bruk, gdyby nie kolejna para rąk, która złapała go mocno.

– Trzymam cię – powiedział mu ktoś do ucha.

Głosem Mendelna.

Zanim Uldyzjan zdołał zareagować, świat zawirował. Krzyki i wszelkie inne dźwięki zdawały się dobiegać z drugiego końca długiego tunelu. Usłyszał jeszcze, jak Serentia woła jego imię... i pochłonęła go ciemność.

Ciemność i gwiazdy.

Arihan nie miał najbledszego pojęcia, dlaczego plan się nie powiódł. Wszystko było przygotowane, słudzy znaleźli się na właściwych miejscach i znali swoje role.

„Pochwyć kobietę – rozkazał Arihanowi Pierwszy. – Pochwyć kobietę, a założysz jarzmo na kark mężczyzny”. Arihan natychmiast zrozumiał mądrość tych słów. Jedno spojrzenie w kryształową kulę wystarczyło mu, by dostrzec, jak bardzo głupiec przywiązany jest do swej towarzyszki. Zrobi wszystko, by nie stała się jej krzywda, odda duszę... a tego właśnie pragnęła Trójca.

Ale wszelkie źródła donosiły, że kobieta jest dużo słabsza. A tymczasem w Haszirze zademonstrowała umiejętności, jakich nie posiadał nawet Uldyzjan ul-Diomed. Arihan gotów byłby przysiąc, że była od swego towarzysza znacznie potężniejsza. Dwóch morlu osłoniętych czarem, jaki arcykapłan otrzymał od Pierwszego, nie wystarczyło, by ją pokonać.

Arihan patrzył w kryształową kulę i gorączkowo pytał, co się stało. Nikt nie potrafił udzielić mu odpowiedzi. Niemniej plan zakończył się katastrofą. Morlu byli dowodem, że Trójca miała mroczną stronę, której zwykle nie pokazywała swym wyznawcom. Arcykapłan, widząc nastroje tłumu, przewidywał wściekły atak na Świątynię, który mógł skończyć się jedynie rozlewem krwi.

Bolesny hałas, jaki rozlegał się w jego głowie, skłonił arcykapłana do ponownego wejrzenia w kulę. Ledwie to uczynił, zaklął siarczyście, zobaczył bowiem, co wymyślili ci, którym podlegało miasto. Jakiś skończony głupiec uznał, że skoro arcykapłan nie zareagował na niefortunny obrót spraw, trzeba to uczynić za niego.

I tak ów kretyn wysłał resztę morlu za wieśniakiem i jego bandą. I nie pomyślał, jak ludzie zareagują na kolejne odsłonięcie prawdziwej natury Świątyni Trójcy.

„Zasługują na swój los, imbecyle!” – pomyślał Arihan i zrywając kontakt z kapłanami, zaczął oceniać straty, jakich przyczyniły Świątyni ich wysiłki. Dwudziestu morlu pojawiło się nagle wśród tłumu, towarzyszyło im dwukrotnie tylu Strażników Pokoju. Ponieważ jednak otrzymali swe rozkazy od tych pozbawionych choćby odrobiny rozumu, wojownicy

Świątyni nie ruszyli za Uldyzjanem i jego najbliższymi uczniami, a atakowali wszystkich w okolicy.

Arcykapłan zmarszczył brwi, odkrył bowiem zniknięcie jednej istotnej osoby. Gdzież jest ten wieśniak? Gdzie podział się Uldyzjan?

Arihan bez trudu znalazł Serentię. Stała w samym centrum jatki i wyglądała niczym odrodzony anioł. Płonąca aura spowijała jej postać i zdawała się przenosić na pozostałych wyznawców. Morlu i Strażnicy Pokoju przegrywali z kretesem.

„Haszir jest stracony! Stracony!” – myślał gorączkowo Arihan. To ci głupcy do tego doprowadzili, nie on! On w każdym jednym punkcie postępował zgodnie z doskonałym planem swego pana.

Tylko czy Pierwszy też tak na to spojrzy...

Ledwie ta myśl pojawiła się w jego głowie, usiłował ją zdławić.

Za późno.

„Mój Arihanie... Stań przede mną”.

Arcykapłan Dialona z trudem stłumił dreszcz niepokoju. Przez wiele lat dobrze służył Pierwszemu. Owszem, nie obyło się bez bólu, ale przecież Pierwszy nie pozbędzie się tak dobrego sługi.

Arihan wstał z marmurowej posadzki w komnacie medytacji, którą sobie przywłaszczył. Odesłał kulę i zgasił lampy na ścianach jednym machnięciem ręki, i pospiesznie, co mu się wcześniej nie zdarzało, opuścił pomieszczenie. To nie był dobry moment, by kazać swemu panu czekać nawet krótką chwilę. Niech zobaczy, że kapłan nie obawia się stanąć przed obliczem swego mistrza.

Strażnicy wpuścili go do prywatnych komnat Pierwszego. Arihan dzielnie przebrnął przez pogrążone w ciemności zewnętrzne pomieszczenia, starając się zbagatelizować ciche dźwięki wokół niego, których nigdy jakoś dotąd nie usłyszał. Nie mógł jednak zignorować jedwabistej materii, która oplotła mu twarz, gdy dotarł do wewnętrznych drzwi.

Wypluł to, co dostało mu się do ust, i starł z twarzy resztę. Materia kojarzyła mu się z pajęczyną, ale to było przecież niemożliwe. Pierwszy był niezwykle wymagający, jeśli chodziło o porządek, nawet w trakcie tortur. Czymkolwiek więc była zwiewna gaza, z pewnością miała swoje przeznaczenie.

Gdy tylko zdołał oczyścić twarz, drzwi otworzyły się przed nim. Nie zwlekając, przekroczył próg.

– Mój Arihanie... – usłyszał głos Pierwszego. – Jak dobrze, że przyszedłeś.

– Zawsze jestem gotów ci służyć, o najświętszy – arcykapłan skłonił się nisko, a twarz miał nieprzeniknioną.

– A, tak, ale jak dobra jest to służba? – Nad tronem błysnęło niepokojące, zielone światło, odsłaniając Pierwszego. I choć ten uśmiechał się łagodnie, Arihanowi ów uśmiech wydał się wymuszony.

– To, co rozkazałeś panie, wszystko spełniłem – odpowiedział arcykapłan ostrożnie.

– A gdzie jest kobieta? Czy w tej właśnie chwili zmierza ku mnie?

– Nie, mój panie. Straciliśmy ją przez tych głupców w Haszirze. Nie docenili jej. Nie było moją winą, że plan się nie powiódł, o wielki.

Pierwszy spojrzał na Ahirana straszliwym wzrokiem. Już się nie uśmiechał.

– Czyli wina jest moja?

– Oczywiście, że nie! Nigdy by być nie mogła! Kapłani w Haszirze okazali się niezdolni, by wykonać twój wspaniały plan! Źle skorzystali z morlu i Strażników i sprowadzili zagładę sami na siebie. Obawiam się, mój panie, że świątynia w Haszirze jest stracona.

– To ogromnie, ogromnie rozczarowujące, mój Arihanie. – Pierwszy wstał ze swego tronu. I wtedy arcykapłan zauważył pająka na nadgarstku swego pana. Szkodnik był dwa razy większy od swego poprzednika i Pierwszy musiał go widzieć. – Ogromnie rozczarowujące. Założenia

zostały poczynione. Obietnice złożone... – Pierwszy wzdrygnął się i spojrzał w górę. – Obietnice złożone...

– Kobieta... okazała się silniejsza, niż przypuszczaliśmy – podsunął kapłan. – Co najmniej tak silna jak mężczyzna. Tego nikt nie wiedział.

Ku uldze Arihana twarz Pierwszego pojaśniała.

– Tak... to można wykorzystać. On zrozumie, że tego nie można było przewidzieć.

Arihan nie wiedział, o kim konkretnie mowa, ale reakcja Pierwszego wywołała zimny dreszcz strachu na plecach arcykapłana. Tylko trzech istot mógłby się obawiać syn Mefista... swego ojca i dwóch pozostałych Najwyższych Złych. Nawet Pierwszy może potrzebować kozła ofiarnego, żeby ich ułagodzić. Arihan nagle zaczął w myślach szukać drogi ucieczki, świadom, że jego szanse w tej kwestii są bliskie zeru.

Kolejny pajak wyszedł Pierwszemu zza kołnierza, zupełnie jak w trakcie poprzedniej audiencji. Dopiero teraz Arihan dostrzegł niewielkie kształty biegające po tronie... a nawet po stopach arcykapłana.

Co miała oznaczać obecność tych pajaków? Dlaczego jego pan nie zwraca na nie uwagi?

– Mój Arihanie... – mruknął Pierwszy i skinął na arcykapłana.

Ten zaś nie miał innego wyboru, jak tylko postąpić naprzód.

Z bliska Arihan zauważył, że coś jest nie w porządku z oczami Pierwszego. Widział już prawdziwe oczy Luciona... a te wyglądały zupełnie inaczej. Jakby każde złożone było z trzech albo i czterech osobnych oczu... i wszystkie były szkarłatne niczym świeża krew.

– Najświętszy – zaczął, szukając słów, które zapewniłyby mu ratunek. – Możliwe jest, że ta kobieta...

Ale Pierwszy tylko potrząsnął głową.

– Nie, mój Arihanie. Nie. Plan, mój wspaniały plan, powinien zakończyć się naszym triumfem! On będzie domagał się wyjaśnień i ona może okazać się niewystarczającym...

– On, o wielki? – spytał kapłan, usiłując grać na zwłokę. Większość znanych mu zaklęć była tu bezużyteczna, ale musiał znaleźć jakieś wyjście. Niestety, nie mógł się skupić i to nie tylko z powodu strachu. Wokół było zbyt wiele pajaków – łąziły po tronie, po ścianach, po Pierwszym, zwisały nawet z sufitu. Niektóre były większe niż dłoń arcykapłana.

I w końcu Arihan przypomniał sobie, co oznaczają te pajaki. Zrozumiał, co stoi przed nim, udając jego pana. Nie widział nigdy tego demona na własne oczy, ale czytał o nim jeszcze jako młody kleryk i słyszał plotki, że istota ta zamieszkuje gdzieś w zakamarkach wielkiej świątyni.

– Nasz pan Diabło, mój Arihanie... – odpowiedział mu fałszywy Pierwszy. – On to będzie żądał nie tylko wyjaśnień, ale i tego, który zawiódł. – Urodziwa twarz Pierwszego popękała, a z każdego rozdarcia wystrzeliły jedwabiste pasma.

Pajęcze sieci.

A spod skóry Pierwszego wyrzało włochate monstrum, które Arihan jeszcze niedawno chętnie by przyzywał. Demon będący na służbie prawdziwego pana obrządku, któremu przewodził arcykapłan.

– O wielki! – zawołał Arihan. – Pozwól mi iść z tobą, przemówić do wspaniałego Diabło! Razem...

Szaty pękły z trzaskiem, uwalniając wielki, po części ludzki kształt z ośmioma odnóżami. Desperackie prośby Arihana zostały ucięte, gdy cztery ręce zbrojne w pazury pochwyciły go i uniosły tak, że jego twarz znalazła się o cale zaledwie od potężnych szczęk. Na nieskazitelne szaty arcykapłana kapnęła ślina.

– Razem pójdziemy, tak, mój Arihanie, ale po to, by dać Panu twą głowę na tacy. Tylko głowę, tak... bo reszta będzie potrzebna temu tutaj, by go wzmocnić przed spotkaniem z wielkim i wspaniałym Diabło!

I szczęki zacisnęły się na gardle arcykapłana. Arihan nie zdołał nawet zabełkotać. Głowa opadła mu na ramię, przytrzymywana zaledwie kilkoma pasmami skóry i ścięgien.

Astroga przełknął wyrwany kawałek ciała i począł wysysać z karku życiodajne płyny. Człowiek zapewne nie zdawał sobie sprawy, że demon wyświadczył mu ogromną przysługę, zabijając go tak szybko. Diabło kazałby arcykapłanowi umierać o wiele dłużej. Torturowałby żalostną istotę, póki nie zyskałby pewności, że wie już wszystko i że wyczerpał wszelkie sposoby na zadawanie cierpienia ku własnej rozrywce.

Jednakże torturowany kapłan mógłby w którymś momencie zasugerować Władcy Grozy, że to Astroga odpowiada za porażkę. Demon wprawdzie zapobiegł takiemu rozwojowi wydarzeń, ale lepiej było przygotować się na każdą okoliczność i wymyślić coś, co go ocali.

Przychodziła mu do głowy jedna myśl. Lucion nadal pozostał nieobecny, a powinien przecież zauważyć, co się dzieje, i wesprzeć Astrogę swą mocą. Tak, w ten sposób porażkę można będzie po części przypisać Lucionowi... i kobiecie towarzyszącej wieśniakowi. Arihan powiedział prawdę, kryło się w niej o wiele więcej, niż przypuszczali. I na niej też skupi się obrona Astrogi.

Nasycający się, demon cisnął zwłoki „dzieciom”. Czuł już, że Diabło czeka na wieści.

Astroga spojrzał na pokryte szczelnie pajakami szczątki kapłana.

– Powinieneś uważać się za szczęściarza, mój Arihanie... za szczęściarza. Ten tutaj może nawet i zazdrości ci twego losu... tak, zazdrości i prosi, by jego okazał się równie łaskawy... – I z tymi słowami demon otworzył przejście między światami, sięgające wprost do Płonących Piekieł.

„Czekałem na ciebie” – rozległ się przerażający głos.

Edyremowie jak jeden mąż podnieśli wzrok, wyczuwając wezwanie. Nie pochodziło od ich mistrza, ale od tej, która była mu najbliższa. To wystarczyło. Romus dał znak ręką i niczym fala popłynęli ku bramom Hasziru. Szli nawet ci z maleńkimi dziećmi. Najślabsi będą

najbezpieczniejsi wraz z innymi, nawet jeśli oznaczało to, że znajdą się na polu bitwy.

Tylko jedna postać została wśród drzew; jedna, która z całego serca pragnęła podążyć za edyremami. Niestety, Achilios nie mógł tego uczynić, nie jeśli nie chciał spowodować prawdziwej katastrofy.

„Tak... jak... przewidzieli... ona przejmie dowodzenie, gdy jego zabraknie” – pomyślał łucznik. Nie chciał wierzyć, a powinien był wiedzieć, że Rathma i smok się nie mylą. Nigdy się nie mylili.

Choć nie, raz się pomylili. Pomylili się co do niego. Byli przekonani, że okaże się całkowicie posłuszny ich słowom. Nie dlatego, że wymagali odeń tego posłuszeństwa, ale dlatego, że słuszność ich decyzji wykluczała jakikolwiek sprzeciw, przynajmniej w ich przekonaniu.

Ale nawet po śmierci, jako żywy trup Achilios był Achiliosem. Rozważał działania, które obchodziły decyzje podejmowane przez syna Lilith i istotę zwaną Trag'Oulem.

Achilios myślał przede wszystkim o Serentii... ona była najważniejsza.

Zamocował łuk ciasno na ramieniu i pobiegł. Śmierć go nie spowolniła. W rzeczywistości poruszał się teraz znacznie szybciej. Prawie nie zostawiał śladów i był w stanie uniknąć każdej przeszkody.

Z Hasziru napłynęły krzyki i szcęk metalu. Rathma obdarzył łucznika umiejętnościami koniecznymi do wypełnienia zadania, jakie mu powierzył. I dlatego też Achilios doskonale wiedział, co dzieje się w mieście. Wiedział też, kto dowodzi w bitwie. A to sprawiło, że jeszcze przyspieszył.

Biegł przez tereny podmiejskie, unikając domostw tych, którzy wybrali życie poza murami miasta, i cały czas koncentrował się na trzech wieżach Świątyni. W Haszirze, tak jak i w Toradży, budowniczowie przybytku wybrali takie miejsce, by mieć dostęp do osobnej bramy. Według Achiliosa już to powinno budzić podejrzenia, bo niby dlaczego szlachetni i przepelnieni miłością kapłani potrzebowali drogi ucieczki?

Oczywiście, musiał przyznać, że gdyby nie został zamordowany, sam pewnie też nie zwróciłby uwagi na tę kwestię. Śmierć najwyraźniej prawdziwie otwierała oczy...

Brama, której szukał, znalazła się wreszcie w polu jego widzenia. Jedno jej skrzydło było otwarte – zapewne starsi kapłani niczego nie zostawiali przypadkowi. Achilles poczuł się nieco zaskoczony, że księża wierzyli, iż ich władcy przyjmą ich z otwartymi ramionami po takiej klęsce. Z drugiej strony może prawdziwi władcy Świątyni rzeczywiście by tak uczynili... a potem żywcem obdarli ze skóry wszystkich kapłanów.

Postanowił zaoszczędzić im fatygi.

Zdjął łuk z ramienia, sięgnął po strzałę i... spojrzął w oczy przestraszonej haszirance niosącej kosz. Gdy tylko go zauważyła, pisnęła cienko. Achilles mógł sobie wyobrazić jej szok i zalała go fala obrzydzenia do samego siebie. Miał jednak zadanie do wykonania.

– Biegnij... do domu – wychrypiał. – Już.

Nie trzeba jej było zachęcać. Pobiegła, zostawiwszy za sobą upuszczony koszyk i wysypaną jego zawartość.

Łucznik zapomniał o niej niemal natychmiast, założył strzałę na cięciwę...

I wywróciła go jakaś zakuta w zbroję postać.

Poczuł, jak w jego piersi zagłębia się sztylet. Łucznik zginąłby na miejscu, gdyby już nie był martwy. Napastnik cofnął się przekonany, że pokonał wroga. Achilles natychmiast rozpoznał morlu.

Łucznik uśmiechnął się szeroko, ten widok w jego mniemaniu powinien wydać się upiorny każdej żywej istocie.

– Za późno.

Z siłą prawdziwie nie ludzką cisnął potwora w powietrze. Morlu uderzył w drzewo i objął je.

Achilles świadom, że mało co jest w stanie zatrzymać przekłętego wojownika, natychmiast poderwał się z ziemi. Niemalże w tej samej chwili

miał łuk w dłoni, strzałę na cięciwie.

Grot trafił morlu idealnie w pusty oczodół i gdy wojownik próbował wyciągnąć strzałę, Achilios posłał drugą.

Morlu ze stęknieniem odbił pocisk, ale łucznik się tego spodziewał. Ten strzał miał tylko odwrócić uwagę przeciwnika. Achilios cisnął łuk i dobył długiego noża. Sługus demonów zdołał wreszcie pozbyć się strzały z oczodołu przy akompaniamencie ohydneho dźwięku. Achilios skoczył.

Nóż o długiej i ostrej klindze, którym władała dłoń mistrza, bez trudu oddzielił łeb kreatury od karku.

Achilios kopniakiem odrzucił drgające ciało. Ohydna, zepsuta magia wprawiająca dawno martwe ciało w ruch przetrwa jedynie chwilę. Zbyt krótko, by morlu zdołał w tym czasie odszukać swą głowę. Achilios zastanowił się przez moment, czy ta sama zasada sprawdzi się i w jego wypadku. Być może, gdy dramatyczne wydarzenia dobiegną końca i nikt więcej nie będzie potrzebował jego pomocy, sam sprawdzi tę teorię na sobie. W końcu co mu jeszcze zostało? Stracił życie, stracił miłość.

Skrzywił się. Jak na martwiaka zrobił się strasznie marudny. Liczyło się tylko to, by wypełnił swoją misję, a potem umarł ponownie. Resztę mógł zostawić Uldyzjanowi, Mendelnowi i... miał nadzieję – Serentii.

O ile Serentia jeszcze żyła.

Morlu stanowił ostrzeżenie, że krzyk przypadkowo spotkanej kobiety zaalarmował tych, na których Achilios polował. Łucznik schował nóż do pochwy i przyszykował kolejną strzałę.

Z bramy wyłoniły się ostrożnie cztery postaci. Trzech Strażników i kapłan średniego szczebla, wedle oceny Achiliosa. Strażnicy obrócili się każdy w inną stronę. Najpewniej sprawdzali teren.

Kapłan w szatach obrządku Bali spoglądał w stronę Achiliosa.

Łucznik wypuścił strzałę. Osłonięta ciemnością powinna powalić kapłana. Ten jednak podniósł dłoń... i strzała eksplodowała w locie.

Achilios spodziewał się takiego obrotu zdarzeń. I dlatego natychmiast po pierwszej wypuścił drugą strzałę. Jak podejrzewał, kapłan był szybki, ale nie aż tak. Grot zagłębił się w piersi sługi Bali z taką siłą, że przewrócił kapłana na ziemię.

Teraz Strażnicy zwrócili się w stronę Achiliosa. Jeden coś zakrzyknął i z bramy wyszło dwóch kolejnych.

Achilios posłał trzy strzały błyskawicznie po sobie. Pierwsza odbiła się od metalowego napierśnika, druga trafiła Strażnika w ramię, trzecia przebiła mu gardło.

Dwóch pozostałych cofnęło się do pary przy bramie. Sprawiali wrażenie pewnych, że atakuje ich więcej niż jeden przeciwnik. Dokładnie to chciał osiągnąć Achilios. Teraz cofnął się i wtopił w ciemność między drzewami w sposób, jaki dostępny był jedynie umarłym.

W pobliżu bramy nie widać było żadnego morlu, co zapewne oznaczało, że piekielni wojownicy walczą w mieście. A to z kolei oznaczało, że Achilios ma większe szanse wypełnić zadanie, które sam sobie wyznaczył. Musiał tylko nieustannie nękać tych, którzy będą próbowali uciec z miasta.

Dokładnie w tej chwili wyczuł coś, co było równie niepokojące, jak istnienie jego samego.

Ziemia pod jego stopami uniosła się, jakby właśnie miał nastąpić wybuch. I nagle to, co uważał za korzenie drzew, wystrzeliło w jego stronę. Złapany za nogę łucznik zrozumiał, z czym ma do czynienia. Macki. Macki jakiegoś wielkiego, ohydneho stwora, który przekopywał się przez miękką ziemię.

Stwora, który z pewnością nie pochodził z Sanktuarium.

Druga macka pochwyciła ramię z łukiem. Achilios sklął sam siebie w duchu, zapomniał bowiem o prawdziwych przywódcach Świątyni. Zastrzelony kapłan był sługą Baala, Władcy Zniszczenia, mógł przecież zaklęciami wezwać pomoc. Głupotą było nie przygotować się na atak ze

strony kolejnego sługi Najwyższych Złych, sługi, który w żadnej mierze nie był człowiekiem.

Jednak fakt, czy to martwy kapłan, czy nie przywołał tego potwora z samych Płonących Piekieł, nie miał już znaczenia. Ważne było, jak mu umknąć, a to zakrawało na zadanie niemal niewykonalne. Stwór unieruchomił ramię i obie nogi łucznika, a ten widział jedynie macki. Mógł tylko ocenić wielkość swego przeciwnika, sądząc po obszarze gruntu, który nie przestawał falować. I były to rozmiary ogromne.

Sięgnięcie po nóż w takiej sytuacji każdego człowieka przyprawiłoby o prawdziwe cierpienie, ale na szczęście Achilios nie czuł czegoś tak ludzkiego jak ból. Dlatego też zdołał dobyć ostrza akurat wtedy, gdy kolejna macka spróbowała pochwycić go za nadgarstek. Łucznik skręcił się, wygiął i ciął. Na widok obciętego końca macki przepełniło go uczucie satysfakcji.

Spod ziemi dobiegł go niski grzmot. Dżungla zadygotała gwałtownie. Gdyby nie macki, Achilios z pewnością by się przewrócił.

– Zraniłem cię... prawda? – wychrypiał triumfalnie.

W odpowiedzi kolejna, cieńsza od pozostałych macka owinęła mu się wokół szyi. I zacisnęła.

Na szczęście Achilios już nie oddychał. Nie potrzebował powietrza nawet po to, by mówić. Ta sama siła, która podniosła go z grobu, dała mu głos. I choć macka na gardle spowolniła go nieco, to z pewnością nie miała nań takiego wpływu jak na żywą istotę.

Łucznik wykorzystał przewagę, jaką dawała mu nieświadomość przeciwnika. Ciął błyskawicznie nie tylko w kończynę zaciskającą się mu na szyi, ale i w kolejną. Trafiał doskonale. Czarna substancja podobna do smoły wypływała z ran potwora. Trafione macki natychmiast zniknęły pod ziemią.

Achilios nie zwlekał ani chwili i zamachnął się na kolejną mackę. Tym razem zadał jej długą, lecz płytką ranę. Zanim jednak zdołał powtórzyć

atak, potworne kończyny zniknęły pod ziemią.

Łucznik uśmiechnął się pod nosem. Jeszcze żadna bestia z nim nie wygrała. Tylko arcydemon Lucion – choć przecież krótko cieszył się swym triumfem.

Achilios uznał, że lepiej oddalić się z tego miejsca. Podniósł łuk...

Rozległ się kolejny podziemny grzmot. Według Achiliosa był to ryk demona. Ziemia zadygotała, wywracając pobliskie drzewa i łucznika.

– Niech to! – wycharczał Achilios, straciwszy zarówno łuk, jak i nóż.

Tuzin macek rozmaitej wielkości i grubości wystrzeliło z ziemi. Nie miało znaczenia, czy należały do jednego potwora, czy do kilku, błyskawicznie bowiem pochwytyły łucznika za nogi, ramiona i gardło, dodatkowo oplatając go w pasie.

Achilios nie mógł nic uczynić. Wobec siły tylu macek był słaby niczym niemowlę. Zaprzętała go już tylko jedna kwestia. Czy bestia rozerwie go na strzępy – co może i nie zakończy „życia” nieumarłego, ale niewątpliwie uczyni go bezużytecznym – czy może jednak powlecze go pod ziemię, co było dość przerażającą perspektywą. Achilios był już raz pogrzebany i myślał o tym, że może to się stać ponownie, uznał za przerażającą.

Macki zacisnęły się mocniej. Achilios poczuł, jak jego ciało się naprężyło. A więc rozczłonkowanie. Może powinien podziękować demonowi za ten wybór?

Wspaniałe, złociste światło zalało dżunglę. Achilios poczuł ciepło, jakiego chyba nie doznał nawet za życia, a fakt, że w ogóle je poczuł, wprowadził go w zdumienie.

Światło ogrzewające łucznika miało o wiele gorszy wpływ na demona. Gromy pod ziemią rozlegały się z dużą częstotliwością. Macki zadygotały spazmatycznie i Achilios zobaczył, że płoną.

Demon uciekł pod ziemię. Dżungla zadygotała i znieruchomiała.

Zniknęła złota poświata, zostawiając zaskoczony i bardzo zaniepokojony Achiliosa tam, gdzie upuściły go macki. Łucznik leżał

przez chwilę, niepewny, czy demon bądź światło nie zdecydują się powrócić, gdy jednak nic takiego nie nastąpiło, wolno podniósł się na nogi.

I ledwie to uczynił, poczuł coś dziwnego. Gdyby żył, powiedziała by, że kręci mu się w głowie.

Nogi się pod nim ugięły, świat zatańczył przed oczyma. Achilles chciał sięgnąć po swój łuk...

I pochłonęła go ciemność.

JEDENAŚCIE



Uldyzjan słyszał głosy już od dobrej chwili i choć chciał jakoś zareagować, to jego ciało odmówiło posłuszeństwa.

– Wciąż nie otworzył oczu – usłyszał głos, który brzmiał jak jego brata. Ale przecież to niemożliwe, Mendeln przepadł bezpowrotnie. Uldyzjan przypominał sobie, że i wcześniej rozpoznał ten głos, ale musiało mu się jedynie wydawać.

„Miej cierpliwość, młodzieńcze. Jej cios był równie subtelny, co ohydny”.

Nawet w obecnym stanie Uldyzjan drgnął silnie na dźwięk tego głosu, bowiem słowa rezonowały mu nie tylko w głowie, ale i w duszy. Zapewne jęknął też, bo ten, który brzmiał jak Mendeln, natychmiast zaczął być podekscytowany.

– Widzieliście? Ruszył się! Uldyzjanie! Słuchaj mnie! Wróć do mnie! Na pamięć matki i ojca, zaklinam cię, nie zostawiaj mnie.

Wzmianka o rodzicach ostatecznie wyrwała Uldyzjana ze snu. Pamiętał, jak się czuł, gdy zniknął Mendeln, i jeżeli rzeczywiście to jego brat doń przemawiał, to Uldyzjan nie mógł pozwolić, by przechodził podobne męki, jeśli można było temu zaradzić.

I jeszcze Serentia...

To wystarczyło aż nadto. Z okrzykiem Uldyzjan powrócił do rzeczywistości. W tej samej chwili jego ciało zapłonęło przejmującym bólem. Przetoczył się w spazmach, pewnie zrobiłby sobie jakąś krzywdę, gdyby nie dłonie, które pochwyciły go za ramiona.

– Spokojnie, Uldyzjanie! – znów usłyszał Mendelna. – Uspokój się. To przejdzie... w dużej mierze...

„Nie tak prędko, jak byśmy się spodziewali. Ona jest trucizną w jego krwi”.

– Mogłem ją powstrzymać – warknął Mendeln. – Mogłem temu zapobiec.

„Nie wtedy. Ty byś zginął, a Uldyzjan tkwiłby jeszcze mocniej w jej szponach”.

– Ale powiedziałaś, że nie była świadoma zdrady. Już to tylko...

– Moja matka umie się doskonale dostosowywać, Mendelnie ul-Diomedzie – odezwał się trzeci głos, który skłonił Uldyzjana do uchylenia obolałych powiek, ale jedyne co zobaczył, to niewyraźne kształty i ciemność. – Widziałeś, jak szybko i pewnie zmieniła porażkę w plan jeszcze bardziej przerażający, o ile to w ogóle możliwe, który powiedzie ją ku ostatecznemu celowi. Jest teraz bliższa zwycięstwa niż kiedykolwiek wcześniej... a Sanktuarium bliższe zagłady.

Cierpienie, jakiego doświadczał, osłabło nieco i Uldyzjan zdołał się skupić. Najpierw ujrzał swego brata, co napełniło mu serce radością. Mendeln uśmiechał się szeroko jak nigdy i Uldyzjan wiedział, że taki sam szczęśliwy uśmiech rozciąga i jego wargi.

– Myślałem, że straciłem cię na zawsze... – powiedział.

– A ja ciebie.

– Twój brat był bezpieczny – wtrącił ów tajemniczy trzeci rozmówca. Pod pewnymi względami brzmiał trochę jak Mendeln, ale było w tym głosie coś, co zdradzało osobę wiekową ponad wszelkie wyobrażenie i nie do końca będącą człowiekiem, o ile w ogóle.

I kiedy osoba ta stanęła u boku Mendelna i spojrzała na Uldyzjana, ten zobaczył kogoś, kto nie był zwykłym śmiertelnikiem. Twarz miał zbyt urodziwą, zbyt doskonałą, w oczach wiedzę płynącą z minionych lat, tak wielu, że Uldyzjan od razu zaczął podejrzewać najgorsze.

– To nie demon – zapewnił Mendeln brata na widok jego reakcji.

– Wszelako Lilith jest moją matką – dodał nieznajomy.

Z rykiem Uldyzjan rzucił się na obcego. Ciało miał jednak zbyt słabe. Gorzej nawet – potworny ból przeszywał go od stóp do głów, zmuszając do położenia się na plecach.

Dopiero wtedy Uldyzjan dostrzegł gwiazdy. Tak go zdumiało ich położenie, że na moment zapomniał o potomku demona.

– Gdzie... gdzie my jesteśmy, Mendelnie? – wykrztusił.

– Gdzieś i nigdzie zarazem – odpowiedział mu syn Lilith.

Te słowa tylko ponownie rozgniewały Uldyzjana. Nie podobało mu się przebywanie w bezpośredniej bliskości istoty, która twierdziła, że pochodzi bezpośrednio od Lilith.

– A kim ty jesteś? Skoro nie demonem, to czym jesteś?!

– Nazywam się Rathma – odparł tamten bez wstępów. – Choć nie jest to imię, jakie nadano mi w chwili narodzin, ale obdarzyli mnie nim inni, kiedy drogi moje i rodziców ostatecznie się rozeszły. Oznacza ono „strażnik Równowagi”, co jest zarazem moją funkcją i obowiązkiem.

Uldyzjan nie miał pojęcia, o czym mówi Rathma, i w ogóle go to nie obchodziło.

– Ale Lilith jest twoją matką.

– A Inarius mym ojcem. Tak, widzę, że i to imię napełnia cię lękiem. Nie mam ci tego za złe, albowiem nienawidzą mnie tak, jak ja nienawidzę ich. Jeśli natomiast mam powiedzieć, czym jestem, jestem nefalemem... jednym z pierwszych w rzeczy samej.

To objawienie powinno wstrząsnąć Uldyzjanem mocniej, niż miało to miejsce w rzeczywistości. Ten zaś, przerażająco świadom straszliwego

pochodzenia Rathmy, zdał sobie sprawę, że była to jedyna możliwa odpowiedź.

– Ty... jesteś jak my...

Rathma potrząsnął głową.

– Nie, jestem całkowicie różny od ciebie i tych, którzy idą za tobą. Nie mogę tego wyjaśnić. To, co określasz darem, zmieniło się, przekształciło. Mam umiejętności, jakich nie posiadał żaden z was – i wzajemnie, wy posiadacie takie, które są poza moim zasięgiem. Nie powinno być to zaskoczeniem, jeśli wziąć pod uwagę, że należę do pierwszego pokolenia narodzonych na Sanktuarium...

„Tyle lat” – pomyślał Uldyzjan zdumiony.

Rathma przytaknął mu skinieniem głowy.

– Niewielu nas zostało, kiedy mój ojciec stał się jedynym z przybyłych do tego świata w poszukiwaniu schronienia i począł surowo karać wszelkie przejawy korzystania z mocy. Nalegał, by jego doskonały świat – jego Sanktuarium – pozostał taki, jaki sobie wymarzył... Będąc istotą obdarzoną życiem wiecznym, powinien wiedzieć, że nic nie pozostaje bez zmian.

„Dość na razie” – ozwał się głos poza Uldyzjanem i w nim samym. Mężczyzna podciągnął się i podniósł głowę w poszukiwaniu mówcy... a jego spojrzenie z jakiegoś powodu powędrowało ku gwiazdom nad jego głową. Po raz pierwszy Uldyzjanowi zdało się, że dostrzega kształt ułożony z niebiańskich iskier. Niedokładny i pełny, ale wystarczająco wyraźny, by przywołać na myśl gigantyczną, w połowie ukrytą bestię. Gada... nie... coś znacznie więcej. Był długi jak wąż, ale głowę miał niczym istota ze starych legend...

Smok... to był smok...

Gwiazdy poruszyły się i Uldyzjan miał wrażenie, że monstrum gapi się wprost na niego!

„Aczkolwiek zyczylibyśmy sobie czegoś wręcz przeciwnego, to nie czujesz się na tyle dobrze, by podejmować wysiłki...”

Uldyzjan przełknął z trudem ślinę, niezdolny uwierzyć własnym oczom, duszy i sercu.

– Czym... czym jesteś?

– To Trag'Oul, braciszku – wyjaśnił cicho Mendeln. – Zrodzony w czasie stworzenia, określony, gdy anioły i demony uformowały świat Sanktuarium. Jest strażnikiem tego świata bardziej niż ktokolwiek inny.

„Uproszczony opis, aliści trafny nad podziw”.

Jednak to nie rozmowa z niebiańską istotą wstrząsnęła Uldyzjanem najmocniej. Gdy słuchał smoka, potem swego brata, i kiedy przypomniał sobie słowa Rathmy... miał wrażenie, że słucha trzech wcieleń tej samej istoty. Powiódł spojrzeniem od jednego do drugiego i odczucie to jeszcze przybrało na sile.

– Mendelnie – mruknął. – Mendelnie, chcę stąd odejść, teraz. Mam na myśli nas obu.

– Ależ nie możemy, Uldyzjanie... przynajmniej jeszcze nie. Tyle musimy się dowiedzieć, a ty potrzebujesz wrócić do zdrowia.

Rathma stał obok młodszego z braci.

– Prawdę mówi. Byłoby to niemądre w zaistniałych okolicznościach.

Uldyzjan miał wrażenie, że w gardle rośnie mu kamienna kula. Mendeln i Rathma bardziej przypominali braci niż synowie Diomedesa. Czarne stroje, blade twarze, nieruchome spojrzenia jeszcze pogłębiały ten ponury efekt.

– Mendelnie! Spójrz na siebie! – Uldyzjan zmusił się, by wstać, choć jego ciało krzyczało z bólu. – Spójrz na niego! Posłuchaj jego, tego... tego czegoś, a potem siebie! Coś ci zrobili!

Moc wezbrała w nim, podsycając emocje i przywracając siły. Nie mieli racji. Był w stanie odejść mimo ich brudnych sztuczek.

– Nie, Uldyzjanie! – Mendeln podniósł ręce w stronę brata. – Nie możesz tego zrobić...

Ale było już za późno. Uldyzjan nie wątpił, że zarówno on, jak i Mendeln zostali uwięzieni tutaj w jakimś przerażającym celu. Do tego jego młodszy brat został przemieniony w coś, co miało przysłużyć się planom smoka i Rathmy. I dlatego uwolnił surową moc.

– Mówiłeś, że ona osłabiła go za bardzo, by mógł tego dokonać! – krzyknął Rathma do Trag'Oula.

„Jest inny! Wszyscy oni są inni! Nie bardziej są nefalemami niż ty człowiekiem! Są bardziej...”

Smok nie dokończył zdania, bowiem cały jego wymiar zatrzęsł się, jakby ktoś obrócił go gwałtownie do góry nogami. Uldyzjan wiedział, że to jego wina, ale nie dbał o to. Musiał uwolnić siebie i brata z tego czarnego więzienia.

Jakby w odpowiedzi na te myśli pierwotna siła wylała się z niego oślepiającym blaskiem. Trag'Oul zaryczał. Rathma krzyknął coś w nieznanym języku i światło przygasło. Ale Uldyzjan, lękając się, że jego wysiłki pójdą na marne, a on sam będzie zgubiony, całą swoją wolę skupił na przywróceniu blasku.

Ciemność wokół niego poczęła pękać, jakby była sukniem. Początkowo zastąpiła ją nieskażona biel... później zaś objawił się górzysty krajobraz.

Mendeln krzyczał coś do starszego brata, ale w tym momencie wydawało się, że dzielą ich całe mile. Uldyzjan przerażony możliwością ponownej utraty jedyne go krewniaka spróbował okiełznać energię, którą uwolnił, i znów zamknąć ją w swoim ciele. Lecz teraz owa energia najwyraźniej zwróciła się przeciw niemu. Nowy krajobraz zadygotał i wydawało się, że porwie się na strzępy jak ciemność.

Wreszcie Uldyzjan zdołał zapanować nad swoją mocą. Wysilek powalił go na kolana. Serce waliło mu jak młot, spazmatycznie chwycił powietrze.

Dopiero po chwili dotarło do niego, że powietrze jest bardziej suche, a ziemia pod nogami znacznie twardsza niż w dżungli. Zdążył już przyzwyczać się do gorącego klimatu i teraz zadygotał z zimna. Trochę

trwało, zanim zdołał okiełznać swe umiejętności na tyle, by dostosować się do panujących wokół warunków.

A były one zaiste odmienne. W pierwszej chwili myślał, że wrócił w rodzinne strony, ale w pobliżu Seram nie było tak potężnych gór. Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej nie znalazł się w podobnej okolicy.

Niebo zasnuwane było chmurami, ale Uldyzjan i tak sięgał wzrokiem dość daleko, żeby podziwiać widoki. Nie, z pewnością nie były to jego rodzinne strony ani też okolice Kedżanu, ani nawet miejsce, o którym by słyszał. Może Mendeln...

Mendeln! Jak mógł zapomnieć o swym rodzonym bracie?! Uldyzjan obrócił się wokół własnej osi, szukając choćby śladu. Ale był sam.

– Mendelnie! – ryknął ile sił w płucach. – Mendelnie! – A kiedy nie doczekał się odpowiedzi, zmienił taktykę. – Rathmo! Gdzie jesteś, przeklęty?! Chcesz mnie... ty i to coś... oto jestem! Ja za mojego brata! Co ty na to?

Jego głos odbijał się echem od skalistych zboczy. Uldyzjan początkowo nie zdawał sobie z tego sprawy, ale jeden szczyt w szczególności przyciągał wzrok. Był wyższy, potężniejszy niż reszta, był jak król królów. Im dłużej Uldyzjan spoglądał na tę górę, tym bardziej go pociągała.

Klnąc siarczyście pod adresem Rathmy i Trag'Oula, odwrócił się do szczytu plecami. Nic dobrego nie mogło wyniknąć z tego wpatrywania się, skoro ona go w jakiś sposób wzywała. Ostrożnie ruszył pochyłym zboczem, gratulując sobie w duchu, że nie zdecydował się nosić stroju toradżan. Cienkie i przewiewne tkaniny nie nadawały się na wędrówkę po tej krainie. Wprawdzie umiał ochronić się przed chłodem, ale koszula, spodnie i wysokie buty dawały mu poczucie komfortu.

Dotarł na szczyt wzgórza i począł szukać jakiejś osady, korzystając zarówno ze swych mocy, jak i ze wzroku. Ale zobaczył i wyczuł jedynie drzewa, wzgórza i oczywiście górę.

Zesztywniał nagle.

No i proszę. Miał ją przed sobą. Nie jakąkolwiek górę. Ten sam szczyt, od którego próbował się oddalić.

– Kolejne gierki! – Z wściekłością popatrzył w niebo, szukając kształtu smoka. – Powiedziałem już! Przestań! Przyjdź po mnie, skoro chcesz mnie dostać!

I tym razem odpowiedziało mu jedynie niestrudzone echo. Uldyzjan postanowił zwrócić na siebie uwagę.

Skupiwszy wolę z całej siły, klasnął w rękę.

Dźwięk niczym grom wstrząsnął drzewami i ziemią. Odbił się od gór i rozbrzmiewał wciąż od nowa, jakby niewidoczna, ale potężna burza przetoczyła się nad okolicą.

Uldyzjan czekał, pewien, że tym razem odniesie sukces... ale minęło kilka chwil i nadal stał sam.

– Niech cię, Rathmo! – ryknął. Tym razem cała jego złość poszła na marne, bowiem echo umilkło, powtórzywszy okrzyk po nim zaledwie kilka razy.

Pokonany, opadł na kolana i ukrył twarz w dłoniach. Za każdym razem, gdy zaczynał wierzyć, że zdoła stawić czoła swym wrogom, przekonywał się, że był w błędzie.

Nagle ziemia pod jego stopami zadrżała ponownie. Poderwał się na równe nogi przekonany, że jego wcześniejsze wysiłki spowodowały lawinę, i wtedy zobaczył, że drżenie ziemi koncentrowało się bezpośrednio w jego okolicy.

Dokładnie pod kamiennym tworem tuż obok.

Zaczął się cofać, ale niemal natychmiast przekonał się, że za jego plecami grunt również się trzęsie. Przed nim zaś kamienny blok zaczął rosnać. Był już prawie dwukrotnie większy od Uldyzjana i niemal równie szeroki. Występ na górze przypominał nieco ludzką głowę.

I nagle w owej „głowie” otworzyło się dwoje oczu o ciepłej brązowej barwie, niemalże ludzkich. Spojrzały w lewo, w prawo, a potem prosto na

Uldyzjana, który stał osłupiały.

Posypała się ziemia i trawa, twór zrobił krok w stronę Uldyzjana, zostawiając za sobą spore odłamki skały. Jeszcze jeden krok i jeszcze więcej odłamków i ziemi.

Cokolwiek to było, teraz miało już dwie nogi, mocne i grube. Zatrzymało się i otrząsnęło niczym mokry pies, zrzucając z siebie ziemię i kamienie. Niektóre odłamki poleciały na Uldyzjana, ale ten zapanował już nad zdumieniem na tyle, by uniknąć bardziej niebezpiecznych pocisków.

Najpierw pojawiło się jedno ramię, a zaraz za nim drugie. Skalny gigant spojrział na kikuty kończyn. Kamienne palce pojawiły się z trzaskiem i chwilę później została stworzona cała dłoń. A potem druga, w taki sam sposób.

Uldyzjan cofnął się trochę, ale poza tym nie robił nic. Jeśli demon szykował się do ataku, to stanowczo nie był zbyt bystry. Zresztą mężczyzna miał wrażenie, że patrzy na budzącego się śpiącego, a nie na zagrożenie.

Gigant rozciągnął dłonie i zbadał swoje ciało. Oczy się poruszyły i Uldyzjan był gotów przysiąc, że lśni w nich niewyobrażalny smutek.

U dołu głowy nagle uformowała się szczelina i istota przemówiła.

– Kiiim jeeesteees? – zaczęła wolno, jakby dopiero oczyszczała gardło po wiekach milczenia. – Kiiim jeeesteś? – powtórzyła mocniej. – Wzywasz imienia... wzywasz imienia, którego nie słyszałem tak bardzo, bardzo dawno.

W miarę jak kolos mówił, Uldyzjan doszedł do wniosku, że głos wielkoluda, mimo że chropawy, brzmiał niemal ludzko.

– Kim jesteś? – zapytał go olbrzym po raz trzeci. – Ty, który wzywasz imienia Rathmy?

– Nazywam się Uldyzjan ul-Diomed i jeśli jesteś sługą Rathmy, to strzeż się, bo nie przepadam za twym panem!

Olbrzym przyglądał się Uldyzjanowi, ten zaś ustawił się w pozycji gotowej do walki. Jednak coś powstrzymało go przed zadaniem pierwszego

ciosu.

Zgrzytliwy, dudniący dźwięk popłynął od dziwacznej istoty. Powoli zaczął brzmieć jak coś znajomego...

Śmiech.

– Wielcem zadowolony... że obudziłem się na czas... choćby tylko po to, by usłyszeć te słowa – potrząsnął głową, posyłając kolejne porcje żwiru w powietrze. – Rathma! Nie masz poczucia humoru... nic a nic! Byłby... obrażony... za mnie! Nie, maleńki Uldyzjanie ul-Diomedzie! Ha! Wielce długie imię... dla mego... wyschniętego gardła! Nie jestem sługą... ponurego. Jestem... byłem... Bul-Kathos.

Kolos wypowiedział to imię tak, jakby oczekiwał, że Uldyzjan je zna i będzie zachwycony. Ale gdy człowiek ani drgnął, Bul-Kathos spoważniał.

– Imię... imię... nic ci nie mówi... tyle lat... tyle lat minęło. – Zaczął oglądać dokładnie swoje ciało z ziemi i skały. – Taaak niewiele już mnie... znacznie więcej świata! To o czym marzyłem... com zdecydował, że się ze mną stanie... sprawdziło się... teraz zapomniany jestem nawet przez śmiertelnych.

Uldyzjan zachwiał się, bowiem ziemia za jego plecami osypała się nagle. Podejrzewał w tym sztuczkę, ale zobaczył, że olbrzym siada na niewielkim wzgórku, który się dlań uformował. Bul-Kathos zapatrzył się w swoje stopy niewidzącym spojrzeniem.

– Lata... musiało ich minąć tysiące... albo i więcej – podniósł spojrzenie na człowieka. – Powiedz mi, maleńki Uldyzjanie, znasz ty... znasz ty imiona Vasily... i Esu?

– Te imiona znaczą dla mnie równie niewiele co i twoje – przyznał mężczyzna. – Ale wolalbym znać każde inne imię niż to należące do potwornego Rathmy!

Wyglądało na to, że Bul-Kathos nie usłyszał ostatnich słów, bowiem znów zapatrzył się w ziemię.

– Nie ma Vasily’ego... gdzieś ty... bracie mój? – mruknął do siebie, po czym zaśmiał się krótko, sarkastycznie. – Ale nie ma i Esu! To by dopiero ją zirytowało! – jego dobry humor rozwiął się tak szybko, jak się pojawił. – Jeśli tylko... wciąż gdzieś szaleje...

Gadanie kolosa w ogóle nie obchodziło Uldyzjana. Interesowało go tylko to, że Bul-Kathos, czymkolwiek był, zdawał się posiadać informacje na temat Rathmy, a te mogły pomóc Uldyzjanowi uratować Mendelna. Odniósł się więc do jednej wypowiedzi kolosa.

– Bul-Kathosie, mówisz o utraconym bracie. I ja mam brata, który zaginął. Nazywa się Mendeln i padł ofiarą Rathmy! Gdybyś mógł mi jakoś pomóc...

Bul-Kathos podniósł wzrok.

– Rathma... nie ma ofiar. On nie jest Esu... nigdy jak Esu... jeśli ona wciąż żyje...

Uldyzjan się poddał. Bul-Kathos już od wieków nie miał kontaktu z innymi... może nawet stracił kontakt ze sobą. A skoro dziwny stwór nie był zagrożeniem ani nie służył pomocą, to czas najwyższy, by Uldyzjan ruszył dalej.

I znów jego spojrzenie mimowolnie podążyło ku wielkiej górze. Tym razem jednak Uldyzjan zastanowił się, czy nie tam powinien się udać.

Ale kamienny kolos, zupełnie jakby odczytał tę intencję, nagle poderwał się na nogi.

– Twoja ścieżka... prowadzi gdzie indziej... maleńki Uldyzjanie... nie tam...

Ale te słowa tylko utwierdziły Uldyzjana w zamiarze dotarcia do szczytu.

– A dlaczego nie tam?

– Bowiem... jest to zakazane... dla ciebie.

Uldyzjan tylko się rozzłościł.

– W takim razie to dobry powód, by się tam udać – odparł z uporem, podnosząc dumnie głowę.

Bul-Kathos urósł nagle, a na jego skalnej twarzy zaległ złowieszczy cień. Nawet w oczach, tych niemal ludzkich oczach, czaiła się teraz groźba.

– Nie. Nie zrobisz tego.

Kolos ruszył w stronę Uldyzjana, sypiąc kamieniami. Nadal wyglądał jak stworzony z ziemi i gładów, ale przypominał teraz brodatego wojownika. Skórę miał ciemną jak gleba, włosy zielone jak trawa, a w jego ruchach nie było już ani wahania, ani niepewności.

Tak jak i w jego zamiarach względem Uldyzjana.

Bul-Kathos uniósł pięść, którą uformował wielką, kamienną maczugę, i zamachnął się, mierząc w człowieka. Ale kamień odbił się od stworzonej naprędce niewidzialnej bariery. Uldyzjan aż się spocił z wysiłku – potężny cios niemal go dosięgnął.

– Jest w tobie więcej, niżby się wydawało – zadudnił Bul-Kathos. – Nazwałbym cię nefalemem, gdyby nie to, że Rathma i ja możemy być ostatnimi...

– Ostatnimi równymi wam wiekiem. Ale od waszych czasów minęło wiele lat, jak sam zauważyłeś.

– Nieważne, ile przeszło wieków, doskonale przypominam sobie, co jest moim obowiązkiem! Góra Arreat pozostanie niedostępna tobie i wszystkim innym profanom!

Uderzył w ziemię z taką siłą, że grunt zakołysał się i uciekł spod nóg Uldyzjana. Kolos z każdą chwilą wyglądał bardziej jak starożytny wojownik, odziany w kilt i sandały, ze złotą obręczą wokół głowy. Teraz przypominał barbarzyńskie bóstwo... Bóstwo, które emanowało czystą mocą, z jaką dotąd Uldyzjan nie miał okazji się zmierzyć, nawet gdy walczył z Lucionem.

– Przysięgaliśmy, że droga do wnętrza góry będzie na zawsze zamknięta przed takimi jak Esu! – huczał z furią Bul-Kathos. – Którzy chcieliby

wykorzystać to, co kryje góra, by dalej pustoszyć osłabiony świat! I choć inni mogli już wrócić do ziemi, bardziej niż nawet ja chciałbym się nią stać, to w imię ich pamięci i naszej przysięgi zamierzam wypełnić swój święty obowiązek!

Ponownie uderzył w ziemię i Uldyzjan, który już niemal się podniósł, znów upadł na plecy. Przetoczył się natychmiast, co okazało się mądrym posunięciem, bowiem maczuga rąbnęła w ziemię dokładnie tam, gdzie przed chwilą leżał.

– Nie jestem panem żywiołów jak Esu, młody głupcze, ale Bul-Kathos włada własną mocą!

– A mówi o niej jeszcze więcej! – odciął się Uldyzjan. Choć znajdował się w dość dziwnej pozycji, nadal mógł skupić się na przeciwniku, w końcu trudno było chybić celu tych rozmiarów...

Rozległ się dźwięk, może gromu. Ziemia między nimi eksplodowała, jakby samo powietrze zajęło się ogniem. Obu walczących odrzuciło, i to ze znaczną mocą.

Uldyzjan uderzył w drzewo i miał wrażenie, że połamał wszystkie kości. Jednak już w następnej chwili zdołał przykucnąć i złapać garść ziemi. Cisnął ją w powietrze i skoncentrował się.

Garść ziemi zmieniła się w wirującą, oślepiającą siłę, która zaatakowała giganta, gdy ten tylko dźwignął się do pionu. Jednak Bul-Kathos nie uchylił się przed tym atakiem, a głęboko wciągnął powietrze i... kichnął. Wir rozwiął się bez śladu, a ziemia utworzyła niewielką kulkę, która wylądowała na brązowej dłoni olbrzyma.

Z gromkim śmiechem Bul-Kathos uniósł kulkę, rozciągnął ją obiema dłońmi i w mgnieniu oka zmienił we włócznie z grotem lśniącym jak diament. Zamachnął się i cisnął ją w Uldyzjana. Ten znów podniósł tarczę, ale tym razem okazała się ona niewystarczająca. Włócznia zwolniła, ale nie zatrzymała się. Uldyzjan wysilił całą wolę, ale grot zagłębił się płytko w jego lewym ramieniu. Mężczyzna krzyknął...

Bul-Kathos znalazł się przed nim w mgnieniu oka i oburącz pochwycił włócznie. Wyraźnie miał zamiar wepchnąć włócznie głębiej.

– Zostałeś ostrzeżony! Gdybyś tylko zgodził się zawrócić, młodziku! Przysięgałem uczynić to, co teraz uczynić muszę!

Uldyzjan złapał za drzewce.

Błyskawica pomknęła po włócznie do zaciśniętych na niej dłoni olbrzyma. Uldyzjan zaryczał, gdy spowiło go potężne wyładowanie energii. Rozwarł palce.

Zaciskając zęby, Uldyzjan wyciągnął grot z ramienia. Dotknął krwawiącej rany, która natychmiast się zamknęła.

Obaj się zatrzymali. Obaj dyszeli ciężko, gdy ich spojrzenia się spotkały.

– Dobra walka! – podsumował olbrzym niemalże z radością. – Przywróciła mnie do życia, przypomniała wspaniałe wyzwania, jakim dawnymi czasy codziennie stawiałem czoła...

– Może ciebie to raduje, ale mnie nie! – warknął Uldyzjan. – Mój przyjaciel nie żyje, mój brat przepadł, a kobieta, którą kocham, i ci, którzy pokładają we mnie wiarę, mogą być martwi, podczas gdy ja marnuję czas i siły na to! – Wyprostował się gwałtownie. – Baw się dalej, Bul-Kathosie, jeśli tego chcesz, ja mam dość! Dobrze więc! Zatrzymaj sobie ten plugawy sekret, którego tak strzeżesz!

– Nie mogę wierzyć, że nie wrócisz, młodziku, i choć po części przez moją nierozwagę dowiedziałeś się o Arreat i o tym, że coś ukryte jest w jej trzewiach, to nie mogę pozwolić ci żyć!

Kolos zatarł dłonie, ale zanim zdołał zrobić to, co robić zamierzał, jakaś postać pojawiła się między nim a Uldyzjanem.

– Ale pozwolisz mu żyć, stary ośle. Nie tylko żyć, ale i wejść wraz ze mną do wnętrza góry Arreat.

Bul-Kathos zakrzyknął pierwszy.

– Rathma! – I zaraz popatrzył na przybysza wrogo. – Do wnętrza góry? Oszalałem tu z odosobnienia i tylko mi się zwidujesz? Nigdy byś czegoś

takiego nie zaproponował!

– Taki jestem prawdziwy jak i ty, Bul-Kathosie. – Rathma dźgnął kolosa w pierś obleczonego w rękawiczkę palcem. – A może nawet i bardziej – dodał, zauważywszy ziemię i trawę na rękawiczce. – Myślałem, że przetrwasz nawet mnie...

– To jeszcze być może, jak się będziesz upierał przy tym pomysle. Z jakiegoż to powodu temu tu dane będzie odwiedzić górę?

– Ponieważ moja matka powróciła.

I to wystarczyło. Twarz Bul-Kathosa zmieniła się w mgnieniu oka. Splunął z obrzydzeniem, ale nie wodą, a błotem. Uldyzjan zrozumiał, że Rathma nie mylił się co do kolosa. Wprawdzie olbrzym wyglądał teraz jak człowiek, ale jego prawdziwym obliczem było to, które Uldyzjan zobaczył na samym początku. Bul-Kathos był tylko duszą, a jego prawdziwe ciało zastąpiła ziemia, w której leżał przez wieki. To tylko świadczyło o tym, jak długo już strzegł owej tajemniczej góry.

– Lilith... – Bul-Kathos wypowiedział to imię tonem kogoś, kto właśnie zorientował się, że połknął truciznę. – Winna śmierci mych rodziców! Nigdy nie pozwoliliby Inariusowi wyrznąć nas, jak twierdziła, Rathmo! Jestem tego pewien...

– A ja nie... ale to bez różnicy. Moja matka ocaliłaby nas tylko po to, byśmy do niej należeli, a to byłby los gorszy od śmierci, wierz mi. Co do mojego ojca... w imię swej koncepcji świata zdolny jest do czynów równie straszliwych.

– Wiem o tym aż za dobrze – odparł olbrzym nagle spokojny.

– Zatem rozumiesz, dlaczego muszę pokazać Uldyzjanowi sekret góry Arreat.

Bul-Kathos skinął głową.

– Zaiste... i nikt nie może cię powstrzymać. Jeśli jeszcze gotowi są stanąć. Dam znać tym, którzy mnie usłyszą, że droga musi być otwarta dla ciebie i twego towarzysza...

Przy wtórze łopotu płaszcz Rathma odwrócił się do Uldyzjana.

– Synu Diomedesa, chciałeś zobaczyć, co kryje góra. Chodź zatem, a ci pokażę.

Ale Uldyzjana zaprzętało coś zupełnie innego.

– Gdzie jest mój brat? Gdzie Mendeln?

– Z Trag'Oulem. I tak na razie być musi. Wydarzenia toczą się znacznie szybciej, niż się spodziewałem, i oni także muszą sposobić się, by wesprzeć nas w walce.

Choć Rathma mówił tonem obojętnym, Uldyzjan czuł, jak napięło się każde włókienko w jego ciele.

– Co się dzieje?

– Dzieje się... – odparła starożytna istota z westchnieniem – co działo się wcześniej. Moja matka Lilith. Nie doceniłem jej. Znow się dostosowała...

– Jak?! Co zrobiła?!

Spojrzenie Rathmy przeniosło się na górę Arreat.

– Przejęła kontrolę nad twymi edyremami, rzecz jasna.

I wraz z Uldyzjanem zniknął sprzed oczu Bul-Kathosa.

DWANAŚCIE



Mendeln niepokoił się o brata. Nie miał pojęcia, gdzie podział się Uldyzjan, a Trag'Oul nie był specjalnie pomocny w tej kwestii.

„Jest, gdzie być musi, tak jak i ty jesteś, gdzie być musisz” – odpowiadał za każdym razem.

To, gdzie Mendeln był, niepokoiło go równie mocno, co i miejsce pobytu brata. Opuścił ciemną pustkę, która zdawała się dziedziną smoka, a znalazł się na jałowej ziemi, w miejscu, gdzie przed wiekami dokonała się rzeź.

Krajobraz i niebo nad nim były jednolicie szare. Nawet najłżejszy podmuch wiatru nie mącił powietrza, pył pokrywał wyglądające podobnie starożytne budowle rozrzucone po równinie. Niektóre przetrwały nienaruszone, z innych zostały jedynie szkielety. Kiedyś to miejsce musiało być pełne zieleni – teraz po roślinności zostały jedynie skamieniałe resztki. Nie było przy tym wątpliwości, że wszystkie rośliny, małe i duże, zginęły w jednej chwili, gdy osada ta obróciła się w ruinę.

Tak jak i jej mieszkańcy. Mendeln wyczuwał zmarłych. Spoczywali tu od bardzo dawna. Dłużej niż istniał legendarny Kedzan. Ale nie spoczywali w spokoju.

Mendeln oczekiwał jakichś wyjaśnień, ale Trag'Oul milczał jak grób. Zirytowany Mendeln podszedł do najbliższej z budowli i zgarnął kurz z kamieni.

Nie zdziwił się, zobaczywszy ślad słów w języku, który miał wypalony w umyśle. Jednak słowa te nic dlań nie znaczyły, nawet wtedy, gdy je wymówił na głos. Rozpoznawał znaki, ale te nie składały się w żaden zrozumiały wyraz.

– I co my tu mamy? Co? – mruknął, prostując plecy.

„Pozostałości poprzedniej krucjaty Lilith...” – usłyszał natychmiast.

Mendeln wzdrygnął się, ale nie z powodu tego, co powiedział smok. Od momentu, w którym Uldyzjan to wytknął, Mendeln wyraźnie słyszał podobieństwo własnego głosu do głosu gwiazdnego giganta... o głosie samego Rathmy nie wspominając. Od jakiego czasu i jak głęboko tkwili w jego umyśle?

To pytanie sprawiło, że niemal się zbuntował, ale świadomość zagrożenia ze strony Lilith i troska o Uldyzjana stłumiły w końcu jego wahanie. No i prawdę mówiąc, Mendeln nie doświadczył niczego złego ze strony tych, którzy mienili się jego nauczycielami. Jeżeli działali, to tylko mając na uwadze chęci i pragnienia, które drzemały w nim od lat. I skoro pobieranie nauk od tej niesamowitej pary miało pozwolić Mendelnowi ocalić zarówno brata, jak i świat... to gotów był się uczyć i zrobić to, co konieczne.

Ruszył ku następnym ruinom i znalazł się przy nich w mgnieniu oka. Wiedział, że przejście takiego dystansu powinno zabrać mu więcej czasu, zatem coś było nie w porządku. Z drugiej jednak strony cieszył się w duchu, że nie musiał poświęcać całych godzin na przemierzenie tej upiornej okolicy.

Druga budowla przetrwała w lepszym stanie niż pierwsza. Mendeln znowu odłonił spod warstwy pyłu nieznane słowa, tym razem jednak nie poddał się tak łatwo. Wymawiał starannie każdą runę, próbując modulować

głos na różne sposoby. Być może poprzednio popełnił błąd właśnie w wymowie. Być może...

Nagle słowo przed jego oczyma nabrało sensu. To było imię albo nazwa jakiejś rzeczy. Pyragos.

Zadowolony z sukcesu, wymówił słowo na głos.

– Pyragos!

Ziemia wokół budynku natychmiast się zatrzęsała. Mendeln zatoczył się do tyłu, żałując swej pochopności.

Spod ziemi wyrwała się istota pozbawiona nawet resztek ciała, o postrzępionych skrzydłach, które kiedyś zapewne unosiły ją w powietrzu. Głowa stworzenia przypominała kształtem byczą. Miała nawet dwa potężne rogi. Istota skoczyła, sypiąc wokół wyschniętą ziemię, a może i resztkami wyschniętej skóry. Mendeln od razu pomyślał o nieumarłym demonie, z którym walczył w dżungli u boku Uldyzjana.

Jednak tym razem okoliczności były nieco inne. Przede wszystkim powstały z grobu szkielet był mniejszych rozmiarów, drobniejszy, mimo rozłożystych skrzydeł. Mendeln był niemal pewien, że kiedyś była to istota płci żeńskiej.

– Pyragos...? – powtórzył już mniej pewnie.

W odpowiedzi ziemia po jego prawej zadrzała. Po prawdzie to cały krajobraz dygotał. Mendeln cofał się gwałtownie, przeklinając się w duchu za bezmyślność.

Z poszarzałej ziemi powstał legion umarłych. Żaden z nich za życia nie był człowiekiem, teraz zaś składali się jedynie z kości... w większości przynajmniej, bowiem Mendeln dostrzegał puste ubiory albo nawet i same cienie. Byli wszelkich kształtów i rozmiarów, płci żeńskiej, męskiej... albo i innej.

Jednak było w nich coś, co wydawało się nie na miejscu. Mendeln miał do czynienia z duchami i ci z pewnością nimi nie byli. Wyciągnął dłoń do najbliższej z istot, skrzydlatej i rogatej, tej samej, którą z racji niewielkich

rozmiarów uznał za kobietę. Jego dłoń przeszła przez kości, nie napotkawszy oporu. Mendeln nie wyczuł w istocie nawet cienia życia.

To wspomnienia aniołów i demonów. Zginęli śmiercią tak straszną, że ich cienie na zawsze wtopiły się w to miejsce.

Nie duchy zatem. Mendeln zastanawiał się, czy mieli dusze, ale podejrzewał, że nie. Być może dlatego właśnie zazdrościli ludziom i zarazem im nie ufali.

Nagle wyczuł, że nadchodzą inni. Mgliste kształty pływały wokół niego, przepływały nawet przez makabryczne wspomnienia. Te kształty były Mendelnowi znajome. Duchy, prawdziwe dusze.

Ale... czyje?

– Ukażcie mi się! – rozkazał.

A oni posłuchali. Legion kobiet i mężczyzn, wielu idealnie pięknych, nawet po śmierci. Rozpoznał ich, dostrzegając w ich rysach tę samą doskonałość, co w rysach Rathmy.

Dzieci twórców Sanktuarium. Pierwsi nefalemowie i następne pokolenie.

Duchy nefalemów stały nieruchomo, jakby czekały na jego ruch. Mendeln nie miał pojęcia, co powinien uczynić, a Trag'Oul znów milczał. Najwyraźniej człowiek sam musiał wybrać swoją drogę.

Ale stojąc przed niezliczonymi zastępami martwych, jaką drogę mógł wybrać?

Zwrócił się ku duchowi, który stał najbliżej. Była to kobieta o takiej urodzie, że serce zabiło mu szybciej. Jej srebrzyste oczy patrzyły nieruchomo, bez mrugnięcia.

Mając nadzieję, że nie popełnia błędu, Mendeln wyciągnął ku niej dłoń.

Nefalemka skłoniła głowę tak, że jej czubek znalazł się tuż przy palcach Mendelna.

Mendeln, kierując się przecuciem, musnął czarne, lśniące włosy. Poczł, jak przepływa przez niego moc i głos, wyraźnie żeński, rzekł:

– Nazywałam się Helgrota...

Cofnął dłoń. Nefalemka uniosła głowę i spojrzała na niego srebrnymi oczami.

I choć usłyszał zaledwie imię, jej imię, teraz dotarło do niego, że wie o niej znacznie więcej. Potrafił wyobrazić sobie ją za życia. Jej moc dorównywała niemal mocy Rathmy, czuwała nad stworzeniami, które wiodły nocne życie. Była dobra i ciepła, ale i twarda, gdy przychodziło do ochrony tych, o których dbała.

Mendeln stał, zastanawiając się, co powinien zrobić. Umarli czekali, wiecznie cierpliwi, nawet gdy jemu brakowało opanowania.

– Co mam z wami uczynić? – spytał z naciskiem. – Ruszycie ze mną przeciwko Lilith? Ruszycie? Czy choć jeden z was jest na to gotów?

Nefalemka uniosła lewą rękę. Mendeln przestraszył się i cofnął, ale kobieta nie miała zamiaru go zaatakować. W jej dłoni zmaterializował się długi, wąski kształt. Kość.

Podąła ją Mendelnowi.

Ten nie miał pojęcia, co począć z tak makabrycznym darem, ale widział, że głupotą byłoby odmówić, złapał więc kawałek kości.

– Dziękuję... – wykrztusił.

Ale zanim jego wargi do końca uformowały słowo, duch nefalemki Helgroty rozwiął się niczym smużka dymu na wietrze, a za nim cała reszta upiornego legionu.

Wspomnienia aniołów i demonów, a wraz z nimi i cały krajobraz jałowej ziemi, zniknęły na podobieństwo mgły.

Mendeln nagle znalazł się w mrocznej pustce, która zdała mu się aż nadto znajoma.

„Wymów słowo raz jeszcze. Wymów je, synu Diomedesa”.

– Pyragos? – Mendeln poczuł chłód w dłoniach, chłód niemalże odświeżający. Kość w jego dłoniach lśniła. Z całej siły zwalczył chęć wyrzucenia jej natychmiast.

„To pierwsze słowo przywołania, a przedmiot ten zwiąże cię z mocami koniecznymi do tego aktu”.

Kość nefalemki skręciła się, zaczęła zmieniać kształt. Stała się krótsza i cieńsza, jeden koniec utworzył szpic, drugi stał się płaski, krawędzie natomiast – ostre.

Blask przygasł, ale nie do końca. Mendeln spojrzał na trzymany przedmiot.

Sztylet... kościany sztylet, taki sam, jakim władał Rathma.

„Uznali cię, tego, który ich słyszy. Dzieci demonów i aniołów zgładzone tak niegodziwie. Uznali, że nie dopuścisz do tego, by Sanktuarium stało się furią Płonących Piekieł ani dyktatorskim porządkiem i despotycznym oddawaniem czci Królestwa Niebios. Ci, którzy pierwsi narodzili się w Sanktuarium i są z tej przyczyny czymś znacznie więcej, niż Lilith czy Inarius mogą pojąć, na zawsze otworzyli bramę między życiem a stanem pośmiertnym...”

– Pośmiertnym? – powtórzył Mendeln, ale smok nie zechciał udzielić mu dalszych wyjaśnień i człowiek pojął, że sam powinien stworzyć definicję tego słowa, najlepiej jak tylko potrafił.

„Ujmij sztylet w dłoń – nakazał smok, a kiedy Mendeln wypełnił polecenie, gigant dodał: – Zwróć ostrze do wnętrza drugiej dłoni”.

– Wielki Trag’Oulu... – Mendelnowi nie do końca odpowiadał kierunek, w jakim sprawy zmierzały, ale był posłuszny.

„Nakłuj dłoń, synu Diomedesa”.

– Ale...

„Tak trzeba”.

„Dotarłem tak daleko” – pomyślał Mendeln. Poza tym smok prosił go jedynie o ukłucie, nic więcej. Komu to zaszkodzi?

„W rzeczy samej, komu...?”

Z ponurym grymasem Mendeln spełnił żądanie smoka. Cofnął ostrze niemal w tej samej chwili, gdy dotknęło skóry, tak szybko, że w pierwszej

chwili nie mógł stwierdzić, czy w ogóle ją przeciął.

Ale na dłoni pojawiła się maleńka czerwona kropla. Mendeln spodziewał się, że Trag'Oul każe mu spróbować raz jeszcze i postarać się bardziej. Więc wciąż trzymał sztylet nad wyprostowaną dłońią.

I wtedy, na oczach zdumionego Mendelna, czerwony strumyczek popłynął z dłoni ku kościanemu ostrzu. Tylko magia mogła sprawić coś tak sprzecznego z naturą. Strumyczek zabarwił czubek klingi i nadal płynął ku górze, niestrudzenie barwiąc ostrze i zbliżając się do rękojeści.

Mendeln wyobraził sobie natychmiast, ile krwi będzie do tego potrzebne, i zaczął cofać dłoń.

„Zostaw”.

Chciał się zbuntować, ale tego nie zrobił. I nie chodziło o to, że Trag'Oul rzucił nań jakiś czar, Mendeln po prostu wierzył, że smok nie chce jego krzywdy.

„Ale kiedy mu zaufałem?” – zapytał sam siebie. Zanim zdążył odpowiedzieć na to pytanie, pierwsze krople krwi dotknęły rękojeści.

Krew płynęła w górę sztyletu, ale już nie z dłoni Mendelna. Kiedy chciał spojrzeć na ranę, niczego nie znalazł.

„Patrz...”

Wrócił spojrzeniem do sztyletu, który miał teraz barwę szkarłatu. Jednak szkarłat ów bladł z każdą chwilą, aż w końcu zniknął.

„Sztylet jest związany z tobą, a ty jesteś związany ze sztyletem. Poprzez ostrze jesteś związany z nimi, a przez nich z Równowagą”.

– Czym jest Równowaga? – spytał Mendeln gwiazd. – Mówisz o niej i myślisz, ale nie wiem, co to tak naprawdę znaczy!

Gwiazdy poruszyły się i kształt smoka rozmył się na chwilę. Kiedy wróciły na właściwe miejsca, Trag'Oul odpowiedział:

„Równowaga to równomierne rozłożenie sił Światła i Mroku. Jej istota najważniejsza jest dla Sanktuarium, ale też i dla całego stworzenia. Świat rządzone przez Mrok spłonie we własnym ogniu. Świat, którym włada

Światłość, podda się stagnacji. Jeśli jedno z nich zdobędzie kontrolę nad Sanktuarium, by zdobyć przewagę nad drugim, nastąpi koniec wszechrzeczy...”

Słowa bestii miały sens, a przynajmniej Mendeln go dostrzegął. Jednakże...

– Czy nie powinniśmy dążyć do tego, by dobro pokonało zło?

„Światło i Mrok to niekoniecznie dobro i zło, synu Diomedesa. Tak, dobro winno zatriumfować nad złem, ale jeśli pamięć o tym, co złe, przypadnie, wtedy i dobro może obrócić się przeciw sobie...”

– Nawet jeśli, nigdy nie sprzymierzę się z demonem! – Sama taka możliwość wydała się Mendelnowi niedorzeczna.

W tonie Trag’Oula dawało się niemal wyczuć rozbawienie.

„»Nigdy« to określenie, które jest zasadniczo nieosiągalne. A sprzymierzyłbyś się z aniołem... takim jak Inarius... który pragnie, by Ludzkość była mu pokłony i się doń modliła?”

To była celna uwaga, Mendeln nie mógł zaprzeczyć. Z tego, czego zdążył się dowiedzieć, Inarius uznawał za słuszne tylko absolutne posłuszeństwo względem niego.

– Nie mogę uwierzyć, że cierpimy przez obie strony i nie ma dla nas nadziei.

„Czy powiedziałem, że nie ma? Mieszkańcy Królestwa Niebios i Płonących Piekieł wierzą, iż są potęgą absolutną. Pewnego dnia dowiedzą się, że daleko im do panów wszelkiego stworzenia...”

– Chcesz powiedzieć, że jest coś więcej? Coś większego? – zareagował natychmiast Mendeln. – Dusze pierwszych nie odeszły, ale dokąd podążyli inni? Dokąd idą dusze mego ludu?

„Tam, gdzie ich miejsce... tam, gdzie nie ma Królestwa Niebios ni Płonących Piekieł, poza ten wszechświat wypełniony tragedią, jaki stworzyli...”

– Cóż to znaczy? Skąd to wiesz?

„Wiemy, albowiem wiemy...”

Mendeln zwrócił uwagę na owo „my” i w jakiś sposób czuł, że nie obejmuje ono Rathmy. Czy Trag’Oul nie był jedynym? Czy istniały stworzenia mu podobne?

Ale smok nic już nie powiedział, a Mendeln wiedział, że nawet gdyby pytał, to nie doczekałby się odpowiedzi. Jednakże to, co słyszał, obudziło w nim nadzieję.

– Czyli jest szansa, że Sanktuarium stanie się czymś więcej, niż pragnęłyby anioły i demony... – Mendeln ścisnął mocniej swój sztylet. To nie była broń, a klucz do wolności rodzaju ludzkiego od wiecznej wojny aniołów i demonów.

Co było możliwe tylko wówczas, gdy Uldyzjanowi uda się jakoś pokrzyżować plany Lilith i tajemniczego Inarius.

Anioł martwił Mendelna najbardziej.

– Ten Inarius... ojciec Rathmy... co on wie?

Po raz pierwszy Trag’Oul emanował niepewnością.

„Lilith to istota wielu intryg i choć nie zawsze można uprzedzić jej ruch, to trudno przeoczyć jej działania. Inarius natomiast jest graczem daleko bardziej subtelnym. Być może przeznaczone nam polec w starciu z nim, bo kto wie, czy nie szykuje się, by pokonać nas i ją w tej samej chwili. Rathma potrafi lepiej ocenić jego motywy, ale sam nie jest pewien, jak dokładne są jego przypuszczenia...”

Był to dość ogłędny sposób stwierdzenia, że anioł jest zagadką zarówno dla Mendelna, jak i dla jego mentorów.

– Ale wiemy przecież, że jest Prorokiem! Odślonił twarz przed swoimi wyznawcami! Na pewno możemy jakoś przewidzieć jego działania...

„Inarius pozostaje całkowicie osłonięty, gdy patrzą nań niezliczone oczy. To, co widzisz i co nazywasz Prorokiem, to niekoniecznie to, czym Inarius jest. Podobnież jak Pierwszy, który nie jednym jest, a trzema...”

To była kolejna ze spraw, która niepokoiła Mendelna, zanim jeszcze Rathma sprowadził go tutaj.

– Lucion był Pierwszym, ale już go nie ma. Czyli teraz to Lilith założyła tę maskę.

„A czy Lilith doprowadziłaby do takiego chaosu w Haszirze?”

Nie, i Mendeln o tym wiedział. Nie podjęłaby kroków nieracjonalnych nawet dla demona.

– Kolejny przywódca? – spytał wreszcie. – Kolejny demon? Możemy to wykorzystać! Skoro ten trzeci pokrzyżował jej plany...

„Nie pokrzyżował... po prawdzie... przyspieszył ich wypełnienie”.

To nie wróżyło dobrze. Skoro Mendeln i Uldyzjan zniknęli, tylko Serentia mogła stawić czoła Lilith. Z pewnością lepiej się do tego nadawała niż Mendeln.

– Serentia poprowadzi edyremów. Ufają jej. Pójdą za nią wszędzie.

Gwiazdy ponownie zmieniły położenie i wróciły do oryginalnego kształtu. Mendeln rozumiał już, że była to oznaka niezadowolenia.

„Tak... posłuchają rozkazów twojej towarzyszki pod nieobecność twego brata... i w ten sposób coraz bardziej będą należeć do Lilith...”

Mendeln jęknął z irytacji.

– Czego mi nie mówisz? Co wiesz?

Smok zawahał się, co było doń niepodobne.

„Edyremowie Uldyzjana wierzą, że idą za twą przyjaciółką, ale tak naprawdę podążają za demonem”.

– Podążają... nie!

„Tak... patrzą i widzą Serentię z Seram, ale ona to naprawdę Lilith od kilku dni wedle miary czasu Sanktuarium...”

– Serentia... – Mendeln porażony opadł na jedno kolano. Myślami wrócił do Party, gdzie Malik przywdział skórę ich przyjaciela. – Nie... Serentia... niemożliwe...

Skórę innej osoby... Lilith w skórze Serentii.

Haszir był wprawdzie mniejszy od Toradży, ale ślad, jaki pozostawili w nim edyremowie, szczególnie w Świątyni, był o wiele głębszy niż cokolwiek, co uczynili w większym mieście. Świątynia stała nadal, ale skąpana we krwi. Ciała kapłanów zwisały ze zrujnowanych kolumn przed budynkiem. Moc edyremów sprawiła, że długie na stopę strzały wchodziły w marmur po tym, jak przebiły miękkie ciała ofiar. Każdy z kapłanów miał ramiona wyciągnięte nad głowę, a złożone dłonie przebite metalowymi grotami. Gardła i ciała też naszpikowane były pociskami.

Stało się tak za sprawą kobiety, która przewodziła edyremom. Kapłani porwali Uldyzjana – twierdziła – i zawisną jeden po drugim, póki któryś nie zdradzi, co z nim uczynili.

Ale kapłani konali, przysięgając, że nie wiedzą, co stało się z przywódcą owej tłuszczy. Serentia uznała to za wystarczający powód, by dalej przetrząsać okolicę w poszukiwaniu wiernych sekty, ze szczególnym uwzględnieniem przywódców miasta.

Trzy dni po tym, jak Uldyzjan i jego uczniowie wkroczyli do miasta, Haszir był niewiele więcej jak blizną.

Podczas tych wydarzeń ludność miasta ukryła się – zarówno w obawie przed sługami Świątyni, jak i przybyszami. Jednakże czwartego dnia Serentia stanęła na rynku i oznajmiła donośnym głosem, który niósł się szerokim echem przez miasto, że przybyła, by nieść Haszirowi nowy pokój i nadzieję. Tubylcy nie od razu uwierzyli jej słowom, ale edyremowie zgromadzili ich na rynku, by na własne oczy mogli się przekonać, iż mówiła prawdę.

Swej publiczności zaoferowała to samo co Uldyzjan, ale nie od razu. Hasziranie byli świadkami potęgi przybyszy i niejeden z nich pragnął mocy dla siebie. Jednak Serentia nawet tym nie pokazała drogi, choć ona przede wszystkim powinna być zdolna to zrobić.

Zamiast tego w tej samej świątyni, którą dopiero co podbiła, gdzie ciała kapłanów stały się pokarmem dla niektórych ptaków, dobry Romus szedł na

audiencję u pierwszej uczennicy swego mistrza. Nie miał pojęcia, czego Serentia od niego oczekuje. Wiedział tylko, że skoro Uldyzjan przepadł na zawsze, jak głosiła plotka szerząca się w ich obozie, to dziewczyna jest ich jedyną nadzieją nie tylko na kontynuowanie obranej drogi, ale i na przetrwanie.

Serentia wybrała na swoje tymczasowe lokum kwatery najwyższego z kapłanów. Romus nie zaznał dobrobytu nawet za czasów, gdy był bandytą, podziwiał teraz jedwabne tapety na ścianach i wyszywane złotem gobeliny. Początkowo żałował okrucieństwa, z jakim edyremowie poczynali sobie w Haszirze, ale na widok tych bogactw zdobytych w podły sposób, to uczucie w nim osłabło.

Chwilę później zatrzymał się jak wryty. Serentia, w swym bitewnym stroju, leżała wyciągnięta na sofie, ze wzrokiem wbitym w pergamin trzymany w dłoniach. Czarne, jedwabiste włosy przesłaniały część jej twarzy i spływały z ramion oszłamiającą kaskadą. To był widok zapierający dech w piersiach, szczególnie dla Romusa, który durzył się w niej niemalże od chwili, gdy ją ujrzał po raz pierwszy.

Udało mu się w końcu odchrząknąć, na co Serentia natychmiast podniosła wzrok.

– Romusie! – uśmiech, który rozjaśnił jej twarz, rozpałił prawdziwy ogień w jego sercu. Gdyby rozkazała mu w pojedynkę walczyć z oddziałem wściekłych morlu, bez słowa rzuciłby się w bój. – Obawiałam się, że nie przyjdiesz!

– Jak miałbym nie przyjść, pani? W każdej chwili, w każdej sprawie, wszystko, czego potrzebujesz, to tylko zawołać, a wierny Romus zaraz cię posłucha...

Usiadła.

– Jakież to poetyckie! Ale podejdz, podejdz! Czemu stoisz przy drzwiach? – poklepała kanapę. – Usiądz przy mnie!

Zbliżył się, gnąc w niskim ukłonie. Przy sofie zawahał się na moment, ale Serentia uśmiechnęła się i ponownie poklepała miejsce obok siebie.

Usiadł w stosownej odległości. Podniósł na nią spojrzenie i w tej samej chwili zatonął w jej lśniących zielonych oczach. Przez ułamek sekundy zastanawiał się, jak to możliwe, że kiedyś wydawały mu się niebieskie. Nie mógł się przecież tak pomylić...

– Romusie, byłeś jedną z osób najbliższych Uldyzjanowi, poza mną.

Dopiero po upływie kilku sekund dotarło do niego, że powiedziała to w czasie przeszłym.

– Znajdziemy go, pani! Nie obawiaj się!

Potrząsnęła głową.

– Nie, drogi, lojalny Romusie... wiem, że sama powtarzałam to ludziom, ale nie sądzę, byśmy go znaleźli. Obawiam się, że jak i jego brat, Uldyzjan jest dla nas stracony na zawsze!

To było nie do pomyślenia. Mistrz Romusa mógł pokonać straszliwe demony i legiony wojowników! Nic nie mogło go pokonać... a jednak...

– Niektórzy mówią, pani, niektórzy mówią, że widzieli przy nim jego brata, zaraz zanim zniknął... może...

– To przebranie, takie samo przywdziały te dwa potwory, które mnie pochwyliły. – Serentia wzdrygnęła się i Romus natychmiast zapragnął ją przytulić. – Nie, jestem pewna, że to demon porwał Uldyzjana. – Jej zielone spojrzenie stało się jeszcze intensywniejsze. – Ten, który niemal i mnie porwał. Jeszcze zanim dotarliśmy do Hasziru.

– Pani! Kiedy?! – Romus był wstrząśnięty.

– W dżungli. Kiedy Uldyzjan nakazał nam przekroczyć rzekę. Pamiętasz?

– Ano tak... – Romus zacisnął zęby. Wiadomość, że Serentia o mało nie dostała się w łapy demonów, wstrząsnęła nim bardziej jeszcze niż zniknięcie Uldyzjana. Nie potrafił wyobrazić sobie edyremów bez niej.

– Uldyzjan... nawet Mendeln – oni mnie wtedy obronili. Ale teraz ich nie ma i robiłam co w mojej mocy, by ochronić innych, ale... muszę ci coś powiedzieć, co przeznaczone jest tylko dla twoich uszu, Romusie.

– Co? Co? – Nieświadomie przysunął się bliżej i teraz już niemal jej dotykał.

– Boję się. Boję. Mogę ochronić innych, ale kto teraz ochroni mnie?

Odpowiedź wyrwała mu się, zanim zdołał sobie uświadomić, jak ona brzmi.

– Ja! Zawsze będę przy tobie, by cię chronić, pani!

Rumieniec wstydu począł pokrywać mu twarz czerwienią, gdy Serentia położyła mu miękka dłoń na policzku. Uśmiechała się.

– Będziesz? Naprawdę, Romusie?

– Oddałbym życie i duszę za ciebie, pani! Zmierzyłbym się z całą potęgą Trójcy! Nigdy nie pozwolę, by coś ci się stało!

Właściwie spodziewał się, że wyrzuci go za to, że ośmielił się tak do niej mówić, w końcu wszyscy wiedzieli, ile znaczył dla niej mistrz Uldyzjan.

A jednak...

– Romusie – szepnęła, a jej wargi były tak blisko. Oddałby życie za jeden pocałunek. – Romusie, nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy...

Pogładziła go po policzku, a potem, niemalże z oporem, cofnęła dłoń.

Nie zdołał zdusić westchnienia.

– Jeśli mówisz szczerze... A mam nadzieję, że tak jest, to mam pewien pomysł.

Romus wciąż był niezdolny, by wydobyć z siebie jakieś słowa, i tylko mruknął coś niezrozumiale.

– Wiesz, jak Uldyzjan budzi w ludziach dar. Ale ze mną zagłębił się bardziej... i zapewne dlatego moje umiejętności rozwinęły się szybciej i mocniej.

– Bardzo możliwe, bardzo możliwe – przytaknął Romus, zadowolony, że znalazł się bezpieczny temat do rozmowy.

– Wydaje mi się... nie, wiem, jak to zrobił. Były chwile, kiedy mógł skupić się tylko na mnie. Zauważyłeś zapewne, że czasem znikaliśmy na długie godziny?

Pamiętał i po raz pierwszy czuł zazdrość, że jego mistrzowi dane było spędzać czas sam na sam z tą kobietą.

– Tak... pani...

– Dobrze! – Jej oczy lśniły jaśniej niż pochodnie na ścianach. – Czy uczynisz mi ten honor i pozwolisz, bym zrobiła z tobą to, co Uldyzjan uczynił ze mną? Oznaczałoby to godziny spędzone razem, za co przepraszam, ale kiedy zabrakło Uldyzjana i Mendelna, ktoś inny musi zająć ich miejsce... A uważam, że lepiej zdołasz ochronić mnie, gdy ja będę chronić ciebie...

Nie mógł zaprzeczyć.

– Jestem twój, pani. Duszą i sercem twój. Naucz mnie, jeśli uważasz, że jestem godzien...

– Uważam, żeś wielce godzien – odpowiedziała tonem, który u innej kobiety Romus wzięłby za przejaw kokieterii. Ale nie w przypadku jego pani. Nigdy.

Zebrał się w sobie, zdusił niestosowne myśli. Chciała, by był przy niej jako towarzysz broni, drugi edyrem, nic poza tym. Wszystko, co proponowała, miało oczywiście jak największy sens. Powinien czuć się zaszczycony. Jeśli jego mistrz nie powróci, o czym Serentia była najwyraźniej przekonana, jego wierny uczeń mógł przynajmniej zadbać, by dziedzictwo nauczyciela przetrwało.

Poprawiwszy swoje samopoczucie odnośnie decyzji, Romus skłonił z oddaniem głowę.

– Kiedy zaczniemy, pani?

Kącki jej ust uniosły się wyżej.

– Dlaczego nie teraz?

– Teraz? – zastanowił się szybko. – Saron i kilku innych powinno o tym wiedzieć, pani, żeby mogli sobie beze mnie poradzić.

– I bez tego dadzą sobie radę. Nie musisz im nic mówić, nawet i później...

Jej palce dotknęły jego dłoni i Romus poczuł falę żaru. Próbując się otrząsnąć, zerknął w stronę drzwi i dopiero wtedy zobaczył, że są zamknięte.

– Chcę, żebyśmy byli sami. By lepiej się skupić – wyjaśniła Serentia. – Rozumiesz, że potrzebujemy prywatności, prawda?

– Tak... tak, pani...

Zachichotała, a on znów oblał się gorącym rumieńcem.

– I jeszcze jedno, drogi Romusie... – jej palce splotły się z jego. – Nie możesz już nigdy nazywać mnie panią.

TRZYNAŚCIE



Dla Uldyzjana brzmiało to tak, jakby coś ogromnego głęboko oddychało.

Jaskinia, w której stali z Rathmą, była wielka – stalaktyty zwisające ze sklepienia były wielokrotnie większe od człowieka. Stalagmity też im nie ustępowały.

Uldyzjan miał wrażenie, że stoi w paszczy głodnej bestii, a owo „oddychanie” tylko wzmagало niepokojące wrażenie.

Stalaktyty i stalagmity były źródłem światła w przeogromnej jaskini, bowiem z wnętrza każdego emanowała upiorna szkarłatna poświata, której źródło Uldyzjan mógł sobie tylko wyobrażać.

Owszem, był zadowolony, że blask pozwala mu zobaczyć otoczenie, ale samo światło też przyczyniało się do narastającego niepokoją Uldyzjana.

– Przeniosłem nas tak daleko, jak to było możliwe. Dalej musimy pójść pieszo – poinformował go Rathma ze swym zwykłym spokojem. – Chyba możesz wyczuć dlaczego.

Ale Uldyzjan już otrząsnął się nieco ze zdumienia, jakie zdjęło go na widok miejsca, w którym pojawił się wraz ze swym niechcianym towarzyszem. Teraz wróciły doń słowa, które Rathma wypowiedział chwilę wcześniej.

Lilith przejęła kontrolę nad edyremami.

Nagle znów przepelniony gniewem, Uldyzjan pochwycił Rathmę za płaszcz.

– Cóż miało znaczyć, co wcześniej mówiłeś? – warczał, potrząsając tamtym ile sił. – Jak to się stało?! Jak tego dokonała?

– Pytasz o moją matkę i jej zapanowanie nad twymi uczniami? – zapytał Rathma niepotrzebnie. – Jest przebiegła i dobrze się kryje, wedle mojego rozeznania opętała kobietę, Serentię, kiedy straciłeś ją na chwilę z oczu. A potem poszło już łatwo...

W głowie Uldyzjana wybrzmiewał młot. Odepchnął Rathmę, próbując zrozumieć, kiedy demon mógł zdobyć Serentię. I jedna sytuacja przyszła mu na myśl niemal natychmiast. Serentia poszła po wodę i ten jeden raz nie skorzystał ze swych umiejętności, by ją obserwować. Skryła się za gęstą roślinnością i... i chwilę później usłyszał, jak gwałtownie wciąga powietrze.

I jak skończony głupiec przyjął jej zapewnienie, że nic się nie stało. Zapomniał, jak pokrętna potrafi być Lilith...

– Serentia... – szepnął. – Niemożliwe... nie może być martwa...

– I nie jest.

Zmieszanie, nadzieja i nieufność walczyły w Uldyzjanie o przewagę.

– Co masz na myśli? Znowu dzieje się to, co stało się z mistrzem Etonem i jego synem! Ta plugawa wiedźma nosi skórę Serentii jak przeklętą suknię. Zamordowała ją! A potem zdarła z niej skórę!

Rathma pokręcił przecząco głową.

– Nie. W tej rozgrywce, jaką prowadzi moja matka, nie może nosić takiego przebrania. Ten podstęp, w rzeczy samej stosowany przez demony, jest dość ograniczonym rozwiązaniem. Wystarczającym, by oszukać kilku kapłanów czy służbę, ale nie przez dłuższy czas, a tego właśnie Lilith potrzebuje. Dlatego też wybrała ostrożniejsze i bardziej delikatne podejście. Musiała dosłownie zjednoczyć się z kobietą. Jest jak duch, który opętał

kobietę, i teraz kieruje każdym ruchem jej ciała. Ale twoja Serentia wciąż jest w środku, choć pewnie pogrążona w bardzo głębokim śnie.

Serce Uldyzjana, które przed chwilą chyba stanęło na dobre, teraz zabiło mocniej.

– Nic jej nie jest, tak? Jeśli wygnam Lilith, Serentia znów będzie sobą?

– Tego nie mogę ci obiecać, synu Diomedesa. Jej sen musi być bardzo mocny, żeby Lilith mogła mieć dostęp do wspomnień, którymi karmi swoje kłamstwa. Nawet jeśli ją wygnamy, nie mogę obiecać, że twoja przyjaciółka wróci do życia.

– Nie powinniście nigdy zabierać mnie z Hasziru! Muszę tam natychmiast wrócić! Odeślij mnie albo pokaż, jak tego dokonać!

Ale Rathma pozostał nieporuszony.

– Gdybyśmy cię zostawili, byłbyś teraz jedynie pustą skorupą wypełniającą rozkazy Lilith. Ona nieustannie zmienia swe plany, knuje kolejne intrygi, dlatego tak trudno przewidzieć jej następny ruch. Ten głupi atak, zaplanowany przez tego, kto zajął jej miejsce jako pierwszy, i fakt, że przejęła ciało kobiety, dowodzą, że uznała, iż nie będziesz przywódcą, jakiego potrzebowała. Po prawdzie to za jej przyczyną byłeś taki słaby ostatnimi czasy. Ponieważ udawała kogoś bardzo tobie bliskiego, nie broniłeś się przed nią zbytnio. Zdołała przeniknąć twe ciało i umysł, manipulować twymi myślami i czynami. Gdybyśmy cię nie zabrali, to w Haszirze zyskałaby nad tobą całkowitą władzę.

– A zamiast tego ma teraz Serentię i pozostałych – odparował Uldyzjan.
– Twoja pomoc niesie więcej kłopotów, niż jest tego warta...

Rathma przyjął te słowa lekkim skinieniem głowy.

– Poblądziłem. Wielce. Zgadzam się, ale sam szybko byś jej uległ. A wciąż jeszcze jest szansa temu zaradzić, jeśli tylko posłuchasz.

– Serentia...

– Zginie, jeśli teraz spróbujesz rozdzielić ją z Lilith. Choć sam uważam to za wstrętne, to muszę powiedzieć, że mojej matce trzeba na tę chwilę

zostawić wolną rękę. Ale jedynie na tę chwilę.

Uldyzjan nie mógł pogodzić się z tą myślą. Nie wyobrażał sobie, do czego plugawe przywództwo demona może doprowadzić Serentię i pozostałych. Musiał jednak przyznać, że konfrontacja z Lilith będzie zadaniem gargantuicznym. Czy zdołaliby przy tym uchronić Serentię od cierpienia czy nawet śmierci?

– Co możemy zrobić?! – zapytał nagłaco. – Przynajmniej to mi powiedz!

Rathma wskazał odległy korytarz.

– Możemy iść, gdzie iść powinniśmy.

Uldyzjan spodziewał się podobnej odpowiedzi. Jednak postanowił, że od tej chwili weźmie sprawy w swoje ręce, na ile tylko to będzie możliwe. I z tą myślą ruszył ku przejściu szybkim krokiem.

Wyższy Rathma miał długie nogi, bez trudu więc dogonił Uldyzjana. Nie wyprzedził go jednak, a dotrzymywał mu tylko kroku, być może nie chciał, by jego oporny towarzysz czuł się prowadzony.

Szli przez labirynt korytarzy, które ktoś przed wiekami wyciął w skale. W korytarzach nie było światła, ale Rathma dobył swego sztyletu, wypowiedział słowo w obcym języku i klinga nagle się rozjarzyła. I dlatego teraz Uldyzjan szedł o krok za Rathmą.

Cały czas miał wrażenie, że ktoś lub coś ich obserwuje. Nie przyznał się do tego Rathmie, bo obawiał się odpowiedzi, jakiej tamten mógłby udzielić. Uldyzjan dość już miał powodów do zmartwień.

W następnym korytarzu Rathma odwrócił się wreszcie do idącego jego śladem człowieka.

– Już prawie doszliśmy. Proszę, byś teraz zwrócił na siebie baczną uwagę.

Nie wyjaśnił, co miał na myśli, Uldyzjan więc postanowił mieć się na baczności. Cóż więcej bowiem mógłby zrobić? Odgłos przypominający

oddech dudnił mu w uszach. Zapewne źródłem dźwięku było to, czego szukali w tych jaskiniach.

Uldyzjan zdołał zrobić zaledwie kilka kroków po ostrzeżeniu, jakie otrzymał od towarzysza, i nagle porwała go fala intensywnego żaru. Jednak przetoczyła się po jego wnętrzu, nie w korytarzu. Poczuł, jak puls przyspiesza mu gwałtownie, a wszystkie zmartwienia związane z Serentią, Mendelnem, edyremami i całą resztą nagle urosły po stokroć. Uldyzjan zmylił krok i zdołał jedynie jęknąć boleśnie.

Rathma szedł dalej, jakby nie usłyszał tej niewypowiedzianej prośby. To tylko bardziej przygnębiło Uldyzjana. Jak mógł być tak głupi, by nie dostrzegać, że tylko marnują czas? Że mają przed sobą przeszkody nie do pokonania? Że...

Przypomniał sobie ostrzeżenie Rathmy. Dygocąc z wysiłku, zdławił rosnący lęk, zdusił zmartwienia i nagle żar ustąpił.

– W porządku? – spytał Rathma, nie odwracając się nawet.

– Mogłeś mnie lepiej ostrzec.

– Nie, żałuję wielce, ale nie mogłem.

Uldyzjan może i by się kłócił, ale dostrzegł słaby czerwony blask u wylotu korytarza. W tej samej chwili dźwięk jakby tłuczonego szkła poniósł się echem w przejściu. Uldyzjan szedł teraz obok Rathmy, który znacznie zwolnił kroku.

– Trzymaj się blisko mnie, gdy wejdziemy do komnaty. Nasza droga nie jest do końca jasna.

– Nawet dla ciebie?

– To miejsce stworzył mój ojciec.

Rozległ się kolejny głośny trzask. Uldyzjan postąpił zgodnie z poleceniem. Serce znowu biło mu szybciej i choć wiedział, że dzieje się tak z powodu tego, co kryło się przed nimi, nie był w stanie się uspokoić.

– Co to jest?

– To co nas tworzy i niszczy zarazem. Ostateczne jarzmo Inariusza nałożone na Ludzkość. Zobacysz.

Kiedy podeszli bliżej, szkarłatny blask i powolny, ale niemilkący oddech stały się jeszcze bardziej wyraźne. Cokolwiek kryło się w komnacie, świeciło jasno niczym słońce. Rathma mruknął coś i jego klinga przestała się jarzyć. Nie schował jej jednak do pochwy.

– Bądź czujny – nakazał Uldyzjanowi, gdy doszli do końca korytarza. – Każdy krok stawiaj ostrożnie.

Ramię w ramię weszli do kolejnej jaskini. Jednak światło było tu tak jasne, że Uldyzjan przestał widzieć cokolwiek.

– Atakują nas! – Rathma ledwie zdążył ostrzec towarzysza.

Wysoki wrzask niemal ogłuszył Uldyzjana. Instynktownie utworzył barierę nad swoją głową. Rozległo się głucho łupnięcie i wściekły wizg. Uldyzjan usłyszał łopot skrzydeł, po którym nastąpiło drapanie pazurami i kolejne wrzaski. Atakowała go więcej niż jedna istota.

Odwrócił się tak, by stać twarzą do tunelu – dzięki temu mógł sobie zapewnić jakąś widoczność. Kątem oka dostrzegł skórzaste skrzydło.

Skądś dobiegło go wołanie Rathmy. Nie zrozumiał słów, z czego wywnioskował, że starożytny nefalem rzuca jakiś rodzaj czaru. To przypomniało Uldyzjanowi, że i on posiada niezwykle umiejętności. Przeklinając pod nosem, nasłuchiwał, czy nie nadlatuje kolejny napastnik.

Łopot skrzydeł, jaki rozległ się po jego lewej, był dokładnie tym, na co Uldyzjan czekał. Wyrzucił ramię w tym kierunku.

Cokolwiek nadlatywało w jego stronę, wrzasnęło cienko. Nie wiedział, czy ów pisk miał mu rozerwać bębny w uszach, czy może stworzenie wrzeszczało z innego powodu. Uldyzjan użył owego wrzasku przeciwko napastnikowi. Odbił dźwięk w stronę latającej bestii, wzmacniając przy tym kilkakrotnie jego natężenie.

Znów rozległ się wizg, ale zaraz po nim odgłos uderzenia ciała o skałę. Istota wrzeszczała, ale teraz niewątpliwie z bólu. Hałas trwał, jakby stwór

dostał konwulsji.

Jakimś cudem Rathmie udało się to wszystko przekrzyczeć.

– Uldyzjanie! Kieruj się moim głosem!

Uldyzjan posłuchał. Pełen napięcia moment później zderzył się z czymś, co miał nadzieję, było nefalemem w czarnej opończy.

Kościany sztylet błysnął przed obolałymi oczyma Uldyzjana i zanim ten zdołał zareagować, Rathma zaintonował zaklęcie.

Sztylet zapłonął oślepiającym blaskiem. Uldyzjan pomyślał, że koniec końców został oszukany, przyprowadzony tu na żądanie Lilith, by mogła upokorzyć go ostatecznie, zanim odbierze mu życie.

Jednak chwilę później wzrok mu powrócił, czego nie zdołał osiągnąć wcześniej, korzystając ze swoich mocy. Teraz widział już na tyle dobrze, by spojrzeć w głąb pieczary.

I to, co zobaczył, sparaliżowało go całkowicie.

Jaskinia, w której się znalazł, była o wiele większa od poprzedniej. Rozciągała się gdzieś daleko w górę, ale i równie daleko w dół – on i Rathma stali na jakiejś starożytnej platformie z rzeźbionego kamienia. Miała kilkanaście jardów długości, na końcu rozszerzała się w obie strony. Uldyzjan uświadomił sobie, że gdyby stwory zepchnęły go jeszcze trochę w prawo, to spadłby w przepaść.

Platforma obwiedziona była niewysokim murkiem, a na jej rogach stały niewielkie konstrukcje, kształtem przypominające piramidy. Na czubku każdej płonęło niewielkie światełko.

Kolory jaskini przypominały Uldyzjanowi bijące serce, ale ta myśl zaświtała mu jedynie przelotnie, bowiem to, co znajdowało się w centrum jaskini, naraz pochłonęło całkowicie jego uwagę.

Wyglądało trochę jak kryształy, które znajdował w dzieciństwie, myszkując po niewielkich jaskiniach niedaleko domu. Ale tamte nie były wysokie na ponad sto stóp, a może nawet na ponad dwieście, bowiem dolna część tworu sięgała zbyt daleko, by ją zobaczyć z platformy. Ten kryształ

wyglądał jak zespolony z kilku skierowanych w najróżniejszych kierunkach i w przeciwieństwie do tych, które Uldyzjan pamiętał, miał w sobie jakąś surowość, a to z powodu ostrych krawędzi i szkarłatnej barwy.

Każda faseta tego niewyobrażalnie wielkiego kamienia zawierała w sobie tysiące mniejszych. A z jego wnętrza dobywało się nie tylko światło, które wcześniej oślepiło Uldyzjana, ale i błyski wielobarwnych błyskawic. Blask kryształu wypełniał jaskinię, która swobodnie pomieściłaby Seram i rozległe okoliczne ziemie, a nawet zdawał się przesączać przez skały.

Z każdym rozbłyskiem błyskawicy kryształ pulsował i Uldyzjan zrozumiał już, co było źródłem oddechu, który słyszał.

Spojrzał w górę, bo stamtąd dobiegł go rozdzierający uszy trzask. Mniejsze fragmenty kryształu, mniejsze, ale ciągle dwa bądź trzy razy większe od człowieka, płynęły w powietrzu w przypadkowych kierunkach. Hałas rozlegał się wtedy, gdy dwa z nich się zderzały. Odłamane fragmenty rozsypywały się wokół, a potem tworzyły najróżniejsze wzory.

Te spostrzeżenia zajęły Uldyzjanowi zaledwie kilka sekund, bo jego uwagę zaprzął teraz inny, bardziej makabryczny widok. Cztery skrzydlate bestie o głowach przypominających oskórowane ogary nurkowały prosto na niego z czterech stron. Stwory miały potężne zęby, długie i szerokie uszy, mięsiste pyski o szerokich nosach. Brakło im jedynie ślepi, a nawet oczodołów, w których ślepia te powinny się znajdować. Zupełnie jakby ich twórca pominął ten szczegół.

Być może nie było to zresztą dalekie od prawdy. Na co zdały się oczy w tym miejscu? Uldyzjan był w stanie cokolwiek dostrzec wyłącznie dzięki magii Rathmy. Znacznie lepszy pożytek bestie miały z uszu i nosów.

Ich skrzydła miały co najmniej sześć stóp rozpiętości i jak u nietoperzy, do których te twory były podobne, skrzydła były zarazem ramionami. Do tego wyposażonymi w szpony długie jak ręka Uldyzjana i z pewnością ostrymi jak brzytwy.

Uldyzjan zrobił z dłoni miseczkę, która wypełniła się błękitną energią. Cisnął ją w najbliższego z potworów.

Błękitna energia połączyła stworza... i zniknęła bez śladu. Skrzydlata bestia potrząsnęła łbem, lekko tylko ogłuszona.

Rathma odpowiedział Uldyzjanowi rozwiązanie.

– Twoje moce są tu stłumione! To efekt kryształu! Musisz mocniej się skupić bez względu na to, co zamierzasz! – krzyknął.

Uldyzjan zauważył, że czarny płaszcz służy nefalemowi podobnie jak niewidzialna bariera.

Klnąc Rathmę za opieszałość w udzielaniu takich wskazówek, Uldyzjan skoncentrował się na swojej barierze. Teraz już siedem stworów latało wokół niego. Z bliska okazały się pozbawione korpusu, miały za to jakieś pokurczone pozostałości torsu i śladowe resztki łap. Składały się właściwie ze skrzydeł i z głowy. Uldyzjan był ciekaw, czy one w ogóle jedzą... ale uznał, że akurat na to pytanie nie chciałby poznać odpowiedzi.

Pyski kłapały mu przed twarzą znacznie bliżej, niżby sobie tego życzył. Mimo wściekłych ataków bestii zmusił się do zachowania spokoju. Zastanawiał się, jak się obronić. Jego śmiertelny w zamierzeniu atak okazał się porażką. Musiał się dobrze zastanowić – wiedział, że gdy zaatakuje, to w tym samym momencie jego tarcza osłabnie.

Tylko jeden pomysł przyszedł mu do głowy – coś, czego próbował już wcześniej, z tym że w zmienionej formie.

Wyprostował się, wziął głęboki oddech i zagwizdał.

Dla niego, a miał nadzieję, że dla Rathmy również, był to jeden, długi pojedynczy dźwięk. Uldyzjan świadom, że jego moc jest stłumiona, skoncentrował na tym dźwięku całą swoją wolę albo nawet więcej. Poczul, jak wielkie skrzydło ociera mu się o ramię.

Ale w następnej sekundzie, gdy już niemal czuł zagłębiający mu się w ramieniu potężny szpon, wszystkie bestie wokół Uldyzjana wrzeszczały tak, że krew ścinała się w żyłach. Natychmiast oddaliły się od niego i latały

w kółko, jakby postradały zmysły. Dwie zderzyły się ze sobą i natychmiast rzuciły się sobie do gardeł. Kolejna uderzyła w ścianę jaskini, odbiła się i uderzyła ponownie i jeszcze raz, aż w końcu zwała się gdzieś w przepaść.

Trzy inne po prostu spadły na kamienną platformę i tam leżały, wrzeszcząc i trzepiąc łbami, jakby chciały się czegoś stamtąd pozbyć.

– Nie uwierzyłbym, gdybym nie zobaczył tego na własne oczy – powiedział Rathma, stając obok Uldyzjana. – To, czego dokonałeś, nie powinno być możliwe, szczególnie w tym właśnie miejscu.

– Ja tylko zastosowałem twoją radę. Skupiłem się mocniej. I zadziałało.

– A nie powinno... a przynajmniej nie w takim stopniu. Rozejrzyj się tylko, Uldyzjanie. Rozejrzyj się i sam się przekonaj.

Uldyzjan posłuchał... i sam się zdumiał rezultatami swej desperackiej próby.

Ponad sześćdziesiąt stworów latało chaotycznie albo wiło się na platformie. Dwa zderzyły się z latającymi fragmentami. Kilka walczyło ze sobą wściekle, podczas gdy inne wiły się w drgawkach. Co najmniej dwa kolejne gryzły same siebie z taką zajadłością, że musiało to skończyć się śmiercią.

Nagle na platformę spadły dwie następne bestie szczipione w walce. Chwilę później te leżące na posadzce znieruchomiały. I gdy Uldyzjan rozglądał się wokół, stwory, jeden po drugim, po prostu... zdychały.

– Nie... nie rozumiem.

Rathma wzruszył ramionami, jakby chciał w ten sposób powiedzieć, że wyjaśnienie jest przecież proste. Uldyzjan zauważył czerwoną rysę na podbródku towarzysza i rozerwane szaty na piersi, na wysokości serca. Najwyraźniej stwory z jaskini niemal go dopadły.

– Zauważyłeś ich podobieństwo do nietoperzy, czyż nie? I pomyślałeś, że jeśli gwizdniesz wystarczająco głośno i użyjesz mocy, żeby jeszcze

wzmocnić dźwięk, to zranisz, a przynajmniej zmylisz kilku napastników, prawda?

– No tak... ale... myślałem, że uda mi się przepędzić te najbliższe, lecz...

– Nawet to powinno być tu trudne – Rathma potrząsnął głową. – Uldyzjanie, synu Diomedesa, nie jesteś tym, kim być powinienes. – Spojrzał przez ramię. – A to zapewne za twoją sprawą – ostatnie słowa najwyraźniej skierował w stronę ogromnego kryształu.

Uldyzjan znów spoglądał na gigantyczny kamień z fascynacją. Nigdy by nawet nie pomyślał, że coś takiego może istnieć.

– Co to jest? – spytał wreszcie. – I dlaczego znajduje się tutaj?

– To powód, dla którego ani nefalemowie, ani istoty im podobne nie rodziły się przez wieki, mój przyjacielu. Ani ty, ani twoi ludzie nie powinniście istnieć właśnie z tego powodu. Stoisz przed największą klątwą wszystkich potomków aniołów i demonów, którzy uformowali Sanktuarium. Stoisz przed Kamieniem Świata...

Sama ta nazwa sprawiła, że Uldyzjan poczuł zimny dreszcz na plecach, jakby jakaś jego część od zawsze znała ów niesamowity artefakt... znała i obawiała się go niewątpliwie.

Trudno mu było patrzeć bezpośrednio na kamień, nawet po tym, jak zakłęcie Rathmy wspomogło mu wzrok. Szybko odkrył, że najlepiej spoglądać na kamień nieco z boku, ale i tak kryształ iskrzył, jakby odbijał promienie setki słońc.

– Inarius uważał, że nefalemowie to zaraza, hańba dla istoty, jaką on jest. Dla niego nie powinniśmy istnieć. Zgodził się rozważyć nasz los i nie wymazywać nas natychmiast z powierzchni tego świata. Jestem przekonany, że wprowadziłyby w życie swój pierwotny zamysł, gdyby nie to, że moja matka wymordowała pozostałych uciekinierów. Ten czyn wszystko zmienił. Gdyby Inarius nas pozabijał, zostałby całkiem sam, ale tego nigdy nie mógł znieść. Jednak sama myśl o nefalemach wzbudzała

w nim obrzydzenie. Dlatego też użył Kamienia Świata, stworzonego głównie po to, by ukryć istnienie Sanktuarium przed Królestwem Niebios i Płonącymi Piekłami, i zmienił jego rezonans.

Uldyzjan, ze skupieniem słuchający opowieści Rathmy, tych ostatnich słów nie zdołał zrozumieć.

– Co to znaczy? Co się przez to zmieniło?

– Oznacza to, że Kamień Świata nie tylko skrywał ten świat, ale i powoli i subtelnie dławił moc narodzonych tu istot. Każde kolejne pokolenie nefalemów było mniej potężne, aż wkrótce rodzili się w ogóle pozbawieni mocy. Tylko kilku z pierwszego pokolenia przetrwało. W tym ja i Bul-Kathos, oczywiście. Dar – czy też może klątwa – naszych przodków został zapomniany. Inarius zaczął kształtować Sanktuarium ku swemu zadowoleniu... i wedle swych żelaznych zasad.

Uldyzjan czuł emanację Kamienia i nie miał wątpliwości, że kryształ mógł bez trudu zdławić jego moce. Dlaczego więc nie zdławił?

– To dzieło Lilith... – wyjaśnił cicho Rathma.

– Odczytujesz moje myśli?

– Odczytuję... wrażenia. To niemal jak czytanie myśli, tylko dokładniejsze, albowiem myśli mogą być pełne kłamstw.

Uldyzjan zmieszany wrócił do ważniejszego tematu.

– Co zrobiła?

– Najwyraźniej ponownie zmieniła rezonans Kamienia, tak że jego wpływ jest teraz minimalny, ograniczony właściwie do góry Arreat. A nawet w jego bezpośredniej bliskości byłeś w stanie ów wpływ przewyciężyć. A skoro Kamień Świata nie stanowi już przeszkody, przyrodzone moce nefalemów mogły znów rozkwitnąć. Jesteś tego najlepszym dowodem... pierwszym z nich, w każdym razie.

Im dłużej stali na platformie, tym mocniej Uldyzjan czuł emanację Kamienia. Wyobraził sobie, że jest tysiąckroć silniejsza... nie, tysiąc razy tysiąckroć. Jeśli taka moc przetaczała się przez Sanktuarium, to Uldyzjan

i jemu podobni rzeczywiście nigdy nie mogliby istnieć. Zmieniła to tylko interwencja Lilith.

Nagle wezbrała w nim nienawiść do kryształu; przeklinał go za zdławienie potencjału, jaki tkwił w rodzaju ludzkim, za to, że zawiódł i nie wypełnił tego zadania, przez co Uldyzjan i ci, którzy w niego wierzyli, znaleźli się w tak straszliwej, tak desperackiej sytuacji.

I wtedy przyszła mu do głowy pewna myśl.

– Rathmo, czy ten rezonans można znów zmienić?

– To pytanie i mnie nie daje spokoju, dlatego też tu jesteśmy, synu Diomedesa – wykonał gest w stronę Kamienia. – Co byś chciał uczynić za jego pomocą? Chciałbyś wrócić do tego, co było kiedyś? A może sprawić, że staniesz się jeszcze potężniejszy? Powiedz mi, synu Diomedesa.

Z całego swego serca Uldyzjan chciałby odwrócić to wszystko, co mu się przytrafiło, wrócić w jakiś sposób do swego życia, zanim jeszcze wkroczyła w nie Lilith i rozpoczęła swe próby. Wątpił jednak, że Kamień mógłby czegoś takiego dokonać. Co najwyżej odebrałyby jemu i pozostałym dar nefalemów. Niestety, nie usunąłby zagrożenia ze strony Świątyni, a ta z pewnością zamierza ostatecznie uporać się ze wszystkimi, którzy sprzeciwiają się jej woli i istnieniu. Inarius zapewne również nie pozwoli, by sprawy toczyły się swoim torem.

A to znaczyło, że Uldyzjanowi pozostała już tylko jedna droga...

– Czy Kamień Świata można zmienić tak, by uczynił nas potężniejszymi?

– Nie, nie bezpośrednio. Może natomiast wspomagać rozwój daru, co koniec końców doprowadzi do tego, czego pragniesz.

Dla Uldyzjana tylko to było ważne.

– Powiedz mi, co mam zrobić.

– To jest Kamień Świata. Żebyś mógł osiągnąć to, czego pragniesz, musisz o tym myśleć. Kryształ albo spełni twoją prośbę, albo ją odrzuci.

– To takie proste?

Rathma się skrzywił.

– Nie... wcale nie.

Uldyzjan zmęczony był już tymi tajemniczymi i sprzecznymi uwagami, skupił się więc całkowicie na kryształ. Kamień Świata pulsował wręcz hipnotyzująco.

„Musisz o tym myśleć” – powiedział Rathma. Uldyzjan spróbował oczyścić umysł i skoncentrować się na tym, czego sobie życzy.

„Musimy być silniejsi – wysłał myśli do Kamienia Świata. – Nasza moc musi wzrastać szybciej”.

Kamień nie zmienił się jakoś widocznie, ale Uldyzjan wyczuł, że wewnątrz kryształu coś się dzieje. Raz jeszcze powtórzył w myślach swą prośbę, by nefalemowie otrzymali większą moc i szybciej.

Jednak zmiana w... w rezonansie już się nie powtórzyła. Uldyzjan nie mógł zrobić nic więcej. Całą swoją wolę, do ostatniej jej kropli, skupił na Kamieniu, ale w końcu poddał się, dysząc ciężko.

Rathma ujął go za ramię dłonią w rękawiczce. Spocony i wściekły Uldyzjan rzucił mu wrogie spojrzenie spode łba.

I zobaczył wyraz absolutnego szoku, malujący się na bladej twarzy starożytnego nefalema.

To z kolei wstrząsnęło Uldyzjanem, nigdy bowiem nie widział u swego towarzysza tak niemaskowanych emocji.

– Co się dzieje? – wykrztusił. – Niebezpieczeństwo?

– Kamień Świata... – wyszeptał Rathma niemal z czcią. Jego spojrzenie pobiegło do kryształu, a potem wróciło do Uldyzjana. – Chciałem zobaczyć... ale się nie spodziewałem... to była tylko teoria... nic więcej... teoria...

Uldyzjan nic z tego nie rozumiał, tym bardziej, że zerknąwszy na wielki kryształ, upewnił się, że nic się nie zmieniło.

– O czym ty gadasz? Zawiodłem!

– Nie patrz oczyma... Patrz umysłem i duszą.

Uldyzjan zmarszczył brwi i ponownie popatrzył na Kamień, ale tym razem użył i innych zmysłów. Nie widział żadnej różnicy. Kamień rozbrzmiewał jak wcześniej, nawet najmniejsza...

Nie... jednak był jakiś cień zmiany, tak niewielki, że Uldyzjan nie dziwił się już, że go przeoczył. Ale tak drobna zmiana nie mogła mieć chyba wpływu na cały świat? Czy mogła?

– Coś jednak zrobiłem. Niewiele. To będzie miało jakieś znaczenie?

– Przyjrzyj się strukturze artefaktu, Uldyzjanie. Jego sercu. Możesz to zrobić...

Uldyzjan skoncentrował się jeszcze bardziej i nagle spoglądał głęboko we wnętrze Kamienia Świata. Widział doskonały wzór kryształu, który tworzył fantastyczne formacje, i zachwycał się ich drobnymi szczegółami. Maleńkie pięcioboczne segmenty powtarzały się w nieskończoność, tworząc podstawową strukturę Kamienia. Uldyzjan nie mógł nie podziwiać ich doskonałości. To, że wspaniały artefakt został stworzony, a nie był wynikiem naturalnych procesów, zdumiewało Uldyzjana nieskończenie. Niemal zapomniał o wszystkich problemach, których doświadczył za przyczyną kamienia.

Nie zapomniał jednak, że czegoś szukał. Już miał się poddać, gdy jedna, niewielka część artefaktu przykuła jego uwagę. Coś było z nią nie w porządku. Uldyzjan natychmiast zrozumiał, że to było źródło zmian w rezonansie. Sięgnął umysłem głębiej...

Cały Kamień zbudowany był w oparciu o wzór pięcioboczny, ale ta jedna część miała sześć krawędzi.

Co było doskonałe, zostało zbrukane...

Uldyzjan wycofał się natychmiast.

– Dzieło Lilith.

– Nie, synu Diomedesa... twoje dzieło – Rathma wbił w towarzysza płonące spojrzenie. – Moja matka zmieniła rezonans zaklęciem, które zmieniło działanie artefaktu, nie jego strukturę. Przypuszczałem, że zrobisz

coś podobnego, a najpewniej w ogóle odniesiesz porażkę. To był desperacki pomysł, ale uważałem, że wart wykorzystania. Pomyślałem sobie, że znalazłeś się w pobliżu Kamienia nie bez powodu...

– Znalazłem się tu przypadkiem...

– Nie odkryłeś jeszcze, że nic nie dzieje się przypadkiem? Nie wiedziałem, czego się spodziewać, ale z pewnością nie spodziewałem się tego! Uldyzjanie, odmieniłeś samą esencję Kamienia, dokonałeś niemożliwego... – Rathma zmarszczył czoło. – Czy to obróci się na dobre, czy na złe... obawiam się, że możemy jedynie czekać. I modlić się.

CZTERNAŚCIE



Achilios się poruszył. Nie obudził się, ponieważ człowiek budzi się ze snu, a Achilios nie spał.

Jednak nie był przytomny. Powoli uniósł głowę z błotnistej ziemi, zastanawiając się, co też się z nim stało. Pamiętał macki demonicznego sługusa Trójcy, pamiętał, że go oplątały. Ale nic poza tym.

Dźwignął się na nogi. Był wdzięczny, że w przeciwieństwie do mrocznych bohaterów ponurych baśni, jakich słuchał w dzieciństwie, on sam stał się bardzo sprawnym chodzącym trupem. Zapewne powinien podziękować za to smokowi, jednak ów stan, tak bliski życiu, a jednak nie będący życiem, sprawiał, że Achilios czuł chłód w piersi. „Prawie żywy” to zupełnie nie to samo co „żywy”.

I w tym momencie wróciły doń wspomnienia tego, co działo się po jego walce z demonem. Odwrócił się gwałtownie w stronę Hasziru.

Ta część miasta, której był blisko, okazała się ruiną.

Gapił się na nią, mrugając – kolejne przyzwyczajenie żywych, jemu niezdatne na nic. Próbował odgadnąć, ile czasu minęło od katastrofy, która dotknęła miasto. Bramy, mury – wszystko wyglądało, jakby zmiażdżyła je pięść giganta. Dwie z trzech wież zostały zniszczone, po jednej nie

dostrzegał nawet śladów. Trzecia chwiała się niepewnie. Z miejsca w pobliżu podstawy unosiła się smużka dymu.

„Wieże zniszczono dzień, najwyżej dwa dni temu – ocenił Achilios. – Miejmy nadzieję, że nie wcześniej”.

Jednak dzień to za długo. Jej już tam nie będzie. Przy pierwszej okazji poprowadzi uczniów Uldyzjana... tylko gdzie? Przestał rozumieć, na czym polegał jej plan – nie żeby miało to jakieś większe znaczenie, bez względu na to, co twierdzili Trag'Oul i Rathma.

Serentia, jego Serentia, została opętana przez demona.

Na myśl o ohydnych postępku Lilith, Achilios uniósł łuk. Wyobrażał sobie, że stoi przed zdradziecką kochanką Uldyzjana. Strzała prosto w serce. Strzała nasycona magią gwiazdneho smoka...

Ale to oznaczałoby śmierć Serentii.

I choć wiedział, czego życzyłby sobie smok, Achilios wierzył, czuł, że był jakiś inny sposób. Serentia nie umarła, nie została obdarta ze skóry, żeby demon mógł ją przywdziać. Nie, kobieta, którą kochał, wciąż tam była, pogrążona w głębokim śnie. Trzeba było obudzić ją w jakiś sposób, żeby mogła walczyć z Lilith od wewnątrz, podczas gdy pozostali będą nacierać na demona z zewnątrz.

W jakiś sposób...

„Najpierw musisz ją wyśledzić, durniu!” – upomniał sam siebie. Nie miał pojęcia, jak bardzo edyremowie go wyprzedzili, ani nawet czy zmierzali do celu, który był ich pierwotnym założeniem. Achilios mógł jedynie zrobić to, co robił najlepiej. Podążać ich tropem.

Słońce stało wysoko, a to znaczyło, że w okolicy byli ludzie. Bez względu na rozmiar zniszczeń w mieście, żywi będą musieli żyć dalej, polować, uprawiać rolę, łowić ryby. Na szczęście nikt żywy nie natknął się na ciało Achiliosa, bo łucznik musiałby się wygrzebywać z kolejnego grobu, albo gorzej – gasić stos pogrzebowy. Jedno spotkanie z którymś

z tubylców wystarczyło mu w zupełności. Od pierwszego spojrzenia widać było, że jest martwy, nawet gdy stał o własnych siłach.

Równie frustrujący był fakt, że ziemia oblepiała go teraz dwa razy grubszą warstwą. Kiedy próbował ją strzepnąć, jego wysiłki znów spełzły na niczym. Wszystko wskazywało na to, że ziemia uważała Achiliosa za swojego i nie ustawała w wysiłkach, by go przyjąć.

On jednak nie zamierzał na to pozwolić, póki nie zrobi dla swej ukochanej wszystkiego, co w jego mocy.

Niczym cień przemykał przez dżungłę wokół Hasziru. Dwukrotnie natknął się na okolicznych mieszkańców, ale okazali się mniej od niego sprytni, więc uniknął spotkania bez trudu. I wreszcie dotarł do okolic zrujnowanej bramy, gdzie miał nadzieję znaleźć ślad, który pozwoli mu odszukać edyremów.

Okazało się to łatwiejsze, niż się spodziewał. Edyremów znów przybyło. Było ich tak wielu, że zostawiali za sobą trop jak stado wielkich zwierząt o węzowych nosach, których mieszkańcy nizin używali w zaprzęgach albo dosiadali jak koni. Nawet ślepiec mógłby podążyć ich śladem.

Achiliosa zaskoczył kierunek, w którym zdążali. Nie szli bowiem w stronę Kedżanu, jak planował Uldyzjan, ale dalej na południe, w głąb krainy, o której łucznik nic nie wiedział.

Co też knuła Lilith?

Ruszył za edyremami. Cokolwiek to było, nie miało w sumie znaczenia. I tak dogoni ich bez względu na to, dokąd szli.

Miał tylko nadzieję, że do tego czasu obmyśli jakiś plan.

„Wracają”.

To jedno słowo ucieszyło Mendelna bardziej, niż mógłby się spodziewać. Porzucił zadanie, jakim obarczył go smok – naukę, jak skupić swą wolę poprzez zdumiewający sztylet. Szło mu zaskakująco dobrze. Zaskoczyło go, że najwyraźniej posiadał wrodzone zdolności do

posługiwania się tym narzędziem, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, jak krótko miał okazję go używać.

Teraz jednak stracił całkowicie zainteresowanie sztyletem.

– Gdzie? Gdzie? – pytał, rozglądając się nieustannie.

I nagle Rathma i Uldyzjan stanęli przed nim. Starszy brat miał w oczach taką samą ulgę, jaką czuł Mendeln. Objęli się mocno i trwali tak przez chwilę. Rathma patrzył na nich z kamiennym wyrazem twarzy, a Trag'Oul emanował rozbawieniem.

„Nie lekceważ uczuć rodzinnych, mój dobry Rathmo”.

– Moje doświadczenia w tym względzie nie były najlepsze i powinieneś to wiedzieć.

Bracia odsunęli się od siebie.

– Serentia... – to było pierwsze słowo Uldyzjana. – Lilith ją opętała, zanim jeszcze dotarliśmy do Hasziru.

– Też to pojąłem, choć w pierwszej chwili obawiałem się, że podzieliła los mistrza Etona. – Mendeln rzucił gwiazdnemu stworzeniu spojrzenie pełne dezaprobaty. Wciąż obwinał smoka za swój wstrząs. – Musimy znaleźć sposób, by wygnać z niej demona...

– To nie będzie takie proste – wtrącił Rathma. – Dobrze wiem, jak mocno moja matka trzyma się tego, co uważa za potrzebne... ty też możesz mieć o tym pojęcie, Uldyzjanie.

– Nic mnie to nie obchodzi! – Uldyzjan wyszczerzył zęby. – Muszę ją uratować... i pozostałych tak samo. A przynajmniej muszę ich ostrzec!

Rathma spojrzał na smoka.

– Trag'Oulu?

„Jej wpływ się nasila. Uldyzjan traci znaczenie w oczach edyremów”.

– I czyja to jest wina?! – ryknął starszy z braci. Pogroził gwiazdom pięścią. – Kto mnie zabrał? Kto mnie powstrzymał przed powrotem?

Gdybyś od razu powrócił w stanie, w jakim się znalazłeś, zapanowałyby nad tobą bez trudu...

– Prawdę mówi – poparł smoka Rathma. – Zdążyła skazić cię ciemność. Powrót w tamtej chwili pozwoliłby jej dokończyć zaklęcia.

Mendeln rozumiał postawę swych nauczycieli, ale czuł potrzebę bronięcia brata.

– Dlaczego w takim razie nie zrobiliśmy czegoś więcej?

– Powinieneś już to wiedzieć – odparował Rathma. – O istnieniu Trag'Oula nie mogą się dowiedzieć nie tylko moi rodzice; nie wolno też pozwolić, by dowiedziano się o nim w Królestwie Niebios czy Płonących Piekieł. Dla dobra Sanktuarium, dla jego przetrwania, Trag'Oul musi pozostać tajemnicą, by dopilnować, aby świat ten pozostał w Równowadze. – Rathma odetchnął głębiej. – Co do mnie zaś, mój los wie gdzie indziej, wiem to od dawna. Więcej powiedzieć nie mogę.

Ta odpowiedź nie zadowoliła Mendelna, nie wspominając o Uldyzjanie, ale obaj wiedzieli doskonale, że więcej z Rathmy nie wydobędą.

Uldyzjana przepelniało zniecierpliwienie. Odczuwał palącą potrzebę zrobienia czegokolwiek. Mendeln widział brata w takim stanie zaledwie kilka razy i obawiał się, co może się stać, jeśli nadal będą zwlekać.

– Nic nie jest jeszcze stracone – zaczął. – Jest ktoś jeszcze, kto nawet teraz...

– Nic dziwnego, że Inarius i demony byli w stanie tak długo zabawiać się naszym światem! – przerwał mu gwałtownie starszy brat. – Mieszacie się w sprawy tych, którzy nie stanowią niebezpieczeństwa, a nie robicie nic, gdy chodzi o tych, którzy są zagrożeniem!

– Uldyzjanie... – Mendeln położył mu dłoń na ramieniu, ale brat zignorował ten uspokajający gest.

– Powiedz mi, Rathmo! Udało nam się osiągnąć cokolwiek z Kamieniem Świata?! Coś się zmieniło?

– Z pewnością, ale na ile, to trzeba ocenić w drodze uważnej obserwacji!

– Już się naobserwowałem! Ja...

„DOŚĆ!”

Choć głos Trag'Oula rozległ się tylko w nich, był niczym grom. Nawet Rathma złapał się za głowę z bolesnym grymasem.

„Anioł podjął działanie”.

Te słowa zwróciły uwagę wszystkich trzech. Uldyzjan zerknął na młodszego brata, a ten ruchem oczu zasugerował, że należałoby raczej patrzeć na Rathmę.

Starożytny nefalem był jeszcze bledszy niż zwykle. Jednak Mendeln nie wyczuwał w nim strachu, a raczej coś bliższego rezygnacji.

– Zatem ustalone – powiedział Rathma.

„To twój wybór. Zawsze to mówiłem...”

– Nie... to wybór mego ojca, nie mój, w żadnym razie nie mój – popatrzył na śmiertelników. – Ale być może... być może za bardzo się nad tym zastanawiałem... być może – zmrużył oczy, gdy jego spojrzenie padło na Uldyzjana.

I starszy z braci zniknął.

– Coś zrobił? – Mendeln domagał się odpowiedzi.

– Wysłałem go, gdzie być powinien.

– W takim razie pošlij i mnie... – zaczął młodszy z braci wiedziony lojalnością.

– Nie. Będę cię potrzebował w czasie konfrontacji. – Teraz wyraźnie było słycać rezygnację w głosie nefalema. – Uzupełniałeś braki w jego edukacji, Trag'Oulu?

„Na tyle, na ile to tylko możliwe. Nie musisz...”

– A jednak muszę. Pójdź, Mendelnie.

Przekonany, że nie ma w tej materii za wiele do powiedzenia, Mendeln i tak chciał wiedzieć, do czego jest zmuszany.

– I dokąd chcesz mnie zabrać, kiedy powinienem być u boku mego brata? Dokąd?

Rathma rozpostarł poły oponczy. Wyglądał teraz jak sama śmierć.

– Zabieram cię do miejsca, od którego chciałbym trzymać się jak najdalej. Chcę... nie, muszę, co z przykrością stwierdzam, zabrać cię... byś stanął ze mną przed obliczem mego kochającego ojca.

Uldyzjan znalazł się w dżungli.

W pierwszej chwili z radością powitał widok zielonej gęstwiny. Uznał, że Rathma się poddał i odesłał Uldyzjana tam, gdzie jego miejsce.

W następnej chwili zorientował się, że nie ma przy nim Mendelna.

Potrząsnął pięścią w stronę baldachimu z liści.

– Niech cię licho, Rathmo! Nie jesteś lepszy od tych, których nazywasz rodzicami!

Ale ani Rathma, ani smok mu nie odpowiedzieli. Uldyzjan skoncentrował się na Mendelni i spróbował najpierw przyciągnąć brata do siebie, a gdy to mu się nie udało, przenieść siebie do pustki Trag'Oula.

Ale nic takiego nie nastąpiło.

Zanim zdołał podjąć decyzję, co począć dalej, jego zmysły wychwyciły coś, co odwróciło jego uwagę od nieobecnego brata.

Serentia, Lilith – obie znajdowały się gdzieś niedaleko.

Uldyzjan zdawał sobie sprawę, że w obecnych okolicznościach nic nie może zrobić dla brata, dlatego skupił się na pozostałych kwestiach. Jak nic Rathma wrzucił go w sam środek gniazda os. Dlaczego syn Lilith sam się z nią nie upora? Co może być ważniejszego?

Ale to, co miał do zrobienia Rathma, nie było problemem Uldyzjana. On musiał zadbać, by Lilith nie wyczuła jego obecności. Użył wszystkich swoich umiejętności, by się przed nią ukryć, i mając nadzieję, że to wystarczy, ostrożnie ruszył naprzód. Jeśli sam ma stawić czoła swej dawnej kochance, to niech tak będzie. Nie pozwoli, by siała zło.

Zapadł zmierzch. Początkowo wytrąciło go to z równowagi. Czas w królestwie smoka mijał jakoś inaczej i Uldyzjan spodziewał się, że słońce będzie stało wysoko. Z drugiej jednak strony ciemność mu sprzyjała, gdyż

nie chciał, by zobaczył go któryś z edyremów. Przede wszystkim Uldyzjan musiał odwrócić wpływ, jaki miała na nich Lilith.

Oczywiście kusilo go, by doprowadzić do konfrontacji na oczach innych, ale Uldyzjan wątpił, czy obróciłoby się to na jego korzyść. W wypadku Lilith najlepiej było najpierw uczynić ją bezbronną... A potem martwić się o resztę.

Kiedy zbliżył się do obozu, natychmiast zrozumiał, że edyremów znacznie przybyło w czasie jego nieobecności. Tym razem nie przyniosło mu to zadowolenia. Większość neofitów została stworzona przez Lilith, nie wiedział tylko, jak tego dokonała. Już wcześniej doszedł do wniosku, że wybrała go na swą marionetkę, by łatwiej budzić moc w ludziach, ale liczne szeregi edyremów zdawały się zadawać kłam tej teorii.

Obchodził obóz dookoła, szukając śladów jej obecności, nie próbując przy tym zatajać swojej. Nie bardzo wierzył, że uda mu się długo ukrywać przed Lilith.

Teren łagodnie opadł w dół, pozwalając Uldyzjanowi przyjrzeć się centralnej części obozowiska. Niezbyt uważnie rozejrzał się po szałasach i namiotach. Wątpił, by Lilith położyła się spać w jednym z nich. A jednak z pewnością znajdowała się niedaleko...

Uldyzjan zamarł, zobaczywszy strukturę pośrodku obozowiska. Kamienną budowlę sporych rozmiarów oświetlały pochodnie. W pierwszej chwili pomyślał, że może to jakaś dawna kwatera myśliwych, ale gdy przyjrzał się budynkowi dokładniej, zobaczył coś więcej niż tylko trójkątnie wykończoną framugę drzwi i dach pod dziwnym kątem. Żłobione kolumny, zdobienia na drzwiach – to wszystko tworzyło jasny obraz. Mała i niewątpliwie najstarsza z tych, które Uldyzjan widział w życiu – była to jednak niewątpliwie świątynia.

I wtedy jego wzrok, doskonały jak za dnia, wyłowił szczegół, który zmroził Uldyzjanowi krew z żyłach.

Nad drzwiami widniała wyrzeźbiona twarz Serentii.

Spoglądała z góry podobna raczej do wspaniałej i wyrozumiałej bogini niż do zwykłej kobiety. I choć rzeźba wyglądała, jakby była tu zawsze, niewątpliwie pojawiła się niedawno.

Natychmiast zrozumiał jej znaczenie. Lilith, poprzez Serentię, stworzyła własnych wyznawców. Im dłużej patrzył na rzeźbę, tym bardziej wydawało mu się, że spogląda na twarz, która nie do końca jest twarzą Serentii, jakby jej rysy zostały delikatnie naznaczone innymi.

I nagle skojarzył, do kogo należały. Lilith. Nie było wątpliwości, że zamierzała stać się ich panią ciałem i duchem. W pewnym momencie będzie mogła odrzucić postać Serentii i może nawet powrócić jako Lyliana.

Uldyzjan próbował stłumić duszący go gniew. Zastanawiał się, jakie znaczenie ma świątynia. Lilith nie zjawiała się tu przypadkiem, to nie było w jej stylu. Ta budowla była z jakiegoś powodu jej celem.

Uldyzjan poczuł zimny dreszcz biegnący wydłuż kręgosłupa. Coś miało się tu wydarzyć, coś, co było zgodne z planami demona.

Większość edyremów kładła się do snu. Niewątpliwie byli zmęczeni po całodziennym marszu. Jednak obozu strzegło więcej wartowników niż kiedykolwiek przedtem, więcej nawet, niż było trzeba. Uldyzjana zaniepokoiło najbardziej, że strażnicy wydawali mu się zimni i czujni nawet wobec śpiących towarzyszy. Połowa z nich pochodziła z Party, druga – z nizin. W większości byli to mężczyźni, ale trafiały się i kobiety o twarzach równie mrocznych.

Nie musiał się wysilać, by wyczuć spowijający ich dusze cień. Skazę. Widomy dowód obecności Lilith.

Nagle jeden ze strażników spojrział w stronę Uldyzjana. Ten zdusił przekleństwo, wzmocnił osłonę i cofnął się nieco między drzewa. Wartownik ze zmarszczonymi brwiami postąpił krok w tamtą stronę.

„Nic nie widzisz – Uldyzjan kierował myśli w stronę strażnika. – To tylko dżungla. Wydawało ci się, nic więcej”.

Nigdy jeszcze nie próbował wpłynąć na kogoś w ten sposób i miał nadzieję, że się przez to nie zdradzi. Strażnik stał nieruchomo, wciąż patrząc w kierunku Uldyzjana... Stał jeszcze chwilę, po czym wrócił na pozycję.

Uldyzjan schował się głębiej w cień, rugając się w duchu za swą nieuwagę. Mało brakowało, a ujawniłby swoją pozycję i to jeszcze samej straży. Gdyby to była Lilith, obecność Uldyzjana przestałaby być tajemnicą.

Czy Lilith w ogóle była w świątyni? Nie mógł jej wyczuć, mógł tylko przypuszczać. Ostrożnie, najostrożniej jak mógł, sięgnął zmysłami ku budowli.

Spróbował i poniósł porażkę. Świątynię otaczała jakaś zasłona czy może tarcza, która nawet przed Uldyzjanem kryła wszystko to, co działo się wewnątrz. To tylko pogłębiło jego niepokój.

Co Lilith chciała tak bardzo ukryć?

Obawiał się, że jego przypuszczenia w tym względzie mogą okazać się prawdziwe. Dlatego też podjął decyzję. Lilith nie mogła działać, gdy większość jej wyznawców spała. Gdyby tylko Uldyzjanowi udało się wejść do środka niepostrzeżenie...

Coś poruszyło się po jego lewej stronie. Ledwie zdążył się ukryć przed przechodzącym obok człowiekiem. Wstrzymał oddech i w tym samym momencie rozpoznał łysego mężczyznę, spacerującego na granicy obozu.

Romus.

Uldyzjan nie mógł dopuścić, by taka okazja wymknęła mu się z rąk. Skoncentrował się i sięgnął myślą do partanina.

Romus zdusił okrzyk zdziwienia. Na pozór spokojnie i naturalnie odwrócił się w stronę ściany lasu i chwilę później zniknął między drzewami.

Obaj mężczyźni stali naprzeciwko siebie.

Romus nie mógł ukryć zdumienia.

– Mistrz Uldyzjan?! Myśleliśmy, że zginęliście! Co się z wami działo? – zawahał się na moment. – To wy, mistrzu, nie jakaś zjawa?

– To ja. Całe szczęście, że cię spotkałem, Romusie! Przyda mi się twoja pomoc jak nic na świecie.

Romus zamrugął i potaknął.

– Do usług, mistrzu, oczywiście!

Uldyzjan skinął mu głową z wdzięcznością i odciągnął dalej od granicy obozu.

– Powiedz mi na początek, jak edyremowie poradzili sobie w Haszirze.

– Było krwawo! Świątynia miała w sobie więcej magii i mocy, niż się spodziewaliśmy! No i paru zginęło, mistrzu. Między innymi Tomo.

Tomo. Uldyzjan opłakiwał wszystkich poległych, ale chętnego do pomocy myśliwego znał lepiej niż pozostałych.

– A Saron jak sobie radzi?

– Przysiągł z zemsty zabić tysiąc sługusów Świątyni, gdy się na nich natkniemy...

Zatem krew wciąż się lała. Uldyzjan winił siebie, ale też Lilith, Inarius, a nawet Rathmę za to, że życie śmiertelników było dla nich mało ważne.

Zapłacą. Zapłacą wszyscy... a Lilith pierwsza.

To przypomniało mu o kolejnym pytaniu, na które chciał szybko poznać odpowiedź.

– A ta budowla starożytna... Jak to się stało, że wszyscy przyszliście tu, a nie ruszyliście do Kedżanu?

Romus cały się rozjaśnił.

– To Serentia! Miała wizję i zobaczyła to miejsce! Taka nowa, wspaniała moc! Nawet ty, mistrzu, takiej nie masz, prawda?

– Nie. – Uldyzjan wątpił, czy którykolwiek z edyremów osiągnąłby takie możliwości. – Nie, i obawiam się, że Serentia też jej nie posiada.

– Co masz na myśli?

– Romusie, czy Serentia... czy nie wydała ci się inna?

– Inna? – partanin wzruszył ramionami. – Kiedy zniknąłeś, ona stanęła do walki i ocaliła wielu z nas! Przywróciła nam ducha walki, mistrzu Uldyzjanie, kiedy byliśmy przekonani, że już nie wrócisz!

Lilith dobrze wykonała swą pracę, czego dowodem była wyrażająca oczarowanie mina Romusa i jego pełen zachwyty wzrok. Uldyzjan wrócił w samą porę.

Ujął edyrema za ramiona.

Romus przebył daleką drogę od tamtej chwili, gdy Uldyzjan zobaczył go na rynku w Parcie.

– Posłuchaj mnie. Nic nie jest takie, jak się wydaje. Wierzysz, że to Serentia prowadziła was od czasu mego zniknięcia...

– No a jakże...

– Zostaliście oszukani! – Uldyzjan gwałtownie kręcił głową. – To jest ciało Serentii, ale to, co widzisz i słyszysz, to demon, plugawa siostra Luciona! Wiesz, o kim mówię!

Romus spochmurniał.

– O Lilith, o której wszyscy słyszeliśmy, a jakże. Jak to może być, że Serentia to ona w przebraniu? Nie może to być!

– Opętała Serentię. Serentia tam jest, śpi głęboko. To, co widziałeś, co przeżyłeś, przysięgam – Serentia nie chciałaby mieć z tym nic wspólnego.

– Nic... no tak. – Romus opuścił wzrok, zamyślony.

Uldyzjan nie mógł dać mu czasu na przetrwanie tych wieści. Czas był luksusem, którego nie miał.

– Romusie... Romusie, Serentia jest w środku tej budowli?

– No tak. Powinna być.

– A wiesz, jakie ma plany?

– Nie, lecz ja i kilku innych mamy przyjść do niej koło północy. Sere... Ona mówi, że musimy porozmawiać o czymś ważnym.

– Czy strażnicy wokół obozu mają z nią jakiś kontakt? – spytał Uldyzjan, a Romus potwierdził skinieniem głowy. – Musimy zatem na nich uważać.

Mogą być pod wpływem jej zaklęć.

– To znaczy, że będziemy tylko my dwaj, mistrzu? Możesz mi zaufać! – W tonie Romusa słychać było błaganie, by Uldyzjan w niego uwierzył.

Uldyzjan zaś nie tylko obdarzył go wiarą, ale zamierzał też powierzyć mu główną rolę w swym planie. Musiał dotrzeć do Lilith niezauważony. Chciał, żeby Romus mu to umożliwił, odwracając uwagę demona. Wtedy Uldyzjan mógłby zaatakować, gdy nie będzie się tego spodziewała.

Wyjaśnił to wszystko partaninowi, a potem zaczął wypytywać o budynek.

– To jakaś stara kaplica, chram czy klasztor, tak mówiła. Seren... Ona nam powiedziała, że to był znak, że zostaliśmy tu sprowadzeni. Że tu zacznie się dla nas wszystkich przemiana...

Uldyzjan znów poczuł lodowaty dreszcz.

– Zobaczy się z tobą przed wyznaczoną godziną?

– Znajdę jakiś powód, mistrzu Uldyzjanie. – Romus się wzdrygnął. – Biedna Serentia...

– Jeśli zajmiesz czymś uwagę demona, będę mógł dostać się do środka, a wtedy ty wyjdiesz.

– A co z tobą, mistrzu?

Ale do tego, co planował Uldyzjan, nikogo nie mogło być w pobliżu. Zmuszanie Lilith do puszczenia Serentii mogło odbić się na najbliższym otoczeniu.

– Ty tylko odejdz najdalej, jak to możliwe. Rozumiesz?

Romus niechętnie skinął głową. Przez chwilę jeszcze omawiali szczegóły, aż wreszcie, skłoniwszy się krótko, wrócił do obozu.

Nie od razu skierował się do świątyni – najpierw, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, znalazł jakiś powód, by porozmawiać ze strażnikami i odesłać ich gdzieś indziej. Uldyzjan nie chciał uczynić im krzywdy tylko dlatego, że znaleźli się pod wpływem Lilith.

Zanim Romus uporał się ze strażnikami, nastąpiła głęboka noc i nad znaczną częścią obozowiska zapanowały bezruch i cisza. Ogniska przygasły, tu i ówdzie kołysały się tylko kule światła, widomy dowód, że edyremowie nabierali wprawy we władaniu mocą. Na szczęście dla Uldyzjana kule dawały jedynie stłumione światło, by nie zakłócać snu swoich twórców.

Wreszcie Romus ruszył w kierunku starożytnego budynku. Dwaj edyremowie stojący na straży u wejścia zawahali się tylko na moment i... wpuścili go do środka. Uldyzjan doszedł do wniosku, że jako jeden z jego najdawniejszych uczniów partanin zapewne został zastępcą Serentii. A to czyniło pomoc z jego strony niezwykle cenną.

Grube drewniane drzwi ze skrzypnięciem zamknęły się za Romusem. Uldyzjan liczył pod nosem, dając partaninowi czas na podjęcie rozmowy z Serentią. Zgodnie z tym, czego dowiedział się od Romusa, zwykle bywała w budynku sama.

Uldyzjan zdecydował, że minęło dość czasu. Dalsza zwłoka była narażaniem życia Romusa. Musiał tylko rozprawić się ze strażnikami u wejścia, którzy pilnie obserwowali teren z nieufnością, jaką wzmagała jeszcze plugawa skaza Lilith.

Nie chciał im robić krzywdy. Skoncentrował się więc i ostrożnie podszedł bliżej.

Nadal patrzyli przed siebie. Teraz już niczego nie widzieli i nie słyszeli. Trwali nieruchomo, gdy Uldyzjan przeszedł pomiędzy nimi.

Do budynku nie było innego wejścia, niewielkie otwory u sklepienia zapewniały jedynie dopływ świeżego powietrza do wnętrza świątyni. Uldyzjan wiedział jednak od Romusa, że wejście prowadziło do komnaty zewnętrznej i dopiero potem do tej, w której Lilith urządziła swe sanktuarium. Musiał jedynie tam dotrzeć. Nie potrzebował się już ukrywać, należało się spieszyć. Nie będzie miał drugiej szansy.

Na jego rozkaz drzwi otworzyły się zapraszająco. Uldyzjan stłumił wszelkie dźwięki, żeby zbyt wcześnie nie zaalarmować demona.

Komnata, do której wszedł, była całkowicie pusta, wszelkie ozdoby i artefakty już przed wiekami padły łupem złodziei albo może zostały zabrane przez tych, którzy porzucili budynek. Uldyzjana mało to obchodziło, interesowały go jedynie głosy dobiegające z kolejnego pomieszczenia.

Romusa... i Serentii...

– ...i tak, Romusie, niedługo wyruszymy w drogę do głównej świątyni. Przysięgam na śmierć Uldyzjana, że dokończę, co zaczął. Najpierw Trójca, a potem Katedra Światłości... która może się okazać przeciwnikiem o wiele potężniejszym niż ten, z którym teraz walczymy.

– Raz jeszcze proszę o wybaczenie – odpowiedział jej Romus. – Ale ja też pragnę wypełnić wolę mistrza Uldyzjana. Dziękuję, że mnie, pani, upewniłaś.

– Nie ma za co. Czy coś jeszcze?

Uldyzjan nie śmiał dłużej narażać Romusa. Nie chciał też w żaden sposób zranić ciała Serentii, więc całą swą wolę skupił na tym, by powtórzyć to, co uczynił ze strażnikami. Skoncentrował się na kobiecym głosie...

Budynek spowiła cisza, cisza, którą przerwał po chwili szept partanina.

– Mistrzu Uldyzjanie! Ona się nie rusza! Stoi jak posąg!

Uldyzjan wszedł do wewnętrznej komnaty. Najpierw zauważył Serentię, tak samo piękną, jak pamiętał, upozowaną teraz niczym bogini, z jedną dłonią wyciągniętą ku Romusowi. Zniewalający uśmiech, jakiego nigdy nie widział na twarzy dziewczyny, upewnił go, że w rzeczy samej Lilith zamieszkała w tym ciele.

I w tej samej chwili co innego przyciągnęło jego spojrzenie. Coś okropnego.

Ołtarz.

Ołtarz i plamy krwi liczące sobie stulecia.

Uldyzjan chciał myśleć, że to tylko makabryczny zbieg okoliczności, ale na szarym kamieniu leżały długi sztylet i puchar. A na splamionej powierzchni wyryto runy i to niedawno.

Tego wieczoru ołtarz miał pić krew po raz pierwszy od pokoleń.

Choć ryzykował, że Lilith mu się wymknie, nie mógł nie spojrzeć w górę. Nad ołtarzem twarz ducha czy demona wyrzeźbionego przed wiekami została zręcznie zastąpiona przez niepokojące połączenie dwóch kobiecych twarzy, w którym rysy Lilith były coraz bardziej widoczne.

– Mistrzu Uldyzjanie?

Błagalny głos Romusa przywrócił Uldyzjana do rzeczywistości. Partanin cofnął się, ustępując swemu mistrzowi miejsca przy nieruchomej postaci.

Z bliska Uldyzjan widział wyraźnie oznaki, że kobieta, którą znał od zawsze, stała się kimś innym. Ten uśmiech, te oczy spoglądające z twardą przebiegłością, którą rozpoznawał aż za dobrze...

– To koniec, Lilith... – szepnął. Położył dłonie na skroniach kobiety. Nie wiedział dokładnie, co powinien robić, ale gdyby tylko zdołał dotrzeć jakoś do Serentii, ona pomogłaby mu pozbyć się demona. – To już koniec...

Coś uderzyło go w tył głowy.

Świat zawirował. Uldyzjan zobaczył niewyraźną twarz partanina. Romus pochylał się nad nim, wykrzywiony w jakimś fanatycznym grymasie, w dłoni ścisnął ciężki kamień splamiony świeżą krwią. Uldyzjan wiedział, że to jego krew.

– Nie skrzywdzisz mojej Lilith! – warknął, a na jego twarzy odmalowało się czyste zło. – Nie skrzywdzisz!

I gdy Uldyzjan osunął się w ciemność, usłyszał jeszcze głos Serentii... i tak dobrze mu znany śmiech Lilith.

– Wspaniale, mój kochany... tak jak planowaliśmy...

PIĘTNAŚCIE



Uldyzjan obudził się przywiązany do kamiennego ołtarza. Już sam ten fakt był złowróźbny, ale gdy spróbował użyć swej mocy, by się uwolnić, i nic się nie stało, zaniepokoił się jeszcze bardziej.

I znów usłyszał ten znajomy śmiech.

– Mój drogi, słodki Uldyzjan... – zagruchała Serentia.

„Lecz że to nie była Serentia – przypomniał sam sobie Uldyzjan – a Lilith”.

– Taki naiwny. Taki ufny.

Zobaczył pochyloną nad nim twarz – ale nie tę, którą spodziewał się zobaczyć. Romus, niedawno jeszcze przyjaciel, patrzył wrogo na Uldyzjana.

– Nie powinienes być tu wracać, mistrzu. Nigdy.

– Romusie! Czyś ty oszalał?! To demon, to Lilith, nie Serentia!

Partanin pokręcił przecząco głową.

– Nie... mylisz się. To one obie. Moja Serentia i moja Lilith. Mam je obie...

Odgłos kroków poprzedził pojawienie się demona. Odrzuciwszy długie czarne włosy Serentii, Lilith oparła się z czułością o ramię partanina.

– A ja mam ciebie, mój drogi Romusie! O ile bardziej lojalnym jest kochankiem niż ty, Uldyzjanie, który nigdy w pełni nie dostrzegłeś tego, co ci oferowałam. Mogłam być kimkolwiek, również taka, jaką widzisz mnie teraz, ale ty odrzuciłeś moją miłość i mój dar.

– Potrzebowałam jedynie marionetki, która pomoże ci stworzyć twoją wymarzoną magiczną armię i wydrzeć Sanktuarium Inariusowi! – Uldyzjan popatrzył na Romusa. – Kiedy znajdzie kogoś bardziej użytecznego, porzuci cię bez wahania. Pomyśl, Romusie! Przecież to do ciebie niepodobne! To nie ty!

– Nic nie wiesz o moim życiu przed twoim przybyciem do Party! Nikomu się nie musiałem spowiadać! Sam sobie byłem panem! Wszyscy się mnie bali! A ty mi to zabrałeś! Mianowałeś mnie jedną ze swych owiec! Ale ona przypomniała mi, kim naprawdę jestem! – Pochylił się nisko nad więźniem. Źrenice miał rozszerzone. Twarz wykrzywioną szaleńczo... – I jeszcze bardziej ją za to wielbię!

Nie było sensu przemawiać do partanina. Lilith uwiodła go całkowicie, sięgnęła do ciemności ukrytej głęboko w Romusie, ciemności, która kiedyś posiadała go bez reszty... i znów nim zawładnęła.

Uldyzjan spróbował uwolnić choćby lewą rękę, ale więzy trzymały mocno. Romus uśmiechnął się złośliwie. Lilith wyduła wargi w udawanym smutku.

Uldyzjan walczył o czas i o jakąkolwiek szansę na ucieczkę.

– A zatem używa cię, byś sprowadzał jej nowych edyremów! – zawołał. – Tylko na tym jej naprawdę zależy! Sama nie może tego zrobić tak szybko! To natura daru. Należy do ludzi, a ona nie jest człowiekiem, Romusie!

Ale Romus był głuchy na wszelkie argumenty.

– Wybrała mnie. Wybrała mnie ze wszystkich, widziała, jaki byłem potężny i że byłem zdolny się wyrwać z tych złudzeń, którymi nas omotałeś. Jak tylko wyszliśmy z Hasziru, pokazałem to innym, starym

i nowym, bez różnicy, każdego dnia jest ich więcej. Traktują mnie jak boga...

Lilith pochyliła się ku Romusowi, najpierw pocałowała go w policzek, potem polizała. Zareagował niczym kot, ocierając się o nią. Ten widok wzbudził wstęt w Uldyzjanie – nie tylko z uwagi na Serentię, ale też i partanina. To nie był Romus, którego znał.

– A po tej nocy – mruknęła Lilith, nie przerywając swych uwodzicielskich gier – wszyscy poznają prawdę, drogi Romusie! Wszyscy zobaczą.

– Zamierzasz użyć jego? – spytał jej kochanek.

Roześmiała się.

– To by było coś wspaniałego, ale nie. Jego krew się nie nada. Mogłaby nawet mieć odwrotny skutek. Nie... potrzebuję kogoś, kogo siła życiowa wzmocni to, czego pragnę, słodki Romusie... i tak naprawdę tylko jedna osoba przychodzi mi na myśl.

Partanin nagle gwałtownie nabrał powietrza. Oczy rozszerzyły mu się jeszcze bardziej, wyglądał niemal jak żaba.

Zadygotał, zgiął się w pół i zwałił na ołtarz i na więźnia. Wtedy Uldyzjan zobaczył plecy partanina.

Z ohydnej długiej rany płynęła krew.

Lilith uniosła sztylet, ten sam, który wcześniej spoczywał na kamiennym ołtarzu. Krew Romusa płynęła po ostrzu i rękojeści. Jednak Lilith nie miała nic przeciwko temu, by szkarłat barwił jej palce. Drugą dłonią poklepała łysą głowę kochanka.

– Był słodziutki... Jestem pewna, że Serentii też się podobało. Szkoda, że tak doskonale tu pasował.

– Jesteś obłąkana, Lilith!

Spojrzała na Uldyzjana twardo.

– Nie, jestem usprawiedliwiona, mój kochany. Usprawiedliwiona! Uratowałam dzieci i za ten dobry uczynek zostałam wygnana w pustkę!

Inarius myślał, że nigdy nie znajdzie drogi z powrotem... ale znalazłam! Znalazłam! – Znów pieściła martwego Romusa. – Tak bardzo się starał zyskać w moich oczach i w jej. Od razu mi powiedział, jak go zawołałeś i jak udawał, że jest twoim przyjacielem! – uśmiechnęła się. – Muszę przyznać, że twoje wycucie czasu mnie zaskoczyło, ukochany. Czuję, że ktoś tu maczał w tym palce. Rozmawiałeś z Inariusem? Hm?

Choć Uldyzjan nieraz myślał, że Rathma niewiele jest lepszy od swych rodziców, to teraz coś powstrzymało go przed zdradzeniem prawdy demonowi.

– A owszem, miałem z nim krótką rozmowę. Tęskni za tobą i błaga o wybaczenie. A potem chce cię zabić.

Twarz nad nim ściągnęła się w wyrazie absolutnego obłądu, widok tym okropniejszy, że była to twarz Serentii.

Ale ułamek chwili później szaleństwo zniknęło za maską uwodzicielki.

– To ci żart, kochany Uldyzjanie! Nie, nie wierzę, że Inarius wykorzystałby cię w jakikolwiek sposób! Uważa, że jest bez skazy, zatem nie potrzebuje niczyjej pomocy, by pokierować sprawami tak, jak sobie tego życzy! – Lilith uśmiechnęła się szeroko. – I będzie tak siedział nieświadom niczego na swym tronie, nawet gdy mury jego ślicznej katedry będą się walić wokół niego.

Uldyzjan szczerze wątpił, że anioł okaże się aż tak beztroski, ale najwyraźniej Lilith dzieliła z Inariusem przekonanie o własnej wielkości. Nie wyobrażała sobie, że ktoś może pokrzyżować jej plany, a już z pewnością nie zwykły śmiertelnik.

Niestety, obecne okoliczności wyraźnie wskazywały na to, że miała rację. Uldyzjan czuł, jak jego moc próbuje wyrwać się na wolność, ale coś ją powstrzymywało. Nie wyczuwał żadnego zaklęcia, ale Lilith potrafiła działać niezwykle subtelnie.

– Wciąż walczysz – stwierdziła. – Twa determinacja jest naprawdę godna podziwu... a może chcesz raz jeszcze wziąć mnie w ramiona? –

pochyliła się tak nisko, że mogłaby go pocałować.

Kiedyś Uldyzjan pragnął tych pocałunków, teraz jednak wszystko w nim protestowało. Głównie z powodu Serentii, której ciało stało się zabawką demona.

Lilith przesunęła usta do jego ucha.

– Już niedługo, mój kochany, niedługo znów mnie obejmiesz. Kiedy rzucę czar, używając krwi biednego Romusa, też mi się nie oprzesz! Wreszcie będziesz widział wszystko tak, jak tego chcę, a wtedy...

Miał ochotę napluć jej w twarz.

– Dlaczego nie zrobiłaś tego od razu?

Zaśmiała się gardłowo.

– Bo ten osioł, przekonany, że czyni dobro, był najlepszą zasłoną dla moich planów. Ale zaszliśmy już tak daleko, a ty zebrałaś tylu wiernych! Skoro nadarzyła się okazja, jak mogłabym się oprzeć? A teraz przyprowadzisz mi nowych, i to wiedząc dokładnie, czego się od nich żąda: bezwzględnego posłuszeństwa mnie!

Chciał ją pochwycić, zdusić, ale był bezsilny. Lilith znów się zaśmiała i cofnęła, by lepiej podziwiać swe dzieło, otarła się przy tym o ciało Romusa, wciąż leżące na Uldyzjanie.

Nagle Romus podniósł się ze słabym stęknieniem. Złapał Lilith za rękę ze sztyletem. Na Uldyzjana bluznęła krew.

Jeśli jednak syn Diomedesa liczył, że zryw partanina uratuje ich obu, to nadzieja ta umarła, zanim zdążyła zakwitnąć. Lilith odwróciła się i złapała napastnika za gardło. Trzeba było oddać Romusowi, że się nie poddał, w jego spojrzeniu nie było już fanatyzmu, nie było śladów jej kontroli. Próbował spalić ją swą mocą. Jego dłonie zapłonęły jasno i w miejscach, gdzie dotykał skóry Lilith, pojawił się dym. Ale Lilith tylko się zaśmiała i jednym ruchem ręki zmiażdżyła mu tchawicę.

Romus zginął natychmiast. Tym razem Lilith pozwoliła, by bezwładne ciało upadło na kamienną posadzkę.

Odwróciła się do Uldyzjana. Teraz już obie ręce miała umazane krwią swojej ofiary. Uśmiechała się przy tym tak upiornie, że Uldyzjan nie mógł dłużej spoglądać na zmienioną w ten sposób twarz Serentii.

– Jaka wola życia! Tak, krew Romusa nada się doskonale, mój kochany.
– Wilgotnymi od krwi palcami ujęła go za podbródek i zmusiła, by na nią spojrzał. – Nie sądzisz?

Gdy Uldyzjan odpowiedział jej wściekłym spojrzeniem, poklepała go po policzku, zostawiając na nim kolejne ślady krwi, i roześmiała się ponownie.

W tym samym momencie Uldyzjan wyczuł, że w komnacie jest ktoś jeszcze. Nie liczył jednak na to, że ów ktoś zdoła mu pomóc, i nie mylił się, bowiem był to jeden ze strażników, których wcześniej unieruchomił.

Edyrem patrzył na Uldyzjana jak na szkodnika, którego odkrył w swoim jedzeniu.

– Pozostali już przyszli, pani – nie wydawał się zdziwiony widokiem ciała Romusa.

– Niech wejdą. A potem ty i twój przyjaciel pilnujcie, by drzwi pozostały zamknięte, póki nie skończę.

Strażnik skinął głową i zniknął.

– Nie masz pojęcia, jak wielu dało się bez trudu przekonać, kochany! Taki byłeś łaskawy, przyjmując każdego, ale choć twa wola zepchnęła w głąb ich naturę, to przecież tego nie wymazałeś. Zwrócenie ich ku mnie było łatwiejsze niż w wypadku naszego drogiego Romusa. – Wykonała parodię ukłonu, wciąż ściskając w dłoni sztylet. – Wielce ci dziękuję za to, żeś tak zadbał o moje potrzeby!

Uldyzjan wciąż miał jeszcze nadzieję grać na zwłokę. Rozejrzał się po komnacie.

Choć Lilith była jedyną istotą, której ślad widoczny był w pomieszczeniu, Uldyzjan nie miał wątpliwości, że kiedyś ściany pokryte były znakami sławiącymi stworzenia równie złe i zepsute.

– Cóż jest takiego w tym miejscu? Czego tu szukałaś?

– To? To miejsce połączenia, mój miły, ogniwo istotne w trakcie tworzenia Sanktuarium przed wiekami! To między innymi ono trzyma ten świat w całości! Jest tu moc ponad wszelkie wyobrażenie, wkład każdego anioła i demona, którzy budowali ten świat, a nawet... jego. Siły władające tym miejscem są tak potężne, że nawet twój rodzaj je wyczuł i zbudował tę świątynię. – Wskazała na siebie i dodała wesoło: – I tutaj właśnie... tak ze trzy twoje żywoty temu... udało mi się wrócić do Sanktuarium!

Przeraziła go świadomość, że Lilith tak długo przebywała w tym świecie niezauważona. Tym bardziej obawiał się teraz, że demon zdoła jednak zrealizować swój plan. Skoro nawet anioł, który ją przegnał, nie wyczuł, że wróciła...

Ale zanim zdołał dowiedzieć się czegoś więcej, posłuszni woli Lilith edyremowie weszli do pomieszczenia. Tyle twarzy, kobiet i mężczyzn – znał ich doskonale, co sprawiło mu dojmujący ból. Zobaczył partan i toradżan, i kilku nowych, zapewne mieszkańców Hasziru. Wszystkich było kilkudziesięciu.

– Rozstawcie się pod ścianami! – rozkazała Lilith.

Uldyzjan skorzystał z tego, że jej uwaga była skierowana gdzie indziej, i po raz ostatni spróbował uwolnić się z magicznych więzów. Nie miał wielkiej nadziei na powodzenie, ale zwyczajnie nie potrafił się zmusić do tego, by leżeć i czekać na nieuniknione...

I nagle, ku swojemu zdumieniu, wyczuł, że trzymająca go magia nadwątliła się w kilku miejscach. Ukrywszy radość, skupił się na tych miejscach i odkrył, że więzy osłabły tam, gdzie kapnęła krew Romusa.

Uldyzjan ostrożnie zaczął nad nimi pracować i czuł, że czar ustępuje tu i ówdzie.

Niestety zbyt wolno. Lilith ustawiła już swoje marionetki i sama teraz zajęła pozycję nad ciałem Romusa.

Z jej ust dobył się dźwięk, jakiego nie mogła wydać żadna śmiertelna istota. Były to niewątpliwie słowa zaklęcia, bo Uldyzjan czuł, jak komnata

wypełnia się mocą płynącą gdzieś z dołu.

Nie tylko moc tak płynęła... ale i krew z ran Romusa. Szkarłatny strumień podążył w górę wprost do ostrza sztyletu. Tym razem Lilith potrzebowała więcej krwi, niż pokrywało ostrze. Uldyzjan był przekonany, że wycisnie z ciała ostatnią kroplę, nim dokończy swego dzieła.

Edyremowie zwrócili dłonie wnętrzem do góry i nad każdą zaiskrzyła energia. Poruszali się w idealnej wręcz zgodzie. Uldyzjan podejrzewał, że Lilith przejęła nad nimi całkowitą kontrolę.

Poczuł, że jej czar trzymający go w miejscu znów słabnie, ale wciąż nie na tyle, by mógł się uwolnić i stanąć do walki. Czas był przeciwko niemu. Lilith prawie dokonała swego ohydneho dzieła.

Podniosła nad głowę sztylet tak, by wszyscy go widzieli. Uldyzjan natychmiast zauważył, że choć ostrze było zbrukane krwią, to jednak powinno być jej znacznie więcej. Nie chciał nawet myśleć, co się z nią stało.

Magiczne pęta znów osłabły. Potrzebował zaledwie minuty, może dwóch.

Jednak Lilith najwyraźniej nie zamierzała czekać tak długo. Podeszła do niego, nie zwracając uwagi na ślad krwawych kropel, jaki zostawiała za sobą.

– Teraz się zaczyna, mój ukochany – szepnęła, sięgając po kielich. – Nadszedł czas zapłaty...

Ściągnęła usta, jakby szykowała się wydać kolejny nieludzki dźwięk...

Jeden z edyremów krzyknął i upadł na plecy.

W pierwszej chwili Uldyzjan pomyślał, że to sprawka Lilith, że od samego początku zamierzała wykorzystać swoje kukiełki, jak to uczyniła z Romusem, i wtedy zobaczył, co zabiło tamtego człowieka.

Strzała, która przeszła mu gardło. Strzała ubrudzona ziemią.

Zanim pierwszy znieruchomiał, drugi z czcicieli Lilith padł ze strzałą w sercu.

Edyremowie złamali szyk, kilku szukało schronienia, podczas gdy inni wypatrywali źródła pocisków wyglądających na zakłętę. Uldyzjan pierwszy zrozumiał, skąd nadlatywały – z otworów przy sklepieniu. Jak łucznikowi udało się ominąć strażę i zmylić czujność Lilith?

Zamierzał jednak odłożyć to pytanie na inną chwilę, o ile taka się nadarzy. Teraz liczyło się, że zamieszanie dało mu dokładnie to, czego potrzebował – brakującą minutę. Uldyzjan zdołał rozerwać czar, który odebrał mu możliwość ruchu i walki.

Jeden z edyremów dostrzegł poruszenie na ołtarzu. Chciał zaalarmować pozostałych, ale Uldyzjan nie musiał już się koncentrować na więzach i posłał ciemnoskórego mężczyznę wprost na ścianę. Na dwóch innych, którzy zauważyli, że mężczyzna na ołtarzu uwolnił się, spojrzął z gniewem i obaj wpadli na siebie z taką siłą, że ta natychmiast pozbawiła ich przytomności.

Kolejny z pionków Lilith krzyknął krótko i zwał się ze strzałą sterczącą z pleców. Uldyzjan wiedział, że musiała nadlecieć z przeciwnej strony, ale nie miał czasu zastanawiać się, czy łuczników było więcej, bowiem Lilith z twarzą ohydnie wykrzywioną podjęła swą piekielną inkantację. Zrozumiał natychmiast, że najwyraźniej wciąż liczyła, że uda jej się zapanować nad resztą edyremów.

Nie mógł pozwolić, by do tego doszło, bez względu na to, ile będzie go to kosztowało. Czysta moc eksplodowała z niego we wszystkich kierunkach, wstrząsając całą budowlą. Edyremowie stracili grunt pod nogami. Jedni wpadali na ściany, inni na siebie nawzajem. Uldyzjan nie dbał o to, czy przeżyją, i tak zapewne byli na zawsze skażeni przez demona.

Lilith też straciła równowagę, ale gdy Uldyzjan zsunął się z ołtarza, zobaczył, że demon wstaje. Krew Serentii kapłała jej z rany obok ust, a na czole zaczęła formować się ciemny siniec.

Niestety wciąż była w pełni sił. Podniosła sztylet i wypowiedziała kolejne słowa mocy. Uldyzjan zaklął przekonany, że jednak udało jej się

osiągnąć, co chciała.

Ku jego zaskoczeniu to jej czciciele zaczęli krzyczeć i jeden po drugim nieruchomieli na posadzce. Uldyzjan wyczuł, że za jej sprawą coś popłynęło od nich do niej.

– Mój głupi, głupi ukochany – wychrypiła, prostując się. – Zawsze troszkę krótkowzroczny. Zawsze nie dość dobry. I tak osiągnę, co chciałam, tylko chwilę później. Nie zdołasz powstrzymać mnie przed przejęciem twojego cennego stada – nie z tym, co właśnie wzięłam od tych głupców. Ofiara była większa, niż planowałam, ale ich utrata to nic w porównaniu z moim zyskiem!

Nie odezwał się. Odpowiedział jej mocą, która powinna powalić demona na ziemię. Jednak Lilith jedynie zadrżała.

I oboje wiedzieli dlaczego. Choć naprawdę się starał, nie mógł się zmusić do zamordowania Serentii, co było jedynym pewnym sposobem na wygnanie demona z jej ciała. A to wahanie wystarczyło, by mimo gwałtownej zmiany sytuacji Lilith wyszła z tego starcia zwycięsko.

Sanktuarium skazane było na zagładę.

– Biedne, słodkie kochanie – zagruchała. – Zawsze przegrywa w momencie zwycięstwa! Jednak wciąż obiecuję ci nieco rozkoszy z tym ciałem, jak już na powrót uczynię cię moim...

Coś uderzyło w ostrze sztyletu z taką siłą, że wydarło go z dłoni demona. Krew ochlapała podłogę wokół Lilith, gdy klinga i to, co ją trafiło, uderzyły o ścianę.

Uldyzjan teraz widział, co to było. Strzała. Strzała umazana ziemią.

– Serentio – z progu odezwał się głos, który choć chrapliwy, był tak dobrze znany Uldyzjanowi, że podniosły mu się włosy na karku. – Serentio – odezwał się głos już bliżej. – Wróć... do nas... do mnie...

Choć Lilith pozostawała wolna, Uldyzjan odwrócił się w stronę przybysza. Musiał przekonać się, czy śni... czy przeżywa kolejny koszmar.

To był Achilios. Achilios bardzo, bardzo martwy.

Błede oczy Achiliosa tylko na moment spojrzały w stronę Uldyzjana, jakby łucznik chciał się jedynie upewnić, że dawny przyjaciel zobaczył prawdę. Achilios nałożył na cięciwę kolejną strzałę i ruszył ku Lilith. Za nim na posadzce widniał ślad świeżej ziemi, takiej samej, jaką zdawał się obsypany.

– Serentio – powtórzył po raz trzeci. – Słyszysz mnie... znasz mnie...

Lilith, dotąd dziwnie cicha, teraz się poruszyła.

– Tu jest tylko Lilith, mój drogi, gnijący Achiliosie! No, no! Miłość potrafi być nieroztropnie silna, prawda? – rozłożyła ramiona. – Chciałbyś, żebym ją dla ciebie rozgrzała, łuczniku?

– Oszczędź... oszczędź... mi swoich żalonych... uwodzicielskich sztuczek... – Achilios uniósł łuk. – Jeśli nie uwolnię jej tak... to uwolnię inaczej... chciałyby tego...

– A gdy już będzie martwa, to będziesz miał szansę zdobyć ją raz jeszcze? Jakie to makabrycznie cudowne! – pochyliła się, odsłaniając pierś. – Strzelaj zatem!

Ale Achilios nie złapał przynęty.

– Kiedy... będę gotów, wiedźmo... najpierw chcę, żeby do nas przyszła...

Widząc, że Lilith skupiona jest na nieumarłym, Uldyzjan zaczął sposobić się do ataku. Jednak Achilios powstrzymał go ruchem głowy.

– Nie... to nie ty... masz to zrobić...

Było coś takiego w chropawym głosie łucznika, że Uldyzjan posłuchał. Achilios opuścił łuk.

– Serentio... – powiedział cicho. – Serentio... Proszę, obudź się...

Lilith stała niczym posąg. Uldyzjan był pewien, że planuje następną podłość, gdy nagle jej dłonie uniosły się do szyi, jakby chciała się sama udusić.

Krzyknęła. Krzyknęła tak głośno, w tak bezbrzeżnej agonii, że Uldyzjan wręcz spodziewał się, iż wszyscy zmarli w komnacie staną, by dołączyć do

Achiliosa. Lilith krzyczała bez przerwy. Świątynia trzęsła się w posadach od tego wrzasku.

I wtedy... wtedy... coś ohydneho pojawiło się w jej otwartych szeroko ustach. Początkowo Uldyzjanowi wydało się, że to kłęb małych węży, ale chwilę później zrozumiał, że to palce. Palce zakończone szponami.

Rysy twarzy Serentii odkształciły się nagle, usta stały się dwakroć, a potem trzykroć większe od głowy. Ręce rozpychały je wciąż szerzej i szerzej... i dopiero wówczas stało się jasne, że ów potworny krzyk dobywał się z istoty, która się z nich wyłaniała.

Obawiając się o życie Serentii, Uldyzjan ruszył ku niej, ale Achilios ponownie go powstrzymał.

– Nie przerywaj... jeśli chcesz... żeby dla niej... dla Serentii... była jeszcze nadzieja...

Gdyby to powiedział ktoś inny... nie, gdyby te słowa pochodziły od żywego Achiliosa, Uldyzjan by nie posłuchał. Ale teraz w jakiś sposób wiedział, że martwy przyjaciel ma większe zrozumienie tego, co rozgrywało się przed nimi. Z nerwami napiętymi do granic Uldyzjan czekał.

Z makabrycznie rozciągniętych ust Serentii wynurzył się pióropusz czerwonych kolców.

I ostatnim wielkim wysiłkiem Lilith w pełnej krasie wyskoczyła z ciała kobiety.

Wciąż krzyczała, ale teraz bardziej ze złości niż z bólu. Kilkakrotnie obleciała komnatę. Poniżej Serentia chwiała się na nogach.

– Głupcy! – wrzasnęła, zatrzymując się nad nimi. – Śmiertelni głupcy o ciasnych umysłach! Myślicie, że osiągnęliście cokolwiek? Myślicie, że wygraliście? – Roześmiała się dziko i szponiastym palcem wskazała Serentię. – Uwaga, kochani! Zaraz upadnie!

Wzleciała ku sklepieniu i zniknęła na ułamek chwili przed uderzeniem w kamienie.

Ani Uldyzjan, ani Achilios nie spojrzeli, czy to nie kolejna sztuczka, bowiem tym razem Lilith mówiła prawdę o Serentii. Dziewczyna, niemal tak blada jak łucznik, zachwiała się i przewróciła.

Uldyzjan chciał użyć mocy, by uchronić jej głowę przed uderzeniem w kamienie, ale jakimś cudem Achilios był jeszcze szybszy.

Ubrudzone ziemią ramiona złapały dziewczynę tuż nad podłogą. Łucznik usadził ją delikatnie, jakby była zrobiona ze szkła.

Serentia odetchnęła, jej powieki zatrzepotały i uniosły się. Spojrzała na swego wybawcę, który z kolei popatrzył na Uldyzjana, jakby jego największym marzeniem była zamiana miejsc z przyjacielem. Szybko uniósł dłoń do szyi, bez powodzenia próbując zasłonić makabryczną ranę.

– Achilios... – wymamrotała dziewczyna. – Achilios. – Jej usta zaczęły wyginać się w uśmiech, ale straciła przytomność.

– Dzięki opatrności – mruknął zmarły.

Cofnął się o krok i znów popatrzył na Uldyzjana.

Ten zaś nie wierzył własnym oczom.

– Achiliosie...

– Następnym razem... opiekuj się nią... lepiej... choćby po to... żebym... nie musiał wracać.

Łucznik chciał odejść, ale Uldyzjan pochwycił go za ramię, ignorując zarówno chłód bijący od przyjaciela, jak i ziemię pokrywającą jego ciało.

– Nie możesz odejść!

Zmarły zaśmiał się ponuro.

– A... jak mógłbym... zostać?

Zanim Uldyzjan zdążył odpowiedzieć, w świątyni rozbrzmiał kolejny krzyk. Przyjaciele spojrzeli w stronę wejścia, a tam tłoczyli się zdumieni edyremowie.

Zobaczyli swą panią, która leżała jak martwa, mistrza, który powrócił jak z krainy martwych... i człowieka, którego śmierć z ręki demona widziała przynajmniej część partan.

SZESNAŚCIE



Mendeln nigdy wcześniej nie stał na szczycie góry.

Wcale mu się tu nie podobało.

Wiatr wył i wszystko było pokryte śniegiem. Aczkolwiek nic, nawet chłód, nie miało nań wpływu.

Nie miał wątpliwości, że zawdzięczał to Rathmie. Jeśli można być wdzięcznym za to, że zostało się zawleczonym w ten absolutnie odludny kawałek świata, żeby stanąć twarzą w twarz z istotą, której imię napełniało serce Mendelna strachem.

– I jaki będzie ze mnie pożytek w starciu z aniołem?! – zapytał po raz kolejny, tym razem głośniejszym głosem, żeby przekrzyczeć wiatr.

– Taki, jaki okaże się konieczny w danej sytuacji – odpowiadał za każdym razem Rathma.

Mendeln zaplótł ramiona na piersi, nie z zimna, a raczej z przyzwyczajenia.

– Gdzie jesteśmy?

– Blisko miejsca, gdzie przywiódłem twego brata. Niedaleko Kamienia Świata.

Mendeln nie wiedział zbyt wiele o Kamieniu Świata, ale to, co wiedział, napełniało go zdumieniem i niepewnością. By stworzyć taki artefakt, anioły

i demony musiały zużyć potężną ilość magii i energii.

Już miał zadać Rathmie kolejne pytanie, gdy ten uciszył go gestem.

– Mój ojciec nadchodzi, zachowaj baczenie.

W przypadku Mendelna to zbędne ostrzeżenie. Jakże inaczej mógłby przyjąć przybycie złego anioła, niż mając się na bacności?

Wiatr nagle wzmógł się tak bardzo, że niemal strącił Mendelna w dół. Syn Diomedesa nie był zachwycony perspektywą stoczenia się po górskim zboczu. Bez względu na to, czego dowiedział się o życiu oraz jego etapach od smoka i nefalema. Jak na razie Mendelnowi za bardzo podobał się ten etap „życia”, żeby go porzucić.

Śnieg zaczął padać obficie. Wokół nich rozszalała się burza. Rathma wyciągnął swój sztylet i wymruczał coś pod nosem, ale śnieżycy trwała nadal.

I nagle wstrząsnął nimi rozdzierający uszy grom, grom, po którym nastąpiła martwa cisza. Gdyby nie to, że Mendeln słyszał własny oddech, byłby przekonany, że ogłuchł.

I wtedy zauważył stojącego między nimi złotowłosego młodzieńca.

– Rozczarowałeś mnie, synu. – Głos młodzieńca był czystą muzyką.

– Jak zawsze od chwili mego urodzenia, ojciec – odpowiedział Rathma i tym razem w jego tonie dało się uchwycić cień napięcia.

Przybysz spoglądał w drugą stronę, sprawiając wrażenie bardziej zainteresowanego krajobrazem niż rozmówcą.

– Widziałeś ostatnio swoją matkę?

– Nie. Miałem szczęście. Żałuję, że nie mogę powiedzieć tego samego o tobie.

Teraz Rathma zwrócił na siebie uwagę młodzieńca.

– Taka bezczelność ci nie przystoi. Bądź wdzięczny, że nie zechcę ukarać cię za przeszłe przewiny.

Mendeln przyglądał się Rathmie i jego rozmówcy, wciąż niepewny, że ma przed sobą Inariusza, mimo słów, jakie padły. Wiedział, że anioł

przewodził Katedrze Światłości, i nieraz słyszał opisy Proroka, ale zobaczyć go na własne oczy było co najmniej niepokojące.

Jakby wyczuwając emocje człowieka, Inarius spojrział w jego stronę. I nagle Mendeln nie miał już żadnych wątpliwości. Wystarczyło mu spojrzeć w te oczy. Nie potrafił powiedzieć nawet, jakiego są koloru, ale wystarczyło ich jedno spojrzenie, a Mendeln miał ochotę paść na kolana i oddać cześć aniołowi. Ta myśl sprawiła, że po raz kolejny zastanowił się, jak miałyby pomóc Rathmie, jeśli ten będzie go potrzebował... skoro tak słaby jest od samego spojrzenia.

Ku jego zdumieniu, Rathma zaśmiał się krótko.

– Nie tacy bez znaczenia, czyż nie?

– I to może być przyczyna ich upadku – odpowiedział anioł zimno. – Dla ciebie i twego rodzaju nie ma tu miejsca. Ani dla nich. Skoro nie można nad nimi panować, trzeba ich usunąć. – Odwrócił się od nich, jakby nic dlań nie znaczyli. Obute w sandały stopy nie zostawiały na śniegu żadnych śladów.

– Dla kogo, Inariusie?! – Rathma okazywał niezwykle jak dla siebie emocje. – Dla kogo? Zostaniesz jedynie ty! Czy reszta świata musi nagiąć się do twej woli albo zostanie wymazana za nieposłuszeństwo?

– Istnieje tylko dlatego, że taka jest moja wola, zatem: tak – Prorok ponownie zwrócił się do nich. Mendeln zauważył, że młodzieniec na chwilę wyszedł poza szczyt, a jednak nie spadł. – To dyskusja, którą już raz odbyliśmy, Linarianie...

Rathma ciaśniej owinął się płaszczem.

– Odrzuciłem to imię, tak jak ciebie i moją matkę.

Prorok wzruszył ramionami. Przelotnie spojrział na Mendelna, a potem ponownie na swego syna.

– Wiesz, dlaczego tu jestem? – spytał nagle bez ostrzeżenia.

– Oczywiście.

– Zakazano ci.

– Los zdecydował inaczej – odparł Rathma.

Anioł rozłożył ramiona i twarz mu się wykrzywiła, włosy podniosły, a on rósł większy i większy. Wokół niego wirował ogień.

– Ja jestem tu losem. Ja jestem za albo przeciw, jeżeli chodzi o każdą żywą istotę w Sanktuarium...

– Strzeż się! – krzyknął Rathma, ale Mendeln nie potrzebował ostrzeżenia. Dobył własnego sztyletu, który zdawał się przedmiotem bez znaczenia w obliczu gwałtownej transformacji anioła.

„JA JESTEM SĘDZIĄ OSTATECZNYM TEGO, CO JEST, I TEGO, CO BĘDZIE!” – oznajmił anioł, ale jego wargi już się nie poruszały. Słowa uderzały w Mendelna tak, jak to się działo, gdy rozmawiał z Trag’Oulem. Tylko że anioł nie dbał o to, jak oddziałują na umysł i ciało śmiertelnika. Mendeln musiał walczyć, by utrzymać się na nogach, ale wiedział, że nie ośmieli się zawieść.

Z pleców anioła wyrosło nagle coś, co Mendeln w pierwszej chwili wziął za wspaniałe ogniste skrzydła. Jednak gdy te się rozwinęły, zrozumiał, że były czymś o wiele bardziej zdumiewającym. Różniły się od pierzastych skrzydeł, jakie Mendeln zawsze wyobrażał sobie, myśląc o aniołach – te były pasmami czystego światła, które poruszały się, jakby żyły własnym życiem. Zwijały się i skręcały niczym węże czy macki, będąc sugestią czegoś przeciwnego niż to, co anioł sobą reprezentował. Ciało i twarz Inariusza wykrzywiły się. Nad piersią uformowała się zbroja. Urodziwa twarz zniknęła w cieniu kaptura, by stać się jedynie ciemnością, zupełnie jakby nie posiadała żadnej fizycznej formy. Wszystkie pozory człowieczeństwa zniknęły i nagle nad szczytem góry zawisł niebiański wojownik. Ręka w lśniącej rękawicy oskarżycielsko wskazała zbuntowanego potomka.

„ROZMAWIAŁEM Z TOBĄ W IMIĘ WSPOMNIENI, ALE TAMTEN CZAS MINĄŁ BEZPOWROTNI! CHCESZ, BY LINARIAN

PRZESTAŁ ISTNIEĆ, WIĘC NIECH TAK SIĘ STANIE! NIE MA MIĘDZY NAMI WIĘZI!”

– A kiedykolwiek była?! – odkrzyknął Rathma, trzymając przed sobą kościany sztylet niczym tarczę.

Mendeln zrobił to samo, mając nadzieję, że nie był to tylko pusty gest.

„KAMIEŃ NA MNIE CZEKA... SKOŃCZYŁEM Z TOBĄ!”

Szczyt góry eksplodował.

Moc uwolniona przez anioła rozerwała czapę śniegu, lód i skałę na drobne kawałki. Mendeln był pewien, że spadnie, ale obszar wokół niego i Rathmy pozostał nietknięty. W powietrzu pełno było ziemi i śniegu. Mendeln zostałby zgnieciony, gdyby nie blade światło, które wydobyło się ze sztyletu i spowiło go całego. Zerknąwszy na Rathmę, Mendeln zobaczył, że starożytny nefalem był chroniony podobną tarczą.

Mendeln nie wiedział jednak, jak długo będą bezpieczni. Nad nimi Inarius wskazał coś drugą ręką i Mendeln poczuł, że grunt pod jego nogami zapada się gwałtownie.

– Pamiętaj, co ci pokazano! – krzyczał Rathma.

Ale Mendeln myślał tylko o tym, że nie ma oparcia dla stóp. Teraz dopiero przejął go strach przed upadkiem. Mendeln stracił Rathmę z oczu w chwili, gdy nefalemowi także wydarto grunt spod nóg.

Spadając, Mendeln przez chwilę widział Inariusza. Anioł przyglądał się zniszczeniom obojętnie i z dystansem. Nawet zguba własnego potomka nie miała dlań większego znaczenia. W końcu Rathma popełnił grzech ostateczny. Sprzeciwił się swemu ojcu.

Mendeln ścisnął sztylet z całych sił, szukając jakiejś drogi ratunku, i nagle czyjaś dłoń złapała go za kołnierz. Od razu wiedział, że to Rathma.

Lawina pędziła w dół, a Rathma ustawił Mendelna na niewielkim skalnym występie, który jakoś jeszcze się trzymał, i sam stanął obok.

– To jeszcze nie koniec! – krzyknął.

Mendeln zaczął przygotowywać się na najgorsze. Inarius nie zostawi spraw niezakończonych.

I w chwili, gdy Mendeln to pomyślał, skrzydlaty wojownik znów pojawił się w polu widzenia. Mendeln czuł, jak wzrok anioła koncentruje się na nim. Był gotów zginąć...

„CO ON UCZYNIŁ? – huknął Inarius. – CO UCZYNIŁ... I JAKIM SPOSOBEM?”

Dopiero po chwili Mendeln zrozumiał, że anioł mówi o Uldydzanie. Nie miał pojęcia, czym jego brat zwrócił na siebie uwagę niebiańskiej istoty, ale nagle zaczął obawiać się o jego życie.

„CO UCZYNIŁ? – powtórzył Inarius. – CO UCZYNIŁ Z KAMIENIEM?!”

– Zrobił, co było nie do zrobienia, Inariusie! – odkrzyknął Rathma zza pleców Mendelna. – Dokonał niemożliwego!

Przez moment anioł unosił się nad nimi w milczeniu. Podniósł dłoń w jakimś geście, ale opuścił ją, nie dokończywszy go.

„ZATEM... MOŻLIWE, ŻE WSZYSTKICH WAS SKAZAŁ NA POTĘPIENIE...”

I z tymi słowy anioł wystrzelił ku niebu i w mgnieniu oka stał się jedynie świetlistym punktem. A potem w błysku światła tak potężnym, że na chwilę oślepiło człowieka, Inarius zniknął.

Zniszczenie i chaos, jakie rozpętał anioł z taką łatwością, powoli zaczynały się uspokajać. Cały szczyt góry został zupełnie zmieniony. Wyglądał jak gigantyczna łapa o trzech paluchach zbrojnych w poszarpane szpony. Mendeln i Rathma stali na zewnętrznej krawędzi trzeciego z nich, o krok od przepaści głębokiej na tysiąc stóp.

Mendelna wciąż dręczyło jedno pytanie.

– Dlaczego żyjemy? Bez względu na to, co sądziłeś, jesteśmy dla niego niczym! Dlaczego jeszcze żyjemy?

– Nie jesteśmy niczym, synu Diomedesa – odpowiedział mu nefalem, otrzepując opończę z ziemi i śniegu. – Gdyby tak było, bylibyśmy martwi, zanim nawet go zobaczyliśmy. To z powodu tego, co my – a najbardziej twój brat – sobą przedstawiamy, zatrzymał się, by z nami rozmawiać. Z pewnością nie dla mnie, wyczerpaliśmy już bowiem wszelkie tematy do rozmowy wieki temu. Przybył też zaciekawiony twoją osobą, Mendelnie ul-Diomedzie. Cóż to był za widok, gdy przekonał się, że nie może cię zmusić, byś przed nim klęknął...!

– Nie mógł... – Mendeln poczuł, że coś go ściska w żołądku. Czyżby oparł się woli anioła?

– Nie wiedziałeś? Myślałem, że jesteś tego świadom.

Mendeln wołał w ogóle nie myśleć na ten temat.

– O czym on mówił? Czy wspomniał o Kamieniu Świata? Wiem, że rozmawialiście o Kamieniu z Uldyzjanem, kiedy wróciliście do Trag'Oula, ale nie zrozumiałem tego do końca. Cóż takiego zrobił Uldyzjan, co wprawiło go w takie zdumienie?

Rathma spoważniał.

– Wyjaśnienie tego trochę potrwa. Najogólniej mówiąc, jesteśmy blisko tego, co zdecyduje o wyniku naszych zmagania, bez względu na to, jaki on będzie. Tylko istoty jak mój ojciec mają moc wpływania na Kamień Świata w najmniejszy możliwy sposób. Dlatego też moja matka mogła to uczynić. A jednak twój brat również tego dokonał! Kamień Świata został zmieniony, i to w sposób, który nawet Inarius uważał za niemożliwy. Stąd jego reakcja.

Początkowo słowa te wzbudziły w Mendelnie nadzieję, ale potem przypomniał sobie, co powiedział anioł, zanim ich zostawił.

„Zatem możliwe, że wszystkich was skazał na potępienie...”

Mendeln zadrzał. Widział już, do czego był zdolny anioł w przypływie niezadowolenia.

– Rathmo, co miały znaczyć jego ostatnie słowa?

Nefalem uniósł wysoko sztylet, jakby chciał coś znaleźć za jego pomocą. Mendeln czekał z niecierpliwością, aż jego towarzysz obróci się wokół własnej osi, a następnie schowa ostrze gdzieś w fałdach swej opończy.

– Związane były niejako z powodem, dla którego uszliśmy z życiem. Nie zdołaliśmy przeciwstawić mu się w takim stopniu, w jakim miałem nadzieję, ale też na szczęście nie musieliśmy, jako że Inarius w żaden sposób nie zmienił Kamienia. Dlaczego miałyby zawracać sobie głowę dwoma śmiertelnikami, skoro wyczuwam, iż skłania się ku rozwiązaniu ostatecznemu: usunie wszystko za jednym zamachem i zacznie budować Sanktuarium od nowa.

I w tej właśnie chwili Mendeln zrozumiał, co Rathma i Trag'Oul powtarzali mu cały czas.

– Mówisz, że będzie wolał... że nie pozwoli Lilith... ani ludziom... robić czegoś, czego sam im nie nakazał... mówisz, że anioł wolałby... że byłby w stanie zniszczyć cały nasz świat?

– I zbudować drugi, który będzie odpowiadał jego manii wielkości. Tak.

Mendeln nie potrafił nawet wyobrazić sobie takiej mocy skupionej w jednej istocie.

– On może zrobić coś takiego?

– Może. – Rathma począł kreślić krąg w powietrzu; krąg rósł z minuty na minutę. Wewnątrz Mendlen dostrzegał nieprzeniknioną ciemność. Rozpoznał drogę do królestwa Trag'Oula.

– Ma taką moc – mówił dalej nefalem, a w głosie jego słyhać było ogromne zmęczenie. – Ma moc tysiąckrotnie większą i użyje jej bez wahania.

Lilith zmaterializowała się na tronie i natychmiast skryła się za iluzją Pierwszego.

Siedziała w ciemności w całkowitym milczeniu. Gdyby ktoś teraz zobaczył jej twarz, nie zdołałby odczytać z niej żadnych emocji.

Po kilku minutach podniosła się nagle i wyszła z komnaty. Straże za drzwiami natychmiast stanęły na baczność. Choć trzymali wartę zgodnie z rozkazami, byli przekonani, że ich pana w środku nie było. Jednak żaden nie ośmielił się skomentować tego cudownego pojawienia się... w końcu to był Pierwszy.

Przynajmniej dla nich.

Lilith szła przez świątynię, wciąż z twarzą bez wyrazu. Wydawało się, że nie zmierza do żadnego celu ani w żadnym określonym kierunku. Kapłani, strażnicy, nowicjusze i inni kłaniali się, gdy ich mijała, przy czym każdy następny próbował pochylić się niżej niż poprzednik.

I nagle zatrzymała się w głównym holu przed posągami Mefisa, Bali i Dialona. Wierni zatrzymywali się wokół, zastanawiając się, jakie są zamiary Pierwszego.

Popatrzyła na posągi po kolei... najdłużej na ten przedstawiający Mefisa.

I wtedy dopiero pozwoliła, by przez twarz Pierwszego przemknął cień uśmiechu.

– Tak – mruknęła. – Tak to należy zrobić. O, tak...

Jeden z odważniejszych kapłanów zbliżył się do niej ostrożnie, ze złożonymi dłońmi i pochyloną nisko głową.

– Wielki Pierwszy, czym możemy ci służyć?

Spojrzała na niego, zauważyła, że jest młody i dobrze zbudowany, nie wspominając o tym, że on jeden ośmielił się do niej podejść.

– Powiedz mi... przypomnij mi twoje imię, synu?

– Durram, o Wielki.

Nosił szatę wyznawcy i Lilith od razu wyczuła, że mimo pozorów pobożności ma w sobie ciemność Władcy Grozy. Był ambitny.

– Później wezwę cię do moich komnat na rozmowę. – Nie pozwoliła sobie na uwodzicielski uśmiech. Musiała odreagować frustrację, a Durram

wydawał się idealny do tego zadania, aczkolwiek przekona się o tym dopiero, gdy będzie za późno.

Kapłan ukłonił się niżej niż pozostali. Lilith wiedziała, że Durram w duchu gratuluje sobie swej śmiałości. Zastanawiała się, jak będzie się czuł po ich... dyskusji.

Jednak na razie musiała odłożyć na bok pomniejsze przyjemności. Podjąwszy decyzję, zawsze jak najszybciej wprowadzała ją w życie. Kolejny raz zamknięcie jednych drzwi otwierało drugie.

– Muszę iść – poinformowała Durrama.

– Będę czekał na wezwanie, o Wielki.

Lilith po prostu musiała zaśmiać się kobieco, ale Durram tego nie słyszał. Kiedy mijała zgiętego w ukłonie kapłana, mruknęła obojętnie.

– Durramie. Oczyść okolicę. Zaraz zdarzy się tu wypadek.

Trzeba było Durramowi oddać, że posłuchał natychmiast. Kiedy wykrzykiwał ostrzeżenia, Lilith oddaliła się majestatycznie. Odczekała, póki nie znalazła się w korytarzu wiodącym do komnat Pierwszego, po czym zerknęła przez ramię.

Rozległ się głośny trzask i nagle statua Mefisa spadła ze swego postumentu. Gdyby przewróciła się zaledwie chwilę wcześniej, przynajmniej z dwudziestu ludzi zostałoby zgniecionych albo w najlepszym razie ciężko rannych. Ale i tak uderzenie posągu o marmurową posadzkę posłało odłamki kamienia we wszystkich możliwych kierunkach. Durram sprawił się nieźle, ale nadal kilka osób znalazło się w zasięgu śmiertelnych pocisków.

Lilith machnęła rękami, upewniwszy się przy tym, że zauważyło ją przynajmniej kilku strażników. Odłamki, które miały poranić ludzi, nagle zmieniły się w jasny pył i zniknęły bez śladu, a ich niedoszłe ofiary pozostały nietknięte.

Kurz zaczął powoli osiadać. Lilith spojrzała na jednego ze strażników.

– Nikomu nic się nie stało. Teraz trzeba tylko posprzątać. Kapłan Durram tego dopilnuje.

Zdjęty podziwem i zdumieniem strażnik skinął głową.

– Tak, o Wielki!

– Teraz muszę odejść i przemyśleć to wydarzenie, jak również zastanowić się, jaką formę powinien przyjąć nowy wizerunek Mefisa.

Oczywiście nikt nie ośmielił się sprzeciwić. Ona zaś wiedziała, że przekazują sobie z ust do ust informację o tym, jak ostrzeżenie świętego Pierwszego ocaliło tyle ludzkich istnień. Po raz kolejny wierni byli świadkami cudu.

Ale Lilith nie ostrzegła ich kierowana miłosierdziem. W końcu to za jej sprawą posąg upadł. Jej celem było umocnienie pozycji wielkiego Pierwszego w Świątyni, ponieważ to, co planowała na najbliższą przyszłość, będzie wymagało od tych ludzi naprawdę wielkich poświęceń i ogromnej woli, być może nawet wielu będzie kosztowało życie. Rzecz jasna oddadzą je chętnie w imię Pierwszego. A teraz ona była nim. Raz jeszcze spojrzała na szczątki posągu. Odwracając się od swych wyznawców, pozwoliła sobie na złośliwy uśmiezek.

– Tak mi przykro, ojciec... – wyszeptwała.

Najwyżsi Żli, w szczególności Mefisto, nie będą mogli podjąć żadnych działań przeciwko niej. Tak bardzo obawiali się, że Królestwo Niebios odkryje istnienie Sanktuarium, że pozwolą, by wpadło ono w jej szpony. Bez wątplenia będą przekonani, że zdołają odebrać je później. Jednak rozumiała działanie Kamienia Świata na tyle dobrze, by im to uniemożliwić. Teraz miała do swej dyspozycji świat władających potężną mocą nefalemów. A Władcy Piekieł szybko przekonają się, że powinni raczej się martwić, by nie odebrała im Płonących Piekieł.

Tak, najpierw to, a potem Królestwo Niebios.

Myśl o Królestwie Niebios przypomniała Lilith o Inariusie, który czyhał gdzieś w pobliżu. Jego słabości też znała doskonale. Z jego strony nie miała

się czego obawiać...

Wciąż w postaci Pierwszego wróciła do pogrążonych w ciemności komnat. Ledwie przekroczyła próg, zatrzymała się gwałtownie. Nawet bez światła potrafiła wyczuć ślady pajęczej sieci. Ktoś tu był w czasie jej nieobecności, ktoś, kto powinien być jednak mądrzejszy. Jego ślady zauważyła już wcześniej, ale wtedy zajęta była ważniejszymi sprawami. Teraz jednak...

– Astrogo! – zawołała mocnym głosem Luciona. – Chodź tu, przeklęty pająku!

– Ten tutaj jest tutaj – odpowiedział pająk z cienia nad jej głową. – Czego pragnie Wielki Lucion?

W tonie demona pojawiły się nuty, które nie podobały się Lilith – nuty nieposłuszeństwa.

– Źle się zachowywałeś. Występowałeś w przebraniu.

– Ten tutaj podjął tylko strój, o którym Wielki Lucion zapomniał ostatnimi czasy... tak bardzo, że po prawdzie inni nalegali, by Astroga wypełnił pustkę.

Dokładnie wiedziała, co knuł ohydny pająk. Astroga był ostatnią przeszkodą stojącą jej na drodze w Świątyni Trójcy. Lilith miała nadzieję, że Uldyzjan rozprawi się z nim wtedy, gdy mierzył się z Gulagiem, ale pajęczy demon okazał się sprytniejszy.

– I wypełnił ją niczym królik udający lwa. Były plany, o których Astroga wiedzieć nie musiał, ale które kompletnie unicestwił swoją interwencją! Jak Trzej to ocenią?

Coś zaszurało w cieniach i Astroga wynurzył się z nich częściowo.

– To jest dobre pytanie, Wielki Lucionie... pytanie, którego ten tutaj nie wahałby się zadać sam...

A to znaczyło, że Astroga przeżył już przesłuchanie Władców Piekieł, bez wątplenia swego własnego pana, Diabła.

– Może być tylko jeden Pierwszy, jeden mistrz Kultu Trzech, pająku.

– Tak, ten tu się zgadza... i czekał tylko, aż wrócisz i rozwiążesz tę kwestię... Lilith.

Prawdziwe pająki nie strzelają siecią z otworu gębowego, ale dla demona obecna forma była jedynie aspektem. Na tyle był ósmionogą bestią, na ile Lilith była Lylią.

Plugawa plwocina zalała całą komnatę. Astroga chciał być pewien, że jego ofiara mu nie umknie. Lilith zupełnie nie dbała o to, kiedy i jak pająk odgadł, że zajęła miejsce swego brata. Przewidziała natomiast taki rozwój wypadków... i zanim sieć ją oplotła, Lilith przywołała zielone płomienie, które wypaliły lepłą plwocinę. Sieć spłonęła z sykiem.

Ale Astroga musiał przewidywać, że pokonanie córki Mefista będzie wymagało więcej wysiłku. Nagle wszędzie pojawiły się pająki. Nawet Lilith nie była w stanie umknąć przed wszystkimi. Kąsały ją, gdzie popadło, zatruwając jadem Astrogi. Pająk, po starciu z Uldyzjanem, nauczył się już, że musi działać szybko, ale zapomniał, że nie walczy ze zwykłym demonem. Walczył z córką Mefista...

Samą myślą Lilith wtłoczyła truciznę na powrót w ciała pajaków, dodając przy tym własny jad. Insekty poczęły spadać z niej czarnym deszczem.

Astroga zasyczał wściekle, plunął siecią i tym razem trafił Lilith w prawy bok. Jednak ona roześmiała się tylko i odcięła lepkie nici szponem.

– Przekonałam się, że najlepszym sposobem na pozbycie się szkodników jest ogień – zakpiła. – Zgodzisz się ze mną?

Pochwyciła opadającą sieć i w tej samej chwili zielone płomienie pomknęły po włóknach do Astrogi, pozbawiając go osłony cienia.

Astroga syczał i pluł, próbując zgasić ten nienaturalny ogień. Ale jego sieć tylko podsycala płomienie i w ciągu sekundy był nimi otoczony.

– Ten tutaj pochłonie twoje ciało i wypije duszę do cna... – zawarczał, a w jego wielu oczach błysnęła szkarłata.

Lilith zawahała się. W komnacie wyczuła znaną jej aż za dobrze obecność. Niemal obróciła się, by spojrzeć za siebie... ale się zatrzymała.

– Kiedy następnym razem będziesz chciał mi przypomnieć o ojcu – zagruchała – to upewnij się, że przyprowadzisz go we własnej osobie, a nie będziesz posługiwał się iluzjami, sługusie Diablo.

Lilith zwiększyła żar płomieni. Astroga zakrzyczał chrapliwie, gdy musnęły jego owłosione ciało.

– Jesteś głupia, córko Mefista! – wrzasnął, cofając się, jak mógł najdalej. – Dlatego też oddaję ci ten tron głupców stworzony przez Luciona! Ciesz się nim... przez ten krótki czas, jaki ci pozostał.

Nagle pająka spowiała absolutna czerni. Lilith kazała płomieniom podpełznąć bliżej, ale Astroga zniknął. Przeszukała myślą cały budynek, ale nie znalazła po nim śladu. Nie uciekł po prostu w bezpieczne miejsce – uciekł ze Świątyni Trójcy. Lilith nie przejęła się tym za bardzo, powinna zgładzić tego sługusa Diablo, ale ważniejsze było, że pająk nie będzie dłużej przeszkadzał. Teraz Kult Trzech należał wyłącznie do niej.

„Nie – pomyślała z uśmiechem. Usunęła ślady walki i raz jeszcze jako Pierwszy zasiadła na tronie. – Nie będzie dłużej Kultu Trzech. Jest tylko Jedna. Jestem tylko ja!”

Zadowolona z siebie zapragnęła nagle towarzystwa Durrama. Miała czas na trochę rozrywki, zanim zajmie się swoim drogim Uldyzjanem. To on zmusił ją do podjęcia decyzji, która koniec końców tylko przyspieszy spełnienie jej marzeń. Potrzebowała tylko kilku morlu...

Roześmiała się do własnych myśli. Może więcej niż kilku.

Astroga nie żałował swej ucieczki. Nie spodziewał się, że pokona córkę jednego z Pierwotnych Złych, aczkolwiek miał okazję ocenić jej siły i przygotować się na wypadek kolejnego starcia. Był gotów oddać jej Świątynię razem z tym śmiertelnikiem Uldyzjanem, który z kolei mógł sobie wziąć Lilith. Astroga dożył swych lat dzięki temu, że doskonale wiedział, kiedy należy pozostawić rozwiązywanie swoich problemów

komuś innemu. Niech walczą, zapewne jeszcze z aniołem Inariussem, który się do nich przyłączy. Ci, którzy przeżyją – o ile tacy będą – z pewnością wyjdą z tego starcia osłabieni. Wtedy... wtedy pojawi się pająk. Sama koncepcja kultu takiego jak Świątynia Trójcy wciąż miała sens, ale może należałoby ten kult bardziej zogniskować. Na przykład na Astrodze.

Tak, podobała mu się ta myśl. Z ruin Świątyni zbierze sobie własnych ludzi. Zawsze znajdą się tacy, w których płonie prawdziwie demoniczna żądza władzy. Ale Astroga, w przeciwieństwie do Luciona, będzie ściśle kontrolował swe sługi. Bo to właśnie był problem. Lucion zaprzepaścił porządek, za bardzo polegał na innych. A kiedy już przejął kontrolę nad wszystkim, coś najwyraźniej poszło nie tak. I syn Mefista w jakiś sposób stracił życie.

Nie, Astroga nie popełni błędów Luciona. Ani Lilith. Już widział swoich niewolników, jak podążają na wszystkie strony świata, niosąc jego symbol pająka z miasta do miasta. Nadejdzie taki dzień, że nikt nie będzie już pamiętał o Świątyni Trójcy ani Katedrze Światłości. To kult Astrogi podbije całe Sanktuarium i uczyni z ludzi swych niewolników... wszystko dla Władców Piekieł oczywiście, a szczególnie dla jego pana.

Wszystko dla nich... w końcu...

SIEDEMNAŚCIE



Choć Uldyzjan miał jedynie sekundy, to i tak zdołał wymyślić wyjaśnienie dla sceny, jaką ujrzeni edyremowie. Głównie polegało ono na prawdzie, tu i ówdzie przekręconej z konieczności.

Ale Achilios nie dał mu nawet szansy zacząć. Rzucił się w tłum edyremów, którzy, zaskoczeni, zareagowali jak normalni ludzie i zrobili przejście nieumarłemu. Achilios skorzystał z tego natychmiast i wypadł na zewnątrz, zanim ktokolwiek zdążył zareagować.

– Achiliosie! – krzyknął za nim Uldyzjan. – Czeka!

Ruszył za swym przyjacielem, ignorując wrzawę, jaka podniosła się wśród edyremów.

– Zabierzcie ciała! – polecił im, biegnąc. – Zobaczcie, co z nią! Nie ruszajcie bardziej, niż to konieczne! Zadbajcie o jej wygodę! Szybko!

Na zewnątrz zobaczył kolejnych osłupiałych edyremów, którzy wciąż jeszcze spoglądali na zachód. Uldyzjan rzucił się w tym kierunku, próbując dogonić nieprzeciętnie szybkiego Achiliosa, odnaleźć go spojrzeniem albo jakimkolwiek ze zmysłów. Jednak łucznik zniknął.

Gdy Uldyzjan dotarł do granicy obozu, zobaczył strażnika, który odwracał się w jego stronę. Partanin gapił się nań z otwartymi szeroko ustami. Uldyzjan złapał go za ramiona.

– Blady człowiek! Przebiegał tędy?

– Nie, nikt tędy nie przechodził... mistrzu Uldyzjanie?

Uldyzjan chciał wyjaśnić strażnikowi swój cudowny powrót, kiedy będzie wyjaśniał pozostałym, dlatego odsunął partanina na bok i wszedł między drzewa. Achilios musiał tędy przechodzić, ale bez względu na to, jak bardzo Uldyzjan się starał, nie był w stanie w żaden sposób wychwycić choćby śladu przyjaciela.

Pokonany zawrócił do obozu. Wokół strażnika zebrał się już spory tłum, partanin zaś, gestykując zawzięcie, opisywał im swe spotkanie z zaginionym przywódcą. Na widok Uldyzjana wszyscy zamilkli, ale on jeszcze nie miał dla nich czasu. Coś jednak musiał im powiedzieć.

– Wyjaśnię później. Wracajcie spać.

Wątpił, że go posłuchają, kto mógłby spać tej nocy, ale Uldyzjan musiał spróbować. W tej chwili obchodziła go tylko Serentia.

Edyremowie otaczający starożytny budynek od razu schodzili Uldyzjanowi z drogi. Minał ich, nawet na nich nie patrząc.

Serentia wciąż leżała na podłodze, ale ktoś wsunął jej pod głowę złożoną derkę, a drugą okrył jej ciało. Oddech dziewczyny był regularny, za co Uldyzjan podziękował gwiazdom. Potem jednak przypomniał sobie pewne szczególne gwiazdy układające się w kształt smoka i niemal cofnął swe podziękowania.

Przyklęknął i dotknął policzka Serentii. Był przyjemnie ciepły.

Jęknęła cicho. Otworzyła oczy i spróbowała się podnieść.

– Achiliosie! Achiliosie! Nie... nie odchodź! – Siły ją opuściły i musiała ponownie się położyć. Wciąż jednak powtarzała te same słowa. – Achiliosie... nie odchodź... nie odchodź...

Uldyzjan był rozdarty między uczuciem ulgi a zazdrością. Serentia wydawała się pozostawać przy zdrowych zmysłach, nie odniosła też żadnych ran fizycznych. Cieszył się z tego. Ale już w pierwszych słowach przywoływała łucznika...

W duchu skarcił się za wyjątkowy egoizm i pochylił się ku dziewczynie.

– Serentio... Serri, słyszysz mnie? Jak się czujesz?

– Uldyzjan? – wreszcie spojrzała na niego. – Chyba... chyba dobrze. – Zesztywniała nagle. – Nie! To coś! Wiem, co to! Ona po mnie idzie – złapała go kurczowo za ramię. – Uldyzjanie! Lilith! Lilith po mnie przyszła!

– Wiem. Wiem. Ćśś, Serentio. Przegoniliśmy ją.

Ale dziewczyna nagle zaczęła dostrzegać otoczenie wokół siebie.

– Gdzie... gdzie jesteśmy? Ostatnie, co pamiętam, to że byłam nad rzeką! Za późno wyczułam, że się do mnie zbliżyła! A potem jakby... jakby była we mnie! Gdzie jesteśmy, Uldyzjanie?! Powiedz mi!

Wiedział, że nie zdoła ukryć przed nią prawdy. Nawet gdyby chciał, i tak w końcu dowiedziałyby się od pozostałych.

– Posłuchaj, porozmawiamy o tym później – mruknął półgłosem.

Ale ona już zaczęła odzyskiwać wigor.

– Nie, Uldyzjanie. Muszę wiedzieć. Powiedz mi.

Odwrócił się w stronę edyremów.

– Zostawcie nas.

Posłuchali bez szemrania. Uldyzjan użył mocy, by zapieczętować drzwi. Nie chciał, by ktokolwiek podsłuchał ich rozmowę. Reszta dowie się, gdy przyjdzie właściwy moment, ale nadal były sprawy, które powinny pozostać między nim a Serentią.

Ktoś przytomnie obok zostawił bukłak z wodą i Uldyzjan najpierw skłonił Serentię, by się napiła. Spełniła jego prośbę, przełknęła kilka sporych łyków i rzuciła mu spojrzenie, wyraźnie mówiące, że nie pozwoli mu dłużej grać na zwłokę.

I Uldyzjan, odetchnąwszy głęboko, powiedział jej to, co mógł, i to, co śmiał jej powiedzieć, ograniczając się w miarę możliwości do suchych faktów. Słuchała go w milczeniu, od czasu do czasu tylko głośniej nabierając powietrza. Ale wyraz jej twarzy niejedną raz sprawił, że

Uldyzjan przerywał swą opowieść, szczególnie gdy miał zdać jej relację z poczynąń Lilith. Serentia przepelniona była odrazą, ale nie straciła nad sobą panowania.

I wreszcie Uldyzjan dotarł do momentu, w którym Achilios ponownie pojawił się wśród nich. Zamilkł na dobre. Nie wiedział, jak przekazać to Serentii. Może powinien pozwolić jej wierzyć, że łucznik był jedynie snem?

Serentia jednak zorientowała się, że Uldyzjan próbuje pominąć coś ważnego, i zaczęła naciskać.

Poddał się i wybrał inną taktykę.

– Serri... – zaczął najcieplejszym tonem, na jaki było go stać – Serri, pamiętasz, co powiedziałaś, gdy się obudziłaś? Pamiętasz coś w ogóle?

– Nazywasz mnie Serri – patrzyła na niego spod przymrużonych powiek – a to może tylko oznaczać, że chcesz mi powiedzieć coś strasznego. Co może być gorsze od tego, co dotychczas usłyszałam? I co mają z tym wspólnego moje słowa?

Uldyzjan nie mógł już się wycofać.

– Serri. Pomyśl. Co powiedziałaś? To ważne.

Zmarszczyła brwi.

– Niech się zastanowię. Miałam... miałam sen, a może koszmar, nie wiem właściwie. Wydawało mi się, że widziałam Achiliosa. Zapewne wciąż śniłam, choć myślałam, że się obudziłam, bo chyba wołałam jego imię... i... – po jej policzkach nagle popłynęły łzy. – Och, Uldyzjanie... myślałam, że do mnie wrócił! Że zostałam pobłogosławiona cudem! Ale to była tylko moja wyobraźnia...

Uldyzjan z trudem przełknął ślinę.

– Nie.

– Co... co?

– Serentio... Serentio, on tu był. Nie wymyśliłaś go. Achilios tu był.

Spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi.

– Nawet tak nie żartuj! W tym nie ma nic śmiesznego! Jak możesz w ogóle mówić coś takiego?

– Nigdy bym nie żartował w ten sposób. To nie żart. On...

Odepchnęła go i zakryła uszy rękami.

– Przestań! Przestań natychmiast! Nie mów takich rzeczy! Achilios nie żyje! Nie żyje!

Budynek zadrżał. Posypały się na nich niewielkie kawałki kamienia. Podsycona smutkiem moc Serentii zaczęła wpływać na otoczenie.

Uldyzjan użył swojej mocy, by przeciwdziałać. Drżenie ustało, ale jakby z oporem. Serentia niemal dorównywała mu mocą.

Nawet tego nie zauważyła. Kiwała się tylko w tył i w przód, a strumienie łez znaczyły jej policzki. Nieustannie powtarzała imię łuczniaka.

Uldyzjan złapał ją za nadgarstki i zmusił, by go wysłuchała.

– Serentio! Naprawdę widziałas Achiliosa! To nie był sen! – Nie mógł się zmusić, by powiedzieć: „To nie był koszmar”. Sam wciąż jeszcze nie otrząsnął się z wrażenia, jakie wywołał powrót przyjaciela. – To był Achilios.

Oczy jej się rozszerzyły, łzy obeschły nieco i błysnęła w nich nadzieja.

– Znaczy... że jest... żywy?

– Ja... Nie wiem, jak to określić... ale przynajmniej wciąż był Achiliosem, jakiego znaliśmy i kochaliśmy. Wpadł tu, gdy wszystko było niemal stracone, i w jakiś sposób zdołał cię obudzić. To dzięki niemu, nie mnie, byłaś w stanie wygnać Lilith ze swego ciała.

– Pamiętam... Pamiętam, że słyszałam jego głos. Byłam w jakimś ciemnym miejscu. Chciałam tylko spać... ale jego głos... musiałam za nim pójść! Tak bardzo chciałam zobaczyć go raz jeszcze... – ocierając zawieszoną na rzęsach łzę, dziewczyna rozejrzała się po komnacie. – Ale gdzie on jest? – Zaczęła się podnosić. – Achiliosie! Nie ukrywaj się przede mną!

Zachwiała się. Podtrzymał ją natychmiast. Objęła go w pasie, ale jej oczy wciąż szukały ukochanego.

– Dlaczego mi nie odpowiada? Gdzie on się chowa?

– Nie chowa się. Wybiegł, gdy przyszli tu inni. Serri, moim zdaniem on się obawia, że czułabyś do niego odrazę... a raczej do tego, czym się stał.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Dlaczego? Przecież to Achilios!

– I powinien być martwy. Martwy. Pochowaliśmy go, pamiętasz? – zanim zdążyła zasugerować oczywiste wyjaśnienie, mówił dalej. – Nie pomyliliśmy się! Strzała przeszła mu gardło. Powinien być martwy.

Poczuł, jak dziewczyna drży, ale zrozumiał, że to nie ze strachu.

– To straszne – wymamrotała. – To musi być dla niego straszne...

I gdy to powiedziała, Uldyzjan uświadomił sobie, że jakaś jego część czuła to samo. Achilios najwyraźniej szedł ich tropem już od jakiegoś czasu, może od swej śmierci. Nie zamierzał nikogo skrzywdzić – gdyby chciał, miał ku temu niejedną okazję. Jak na razie Achilios zachowywał się jak Achilios, którego znali – za wszelką cenę chronił tych, których kochał.

Szczególnie Serentię.

– Muszę go znaleźć – oświadczyła gwałtownie. – Muszę znaleźć Achiliosa! Jest zupełnie sam! Obawia się nawet być blisko mnie!

– Serri, on może mieć powody...

– To nedorzeczne! – stwierdziła ostro. – Nie ma powodu, byśmy byli rozdzieleni. Nie dam się odtrącić. Zamierzam go odszukać!

Jej determinacja w obliczu tak trudnej sytuacji wzruszyła Uldyzjana.

– Pomogę ci, Serri. Masz rację. Achilios zawsze służył nam pomocą... nawet teraz. Z czymkolwiek musi się mierzyć, powinniśmy być przy nim.

Te słowa sprawiły, że wreszcie się uśmiechnęła.

– Dziękuję.

Była w stanie opuścić budynek, choć jeszcze przy pomocy Uldyzjana. Na zewnątrz natychmiast otoczyli ich edyremowie, wśród nich Saron. Za

toradżaninem stało kilku edyremów pilnujących niewielką grupę więźniów – najwyraźniej wiernych Lilith. Nie zostało ich wielu, reszta padła ofiarą szaleństwa demona. Uldyzjan rozpoznawał wszystkich poza dwoma, którzy zapewne pochodzili z Hasziru. Zostali pojmani na polecenie Uldyzjana, który w chwili, w której nakazał usunięcie ciał, skorzystał ze swych umiejętności, i kilku zaufanym edyremom nakazał zlokalizować ludzi wystawionych przez Lilith na granicy obozu. Teraz widział, że jego sojusznicy najwyraźniej ujeli wszystkich.

– Co mamy z nimi zrobić, mistrzu? – spytał Saron. Jego ponura mina jasno wskazywała, co sam chciałby uczynić. W odczuciu zgromadzonych edyremów ci, którzy odpowiedzieli na wezwanie Lilith, byli najgorszymi ze zdrajców... nawet jeśli ich potknięcie spowodowane było uwodzicielskimi sztuczkami demona.

Uldyzjan nie zdołał ocalić Romusa ani nikogo, kto wszedł do świątyni, ale miał nadzieję uratować tych. Miał dość piętrzących się ciał.

Przypomniał sobie jednak o Serentii. Zanim zdążył coś powiedzieć, ona szepnęła:

– Dalej. To nie może czekać...

I odsunęła się, by zrobić mu miejsce. Uldyzjan dał sygnał, żeby przyprowadzić doń pierwszego z odmienionych. Kiedy podchodzili, wyczuł, że tymczasowi strażnicy próbują panować nad mocą swego więźnia. Był pod wrażeniem – od niego tego się nie nauczyli.

Więzień – toradżanin – wykrzywił się, gdy Uldyzjan pochylił się w jego stronę. Sprawiał wrażenie, jakby chciał napluć w twarz niedawnemu przywódcy, ale jest na to za mądry.

Uldyzjan wiedział, że warunkiem powodzenia jego planu jest to, że musi dotknąć więźnia. Co oznaczało, że będzie miał bezpośredni kontakt ze skazą Lilith. Ale nie zamierzał się wycofać. Chciał uratować tego człowieka.

Odetchnął głęboko i oburącz złapał toradzanina za głowę. Mężczyzna szarpnął się, próbował uwolnić, wreszcie uspokoił się i tylko rzucał wściekłe spojrzenia.

Uldyzjan zajrzał w złe oczy.

Odnalazł rdzeń, jądro tego, co stanowiło toradzanina, i powiązanie tego jądra z mocą.

Bez trudu odnalazł ciemność, którą Lilith pobudziła do życia. Było to coś tak złego, że Uldyzjan niemal wycofał się z odrazą. Jednak gdyby to zrobił, oznaczałoby to, że dla mężczyzny przed nim nie ma nadziei.

Po krótkim zastanowieniu Uldyzjan doszedł do wniosku, że najlepiej będzie zdusić albo usunąć ciemność. Wyobraził sobie, że to przedmiot, i użył umysłu, by ów przedmiot pochwyć. Gdyby można go tylko wyrzucić...

Bez ostrzeżenia ciemność eksplodowała czystą, monstualną furią. Uldyzjan ledwie zdołał wycofać umysł...

I nie miał żadnej szansy, by powstrzymać więźnia – ten wyrwał się swoim strażnikom, jakby byli słabymi dziećmi, i złapał Uldyzjana za gardło.

Gdy mężczyzna zacisnął dłonie, Uldyzjan zadygotał jak w agonii. Jego gardło wypełnił żar. Więzień używał mocy wraz z brutalną siłą mięśni. Gdyby nie to, że Uldyzjan już wcześniej osłonił się tarczą mocy, teraz dawno byłby martwy.

– Wyrwę ci krtań i będę pić twoją krew – charczał toradzanin jak obłąkany. Twarz mu się wykrzywiła, oczy wychodziły na wierzch, w rozciągniętych ustach błysnęły ostrza zębów i rozdwojony język, który wysuwał się i chował jak u węża. – Będę...

Krzyknął, puszczając Uldyzjana. Cofnął się o krok, a jego ciało płonęło. Próbował zdusić tajemnicze a zarazem żarłoczne płomienie... i zmienił się w kupkę czarnego popiołu.

Za plecami Uldyzjan usłyszał drżący głos Serentii.

– M-musiałam. Nie było w nim czego ratować, Uldyzjanie.

Skinął milcząco głową i pocierając szyję, przyglądał się pozostałym więźniom. Nie wyglądali na przerażonych. W ich spojrzeniach dostrzegał złośliwe błyski. Chciał zajrzeć w głąb nich, poszukać głębiej, czy nie ma dla nich szansy, ale zbyt dobrze pamiętał, co może z tego wyniknąć. Lilith zapewne wzięła pod uwagę, że ktoś, może nawet i on, będzie próbował ocalić tych ludzi. I upewniła się, że będzie to niemożliwe.

A to znaczyło, że Uldyzjan nie ma wyboru.

– Odsuńcie się – nakazał ludziom pilnującym więźniów.

– Mistrzu, to może być niebezpieczne – zaprotestował Saron.

– Odsuńcie się.

Posłuchali, ale ich połączone moce nadal trzymały więźniów w szachu. Niestety, Uldyzjan nie mógł pozwolić na to, by edyremowie w jakikolwiek sposób zachowali kontakt ze swymi więźniami, ponieważ jego działanie mogłoby skrzywdzić i ich.

– Uwolnijcie ich – nakazał. – Uporam się z tym problemem – dodał, zanim Saron zdążył zaprotestować. – Róbcie, co mówię.

Wyczuł moment, w którym go posłuchali; w którym więźniowie zorientowali się, że znów mogą posługiwać się swoją mocą. Zanim jednak zagrozili komukolwiek z obecnych, Uldyzjan skupił swoją wolę. Unieruchomił ich. Ale nawet wtedy czuł, jak zło wewnątrz nich próbuje wyrwać się na wolność.

– Precz z wami – powiedział ponuro.

Zerwał się potężny wiatr, który dał jedynie w tych skażonych przez demona.

Słudzy Lilith zaczęli rozwiewać się, jakby byli stworzeni z piasku. Wiatr porwał ich okruchy wysoko, wysoko w nocne niebo. Uldyzjan nie pozwolił, by jego koncentracja osłabła, póki wiatr nie zaniósł pyłu jak najdalej od obozu. Jeśli w drobinach krył się jeszcze choćby ślad demonicznej skazy, Uldyzjan nie mógł pozwolić, by ktoś inny dostał się we władzę Lilith.

Dlatego też uciszył wicherę dopiero wtedy, gdy był pewien, że przeklęty pył odleciał daleko od obozowiska. Gdzieś na zachód, gdzie edyremowie z pewnością nie mieli czego szukać.

„Gdyby tylko tak łatwo było uporać się z samą Lilith” – pomyślał Uldyzjan. Ale jego zdradziecka kochanka dobrze się przed nim osłoniła. Poza tym, choć Uldyzjan nie przyznałby się głośno, to zaklęcie, podobne temu, którym unicestwił Luciona, mocno nadwerężyło jego siły.

Tak mocno, że teraz on zachwiał się na nogach.

– Pochwyćcie go! – ktoś zawołał.

Ku Uldyzjanowi wyciągnęła się niejedna para rąk, w tym Serentii.

– Już dobrze... – odpowiedział, prostując się i ignorując zdumione spojrzenia pozostałych. Odwrócił się do Serentii. – Możemy... Możemy teraz ruszyć za Achiliosem.

– Nie. Żadne z nas nie ma dość sił. Bez względu na to, jak bardzo bym chciała. Tak długo siedł za nami, Uldyzjanie, zapewne pozostanie w pobliżu.

Uldyzjan zgodził się z nią w duchu. Achilios jak dotąd nie porzucił swych przyjaciół.

– Teraz potrzebujemy odpoczynku – powiedziała Serentia, po czym spuściła wzrok i dodała głosem tak cichym, że tylko Uldyzjan ją słyszał. – A ja potrzebuję... muszę spać blisko ciebie. Tylko spać. Muszę.

– Rozumiem. – Będzie miała koszmary, Uldyzjan był tego pewien. Koszmary o tym, co Lilith zrobiła jej i przez nią. A od niego oczekiwała wsparcia, pomocy w uporaniu się z tymi zmorami sennymi.

Uldyzjan był chętny udzielić jej pomocy, była przecież jego przyjaciółką i przeszła przez piekło. Nie potrzebował innego powodu. Pojawienie się Achiliosa przypomniało jej, komu naprawdę oddała serce. To, co Uldyzjan brał za uczucie rodzące się między nim a Serentią, było niczym więcej jak uwodzicielskimi sztuczkami demona. Nic dziwnego, że tak łatwo wpadł w pułapkę.

Ale kiedyś... kiedyś Lilith zapłaci za to wszystko...

Achilios zatrzymał się w końcu. Przebiegł dobrą milę, może nawet dwie. Nie musiał oddychać, więc pokonał ten dystans w zdumiewającym czasie, szczególnie jeśli wzięło się pod uwagę gęstwinę, przez jaką się przedzierał.

Gdy tylko się zatrzymał, w jego głowie pojawiła się ta sama myśl, która tkwiła tam od chwili, gdy zaczął biec, tylko teraz była o wiele bardziej natarczywa.

Widziała go.

Serentia go zobaczyła.

Nie było sposobu na uniknięcie tej konfrontacji, demon to uniemożliwił. Achilios wyczuwał, co Lilith zamierzała uczynić i że Uldyzjan został zdradzony przez tego, komu ufał. Łucznikowi żal było Romusa, ale tylko trochę. W przeciwieństwie do Uldyzjana, który zawsze dostrzegał w ludziach dobro, Achilios raczej spodziewał się też złego i zachowywał czujność. To prawda, z tego co widział, partanin przynajmniej spróbował zadośćuczynić za swą zdradę – ale może tylko próbował pomścić własną śmierć? Achilios nie znał odpowiedzi na to pytanie i właściwie nawet nie chciał poznać.

Liczyło się tylko to, że Serentia była wolna... I że go widziała.

Nie miał pojęcia, co począć z tym faktem.

Z nieludzkim jękiem zsunął się po pniu drzewa. Maleńka jaszczurka rzuciła się do ucieczki, ale pochwycił ją, nawet nie patrząc. Wiła się z całych sił, próbując się uwolnić. Czuł, jak mocno bije jej maleńkie serce, jak bezskutecznie walczy.

Delektował się ruchami małego zwierzątka, zdając sobie sprawę, że zazdrości nawet tak słabemu stworzeniu. Gdzieś w głębi duszy pragnął zgnieść jaszczurkę na miazgę... zamiast tego ostrożnie umieścił ją na pniu, pozwalając jej na powrót cieszyć się wolnością.

Widziała go...

Nie mógł pozbyć się tej myśli. Nie mógł jej uciszyć. Prześladowała go niczym duch.

Zaśmiał się zgrzytliwie. On, chodzący trup, był prześladowany.

– Nie ma... znaczenia... – zachrypiał cicho. – Nie ma...

Ale miało. Czerpał swoistą radość z tego, że mógł być blisko Serentii; że czasem, w sekrecie, pomagał jej i Uldyzjanowi. Teraz to będzie niemożliwe.

Jednak jeśli nie mógł pomagać tym, na których mu zależało, to jaki sens miało jego zmartwychwstanie? Może powinien zawołać Rathmę albo smoka? Wzywać ich tak długo, aż któryś odpowie na wezwanie, i wtedy zażądać, by położyli go na wieczny spoczynek...?

Ale choć myśl ta nie była pozbawiona sensu... Achilios milczał.

Nawet ta jego przedziwna egzystencja miała znaczenie, skoro Serentia wciąż żyła.

„Wybierz wreszcie! – nakazał sam sobie z irytacją. – Albo odejź na zawsze, albo się jej pokaż i módl się, by nie zaczęła krzyczeć, przerażona...”

Jęknął. Bardziej prawdopodobne było, że Serentia zobaczy w nim plugastwo, wynaturzenie, jakim przecież był, i użyje swych mocy, by zrobić to, o co chwilę temu chciał jeszcze prosić odpowiedzialnych za jego obecny stan.

I to pomogło mu podjąć decyzję. Pójdzie do niej, do nich wszystkich, i wyzna prawdę. Jeśli Serentia rozkaże mu wrócić do grobu, to jej posłucha.

Odwrócił się i nagle tuż przed nim zapłonęło błękitne światło.

Cofnął się, już ze strzałą na cięciwie. W martwym mózgu pojawiło się wspomnienie tego, co wydarzyło się, zanim Achilios stracił przytomność.

„Wtedy też pojawiło się światło” – przypomniał sobie.

Ale natychmiast zrozumiał, że nie to samo. Jednak bez względu na fakt, czym było źródło światła, Achilios nie czuł się dobrze z jego bliskością.

Strzelił i natychmiast sięgnął po kolejną strzałę.

Grot trafił w sam środek niepokojącego blasku... trafił i wyszedł po drugiej stronie. Z charakterystycznym odgłosem wbił się w drzewo po drugiej stronie.

Łucznik, niezrażony, nałożył drugą strzałę, tym razem jednak czekał.

I został nagrodzony za cierpliwość. W błękitnym blasku pojawił się zarys postaci, najprawdopodobniej ludzkiej. Achilios napiął łuk. Był pewien, że dostrzegł zbroję... błękitnosrebrny napierśnik. Wycelował starannie.

„JESTEŚ MI POTRZEBNY...”

Głos rozległ się w całym ciele łuczника – w podobny sposób przemawiał Trag’Oul, choć wrażenie było nieco inne. Jednocześnie zaciśnięte na łuku palce rozluźniły się nagle. Achilios czuł, jakby żadna część jego ciała nie była mu dłużej posłuszna.

Zwalił się na poszycie niczym szmaciana lalka.

Upadł twarzą w dół, nie mógł więc widzieć, co się działo wokół niego. Nasłuchiwał kroków, ale ich nie usłyszał. Gdy jednak głos znów się rozległ, łucznik miał wrażenie, że jego źródło znajduje się nad jego ciałem.

„JESTEŚ MI POTRZEBNY...” – usłyszał raz jeszcze.

I Achilios najpierw przypomniał sobie, że to samo wydarzyło się pod Haszirem, a potem stracił przytomność...

OSIEMNAŚCIE



Nie znaleźli go. Mimo że połączyli siły, nie trafili na żaden ślad Achiliosa. Uldyzjan nie chciał się poddać i edyremowie spędzili w pobliżu świątyni kolejne dwa dni. Jednakże pod koniec drugiego Serentia zdecydowała, że dalsza zwłoka nikomu nie przyniesie nic dobrego.

– Musimy ruszać. Achiliosa albo nie ma w pobliżu, albo nie chce, bym go odnalazła... przynajmniej nie teraz – stwierdziła ponuro. – Wydaje mi się, że chodzi raczej o ten drugi powód, i że Achilios wreszcie do mnie przyjdzie.

– Nie wytrzyma z dala od ciebie, znam go nawet dłużej niż ty. Zobaczysz.

Skinęła głową i po raz pierwszy spojrzała na niego, zamiast wpatrywać się w zieloną gęstwinę.

– Naprawdę myślisz, że będę tak przerażona jego widokiem?

– Mówiłem ci, jak wyglądał. – Uldyzjan nie przesadzał ze szczegółami, ale i niczego nie pominął. Jednak Serentia zareagowała tylko większym współczuciem dla łucznika.

– I zapewne jak go zobaczę, będę się na niego gapić, może wyrwie mi się westchnienie, może jęk, ale jak sam mówisz – to Achilios. Jakże mogłabym go nie kochać?

Nic na to nie odpowiedział. Poza tym miała rację – powinni ruszać. Lilith nie będzie siedziała beczynnie. A bez względu na to, jaką nową intrygę uknuła, Uldyzjan nie miał zamiaru czekać, aż jej skutki zwałą im się na głowy.

O ile w ogóle nie było już za późno.

Saron, hasziranin o imieniu Raszim i partanin Timeon stali się nieoficjalnymi przywódcami edyremów. Uldyzjan nie chciał, by doszło do podziałów w zależności od miasta pochodzenia, ani by jedna grupa w jakiś sposób wydawała się górować nad drugą. Miał nadzieję, że jeśli partan, toradżan i hasziran będzie traktował równo, to w końcu połączą się oni na tyle, by być jedynie edyremami.

Timeon był kuzynem Jonasa, jednego z pierwszych nawróconych Uldyzjana. Jonas zawsze pierwszy zgłaszał się do wszelkich zadań, ale nigdy nie zdradzał chęci, by zostać zastępcą Uldyzjana. Pomagał jednak kuzynowi w organizowaniu reszty partan... grupy wyraźnie mniejszej od pozostałych.

„To się musi skończyć” – powtarzał sobie Uldyzjan. Partanie najbardziej przypominali mu mieszkańców Seram, gdzie dorastał. Za każdym razem, gdy któryś z nich ginął, znikał też fragment przeszłości Uldyzjana. Obiecał sobie doprowadzić walkę do końca, zanim wszyscy ludzie Jonasa stracą w niej życie...

W przerwach między poszukiwaniem Achiliosa Uldyzjan wyjaśnił uczniom swe tajemnicze zniknięcie. Nie wspomniał oczywiście o Rathmie i Trag'Oulu, uznawszy, że to nie najlepszy moment.

Następnego dnia edyremowie maszerowali do zachodu słońca. Wymuszona przez Lilith zmiana trasy kosztowała ich dodatkowe trzy dni, poza tymi poświęconymi na szukanie Achiliosa. Trzy dni, które Lilith zyskała na planowanie ich zagłady...

Otoczająca ich dżungla była nienaturalnie cicha. Od czasu do czasu słychać było śpiewy ptaków, ale znacznie rzadziej i o wiele odleglejsze niż

zwykle. Uldyzjan dostrzegwał w tym znak, ale nie podzielił się tą myślą z nikim, nawet z Serentią. Pilnował tylko, by edyremowie zachowywali czujność, przypominając, że ich wrogowie nader często tchórzliwie kryją się w cieniu i stamtąd atakują.

Kiedy wreszcie dotarli do rzeki i to pół dnia wcześniej niż planowali, Uldyzjan poczuł ulgę i wdzięczność. Wrócili na prostą drogę. I choć wołał, by szli jeszcze z godzinę, to rozumiał, że już i tak zmęczył ludzi dotkliwie. Niechętnie ogłosił więc postój.

Jedyny pozytywny skutek opętania Serentii był taki, że Lilith postarała się o mapy terenów położonych między Haszirem a główną Świątynią. Mapy były stare, ale wciąż dość dokładne – zaznaczono na nich nie tylko położenie największego przybytku Trójcy, ale i największe skupiska ludności pomiędzy Haszirem a Kedżanem.

– Tak, wiem, gdzie leży Kalinasz – odpowiedział Raszim na pytanie Uldyzjana i wskazał ręką kierunek. Hasziranin o wyjątkowo bujnej czuprynie terminował wcześniej u kupca, miał więc okazję nieraz odwiedzić tamto miasto. – Jest nieco większy niż Haszir i Świątynia tam będzie mocna, bo blisko Kedżanu. – Przesunął ramię nieco na północ. – O Istani niewiele wiem, tyle, że jest mniejsze niż Haszir i niezbyt bogate.

– Tam Świątynia nie będzie taka silna – poparł go Saron. – Jeśli życzycie sobie, mistrzu, szybko dotrzeć do Kedżanu, lepiej będzie wędrować przez Istani.

Z jednej strony Uldyzjan nie mógł tego podważyć, ale z drugiej nie bardzo chciał zostawiać sług Trójcy w Kalinaszu, szczególnie za plecami edyremów. Jednak zboczenie w kierunku większego z miast oznaczało opóźnienie marszu na Kedżan i pogodzenie się ze stratą kolejnych istnień. Zaś jedno i drugie działało na korzyść Lilith.

– Jak szybko dotarlibyśmy do Kalinaszu?

– Cztery, pięć dni – odpowiedział Raszim po chwili zastanowienia.

– A do Istani?

– Cztery.

Czyli droga trwałaby krócej, a do tego mniej tam było sług Świątyni. Kalinasz mógł oznaczać kolejne dni krwawych zmaganiań...

Z niejakimi oporami Uldyzjan podjął decyzję.

– Dobrze więc. Idziemy do Istani. Ale musimy maszerować tak szybko, jak to tylko możliwe.

Edyremowie skłonili głowy i odeszli. Uldyzjan zaś spojrzał na Serentię, szukając u niej potwierdzenia, że mądrze wybrał.

– Postąpiłabym tak samo – zapewniła go i zaraz zmarszczyła brwi. – Coś innego cię niepokoi?

– Dwie sprawy... a właściwie dwie osoby. Achilios, jak wiesz, i Mendeln.

– Oczywiście. Rozmawiałam z tobą o Achiliosie, tyle że masz chyba serdecznie dość tematu. Wybacz, że nie pomyślałam o twoim bracie. Ten... ten Rathma. Myślisz, że można mu ufać?

Prychnął.

– Nie mam pojęcia. Na tyle, na ile można potomkowi Lilith... co, jak sądzę, dotyczy i mnie, w pewnym sensie.

– W takim razie Mendelnowi nic się nie stanie – zdecydowała Serentia.
– Jego ścieżka splata się z twoją, choć różnią się zarazem coraz bardziej.

– Nie dbam o to, Serri. – Znów nazywał ją imieniem z dzieciństwa, żeby nie zapomnieć w żadnym razie, iż są przyjaciółmi, nie kochankami. Uldyzjan nie miał najmniejszego zamiaru deptać grobu przyjaciela, tym bardziej gdy wiedział, że ów grób jest pusty. – Chcę tylko, by Mendeln był bezpieczny.

– I on chce tego samego dla ciebie.

– Ale dobrze byłoby usłyszeć od niego choć słowo wieści. Choć słowo.

Ułożyła się do snu przy ognisku.

– Wiem, wiem...

I z jej tonu wywnioskował, że tak samo chciałaby wiedzieć, co dzieje się z Achiliosem.

Mendelnowi nie śniło się nawet, że wróci do Party. To miejsce powinno być dla niego jedynie przeszłością. Chciał wymazać wszystkie wspomnienia z tego miasta, bo w jego odczuciu tam ostatecznie skończyło się życie prostego farmera, a zaczęły wszystkie katastrofalne zmiany. Po Parcie nie było już odwrotu, jeszcze bardziej niż po Seram, czego Mendeln też by chętnie uniknął.

Trag'Oul i Rathma wysłali go tu na ostateczny sprawdzian. Jak zawsze wszystkie ich odpowiedzi na jego pytania były mgliste. Uzyskawszy w końcu obietnicę, że jeśli wykona zadanie, będzie mógł dołączyć do brata, Mendeln zgodził się wrócić do Party.

Był sam. Ci, którzy tu jeszcze mieszkali, spali głęboko. Strażnicy z pewnością nie pojawią się w tej okolicy, bo kto byłby zainteresowany śmieciami.

Mendeln też nie był. Trafił tu tylko dlatego, że tu paliło się też zwłoki. Wedle Rathmy było to najlepsze miejsce, by dokonać przywołania.

Mendeln nie bardzo miał ochotę rzucać ten czar, ale jego nauczyciele uważali, że to konieczne. Miał poczucie, że czegoś mu nie mówią... jak zawsze zresztą. Ich metody nauczania, szczególnie Rathmy, pozostawiały naprawdę wiele do życzenia.

Ten sprawdzian był poniekąd wynikiem konfrontacji z Inariussem. Mendeln nie miał co do tego wątpliwości. Gdy wrócili z Rathmą do smoka, nefalem zażądał rozmowy z gigantem, i to bez świadków. I po tej rozmowie obaj zgodnie oświadczyli, że Mendeln musi wykonać zadanie.

„Powinienem odmówić – powtórzył sobie w duchu po raz kolejny. – Powinienem domagać się, żeby odesłali mnie wreszcie do Uldyzjana”.

Ale Mendeln wiedział, że nawet gdyby to zrobił, to i tak, koniec końców, wyładowałyby w Parcie.

Wyciągnął sztylet spomiędzy fałd szaty. Ostrze miało poprowadzić go do właściwego miejsca, tak przynajmniej mówił Rathma.

Gdy tylko Mendeln podniósł sztylet nad głowę, klinga zaślniła. Obrócił się powoli, zwracając uwagę, kiedy ostrze świeci jaśniej.

Pamiętał okolicę, pamiętał wszystkie ponure wydarzenia, które miały tu miejsce.

Tutaj, przy pomocy partan, bez żadnej ceremonii spalili ciała Malika i jego morlu.

Zadrżał na tamto wspomnienie. Nie obawiał się Malika, lecz zła, jakie w nim było. Jak człowiek mógł do tego stopnia oddać się ciemności? Tego Mendeln nie potrafił zrozumieć. Sama myśl o Maliku budziła w nim taką odrazę, że miał ochotę zawrócić i oddalić się stąd jak najszybciej.

Ale Rathma upierał się, że Mendeln musi to zrobić.

Mendeln odetchnął głęboko, starając się przywołać uczucie spokojnego zdecydowania, tak jak nauczył go tego smok. Aby lepiej służyć Równowadze, a w ten sposób i Sanktuarium, i Ludzkości, Mendeln musiał nauczyć się widzieć rzeczy w sposób nie zaciemniony emocjami. Emocje nie były czymś zakazanym, nawet Rathma je odczuwał, ale musiały być trzymane na wodzy, albowiem siły, z jakimi Mendeln miał do czynienia, były naprawdę niebezpieczne.

Mendeln wiedział, że bardziej już gotów nie będzie, i począł kreślić wzory, które miały wzmóc jego wysiłki. Były oparte na energii, która spletała cały jego świat, a także wszystko poza jego granicami. Wzory niejako przyciągały ową energię i sprowadzały ją do miejsca przywołania.

Skończywszy wzór, Mendeln uniósł sztylet. Nie musiał upuszczać sobie krwi, aczkolwiek istniała możliwość, że później będzie to konieczne. Teraz najważniejsze były słowa, będące częścią energii wiążącej wszystko i wszystkich.

Niskim głosem Mendeln wypowiedział słowo po słowie. Czuł, jak moc zbiera się w miejscu z każdą sylabą. Złowroga obecność poczęła powoli

objawiać się wewnątrz wzoru.

Mendeln powtórzył wszystkie słowa, jakie nakazano mu powiedzieć, i powtarzał je wielokrotnie, za każdym razem akcentując inną część, wzmacniając w ten sposób każdy z aspektów przywołania.

Coś przepłynęło przed jego twarzą, delikatnie głaszcząc policzek. Zwiewny obłoczek dymu, który przypląnął z innej części miasta. W miarę jak Mendeln kontynuował przywołanie, kolejne zwiewne pasma poczęły krążyć wokół niego niczym małe dzieci, chcące zwrócić na siebie uwagę.

Rathma uprzedzał, że póki Mendeln nie nauczy się lepiej koncentrować, na jego wezwanie przybędą i inni. Nie mógł nic zrobić z nieproszonymi duszami, musiał je zignorować, bowiem gdyby chciał je odesłać, oznaczałoby to utratę koncentracji w kluczowym momencie.

Czuł, jak mroczna obecność rośnie w siłę. Z jednej strony nie chciała, by ją niepokoić, z drugiej zaś chętna była sprawdzić, czy nie uda jej się jakoś obrócić wezwania na swoją korzyść.

Mendeln mocniej ujął sztylet, świadom, że nie może na to pozwolić. Smok ostrzegał go, jak straszne byłyby konsekwencje, gdyby coś tak potwornego zyskało nagle wolność.

Naraz ze środka wzoru podniósł się czarny dym i szybko przybrał kształt wysokiego mężczyzny. Nie przerywając inkantacji, Mendeln ostrożnie cofnął się o krok. Póki wyrysowane wzory pozostały nienaruszone, duch nie mógł wyrwać się z nich bez pomocy.

Cień nadal zmieniał kształt, aż w końcu wyglądał jak wysoki, blady mężczyzna o ciemnej brodzie.

Najwyższy kapłan Mefisa, czy raczej Mefista, Malik we własnej osobie.

Z ponurą satysfakcją Mendeln spojrział wezwanemu duchowi prosto w nieruchome oczy.

Malik go rozpoznał, nie było co do tego wątpliwości. Mendeln wyczuł niegasnącą nienawiść, choć twarz zmarłego arcykapłana pozostała

nieruchoma, i zobaczył jak cień nieludzkiej ręki wychynął na jedną krótką chwilę z półprzeźroczystych fałd szaty.

Nie wiedział, czy wezwana dusza mogłaby obdrzeć jego ciało ze skóry, tak jak Malik za życia uczynił to mistrzowi Etonowi. Ale Mendeln nie zamierzał tego sprawdzać.

– Wiesz, kim jestem, kapłanie – powiedział. – Wiesz, że nie wolno ci się odezwać ani uczynić niczego bez mojej zgody bądź przewodnictwa. Skiń głowę, jeśli rozumiesz.

Malik powoli skinął, nie spuszczając wzroku z twarzy Mendelna. Ten zaś, zadowolony, skupił się na celu, dla którego wezwał upiornego kapłana.

– Maliku, twego pana już nie ma.

Po raz pierwszy duch zareagował w wyraźny sposób. Zniknął i pojawił się ponownie tak szybko, że niewprawne oko nie zdołałoby tego zauważyć. Zmienił się też wyraz jego martwych oczu.

– Tak, kapłanie, Lucion nie żyje. – Wierniejsze prawdzie byłoby stwierdzenie, że za sprawą Uldyzjana demon przestał istnieć. Wedle Rathmy ten los różnił się w jakiś sposób od śmierci, ale Mendeln jeszcze nie rozumiał takich subtelności. – I wiesz, kto zajął jego miejsce? Wiesz?

Duch trwał absolutnie nieruchomo. Mendeln zmarszczył brew, oczekiwał bowiem jakiejś reakcji. Trag'Oul ostrzegał, że istoty trwające w stanie „pośmiertnym” nie wzdragają się bynajmniej przed powrotem do świata żywych, by szukać pomsty na tych, których darzyły nienawiścią. A Malik rozpoznał Mendelna, wiedział, że ten jest bratem Uldyzjana.

Im szybciej Mendeln będzie w stanie ocenić przydatność kapłana do swych celów, tym lepiej.

– To Lilith, jego siostra – poinformował duszę. – Choć ty możesz pamiętać ją w innej postaci, kapłanie, jako panią Lylię.

Tym razem duch poruszył się gwałtownie, a jego oczy urosły do nieludzkich rozmiarów, usta otworzyły się i nie przestały otwierać,

rozciągnęły się w dół niemal na stopę. Wspomnienie Lilith, szczególnie jej ludzkiej postaci, zadziało. W końcu to ona zabiła Malika.

Mendeln zdumiony był gwałtowną przemianą ducha. Został uprzedzony, że duchy nie muszą zachowywać formy, jaką posiadały ich żywe ciała; że mogą pojawić się w najróżniejszych kształtach często nawiązujących do ich śmierci, palącego je gniewu albo płonących w nich intencji...

Intencji...

Mendeln odwrócił się, błyskawicznie wymawiając słowa, które powierzono mu dla obrony przed tym, co przechodziło ludzkie wyobrażenie. Gwałtownie wyprostował rękę ze sztyletem i sięgając, jak mógł najdalej, ciął powietrze.

Z sykiem wściekłości cień morlu obrócił się w pył. Drugi upiór, bardziej nawet makabryczny od poprzednika, powstał bowiem z popiołu i ziemi, i niemal zdołał pochwycić Mendelna. Ten zaś obrócił w dłoni sztylet i dotknął piersi nieumarłego.

Kolejny morlu stał się jedynie garstką pyłu.

Ale trzeci uderzył go w ramię kawałkiem przegniłego drewna. Mendeln jęknął i upadł poza zasięg upiornych ramion. Morlu niezgrabnie postąpił za nim, siejąc wokół popiołem przy każdym ruchu.

Nie byli to prawdziwi morlu, którzy towarzyszyli arcykapłanowi w pościgu za Uldyzjanem. Mendeln już wtedy postarał się, by żadnego z nich nie można było ponownie wskrzesić. Nie – atakowały go myśli wywołane przez zło Malika. Nadal jednak miały dość sił, by nie tylko zabić Mendelna, ale i uwolnić swego twórcę z sieci wzorów.

I gdyby do tego doszło, Parta byłaby pierwszym miejscem skazanym na zagładę.

Morlu zaatakował – z rozmachem, ale w sposób dość przypadkowy. Mendeln odskoczył, z łatwością unikając uderzenia. No cóż, jeśli jego przeciwnika stać było jedynie na tyle...

I wtedy uświadomił sobie, gdzie znajduje się duch Malika. Gdy morlu zaatakował ponownie, Mendeln skoczył w całkowicie przeciwnym kierunku. Wylądował wprawdzie na stosie śmieci, ale była to niewielka cena za udaremnienie planu kapłana.

Malikowi niewiele brakowało, a zdołałby się uwolnić. Gdyby morlu udało się pogonić Mendelna jeszcze odrobinę dalej, to buty człowieka zatarłyby część wzoru, który więził kapłana.

Morlu pochylał się nad swą ofiarą, ale Mendeln wiedział już, co powinien zrobić. Ujął sztylet ostrzem w dół i wykrzyczał zaklęcie wygnania, którego nauczył go smok. Ostatnia z kukiełek Malika obróciła się w proch. Odłamek drewna upadł przy głowie Mendelna, ten zaś podniósł się i odwrócił w stronę kapłana.

– Dość tych sztuczek! – rozkazał. – Przywołaj jeszcze jednego, a wyślę cię do miejsca, w którym twoja okrutna śmierć będzie wydawała się przyjemnym doświadczeniem!

Była to groźba mocno na wyrost, ponieważ nie zdobył jeszcze takich możliwości – w najlepszym wypadku wysłałby ducha tam, skąd go przywołał. Malik, który znów wyglądał tak jak za życia, zakołysał się i po chwili pokornie spuścił głowę. Mendeln w duchu zrugął się za to, że pozwolił się zwieść gierkom przeklętego kapłana. Rathma i Trag'Oul ostrzegali przecież, że kapłan był tak potężny, że być może nawet po śmierci będzie w stanie nagiąć niektóre reguły przywołania. Aczkolwiek Mendeln wątpił, czy którykolwiek z jego mentorów przewidziałby tak zaskakujący manewr. Zaiste wielka była moc, jaką Mefisto obdarzył swego arcykapłana.

Mendeln nie zamierzał dwukrotnie popełnić tego samego błędu. Pochylił się i wprowadził poprawki do wyrysowanego na ziemi wzoru, następnie powtórzył kolejne słowa, które przekazał mu Trag'Oul. Wiedziony przecuciem, dodał też kilka kolejnych w nadziei, że wzmocnią one czar jeszcze bardziej.

– Maliku, słyszałeś, co powiedziałem. – Mendeln wyprostował się i spojrzał na kapłana. – Ta, która cię zgładziła, ukrywa się za maską Pierwszego. Skoro pragniesz zemsty, dlaczego nie dokonasz jej na Lilith? – Nietrudno było wyczuć gwałtowne zainteresowanie ze strony ducha. Mendeln uznał, że to właściwy moment, by pozwolić przywołanemu przemówić. – Zatem? – ponaglił.

Głos arcykapłana był tak wstrętne chrapliwy, że w porównaniu z nim Achilios zdawał się mówić jak żywy człowiek.

– Bracie... Uldyzjana ul-Diomedą... czego chcesz... ode mnie?

– Wiedzy o świątyni pod Kedżanem. Jakie są jej sekrety, ukryte pułapki. Co zbudował Lucion, a czym teraz włada Lilith...

Duch zaśmiał się – był to okropny zgrzytliwy dźwięk pozbawiony choćby cienia wesołości.

– Bracie... Uldyzjana ul-Diomedą... prosisz o więcej... niż mogę ci powiedzieć... – Na współprzejrzystej twarzy pojawił się uśmiech. – Ale mogę ci pokazać...

O takiej możliwości nie wspomnieli ani Rathma, ani smok. Mendeln nie otrzymał żadnych wskazówek co robić, gdyby duch chciał towarzyszyć przywołującemu.

Jednak teraz, kiedy Mendeln zapanował już nad upiornym kapłanem, przydałaby mu się ta dwójka – zadałby im kilka pytań.

Tylko jak to osiągnąć? Nie chciał wracać. Zastanowił się przez chwilę, po czym skierował sztylet tam, gdzie stos pochłaniający ciała płonął najmocniej. Mendeln skupił się na tym, czego potrzebował, licząc, że sztylet wskaże mu sposób.

Poczerniały grunt w miejscu, gdzie unosił się duch Malika, zadrżał, jakby kapłan miał za chwilę powstać z prochu, niczym morlu chwilę wcześniej. Jednak zamiast ciała na powierzchni pojawił się jedynie niewielki biały przedmiot podobny do kamienia, który... otrząsnął się z ziemi i potoczył wprost do wyciągniętej ręki Mendelna.

Mendeln wyprostował się, przyglądając się uważnie trzymanemu w dłoni przedmiotowi. Był to najdłuższy kawałek kości, jaki pozostał z ciała Malika.

Mendeln dotknął kości czubkiem sztyletu i szeptem wypowiedział zakłęcie wiążące. Sam dobrał słowa mocy tworzące czar, kierując się instynktem i poczuciem, że tak właśnie brzmieć powinny. Miał tylko nadzieję, że nie popełnił śmiertelnej pomyłki.

Zamknąwszy dłoń na fragmencie kości, Mendeln przyglądał się przez chwilę wzorom na ziemi. A potem jednym szybkim ruchem stopy rozerwał sieć.

Duch westchnął. I rozwiął się w powietrzu. Teraz był jedynie niewielkim obłoczkiem mgły, która zawirowała i wsączyła się wprost do białego odłamka. Kiedy duch Malika znalazł się wewnątrz kości, ta błysnęła raz, a potem wróciła do poprzedniego stanu.

Mendeln upewnił się starannie, że ze strony Malika nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Zakłęcie okazało się bez szkazy, odetchnął więc z ulgą. Zanim jednak zdążył się naprawdę rozluźnić, od strony miasta dobiegły go krzyki. Nie wiedział, czy mają jakikolwiek związek z jego obecnością, ale i tak nie chciał, aby ktokolwiek go tu zobaczył. Jego zadanie dobiegło końca. Zgodnie z instrukcją Trag'Oula Mendeln sztyletem wykreślił w powietrzu krąg, a w nim dwa symbole.

„Tak, czuję, że nadchodzisz...” – usłyszał głos smoka.

W następnej chwili Mendelna otoczyła znajoma ciemność. Zdziwił się, gdy nie zobaczył czekającego nań Rathmy.

– Zrobiłem to, co mi poleciłeś – zwrócił się w stronę gwiazd.

Te zawirowały, po czym znów, jak zawsze, ułożyły się we wzór smoczego ciała.

„Tak... wszystko, co ci polecono... i więcej, niż oczekiwano...”

– Co masz na myśli? – spytał Mendeln, choć jemu przychodziło do głowy tylko jedno. Zaklęty odłamek kości. – Wiem, że chciałeś tylko

uzyskać informacje od ducha kapłana, ale uświadomiłem sobie, że przepytывanie go może zająć zbyt dużo czasu. A i później mogą pojawić się następne pytania, a wtedy byłoby już na nie za późno. Uznałem, że zaryzykuję, zabierając go ze sobą. Źle zrobiłem?

„Czy postąpiłeś źle czy dobrze – to pokaże Równowaga – odpowiedział Trag’Oul spokojnie. – Ale jak tego dokonałeś, ciekawi mnie najbardziej...”

– Po prostu postępowałem zgodnie z tym, czego mnie nauczyliście, wykorzystałem w taki sposób, jaki wydał mi się najlepszy. Na szczęście, nie byłem w błędzie. – Mendeln zmarszczył brwi. – A może byłem?

„Skłonny byłbym raczej stwierdzić, że dokonałeś niemożliwego... aczkolwiek wy, bracia ul-Diomedowie, nieustannie nadajecie nowy sens temu pojęciu”.

Mendeln nie rozumiał. Jedyne, co zrobił, to kierował się zdrowym rozsądkiem i logiką. Dlaczego Trag’Oul, którego możliwości były tak nieograniczone, twierdził inaczej?

„Tak czy owak kierunek działań, który obrałeś, oferuje nowe nadzieje i nowy potencjał. Obserwowałem zakłęcie wiążące w kamieniu, nie widziałem, by duch kapłana uwolnił się w przyszłości”.

– Cieszę się, że to słyszę.

„Nie myl jednak jego zgody na współpracę z posłuszeństwem. Cień będzie działał przede wszystkim dla własnej korzyści”.

Mendeln nie zdążył odpowiedzieć, ponieważ nagle obok pojawił się Rathma, który ze wszystkich sił starał się zachować swój obojętny wyraz twarzy. Mendeln jednak dobrze poznał mimikę starożytnego nefalema i wiedział, że ten nie przynosi dobrych wieści.

– Nigdzie go nie ma – poinformował Rathma smoka.

„Przeszukałeś wszystkie wymiary?”

– Oczywiście. Przywoływałem go również na tysiące sposobów, bywało, że ryzykując życiem. Rezultaty nie są takie, jakich oczekiwałem.

Smok przez kilka chwil milczał.

„Zatem zdajesz sobie sprawę, mój przyjacielu, że pozostało niewiele ścieżek...”

Rathma skinął głową.

– Tak, przy czym wybrałbym tę, która zaprowadziłaby go do miejsca, w którym nawet ty nie możesz go przywołać z powrotem. Z pewnością byłaby to odpowiednia nagroda za to, co uczynił do tej pory.

„Nagroda... tak... to byłoby zaiste najlepsze...”

– Ale uważasz, że mało prawdopodobne. Jak i ja.

Mendeln dość już miał słuchania tej wymiany zdań.

– Kto? Czy mój brat jest w niebezpieczeństwie? O nim mówicie?

Rathma zasępił się jak nigdy dotąd.

– Nie. O twym przyjacielu Achiliosie. Nie mogę trafić na jego ślad.

– Czy to możliwe?

– Możliwe... ledwie. Katastrofalne w skutkach – to z pewnością.

– Lilith go ma? – Mendeln bezskutecznie usiłował wymyślić, co też córka Mefista zrobiłaby z łucznikiem.

– Gdyby tak było, czułbym ulgę – odpowiedział szczerze Rathma. – Nie, Mendelnie, obawiam się, że kto inny go ma i to może być mój ojciec.

– Inarius? – Zaledwie Mendeln wypowiedział imię anioła, uświadomił sobie, że Rathma położył dziwny akcent na jednym słowie. – Zaraz! Co masz na myśli, mówiąc: „może”?

Zapadła cisza, tym bardziej złowroga, że gwiazdy nad ich głowami zawirowały znacząco. Cokolwiek sugerował Rathma, Trag'Oul zrozumiał aluzję doskonale i nie był zadowolony.

A skoro wieczna istota okazywała taki niepokój, nie wróżyło to dobrze nie tylko Uldyzjanowi, ale najpewniej i całemu Sanktuarium.

– Mam na myśli... – zaczął Rathma powoli, wyraźnie zaniepokojony. – Wykreślałem dziesiątki ścieżek związanych z moim ojcem i nie znalazłem żadnego powodu, dla którego miałyby zagarnąć twojego Achiliosa, i to w taki sposób. Inarius tak nie postępuje...

Choć gwiazdy Trag'Oula znieruchomiały, to smok i tak wciąż emanował niepokojem.

„Nie, nie postępuje...”

– A skoro tak, to być może nasza przyszłość jest już stracona. Ponieważ jeśli to nie Inarius pochwylił Achiliosa... w takim razie obawiam się, że uczynił to inny anioł.

– Inny anioł? Chyba raczej demon?

– Nie. Tego akurat jestem pewien. Żaden z mieszkańców Płonących Piekieł nie zabrałby go, nie zostawiając przy tym swych plugawych śladów. Taki brak śladów jak dotąd towarzyszył jedynie działaniom mego ojca.

Gwiazdy wirowały coraz bardziej niespokojnie, podobne napięcie czuł Mendeln. Wszyscy wiedzieli, co oznacza obecność innego anioła.

Królestwo Niebios odkryło Sanktuarium.

Koniec świata był nieunikniony.

DZIEWIĘTNAŚCIE



Uldyzjan nie miał żadnych wieści ani od Mendelna, ani też od Achiliosa. Los ich obu niepokoił go w najwyższym stopniu, ale nie mógł pozwolić, by ich nieobecność stanowiła powód do dalszej zwłoki.

Edyremowie maszerowali. Maszerowali do Istani.

Im bliżej byli miasteczka, tym więcej środków ostrożności podejmował Uldyzjan. Nie tylko używał swych umiejętności, aby sięgnąć, jak mógł najdalej, ale po raz pierwszy ośmielił się wysłać naprzód niewielkie oddziały, które utrzymywały kontakt z nim i ze sobą nawzajem. W ten sposób tworzyli sieć, która poza swym głównym przeznaczeniem miała też uchronić wszystkich tworzących ją edyremów przed atakiem albo nagłym zniknięciem wskutek działania wrogich sił.

Gdy do Istani pozostał im zaledwie dzień drogi, Uldyzjan nie krył niepokoju. Do głównej Świątyni Trójcy nie było wcale tak daleko. Nie wątpił, że szykowali się już na jego przyjście. Zatem im szybciej uporają się z dotarciem do Istani, tym lepiej.

Serentia dołączyła do niego, wyprzedzając resztę grupy.

– Czy powinniśmy robić postój? Wiem, że przez cały czas sprawdzasz drogę tam i z powrotem, ale Kedzan już niedaleko...

– Wiem. Zastanawiałem się nad czymś. – Uldyzjan wezwał Raszima. – Mam dla ciebie zadanie, o ile się zgodzisz.

– Oczywiście, mistrzu! – gorliwie odpowiedział tamten.

Uldyzjan skrzywił się, słysząc ten zapal Raszima, bowiem zadanie, jakie chciał przydzielić edyremowi, mogło okazać się śmiertelne.

– Znajdź, proszę, czterech ochotników i najszybciej, jak to możliwe, ruszajcie w stronę Kalinaszu.

Te słowa zaskoczyły zarówno Raszima, jak i Serentię.

– Do Kalinaszu? – powtórzył zdziwiony hasziranin. – Chyba do Istani?

– Nie. Do Kalinaszu. Idźcie w tamtym kierunku cały jeden dzień i szukajcie umysłami, jak was nauczyłem. Chcę wiedzieć, czy cokolwiek dzieje się w tamtej okolicy; czy cokolwiek zmierza stamtąd w naszym kierunku.

Teraz zrozumieli.

– A, oczywiście, mistrzu – odparł Raszim. – Zaraz zbiorę innych i ruszymy w mgnieniu oka.

– Raszimie... bądźcie ostrożni. Wracajcie jak najszybciej po wykonaniu zadania. I nie zapuszczajcie się dalej, niż wam mówiłem.

– Będziemy posłuszni, mistrzu.

Serentia pokiwała głową.

– Obawiasz się pułapki.

– Wiedzą, że nadchodzimy. Równie dobrze z południa mogłaby maszerować ku nam armia. Po cóż mieliby czekać, aż staniemy u bram?

Przez chwilę rozważała jego słowa.

– Ponieważ coś o wiele straszniejszego czeka nas tam...?

– Być może – zgodził się Uldyzjan. – Ale nie mogę ryzykować, że nas otoczą.

– Nie... masz rację. Raszim to dobry wybór, jeśli ktokolwiek zmierza w naszą stronę, on nas ostrzeże.

– Mam taką nadzieję.

Zgodnie z obietnicą Raszim i wybrani przez niego towarzysze wyruszyli szybko, już minutę później. Uldyzjan nie pozwolił pozostałym nawet zwolnić. Pochód edyremów ciągnął się na milę i po raz pierwszy Uldyzjan pomyślał o nich jak o armii. To określenie plątało mu się po głowie już wcześniej, ale teraz, mając w niedalekiej perspektywie ostateczną konfrontację ze sługami Trójcy, uznał, że najwyższy czas ich tak traktować. Najważniejsza była dyscyplina, w przeciwnym wypadku nawet przy postępach, jakie edyremowie poczynili ostatnio, również ci najnowsi w grupie mogą nie dać rady pokonać Lilith i jej pionków.

A nawet gdyby zdołali, to Uldyzjan i tak nie miał pewności, że zapewni im to zwycięstwo.

Dzień mijał. Uldyzjan od czasu do czasu wyczuwał Raszima, który dawał znać przywódcy, dokąd dotarli i że wszystko z nimi w porządku. Jak na razie niczego nie wykryli. Istniała możliwość, że w Kalinaszu nie wiedzą nawet, co się dzieje. Przynajmniej taką Uldyzjan żywił nadzieję...

Kiedy nadszedł wieczór i rozłożyli obóz, Uldyzjan wezwał Sarona, Timeona, Jonasa i wszystkich tych, którzy dowodzili choćby najmniejszą grupą. Znowu podkreślił, jak ważna jest koordynacja na każdym etapie podróży. Po raz pierwszy dzieci i słabsi mieli zostać ustawieni na końcu, gdzie będzie mogła ich chronić wybrana grupa silniejszych. Resztę edyremów podzielono na oddziały i oddano pod komendę tych, którym najbardziej ufał Uldyzjan.

Tylko on i Serentia nie dowodzili bezpośrednio żadnym z oddziałów – mieli koordynować najważniejsze działania całej armii. Uldyzjan wciąż był zaskoczony faktem, że Serentia stała się jego zastępcą; że była druga po nim. To nie była dziewczyna, którą znał wcześniej. Kiedyś nawet sobie nie wyobrażał, że mogłaby się stać tym, kim była teraz.

Ale bez niej nie zdołałby poprowadzić tak licznych sił.

Krótko przed świtem obudziło go uczucie, że Raszim próbuje się z nim skontaktować. Spodziewał się, że usłyszy jak najgorsze wieści, tymczasem

wysłana na zwiady grupka właśnie rozpoczęła podróż powrotną. Z Kalinaszu nie nadciągało żadne niebezpieczeństwo. Miasto najwyraźniej pogrążone było w nieświadomości, przynajmniej w odniesieniu do edyremów.

Ta wieść sprawiła, że Uldyzjan poczuł ogromną ulgę. Zawiadomił Serentię i pozostałych. Gdy tylko się posilili, nakazał zwijać obóz i ruszać w dalszą drogę.

Po zaledwie trzech godzinach zobaczyli w oddali wieże Istani.

Miasto może i było mniejsze od Hasziru czy Toradży, ale nadal większe od Party. Uldyzjan szacował wielkość tutejszej Świątyni Trójcy na podstawie tego, czego nauczył się w poprzednich miastach. Nie bardzo wielka, lecz wystarczająco duża, by opóźnić czy nawet zagrozić ich planom dotarcia do Kedżanu, zanim Lilith wcieli w życie kolejną intrygę.

Zdecydował, że tym razem nie będzie przedstawiał mieszkańcom miasta siebie i swoich uczniów. Uderzy na Świątynię, gdy tylko będzie mógł, modląc się, by ludzie z Istani zrozumieli, że robi to też dla ich dobra.

Świadom, że kapłani będą w każdy możliwy sposób wypatrywać nadciągających kłopotów, i przekonany, że edyremowie nie zdołają pozostać całkowicie ukryci, Uldyzjan ruszył w stronę miasta najszerszą i najbardziej otwartą z dróg. Liczył się czas.

Uldyzjan nie zamierzał czekać na Raszima i jego ludzi. Nakazał swoim edyremom rozproszyć się, gdy zbliżali się do granicy dżungli. Już niedługo, bardzo niedługo, dotrą do bram miasta...

Wyprostował się gwałtownie. Przez moment, ułamek chwili zaledwie, wydawało mu się, że czuł...

Ale nie. To z pewnością tylko dręczący go nieustannie niepokój. Z pewnością.

– Serri, stań obok mnie, chcę, żebyś coś zrobiła.

Nie pytała dlaczego, jak zawsze pełna ufności. Kiedy tylko była gotowa, pokazał jej, na czym ma się skupić.

– Czy coś widzisz lub czujesz? Cokolwiek – spytał.

– Nie... przez moment myślałam... ale nie...

Takiej odpowiedzi się spodziewał i wzbudziła ona w nim jeszcze większe podejrzenia.

– Serri, pozwolisz, że czegoś spróbuję?

– Chodzi ci o to, byśmy zrobili to razem? – Wiedziała o zaklęciu, które pokazała mu Lilith, gdy zaginął Mendeln. – Jeśli uważasz, że warto, spróbujmy.

Uldyzjan po prostu stał obok Serentii, nie poprzedzał poszukiwań żadnymi przygotowaniem. Zamknęli oczy i skoncentrowali się na tym, by sięgnąć ku sobie nawzajem...

Rezultaty były równie natychmiastowe, co zdumiewające. Ich umysły połączyły się z taką łatwością, że Uldyzjan poczuł się przyjemnie zaskoczony. Obawiał się całkowitej porażki.

Jedynym problemem było, że takie połączenie dawało im obojgu poczucie niezwyklej bliskości. Uldyzjan nie chciał, by sytuacja ponownie rozbudziła w nim skrywane uczucia, więc szybko poprowadził myśli Serentii w kierunku, który chciał zbadać.

Jednak nawet gdy przeprowadzili gruntowne poszukiwania, nie znaleźli absolutnie niczego. Uldyzjan nie wyczuł już tego, co go zaniepokoiło. I wiedział, że Serentia też nie. Po kilku kolejnych minutach całkowicie bezowocnego polowania zaniechał dalszych prób.

– Myliłem się – mruknął. – To tylko moja wyobraźnia.

– To chyba lepiej niż kolejne niebezpieczeństwo, czyż nie?

Skinął głową.

– Póki nie zacznę wszędzie widzieć cieni. Wtedy dużo trudniej będzie mi zauważyć prawdziwe zagrożenie...

Edyremowie szli dalej. Istani stało się miastem, a nie tylko szczytami budynków widocznymi nad wierzchołkami drzew. Uldyzjan wycofał wszystkich zwiadowców, nie chcąc, by ktokolwiek został odcięty od grupy.

Tylko Raszim i jego ludzie mieli dołączyć później, zapewne już wtedy, gdy reszcie przyjdzie mierzyć się ze Świątynią.

Jednak ku zaskoczeniu Uldyzjana grupa mieszkańców Istani wyruszyła im naprzeciw, zanim jeszcze dotarli do bram. Wszyscy wyglądali bardzo oficjalnie, a dowodził nimi okrągły mężczyzna w średnim wieku, odziany w jedwabne, intensywnie niebieskie i zielone szaty. W nosie miał duży srebrny kolczyk wysadzany małymi rubinami.

– Przybywamy rozmawiać z wodzem tej armii – oznajmił.

Uldyzjan ruszył w jego stronę. Mężczyzna i jego towarzysze przybyli konno, mieli zatem przewagę, przynajmniej jeśli chodzi o wysokość, na której znajdowały się ich oczy. Jednak Uldyzjan nie dbał o to – wkrótce przekonają się, kto tutaj włada prawdziwą mocą.

Szczególnie jeśli będą próbowali bronić Trójcy.

– To mnie szukacie – odpowiedział. – Ja jestem Uldyzjan ul-Diomed. – Uniósł rękę, nie dopuszczając tamtego do głosu. – Mam tylko jedno do powiedzenia. Ty i twoi ludzie nie macie się czego obawiać z naszej strony. Tylko Świątynia Trójcy. Zejdźcie nam z drogi, a cała potworna prawda o nich zostanie wkrótce obnażona.

W czasie przemowy Uldyzjana pulchny jeździec wiercił się niespokojnie.

– Ale dlatego do was przyjechaliśmy, mistrzu Uldyzjanie! – wypalił, gdy tylko zyskał okazję. – Nie ma potrzeby, byście wchodzili do Istani! Ludzie Świątyni uciekli!

Uldyzjan patrzył na niego z niedowierzaniem, za jego plecami poczęły rozlegać się podniecone szepty.

– Co to ma znaczyć? Kiedy? – zapytał nagłoco.

W jego tonie musiało być coś takiego, co wystraszyło przywódcę istanów. Ukłonił się nisko – na ile to możliwe w siodle.

– Nie dalej jak dwa dni temu, mistrzu! Bez słowa! Kapłani, strażnicy, kto tylko był w świątyni, zniknęli w nocy! Dopiero następnego dnia

zauważyli to wartownicy i ludzie z miasta, kiedy poszli szukać najwyższego z kapłanów.

– Myślisz, że kłamią? – spytała cichutko Serentia, stojąca o krok za Uldyzjanem.

Ale on milczał, bo już sam szukał odpowiedzi na to pytanie. Nie czuł żadnego podstępu ze strony przybyszy, wszystko wskazywało na to, że obawiali się raczej, iż przywiezione przez nich wieści mogą go rozgniewać. Zadowolony, sięgnął w stronę miasta, szukając skazy, jaka zawsze towarzyszyła sługom Trójcy.

Znalazł jedynie niezbyt wyraźnie ślady, nic więcej. Budynek Świątyni był, tak jak to powiedział przybysz – całkowicie opuszczony. Uldyzjan przeszukał myślą każdą z trzech wież, tropiąc jakieś wskazówki, ale kapłani starannie wszystko uprzątnęli.

Odkrył drugą bramę, tak jak w Haszirze, której pilnowało zaledwie kilku strażników, i niemal natychmiast zorientował się, że żaden z żołnierzy jakimś sposobem nie widział odjazdu swych panów.

Ślad kapłanów urywał się w dżungli – jak się można było spodziewać, wydatnie starali się nie zwracać na siebie uwagi. I Uldyzjan zdołał wywnioskować jedynie, że udali się w stronę głównego przybytku sekty.

Gdy Uldyzjan przeprowadzał poszukiwania, mieszkańcy Istani niepokoiili się coraz bardziej. Nie wiedzieli, co robi ten obcy, gdy stoi tak, jakby spał. Pulchny mężczyzna raz po raz zerkał na swych towarzyszy, jakby błagał ich o jakąś radę. Oni jednak milczeli. Żaden z nich nie palił się do zabrania głosu. Najwyraźniej gdyby doszło do przemocy, wina miała spaść na mówcę, który zresztą wcielił się w tę rolę wbrew swym chęciom.

Uldyzjan zakończył poszukiwania. Odetchnął głęboko i spojrzał w wytrzeszczone oczy pierwszego z jeźdźców.

– Mówicie prawdę.

To oświadczenie ponownie wzbudziło podniecenie wśród edyremów. Wrogowie ich mistrza uciekali przerażeni. Jak nic, zwycięstwo znajdowało

się w zasięgu ręki.

Uldyzjan nie pozwalał sobie na podobne wnioski. Jednak był zadowolony, bowiem taki obrót wydarzeń oznaczał, że nie zmarnują tu zbyt wiele czasu. Gdyby zdążyli wyruszyć następnego ranka, zdołaliby dotrzeć do głównej Świątyni dwa dni wcześniej, niż planował.

– Mówicie prawdę – powtórzył. – Dlatego pozostaje tylko jedna sprawa, zanim opuścimy te tereny.

Przywódcy miasta mieli niezbyt szczęśliwe miny. Niewątpliwie spodziewali się jakiegoś odwetu albo okupu w bogactwach.

– Potrzeba nam jedzenia i świeżej wody. Nadto chcielibyśmy rozbić obóz pod miastem. Jeśli twoi ludzie będą chcieli z nami handlować albo czegoś się o nas dowiedzieć, powitamy ich z otwartymi ramionami. – Uldyzjan nie mógł wejść do miasta i nauczać jego mieszkańców, brakło na to czasu. Może zdąży to zrobić później, zakładając, że przeżyje spotkanie z Lilith.

Wyczuł ulgę swych rozmówców. Ich przywódca kilkakrotnie skinął głową.

– Dostarczymy jedzenie i wodę, tak, mistrzu Uldyzjanie! Znajdą się tacy, co będą chcieli handlować, tak! – spojrzał przez ramię na towarzyszy.
– Barendzi! Dopilnujesz tego?

Wywołany skinął szybko głową, zawrócił konia i popędził do miasta, jakby się paliło.

– W takim razie to wszystko. Jeśli któryś z was ma jakieś pytania, odpowiem. Jeśli nie, życzę mądrym istaniam zdrowia i dziękuję im za wysiłki.

Nie było to formalne pozdrowienie, jakiego nauczył się w Haszirze, ale wystarczające, by wyrazić wdzięczność. Wśród licznych ukłonów przybysze zawrócili swe wierzchowce i oddalili się do miasta.

– Można im ufać z jedzeniem i wodą? – spytał Timeon. – Może nam dosypią truciznę?

Uldyzjan uważał to za mało prawdopodobne, ale nie zamierzał całkiem odrzucić tej możliwości.

– Niczego nie ruszymy, póki tego dokładnie nie sprawdzę.

Taka odpowiedź oczywiście usatysfakcjonowała edyremów. Wierzyli Uldyzjanowi bez zastrzeżeń, on zaś był im wdzięczny i modlił się, by nie zawieść tego zaufania.

Korzystając z podpowiedzi tych, którzy znali okoliczne tereny, Uldyzjan wybrał miejsce na obóz.

Zanim jeszcze zdążyli się rozłożyć, istanianie zaczęli przywozić jedzenie. Towary transportowano wózkami zaprzężonymi w osły i dużo większe zwierzęta pociągowe używane na nizinach. Saron nazywał je pakiszonami, co znaczyło „bracia o długich nosach”. Pakiszony sprawiły, że rozładunek odbywał się szybciej, bowiem swymi długimi nosami zdejmowały z grzbietu kosze i stawiały tam, gdzie wskazywał Uldyzjan. Gdy ten z kolei upewnił się, że jedzenie nie zostało zatrute ani w żaden inny sposób skażone, Saron, Timeon i inni rozdawali zapasy pozostałym.

Istanianie traktowali edyremów z największym szacunkiem, prześcigali się w wysiłkach, próbując zaspokoić wszelkie zachcianki przybyszów. Uldyzjan nie spodziewał się, że tubylcy będą poszukiwać wiedzy na temat edyremów, ale wielu istanianie okazywało zaciekawienie. Mówił im to, co powtarzał już wiele razy wcześniej. Niektórzy odchodzili, wysłuchawszy jego mowy, inni zostawali i tym Uldyzjan ofiarowywał dar.

Tym razem jednak nie tylko budził uśpioną w nich moc, ale i najlepiej, jak umiał, szukał jakichkolwiek śladów ciemności, by zgnieść ją ostatecznie. Nie zamierzał pozwolić, by powtórzyło się to, co Lilith zrobiła z Romusem.

I zanim się obejrzał, słońce wzeszło ponownie. Nie mieli powodu, by przedłużać postój. Od władz miasta, które robiły wszystko, by goście odeszli z ich ziem jak najszybciej i możliwie najspokojniej, Uldyzjan otrzymał szczegółowe informacje na temat drogi prowadzącej do

największej ze świątyń Trójcy. Ci, którzy dopiero co dołączyli do sił Uldyzjana, uwzględnili wszystko na mapach. Uldyzjan podziękował gospodarzom i poprowadził swą armię dalej.

I oto mieli przed sobą już tylko cel ostateczny.

Raszim i jego zwiadowcy znaleźli się tego dnia nieco bliżej, ale szybki wymarsz z Istani oznaczał, że dołączą do reszty za dzień albo dwa. Mając Lilith przed sobą, Uldyzjan nie był w stanie utrzymywać ciągłego kontaktu z niewielką grupą zwiadowców. Raz na jakiś czas sprawdzał, co się z nimi dzieje, a kiedy zyskiwał potwierdzenie, że wszystko w porządku, wracał do nieustannie podejmowanych prób odkrycia, co też szykuje dla nich Lilith. Zdążył wymyślić już tysiące rozmaitych koszmarnych scenariuszy, ale wątpił, by którykolwiek z nich pokrywał się z jej rzeczywistym planem.

Edyremowie przemierzający dżungłę milkli, w miarę jak pokonywali kolejne mile. Zupełnie jakby spowijał ich jakiś welon. Po raz pierwszy zdali sobie sprawę, jak gigantyczne zadanie ich czeka.

I nagle... nagle coś dotknęło samego sedna duszy Uldyzjana.

Ciemność... Potworna, szczerząca wściekle kły, silniejsza z każdym czynionym przez niego krokiem.

– Jesteśmy blisko – mruknął do Serentii. – Tak blisko...

W odpowiedzi dziewczyna skinęła tylko głową. Uldyzjan podwoił środki ostrożności. Przed nim Trójca nie ukrywała swej natury, teraz sekta pod przewodnictwem Lilith będzie działała tak, by osłabić pewność siebie edyremów. Dotknął myślą szeregów swych uczniów, upewniając wszystkich w ich zamiarach. „Ta nowa i subtelna sztuczka nie podziała” – przysięgał sobie w duchu.

Żałował, że nie ma przy nim Achiliosa i Mendelna. Martwiło go, że żaden z nich się nie pojawił, bo był bardziej niż pewien, że jego brat robi wszystko w tym kierunku. W wypadku łucznika zachodziła możliwość, że był w pobliżu – tylko dlaczego nie dawał żadnego znaku?

Uldyzjan doszedł do wniosku, że nie może liczyć na ich pomoc. Tylko od niego i tych, którzy staną przy nim, będzie zależało, czy przeżyją tę walkę.

Nadeszła noc. Ostatnia noc według jego obliczeń, zanim postawią stopę na ziemiach otaczających ich cel. Gdzieś na północnym wschodzie, jak powiedział jeden z hasziran, wznosiła się rozległa stolica. Gdy wreszcie usiadł przy niewielkim ognisku, wciąż zastanawiał się, jak to możliwe, że władcy ogromnego miasta są nieświadomi, a może po prostu niezainteresowani zbliżającą się walką. „Najpewniej obserwują wszystko bardzo uważnie – odpowiadał sam sobie – żeby przekonać się, czy zwycięzca będzie podatny na ciosy”.

„Tyle krwi... a na tym się nie skończy” – myślał przygnębiony. Może powinien odszukać anioła Inariusza i poprosić, by zaczął ten świat od nowa. Może to właśnie było rozwiązanie najlepsze ze wszystkich... Uldyzjan otrząsnął się jak pies, próbując w ten sposób pozbyć się niegodziwych myśli. Zawstydyził się, że w ogóle coś takiego przyszło mu do głowy.

Serentia dosiadła się do niego.

– Dobrze się czujesz?

– Nie – odpowiedział opryskliwie. – Ale to nigdy nie ma znaczenia.

– Uldyzjanie... – Serentia była niemile zaskoczona tą odpowiedzią.

– Wybacz mi, Serri. To nic. Przejdzie. Prze...

Gwałtownie poderwał się z ziemi. Znów miał to wrażenie – że coś w najbliższej okolicy jest mocno nie w porządku. Obrócił się wokół własnej osi, z uwagą badając wszystkie kierunki. Wydawało mu się, że wyczuł coś na ich wcześniejszej trasie... ale nie.

Serentia pojawiła się u jego boku.

– Co się dzieje? Co się stało?

Nie odpowiedział, zastanawiając się intensywnie. Znaleźli się w zasięgu ataku z głównej Świątyni. Lilith wie, że nadchodzą i że nie będzie miejsca na żadne rokowania. Chciała tej konfrontacji. Słudzy Trójcy całkowicie

opuścili Istani, a przecież Uldyzjan był przekonany, że Lilith zechce tam utoczyć mu trochę krwi, zanim staną twarzą w twarz.

Nadal chciała dostać edyremów. To również był fakt. Uldyzjan i jego ludzie nie mieli przed sobą zwyczajnej walki, Lilith na pewno zaplanowała coś wyjątkowego...

Raz jeszcze sprawdził okolicę. Raz jeszcze niczego nie znalazł.

Ale co jeśli to „nic” było zasadniczo czymś więcej, niż się wydawało?

– Serri... powiedz innym, żeby trwali w pogotowiu. Żeby byli gotowi na moje rozkazy...

– W związku z czym?

– Jeszcze nie wiem.

Nie pytała o nic więcej, tylko obróciła się, by przekazać wiadomość kolejnym edyremom. I gdy Serentia sięgnęła ku pozostałym, Uldyzjan skupił się na obszarze, gdzie – jak mu się wydawało – wyczuł coś złego.

Tam musiało być coś nie tak. Musiał istnieć powód dla niepokoju, jaki zżerał Uldyzjana od środka. To nie mogło być tylko zwyczajne zdenerwowanie.

Uldyzjan skoncentrował się, skupiając tyle woli, ile był w stanie. Tym razem nie zamierzał się poddać. Będzie szukał, choćby miało mu to zająć całą noc.

Być może tego właśnie chciała Lilith. Może chciała go tak umęczyć, by zaczął popełniać poważne błędy.

Może teraz będzie szukał jedynie kolejnej z jej iluzji.

„Nie, musi być coś więcej” – zapewnił sam siebie i spocony, jeszcze bardziej wyteżył wolę. Tam coś było, coś, co miało pozostać przed nim ukryte za wszelką cenę...

I nagle zobaczył.

Zupełnie jakby podmuch wiatru poderwał w górę gruby koc, tak prawda objawiła się przed Uldyzjanem. Zobaczył rząd postaci zakuty w znajome zbroje, jak powoli, ale nieustannie zmierzają przez gęstwinę w stronę

obożu. I kolejny rząd, i jeszcze jeden... i w końcu Uldyzjan nie miał wątpliwości – w jego stronę zmierzała armia, zasłonięta przed jego wzrokiem czarami.

Strażnicy Pokoju...

Ale w szeregach wrogiej armii maszerowali nie tylko żołnierze Trójcy, lecz i kapłani, kapłani wszystkich trzech obrządków. To oni podtrzymywali skomplikowany czar niewidzialności, aczkolwiek Uldyzjan wyczuł, że Lilith przyłożyła rękę do stworzenia zaklęcia. Nic dziwnego, taki czar był zbyt trudny nawet dla wyższych rangą kapłanów.

Teraz Uldyzjan rozumiał już, jaka była prawda o Istani. Lilith zabrała stamtąd kapłanów, by czekali w pobliżu miasta zapewne wraz z wojownikami z Kalinaszu, a może nawet i z głównej świątyni. I gdy Uldyzjan skupiał się na tym, co leżało przed nim, wróg ruszył ich śladem, szykując się do ataku na tyły.

I atak ów miał nastąpić właśnie tej nocy.

„Serentio!” – zawołał Uldyzjan w myślach. Odpowiedziała niemym pytaniem. Szybko pokazał jej, co odkrył. I to był jego błąd. Bowiem umysł kapłana wrogiej armii zamknął się przed nim natychmiast.

Szeregi wroga natychmiast przestały być widoczne dla wszystkich zmysłów Uldyzjana. Zdążył jeszcze dostrzec, że Strażnicy Pokoju zwiększają tempo marszu.

Zauważyli go.

„Wróg jest za nami! – zawołał nie tylko do Serentii, ale do wszystkich w obozie. – Za nami! Szykujcie się!”

Uldyzjan nie dziwił się, że Lilith zaplanowała nocny atak. Gorszy jednak był ów welon niewidzialności, który zasłaniał wroga. Edyremowie mogli pokonać wroga, ale musieli go jakoś zobaczyć.

A może nie? Uldyzjan wiedział, gdzie mniej więcej znajdują się Strażnicy Pokoju. A to przecież wystarczyło...

Nie miał czasu wezwać innych na pomoc. Klasnął w dłonie. Dźwięk podobny do gromu potoczył się ku zbliżającemu się wrogowi, a był to dźwięk tak potężny, że wyrwał najbliższe drzewa z korzeniami, a liście i pnącza posiekał na kawałki.

Uldyzjan nie musiał patrzeć, by wiedzieć, że huk uderzył w pierwsze szeregi Strażników z równą mocą.

Czar niewidzialności został zerwany ponownie. Teraz Uldyzjan widział sługusów Trójcy. Pierwszy rząd leżał kompletnie powalony, a drugi oraz trzeci stracił szyk. Jednak kolejni żołnierze wydawali się tylko bardziej zdeterminowani, by utoczyć krwi swoich wrogów. Parli naprzód, nie bacząc na poległych i rannych, wściekle wywijając bronią...

Teraz jednak mieli zmierzyć się z przeciwnikiem bardziej niż gotowym na ich atak. Uldyzjan czuł, że Serentia, Timeon i inni przywódcy jego armii dają mu znać, że edyremowie tylko czekają na rozkazy. Już miał je wydać, gdy poczuł czyjąś obecność. Umysł Raszima sięgnął ku Uldyzjanowi z oddali. Myśli hasziranina przepełnione były rozpaczą.

„Uważaj, mistrzu! – wołał Raszim. – Uważaj! Idą od głównej Świątyni! Spójrz przed siebie!”

Strażnicy Pokoju byli już zbyt blisko, by Uldyzjan marnował czas na odpytywanie swego zwiadowcy. Porzucił obserwowanie szykujących się do ataku żołnierzy i sięgnął myślami w stronę Świątyni...

Maszerowali. Przerażony, zobaczył, że Raszim się nie mylił. Tak jak wrogowie atakujący tyły armii edyremów, ci nadciągający od czoła też ukrywali się pod osłoną czaru. Do teraz...

Uldyzjan zobaczył kolejną armię, kilkakrotnie większą od pierwszej. Armię złożoną ze Strażników Pokoju i kapłanów, ale i czegoś stokroć straszniejszego.

Morlu... setki morlu...

DWADZIEŚCIA



– Przegraliśmy – powtórzył Rathma. – Przegraliśmy.

Trag'Oul milczał osobliwie. Gwiazdy przemieszczały się tak, że przed oczyma przygnębionego Mendelna przesuwwały się przebłyski niezliczonych istnień. Niektóre już przeminęły, inne trwały jeszcze. Czy któreś należały do przyszłości tego smok nie powiedział.

A i to źle wróżyło...

– Na pewno jest coś, co możemy zrobić – odezwał się wreszcie Mendeln. – Anioły nie spadły jeszcze z nieba na Sanktuarium ani demony nie powstały ze swych otchłani! Na pewno jest jeszcze nadzieja!

– Zawsze tak myślałem – przyznał Rathma – bo wiedziałem, że władcy Płonących Piekieł zrobią wszystko, by utrzymać istnienie Sanktuarium w tajemnicy. Dlatego będą działać powoli, a ja będę mógł przeciwdziałać. Wiedziałem, że mój ojciec też nie będzie się spieszył, bo nie miał najmniejszej ochoty ujawnić swego raju przed braćmi ani też stanąć przed obliczem ich surowej sprawiedliwości za swoje zbrodnie.

– No i?

Rathma zmarszczył brwi. Nagle znać było po nim przeżyte wieki.

– No i wszystko toczyłoby się jak dotąd, przez setki pokoleń albo dłużej. Ale teraz, gdy Królestwo Niebios już wie, nic nie możemy uczynić.

– I ty też tak uważasz? – zapytał Mendeln Trag’Oula.

„Nieważne, co ja myślę czy uważam, synu Diomedesa, ważne jest to, czego wymaga Równowaga...”

– A czego wymaga?! Powiedz mi?!

Gwiazdy zawirowwały i smok zatopił spojrzenie w oczach człowieka.

„To ty mi powiedz...”

Ale w obliczu ponurych przewidywań Rathmy Mendeln potrafił myśleć tylko o jednym – losie swego brata. Skoro Sanktuarium miało ulec zagładzie, to Mendeln powinien być przy boku Uldyzjana. Zawsze przysięgali sobie, że będą się chronić nawzajem. Poza sobą nie mieli żadnej rodziny...

– Chcę wrócić do brata! – zażądał. – I to natychmiast!

I znikł.

Rathma przez chwilę stał w milczeniu, a potem spojrzał na Trag’Oula.

– Dokonał wyboru.

„Równowaga zdecyduje...”

– Doprowadziliśmy do starcia żywiołów. Jeśli przetrwają moją matkę, to może mają szansę przeciwko mojemu ojcu.

„Być może... wybrany przez ciebie następca nie upadł na duchu nawet, gdyś mu opowiedział, co się stanie, jeśli armie Płonących Piekieł i Królestwa Niebios spotkają się w Sanktuarium...”

– Nie... i to kiedy wierzyłem w te słowa... Po prawdzie, Trag’Oulu, to może oznaczać, że wszystko na próżno.

„Jeśli tak ma być, to tak będzie. Czy to znaczy, że zaniechasz działań, jak przed nim udawałeś?”

– Oczywiście, że nie. – Rathma się wyprostował.

Dźwięk, jaki popłynął ze strony smoka, przypominał westchnienie ulgi.

„I tak, nawet w sytuacji beznadziejnej, mamy nadzieję...”

I oto był – plan Lilith w całej krasie. Po raz kolejny Uldyzjan nie docenił jej potęgi i przebiegłości.

Gdyby nie desperacki wysiłek Raszima, dla edyremów nie byłoby nadziei. Skupiliby się na Strażnikach Pokoju nadciągających od tyłu i pozostali nieświadomi niewidzialnych sił maszerujących im naprzeciw.

Czy Lilith chciała pochwycić uczniów Uldyzjana, czy może wyróżnić ich na miejscu – nie miało już znaczenia. Jeśli walka edyremów zakończy się tutaj, wtedy Sanktuarium stanie się łupem anioła albo demona. Każde z nich zmieni Ludzkość wedle swoich potrzeb. Lilith uczyni z nich makabryczną armię, Inarius – pełzających przed nim czcicieli.

Uldyzjan wezwał do siebie Serentię i Timeona, reszcie nakazał odwrócić się, by mogli stawić czoła kolejnemu niebezpieczeństwu. Jego zastępcy pojawili się przy nim i ułamek chwili później nastąpił atak Strażników Pokoju, z którymi Uldyzjan starł się chwilę wcześniej.

Z dzikim wyciem żołnierze Trójcy rzucili się na edyremów. Uldyzjan zdołał uspokoić umysły tych najbliższych sobie i pokierować ich działaniami, ale dwóch z jego uczniów upadło nagle. Przez kilka chwil skręcali się w agonii, a potem znieruchomieli. Wyczuł, że to czary kapłanów, i zaatakował ich w odwecie. Z ponurą satysfakcją zmiażdżył ich serca. Trzech kapłanów było martwych, zanim dotknęli ziemi. Edyremowie walczyli nie tylko przy użyciu swoich umiejętności.

Uldyzjan był świadom, że wielu z nich nie podołałoby nieustannym wysiłkom w tej materii. Walczyli też przy użyciu mieczy, wideł i wszelkich innych narzędzi, jakie wpadły im w ręce i mogły być wykorzystane jako broń.

Pierwszy szereg Strażników Pokoju rozbił się o niewidzialną ścianę wzniesioną przez Serentię. Jednakże ci, którzy szli za nimi, napierali z taką siłą, że szybko okazało się jasne, iż edyremowie muszą dodać atak do swojej obrony.

Uldyzjan zasugerował im użycie najprostszyc czarów i seria kul ognistych poleciała ku żołnierzom Trójcy. Kilku z wrzaskiem próbowało zgasić niegasnące płomienie. Atak Strażników Pokoju się załamał.

Ucieszony tym rozwojem sytuacji Uldyzjan sięgnął myślami do Serentii. Dziewczyna od razu wiedziała, czego od niej oczekuje.

„Idź! – zachęciła go. – Idź! Inni cię potrzebują! My sobie tutaj poradzimy!”

Chcąc nadać wagę swym słowom, dziewczyna uniosła włócznię i cisnęła ją w zbliżającego się wroga. Cios wzmocniony mocą Serentii okazał się tak silny, że włócznia nie tylko przebiła Strażnika Pokoju, ale też powlekła jego ciało ku następnemu, który skonał w ten sam sposób. Dwa trupy padły na poszycie.

Serentia wyciągnęła rękę, a włócznia posłusznie wróciła do jej dłoni.

„Idź!” – powtórzyła z uśmiechem.

Skinął jej głową i pobiegł tam, gdzie Saron i inni ustawili szeregi najpotężniejszych edyremów pod swoją komendą, by zwiększyć siłę ich działania i lepiej bronić pozostałych. Pośrodku obozu zostali najmłodszy i najsłabszy, ale ich też Uldyzjan nie zostawił bez ochrony. Przydzielił im do opieki tych z uczniów, którzy potrafili osłaniać towarzyszy tarczą, i nakazał, aby najsilniejsi również sprawowali pieczę nad tą szczególną grupą. Nie chciał dopuścić do tego, by czary kapłanów trafiły w najbardziej bezbronnych.

Saron ucieszył się bardzo na widok swego przywódcy.

– Mistrzu Uldyzjanie! Próbowaliśmy i próbowaliśmy, ale nijak nie możemy wyczuć, że ktoś się zbliża! Czy możliwe, że Raszym się pomylił? Przecież on jest tak daleko.

– Oni nadchodzą, Saronie! Wszyscy muszą być przygotowani! Idą z nimi morlu, a tych będzie trudniej powstrzymać niż Strażników Pokoju.

Toradzanin skrzywił się z goryczą.

– Tak, mistrzu, wiem o tym. To jeden z tych potworów zabił Tomo.

Uldyzjan nigdy tak naprawdę nie dowiedział się, jak zginął kuzyn Saron, i teraz na chwilę zabrakło mu słów. Nagle poczuł falę zła zbliżającą się do obozu.

– Uważaj, Saronie, są już prawie tutaj.

Uldyzjan wysłał ostrzeżenie do pozostałych i sam ustawił się na pierwszej linii. Rozłożył ramiona, chcąc znów wysłać falę gromu. Zanim jednak zdołał cokolwiek zrobić, rozległo się złowieszcze brzęczenie. Uldyzjan zbyt późno przypomniał sobie, co oznacza ów dźwięk.

– Wzmocnijcie swoje tarcze! – ostrzegł pozostałych.

Ciemne kształty wielkości ptaków wyleciały spomiędzy drzew, a przerażające brzęczenie przybierało na sile w miarę, jak się zbliżały.

Jeden z mężczyzn krzyknął, gdy ów kształt uderzył go w pierś. Kanciasty przedmiot wszedł w nią głęboko. Dwóch innych padło jak rażonych piorunem. Uldyzjan rozpoznał potworną broń, za pomocą której Strażnicy Pokoju już raz próbowali go zgładzić. Zębate ostrza zostały stworzone po to, by zadawać jak najwięcej obrażeń, ciała ofiar zalała krew.

Jednak większość latających noży odbiła się od powietrza i pospadała, nie czyniąc nikomu krzywdy. Uldyzjan czuł, że ten atak przeraził wielu z jego ludzi. Lilith robiła, co w jej mocy, by osłabić ich pewność siebie, a zarazem i moc, jaką władali. Ledwie zdołały przelecieć ostrza, gdy Uldyzjan wyczuł, że druga armia Lilith rusza do ataku. Spowijający ją czar niewidzialności rozwiał się dopiero wtedy, gdy żołnierze znaleźli się w odległości strzału z łuku.

W pierwszych szeregach edyremów rozległy się jęki przerażenia. Niejeden cofnął się na ten makabryczny widok. Uldyzjan starał się dodać im pewności siebie, ale okazało się to zbyt trudne w obliczu tak potwornego wroga. W pierwszych szeregach wrogiej armii maszerowali Strażnicy Pokoju, ale to nie oni budzili powszechny lęk, lecz morlu, których było tak wielu, że nawet Uldyzjan nie mógł uwierzyć w widok, który malował się przed jego oczami. Nie wiedział, czy straszniejsze wydało mu się to, że tak

wiele tych potworów istniało, czy to, że wszyscy wyglądali i poruszali się jak jeden. Jakby byli jedną istotą powtórzoną po stokroć. Uldyzjan wiedział, że morlu bardziej nawet niż Strażników Pokoju przepełnia jedno pragnienie – zanurzyć broń w krwi swych ofiar.

Tymczasem to nie morlu ani Strażnicy Pokoju uderzyli pierwsi. Ten ponury zaszczyt przypadł kapłanom. Uldyzjan wyczuł czar i ostrzegł swych ludzi, ale i tak niektórzy okazali się nie dość silni. Ich wola, a zarazem tarcze zostały złamane. Strażnicy najwyraźniej kierowani przez kapłanów natychmiast zaatakowali tych najbardziej podatnych. Po raz pierwszy na polu bitwy rozległ się szcęk broni.

Uldyzjan zauważył dwóch Strażników, którzy przebili się przez szeregi edyremów. Na jego rozkaz broń pierwszego zwróciła się przeciw swemu właścicielowi i wybebeszyła go bezlitośnie. Drugiego Uldyzjan posłał w powietrze wprost na szeregi wroga. Strażnik okazał się doskonałym pociskiem i zwałił z nóg z tuzin swoich towarzyszy.

Edyremowie byli atakowani ze wszystkich stron, ale jak na razie większość utrzymywała swe pozycje. Morlu jeszcze nie włączyli się do walki. Co zapewne miało wkrótce nastąpić... Wszelako Uldyzjan spodziewał się czegoś więcej ze strony Lilith...

W tej samej chwili ziemia po jego lewej eksplodowała masą straszliwych macek, które pochwyciły ludzi z każdej strony. Dwie z ofiar zostały natychmiast zgniecione i to z taką siłą, że niemal złamały się w pół. Inna z kolei została podniesiona i ciśnięta o ziemię tak mocno, że wszyscy wokół usłyszeli trzask pękających kości.

Z przekleństwem na ustach Uldyzjan porzucił pierwszą linię. Zdawał sobie sprawę, że robi dokładnie to, czego oczekuje od niego Lilith, ale nie miał wyboru. Nie wiedział nawet, czy w ogóle zdoła pokonać tę bestię, ale czuł, że jego umiejętności są największą szansą dla edyremów.

Nie próbował walczyć z każdą macką oddzielnie, tylko skupił się na obszarze, z którego atakowały. Demon, bo cóż to mogło być innego, musiał

znajdować się tuż pod powierzchnią. Uldyzjan nie potrafił wyobrazić sobie jego rozmiarów, ale sądząc po ilości i wielkości macek, potwór musiał być olbrzymi.

Lilith znów go przechytrzyła. Każdy z jej ataków był doskonale osłonięty. Niewątpliwie sporo to kosztowało zarówno ją, jak i kapłanów, ale też przysłużyło jej się znacznie. Uldyzjan zauważył pierwszy atak, otrzymał ostrzeżenie o drugim... i te dwa nie pozwoliły mu przygotować się na trzeci spod ziemi.

Nie miał pojęcia, jaka może być słabość demona, zastosował więc atak, który wydał mu się najbardziej sensowny. Wokół macek pojawiły się ryczące płomienie. Ogień płonął nie tylko na powierzchni ziemi, ale i pod nią.

Odniósł efekt. Macki zatrzepotały gwałtownie, posyłając swe ofiary we wszystkich kierunkach. Uldyzjan sięgnął swą mocą, jak najdalej potrafił, tworząc niewidzialną sieć, która miękko pochwyciła spadających edyremów. Wysiłek odebrał mu dech. Pot oblewał mu całe ciało, kiedy powoli stawiał swych ludzi na ziemi.

I prawie udało mu się to osiągnąć, gdy coś szarpnęło go za nogę. Uldyzjan zdołał utrzymać czar, póki nie upewnił się, że żadnemu z edyremów nie grozi niebezpieczny upadek.

Jedna macka trzymała go za nogę, druga sięgnęła do pasa.

W głowie rozbrzmiał mu nagle głos Lilith.

„Skoro nie pragniesz już mych uścisków, miły Uldyzjanie, być może ucieszą cię te Thonosa...” – zaśmiała się gardłowo.

Ul-Diomed zaklął, ale Lilith już przerwała kontakt. Poczuł, jak macka miażdży mu nogę, skupił się więc na przeciwniku. Thonos był najwyraźniej istotą, która działała instynktownie, nie cechowała go przebiegłość jak Lilith, Luciona czy choćby Gulaga. Tym razem Uldyzjan walczył z bestią podobną zwierzętom, co dało mu nadzieję, że uda się ją przechytrzyć.

Najpierw jednak musiał się uwolnić. Gdy kolejne macki sięgały w jego stronę, zauważył, że jedna z nich została częściowo odcięta i to niedawno. Kikut nadal był niebezpieczny, ale brakło mu ostrego końca. To podsunęło Uldyzjanowi desperacki pomysł. Wolną ręką sięgnął do boku po przypasany nóż, ale jedna z mniejszych macek natychmiast wyrwała mu ostrze. To nie powstrzymało ul-Diomedę. Myślą pochwycił broń jednego z martwych Strażników Pokoju. Uniósł ją w powietrze i począł ciąć najbliższe macki.

Macka Thonosa nie zdołała oprzeć się zakrzywionej klindze. Rozległ się dudniący ryk i ziemia zadrżała, usuwając się spod nóg zarówno edyremów, jak i Strażników Pokoju. Zraniona macka zniknęła pod ziemią, a za nią wszystkie pozostałe.

Odetchnąwszy głęboko, Uldyzjan zaczął się podnosić. Cały teren wokół niego, niemalże jedna czwarta obozu, eksplodował, gdy gigantyczny kształt wynurzył się spod ziemi. Ci, którzy byli najbliżej, rzucili się do ucieczki z krzykiem.

Thonos wcale nie miał licznych macek... On składał się z macek. Wszystkie one miały swój początek w owalnej masie wielkości dwunastu Uldyzjanów, a było ich więcej niż setka. Uldyzjan z trudem wierzył własnym oczom.

Jeśli zaś chodzi o oczy, Thonos również był koszmarny. Tam bowiem, gdzie z jego ciała nie wyrastały macki, były oczy, upiornie ludzkie. W większości większe niż głowa człowieka. Wszystkie wpatrywały się w Uldyzjana i we wszystkich lśniły podłość i złośliwość.

Z dwadzieścia macek wyciągnęło się w stronę Uldyzjana. Ten uniósł dłoń i przy użyciu mocy odbił większość z nich, musiał jednak odskoczyć, bo dwie niemal go pochwyciły. Przywołał miecz Strażnika Pokoju i ciął, ale Thonos już zdążył się wycofać. Ogromny demon zaatakował Uldyzjana, poruszając się płynnie na kolejnych dwudziestu mackach. Gdzieś z jego głębi rozległ się niski ryk. Uldyzjan nie widział paszczy potwora i miał

nadzieję, że nigdy nie znajdzie się na tyle blisko, by ją zobaczyć. Nagle przed makabrycznym cielskiem Thonosa pojawiła się twarz Lilith.

– Wszystko stracone, mój ukochany – śmiała się. – Spójrz tylko! Twoi najdrożsi edyremowie przegrywają z moimi marionetkami. Widzisz?

Uldyzjan nie zniżył się do tego, by spojrzeć we wskazanym kierunku; był przekonany, że Lilith jedynie próbuje odwrócić jego uwagę. Thonos znieruchomiał jednak jak zahipnotyzowany. Był prostą istotą, której celem było zniszczenie. Niewątpliwie żył jedynie po to, by wypełniać rozkazy. I trwał w przekonaniu, że służy Lucionowi. Uldyzjan chętnie wyprowadziłby potwora z błędu, ale wątpił, czy w jakikolwiek sposób powstrzymałoby to bestię przed atakiem.

Lilith nadal nie pozwalała Thonosowi się ruszyć i Uldyzjan wreszcie posłuchał jej słów i spojrział... Przekonał się, że była kochanka tym razem nie kłamała. Wyjście Thonosa spod ziemi rozpętało chaos w szeregach edyremów, którzy teraz uważali, być może słusznie, że muszą obawiać się zarówno straszliwej bestii, jak i żołnierzy Trójcy.

Serentia wciąż utrzymywała się na pozycji, ale znajdowała się pod nieustannym atakiem. Uldyzjan nie ośmielił się sięgnąć ku dziewczynie myślami w obawie, że mógłby rozproszyć jej uwagę, podczas gdy walczyła z kilkoma przeciwnikami naraz.

Ci, którzy stawiali czoła drugiej armii Lilith, znajdowali się w największych opałach. Do walki włączyli się morlu. Spragnieni krwi edyremów przedarli się przez szeregi swych żywych sprzymierzeńców. W obliczu takiego zła, świadomi zarazem obecności potwora, który znalazł się za ich plecami, edyremowie tracili nie tylko pole w walce, ale i wiarę we własne umiejętności. Coraz to kolejni zaczęli posługiwać się jedynie bronią, którą trzymali w rękach, co w starciu z morlu stawiało ich na przegranej pozycji.

– Widzisz? – powiedziała Lilith, zwracając na siebie uwagę Uldyzjana – ja bym cię nigdy nie okłamała. Poprowadziłeś tych biednych głupców

prosto ku ich zagładzie. Wszyscy tu zginą przez ciebie... chyba że...

Uldyzjan nie mógł zrobić nic innego, jak czekać na jej kolejne słowa, i Lilith go nie rozczarowała.

– Możesz oddać ich mnie, mój ukochany, oddać ich mnie, a ja odwołam me wojska i mojego małego ulubieńca...

Oddać ich... Żeby mogła ich przemienić, uczynić częścią swego przeklętego planu. Kolejne kawałki jej intrygi stały się czytelne dla Uldyzjana. Nie miał żadnych wątpliwości, że Lilith będzie kontynuować rzeź jego ludzi, aż on nie zgodzi się na jej propozycję. Przez krótką chwilę rozważał taką możliwość. Tyle istnień zostałoby oszczędzonych. Tyle krwi nie zostałoby przelanej...

Ale przez bardzo krótką chwilę.

Miał dla niej tylko jedną odpowiedź.

– Lepiej żebyśmy wszyscy zginęli, Lilith, niż choć raz pokłonili się tobie – i z tymi słowy wyrzucił rękę do przodu, celując w najbliższe mu oko Thonosa.

Promień światła przebił uśmiechnięty wizerunek Lilith, który natychmiast znikł. Zanim jednak blask sięgnął potwora, zmienił się w lśniąca lancę.

I trafił prosto w źrenicę. Żółta ropa wypłynęła z rozciętego oka, a potwór zaryczał wściekle. Ku Uldyzjanowi wyciągnęły się liczne macki. Ten zaś wysilił cały swój spryt i zręczność, by ich unikać. Niektóre były tak ciężkie, że bez trudu mogłyby go zmiażdżyć, inne znowu tak cienkie, że bestia używała ich jak bicia. Uldyzjan unikał jednych i drugich.

Jeśli w tej sytuacji było cokolwiek dobrego, to jedynie to, że potwór skupił się tylko na nim i całkowicie zignorował pozostałych edyremów. Był to dla nich niewątpliwie uśmiech losu, bowiem z trudem udawało im się przeżyć. Morlu wycinali sobie drogę przez lewą flankę, a ich makabryczny śmiech mroził serce Uldyzjana.

Wiedział, że mógłby pomóc swoim ludziom pokonać, a już na pewno powstrzymać tę falę wrogów, ale tylko jeśli zdołałby pokonać Thonosa. O ile w ogóle było to możliwe. Utrata oka bardziej rozzłościła niż zraniła monstrum. O wiele bardziej prawdopodobne wydawało się, że to Uldyzjan poległ w tym starciu.

Na razie jednak jakimś cudem unikał ataków kolejnych macek, co jego samego napełniało zdumieniem. Thonos ryczał raz za razem i niemalże dało się w tym ryku usłyszeć irytację komarem, który ośmielał się potworowi przeciwstawiać.

I nagle coś pochwyciło Uldyzjana za kostkę i wywróciło. Mniejsza macka wychynęła z ziemi niczym wąż z gniazda i owinęła się wokół nogi przeciwnika. Uldyzjan nie docenił inteligencji potwora i ten błąd mógł się okazać jego ostatnim.

Próbował sięgnąć mackę mieczem, lecz druga natychmiast pochwyciła go za nadgarstek, a trzecia wyrwała oręż. Czwarta uderzyła w pierś, wyciskając do cna powietrze z płuc...

Uldyzjan niemal stracił przytomność. Przez głowę przemknęła mu myśl, że może tak będzie lepiej. Zostałoby mu bowiem jedynie patrzeć na zagładę edyremów i własny koniec.

Walczył jednak, by się uwolnić. Nie mógł odzyskać tchu, miał jednak dość rozumu, by użyć mocy. Poczuł, jak macki wleką go ku Thonosowi. Wzrok mu się mącił – dostrzegł jednak paszczę bestii; potężny, podobny do dzioba twór na dole owalnego ciała demona. Z dzioba wystrzelił gruby, ociekający śliną język. Thonos najwyraźniej nie mógł doczekać się przekąski.

Uldyzjan zdołał wysłać w tamtą stronę uderzenie czystej energii. Trafiło w jęzor i przypaliło mocno.

Thonos zaryczał ogłuszająco, schował język i z trzaskiem zamknął dziób. Macki trzymające Uldyzjana zacisnęły się na nim boleśnie.

Najwyraźniej, skoro bestia nie mogła pożreć swej ofiary, postanowiła zadowolić się jej zmiążdżeniem.

Nagle Uldyzjan wyczuł kogoś w pobliżu. Przypomniał sobie walkę z nieumarłym demonem w dżungli i to, jak Mendeln przyszedł bratu na pomoc. Chciał wiedzieć, gdzie podziewa się jego brat. Czyż los edyremów nie powinien być najważniejszy dla Rathmy i smoka? Mendeln powinien przecież ruszyć bratu na pomoc, tak jak zrobiliby to Uldyzjan w podobnej sytuacji.

Coś się stało, ale oszołomiony Uldyzjan nie potrafił powiedzieć co takiego. Dotarło doń tylko tyle, że macki go puściły. Łapczywie nabrał powietrza... a Thonos ryknął wściekle.

– Mendelnie... – wykrztusił wreszcie Uldyzjan, potrząsając głową, żeby odzyskać jasność wzroku i myśli. – Mendelnie, wiedziałem, że...

Ale to nie był Mendeln.

U jego boku stanął Achilios, raz za razem mierząc z łuku w kierunku potwora. Strzały, na pozór zwyczajne, wbijały się w widoczne źrenice potwora, a gdy tylko sięgnęły celu, znikały w wybuchu energii o wiele bardziej śmiertcionośnym niż grot.

W miejscu sześciu ślepi trzeszczały błękitne błyskawice. Thonos dygotał, a jego macki zdawały się uderzać na ślepo. Achilios stał niewzruszenie i wyciągał strzałę za strzałą z wciąż pełnego kołczanu.

Uldyzjan z trudem otrząsnął się z zaskoczenia.

– Achiliosie! Co...

Łucznik, ani na chwilę nie przestając strzelać, spojrzał na przyjaciela.

Jego oczy płonęły bielą.

– Idź, Uldyzjanie. Jesteś potrzebny – powiedział z twarzą bez wyrazu i odwrócił się ku swemu celowi.

Po raz pierwszy Thonos się zawahał. Kilka macek uderzyło w rany po wybitych ślepiach, inne poczęły zagłębiać się w ziemi.

Uldyzjan nie zdołał się zdecydować na pozostawienie przyjaciela samego w walce przeciwko potworowi i teraz natychmiast zorientował się, co zamierza bestia.

– Chce uciec pod ziemię! – krzyknął do łuczника. – Będzie atakować od dołu!

– Nie. Nie będzie – odpowiedział Achilios tonem równie beznamiętnym jak poprzednio. – Idź, Uldyzjanie.

I tym razem Uldyzjan go posłuchał. Nie rozumiał zmiany, jakiej uległ jego przyjaciel z dzieciństwa, ale bez względu na to, co mu się stało, Achilios najwyraźniej trzymał Thonosa w szachu. Uldyzjan zdecydował, że najpierw spróbuje ocalić edyremów, a potem wróci pomóc łucznikowi.

O ile to pierwsze w ogóle będzie możliwe...

Walka z morlu stawała się coraz bardziej rozpaczliwa. Świątełkiem nadziei najwyraźniej był Saron. Toradzanin wyglądał równie groźnie co jego przeciwnicy. Szybko obracał długim, smukłym mieczem i na pozór zdawał się jedynie wykorzystywać umiejętności szermierza. Jednak za każdym razem, gdy jego klinga sięgała celu, rozbłyskiwała błękitem. I w następnej chwili z ramion morlu spadała głowa.

Jednak ci edyremowie, którzy nie gromadzili się przy Saronie, przegrywali sromotnie. Morlu i pozostali przy życiu Strażnicy szli po ciałach poległych spragnieni kolejnych ofiar.

Uldyzjan zatrzymał się, by nabrać tchu, i zauważył morlu szykującego się zadać śmiertelny cios edyremowi. Uldyzjan poczuł, jak rozpala się w nim furia.

Morlu zasyczał, gdy miecz w jego dłoni rozpuścił się w jednej chwili. Syk przeszedł w wycie, gdy w ślad za mieczem rozpuszczać zaczęła się ręka obleczona w ciężką rękawicę. Uldyzjan przestał dopiero, gdy z nieumarłego wojownika pozostała jedynie bulgocząca masa, a wszystko to trwało tyle co trzy oddechy.

Edyremowie zrozumieli, że przywódca znów jest z nimi. Ich pewność siebie wzrosła wyraźnie. Pod wodzą Uldyzjana szeregi się umacniały, gdziekolwiek zdołali nawet odepchnąć wroga.

Nagle partanin, którego Uldyzjan miał za zabitego, wstał z toporem w dłoni. Obok niego podniósł się toradzanin. Ten widok ucieszył Uldyzjana... póki do tamtych dwóch nie dołączył Strażnik Pokoju z ohydnie rozplątanym gardłem...

Wszyscy trzej zwrócili się ku edyremom... Wszyscy trzej ruszyli do ataku...

I wszyscy trzej byli martwi...

W głowie Uldyzjana rozbrzmiał przestraszony głos Serentii.

„Uldyzjanie! Zabici! Ich i nasi! Wstają! Wszyscy! Wstają z martwych!”

I rzeczywiście wstawali z martwych. Wszędzie jak okiem sięgnąć Uldyzjan widział podnoszących się poległych. Niektórym brakowało kończyn, niektórym nawet głów.

I wszyscy, bez względu na to, po której ze stron walczyli poprzednio, dołączyli do sług Lilith w ataku na Uldyzjana i edyremów.

DWADZIEŚCIA JEDEN



Znów słyszał jej śmiech. Triumfalny śmiech Lilith. Za każdym razem, gdy odbierała mu nadzieję.

Ale jeśli myślała, że w końcu go złamie, że w końcu zmusi, by oddał jej dusze edyremów, to myliła się bardzo.

Trupy wlokące się ku jego oddziałom były jedynie pustymi skorupami. Dusze zmarłych kobiet i mężczyzn już dawno odeszły. Dowodem na to był choćby fakt, że żaden z edyremów nie używał swych umiejętności. Wszyscy trzymali w rękach zwykłą broń. A kiedy Uldyzjan sięgnął ku nim myślą, nie wyczuwał niczego żywego.

I to przesądziło sprawę. Nie czując żalu ani wyrzutów sumienia w związku z tym, co zamierzał, Uldyzjan machnął dłonią w stronę ożywionych trupów. Ciała padły na ziemię. Zanim jednak Uldyzjan zdążył odetchnąć z ulgą, zaczęły podnosić się ponownie, gotowe dołączyć kolejnych edyremów do swych szeregów.

I choć Uldyzjan był potężny, to nie mógł ciągnąć tej gry w nieskończoność. Musiał zniszczyć ożywieńców za jednym zamachem, a wtedy ryzykował, że zrani, a może nawet zabije, któregoś ze swoich ludzi.

Ale nie miał wyboru. Każdy moment zwłoki oznaczał, że ci, którzy złożyli życie w jego ręce, będą ginąć... a potem wstaną, by odebrać życie kolejnym.

Miał tylko jedną szansę, ale ryzykował wszystko.

Jednak bitwa zaszła już za daleko, żeby się martwić ryzykiem.

„Wycofajcie się – wysłał myśl do edyremów przed sobą. – Szybko! Ci, którzy mogą, niech przywołają tarcze! Musimy się od nich oddzielić choćby na kilka stóp!”

Posłuchali bez wahania, na co Uldyzjan skrzywił się w duchu. Wierzyli, że przyszedł ich uratować. Tymczasem nie mógł im obiecać, że tak będzie.

Serce waliło mu, gdy czekał, aż wykonają rozkaz. Gdzieś tam zdołali to uczynić, w innych miejscach walka ze Strażnikami i z morłu była zbyt zajadła. Uldyzjan nie mógł dłużej czekać. Miał tylko nadzieję, że zdoła kontrolować swą moc na tyle, by nie ranić sprzymierzeńców. Najgorsze było jednak, że nawet gdyby udało mu się wykonać, co zamierzał i jak zamierzał, nadal nie miał pewności, czy choć o krok przybliży ich do zwycięstwa.

Skupił się na ciałach...

Ożywieńcy zaczęli upadać. Nie tylko podniesieni z martwych edyremowie i Strażnicy Pokoju, ale też zabici morłu. Padali na ziemię, jakby gwałtowny podmuch wiatru pozbawił ich równowagi.

Ale nie było to dzieło Uldyzjana. Zaskoczony, rozejrzał się wokół, szukając źródła tego cudu.

I dotarło do niego, że marnuje chwilę przewagi.

„Uderzać! – rozkazał. – Uderzać, zanim wstaną!”

Trzeba było oddać edyremom, że przeorganizowali się błyskawicznie. Saron i inni dowódcy poprowadzili resztę. Żywi Strażnicy i morłu szykowali się do ostatniego starcia. Widać było, że nadal są pewni zwycięstwa nawet w obliczu niespodziewanego obrotu wydarzeń.

I wtedy Uldyzjan usłyszał słowa w nieznanym mu języku. Ale znał głos, który je wypowiadał, i serce podskoczyło mu w piersi.

Postać odziana w czerń, wysoko trzymająca świecący biały sztylet, krzyknęła coś w stronę atakujących. Na twarzy Mendelna malowało się zmęczenie, a w głosie słychać było wysiłek. Brat Uldyzjana powtarzał wciąż to samo słowo.

Morlu na pierwszej linii zaczęli jeden pod drugim syczeć z niepokojem... i przewracać się jak wcześniej ożywieńcy.

Strażnicy Pokoju i kapłani zawahali się wyraźnie. Ich najpotężniejsza broń okazała się jednak podatna na ciosy. Inni morlu zwolnili i po raz pierwszy w ich ruchach widać było niepewność, może nawet obawę.

Uldyzjan rozejrzał się szybko i zobaczył, że morlu, którzy atakowali na przedzie, padli. Natychmiast nakazał edyremom atakować, a ci bezzwłocznie posłuchali wezwania. Strażnicy i morlu, którzy ośmielili się ruszyć na przeciwnika, nagle zostali zatrzymani przez niewidzialne bariery. Na oddziały Trójcy poleciały kule energii i ognia, kładąc kolejnych wojowników. Uldyzjan pokierował atakiem najlepszych z edyremów, obierając za cel kapłanów. Przerzedzili ich szeregi tak mocno, że kapłani zaczęli się wycofywać.

Ale uciekający nie zdołali oddalić się za bardzo. Jeden krzyknął boleśnie, gdy z jego ciała poczęły wychodzić kolce. Przewrócił się na swego towarzysza, a ten odskoczył natychmiast, krwawiąc z dwóch ran, które kolce zrobiły w jego boku.

Nie dokonał tego żaden z edyremów. Uldyzjan z łatwością wyczuł gniew Lilith, tak samo zresztą jak kapłani. Ze strachu przed tym, kogo uważali za Pierwszego, wrócili na pole bitwy.

Uldyzjan nagroził ich decyzję, rzucając na trzech z nich pędy winorośli, która natychmiast opłótła kapłanom karki. Korzystając z przykładu, jakiego udzielił mu Thonos, zaciskał pnącza, aż jego przeciwnicy się podusili.

Za plecami Uldyzjana rozległ się ryk, jakby potwór przybył zwabiony myślą. Uldyzjan ledwie zdołał zejść bestii z drogi, gdy ta minęła go chwiejnie. Liczne macki zwisały jej bezwładnie, płonące rany znaczyły miejsca po oczach. Achilios naszpikował potwora strzałami, z których każda trafiła w czuły punkt.

Samego Achiliosa Uldyzjan nie dostrzegł, ale nie mógł szukać przyjaciela, bowiem Thonos poruszał się coraz mniej pewnie i chwiał przy tym niebezpiecznie. Uldyzjan błyskawicznie zorientował się, w którą stronę zmierzał potwór, i zaczął ostrzegać edyremów.

„Uciekać! Uciekajcie!” – słał do nich w myślach ostrzeżenie, póki ostatni nie zdołał odskoczyć na bok.

Thonos ryknął raz jeszcze... i zwałił się na bok. Uldyzjan wysilił całą swą wolę, by pokierować tym upadkiem.

Słudzy Trójcy atakowali w zwartym szyku i nie mieli miejsca, by się odsunąć. Kilku udało się uciec, ale większość znalazła się pod padającym monstrem. Strażnicy Pokoju krzyczeli w panice. Ci, którym udało się uniknąć zmiżdżenia, przewracali się pod uderzeniami macek. Nawet morlu nie zdołali się uratować i kilku bezwładnie poleciało w powietrze.

Edyremowie z entuzjazmem ruszyli do ataku. Tylko morlu mieli jeszcze zapał do walki, ale ich liczba malała, w miarę jak Mendeln wykrzykiwał tajemnicze słowa, ile sił w płucach.

Nagle rozległo się znajome brzęczenie. Uldyzjan krzyknął i sięgnął myślą, ale zbyt wolno. Śmiercionośna broń Strażników Pokoju leciała w stronę jego brata. Ten, kto cisnął potwornym ostrzem, celował prosto w pierś Mendelna.

W ostatniej chwili Mendeln zdołał się obrócić i zasłonić ramieniem. Niestety ciało i kość okazały się nikłą przeszkodą dla złowrogiego metalu. Wirujące ostrza wgrzyły się w ramię między barkiem a łokciem. I ręka Mendelna odpadła.

Broń rozcięła jeszcze szatę i naznaczyła bok brata Uldyzjana długą rysą. O sile i wytrzymałości Mendelna świadczyło to, że stał nieruchomo, podczas gdy z kikuta lała się krew. Spojrzał na odciętą kończynę i dotknął tego, co zostało z jego ręki.

Krwotok ustał akurat w chwili, gdy Uldyzjan stanął u boku młodszego brata.

– Pomogę ci!

– Nie ma czasu! – zaprotestował Mendeln. Był jeszcze bledszy niż zwykle, ale pod każdym innym względem wydawał się sobą. Potworna rana sprawiała wrażenie w połowie zaleczonej. – Musimy napierać! Musimy zakończyć to tu i teraz!

„Ale to nie skończy się tutaj – uświadomił sobie Mendeln. – To będzie trwało tak długo, jak Lilith będzie nas prześladować!”

Brat Uldyzjana raz jeszcze uniósł swoje ostrze nad głowę i rozpoczął inkantację. Kolejni morlu padali na ziemię, a demoniczne więzy, które dawały im pozory życia, zostały zerwane już na zawsze.

Uldyzjan obrócił się, szukając Achiliosa, ale łuczniaka nadal nigdzie nie było widać. Dostrzegł natomiast Serentię. Dziewczyna walczyła, używając swej włóczni i mocy, jakby się do tego urodziła. Za każdym razem, gdy jeden przeciwnik padał przebity na wylot, drugi umierał od kuli ognia, chmury pyłu czy innego czaru.

„Serentio! – zawołał do niej milcząco. – Gdzie Timeon?”

„Poległ! Morlu dopadł go, gdy patrzył w inną stronę, a mocą ochraniał pozostałych!”

Szeregi partan topniały w oczach. I choć tej nocy u boku Uldyzjana stanęli jego brat i przyjaciel z dzieciństwa, to śmierć Timeona dowodziła, że kawałek po kawałku Uldyzjan tracił swą przeszłość. I nie poczuł się lepiej nawet, gdy zobaczył Jonasa dowodzącego edyremami w imieniu swego poległego krewniaka.

„Bądź przeklęta, Lilith! – pomyślał z wściekłością. – Nie, to się nigdy nie skończy. Gdy już nie będzie mogła wykorzystywać Trójcy, znajdzie jakiś inny sposób, by przejąć kontrolę nad edyremami... nad całą Ludzkością”.

Nie mógł jej na to pozwolić. Nie mógł dopuścić, by dalej snuła swe intrygi. Wyobraził sobie, że stoi przed nim, wyobraził ją sobie w uścisku swych rąk...

I oto była.

Córka Mefista stała tuż przed Uldyzjanem. Oczy miała szeroko otwarte i minę zdumioną, zupełnie jak on. Tym razem nie nosiła żadnej maski. A Uldyzjan trzymał ją tak, jak sobie wyobraził, zaciskając dłonie na jej ramionach.

Niestety to Lilith otrząsnęła się pierwsza. Zamknęła usta i uśmiechnęła się tym znajomym, zniewalającym uśmiechem, którym jako Lylia podbiła jego serce.

– O, Uldyzjanie, ukochany! Jeśli chciałeś mieć mnie w swoich ramionach raz jeszcze, wystarczyło powiedzieć!

Coś owinęło mu się wokół szyi, zaciskając się niczym wąż dusiciel. Zbyt późno uświadomił sobie, że to jej ogon.

– Powinniśmy chyba udać się do jakiegoś bardziej ustronnego miejsca, nie sądzisz?

Serentia poczuła zdumienie Uldyzjana i przerażenie, jakie ogarnęło go chwilę później. Ale będąc w ogniu walki, nie mogła udać się na ratunek przyjacielowi. Potem wychwyciła ohydną obecność Lilith i niemal krzyknęła wstrząśnięta, gdy Uldyzjan zniknął wraz z demonem.

Ale nawet wtedy nie mogła zrobić nic więcej, niż walczyć i zabijać. Strażników Pokoju, kapłanów, morlu... Miała wrażenie, że każdego pokonanego zastępuje natychmiast dwóch innych. Fakt, że Mendeln włączył się do walki i odebrał wielu morlu ich wynaturzoną namiastkę życia, pozwolił Serentii przetrwać kolejne ataki, ale nic poza tym. Słudzy

Świątyni byli jednak lepiej przygotowani do walki. Edyremowie w większości byli farmerami, kupcami... innymi słowy – zwykłymi ludźmi.

A jednak walczyli z większą determinacją i wprawą, niż Serentia mogła się spodziewać. Jednak... czy to wystarczy?

Dwóch morlu zaatakowało ją jednocześnie. Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, strzały, wypuszczone jedna po drugiej, wbiły się makabrycznym wojownikom w oczodoły i gardła. Każdemu trafieniu towarzyszył rozbłysk energii.

Morlu zwalili się w bezruchu.

– Achilios? – wyrwało się dziewczynie. Od Uldyzjana wiedziała o pojawieniu się łuczника, ale sama nie była w stanie go wyczuć, więc nie do końca uwierzyła. A teraz...

Teraz walczyła jeszcze bardziej zajadle. Achilios był z nią. Nawet jeśli go nie widziała. Był z nią. Bez względu na wynik tej walki, w zwycięstwie czy w przegranej, będą razem.

W życiu czy śmierci, będą razem...

Gdyby ktoś powiedział Mendelnowi, że nie tylko przeżyje utratę ramienia, ale i będzie się zachowywał, jakby nic się nie stało, uznałby go za szaleńca. Teraz sam siebie uważał za szaleńca... ale nie dbał o to. Uldyzjan zniknął zabrany przez demona. Mendeln nie wiedział, co dzieje się z bratem, ale nie mogło być to nic dobrego. Lilith z pewnością miała dość jego nieposłuszeństwa. Już ona dopilnuje, by za to zapłacił, i to drogo.

„Pragnąłem stanąć u jego boku” – pomyślał Mendeln z goryczą. Długo to nie trwało. Chciał wezwać Rathmę i Trag’Oula, ale zrezygnował, sam nie wiedząc dlaczego. Zamiast tego użył swej goryczy, by wlać moc w zakłęcie. Jeden po drugim – morlu padały u jego stóp. Każdorazowo czar odciskał na Mendelnie swe piętno, choć nie było tego widać. Jednak morlu wciąż atakowali i było ich zbyt wielu. Ich potworne miecze rozdzierały tarcze niektórych edyremów, bryzgając wnętrznościami ofiar na tych, którzy jeszcze się bronili.

„Trzeba zniszczyć ich wszystkich, jeśli mamy wygrać... czy choćby przeżyć!

Jeden z morlu przedarł się do środka obozu. Ale zamiast uderzyć od tyłu na tych, którzy zmagali się z siłami Trójcy, przeklęty wojownik ruszył w stronę dzieci i najsłabszych. Nieludzką twarz wykrzywił potworny uśmiech. W tym samym czasie dwóch kolejnych morlu znalazło luki w szeregach obrońców. Edyremowie udowodnili swą odwagę i sprawdzili się w bitwie niejednym raz, ale byli mniej liczni, brakło im też krwawego doświadczenia demonicznych przeciwników.

„Należy ich zniszczyć!” – powtórzył Mendeln w duchu. Ale tylko on jeden posiadał zdolności, które mogły tego dokonać i jak na razie okazały się one niewystarczające. Wszystko, czego nauczyli go smok i Rathma, okazało się bezwartościowe. Żaden z ich sposobów czy czarów nie mógł posłużyć Mendelnowi w tak niebotycznym zadaniu.

A jednak Mendeln musiał spróbować. Nie oznaczało to, że ocali edyremów, ale nie mógł się tak po prostu poddać.

I nagle przyszło mu do głowy, jak może pomóc bratu. To też był prawdziwie desperacki pomysł.

Wyciągnął z kieszeni niewielki odłamek kości.

– Do mego brata – wyszeptał bez wahania. – By pomóc mu w walce z Lilith.

Kość zniknęła. Mendeln mógł mieć tylko nadzieję, że nie popełnił właśnie straszliwego błędu, ale nie miał innego wyjścia.

Teraz musiał jedynie rozprawić się z morlu. Zebrał siły i zaczął w pamięci powtarzać słowa mocy. Trzeba było tylko ułożyć je odpowiednio. Nie postępował już wedle wskazówek swych mentorów, tworzył własne.

„Jeśli Równowaga zechce, zdziałają” – pomyślał.

A jeśli Równowaga nie zechce... Mendeln wolał o tym nie myśleć.

Uniósł sztylet i zaczął wykrzykiwać zaklęcie. Czar był odmianą tego, którego Mendeln używał wcześniej. Ale by go wzmocnić, potrzebował czegoś więcej niż tylko słów mocy. Całą swoją wolę włożył w zaklęcie. Całego siebie... Morlu byli ohydny wynaturzeniem, kpiną z prawdziwego życia, i musieli zniknąć...

Ostrze sztyletu rozbłysło światłem tak potężnym, że nawet Mendeln krzyknął zdumiony. Zatoczył się, mając wrażenie, że coś wysysa z niego życie.

Światło popłynęło do edyremów i ich wrogów. Mendeln patrzył na to z nadzieją i z niepokojem, czekając, aż coś się wydarzy. Kiedy nic się nie stało, niemal poddał się ogarniającej go słabości.

A wtedy jeden z morlu zdarł hełm, odsłaniając upiorną, poznaczoną bliznami twarz. Postąpił krok w kierunku Mendelna, zakręcił się i upadł.

Na niego przewrócił się następny. I jeszcze jeden.

„To się dzieje! – radował się Mendeln w milczeniu. – Udało się!”

Jednak wciąż działało się zbyt wolno i kosztowało go o wiele za dużo. Opadł na kolano, gdy cały szereg morlu zwałił się na ziemię.

Mendeln przeklinał swe słabe ciało. Przeklinał też Rathmę i Trag'Oula. Bez przerwy mówili o konieczności zachowania Równowagi, ale jak można było ją zachować, gdy edyremowie byli tu wycinani w pień? Jaki pożytek z takiej Równowagi? Dlaczego smok nie mógłby choć raz wyjść ze swej kryjówki i działać, zamiast nieustannie prawić kazania?

„Słusznie mówisz – odezwał się zniecka znajomy głos. – Słusznie, Mendelnie ul-Diomedzie...”

Mendeln miał wrażenie, że całe życie spał głęboko, by obudzić się, gdy smok i Rathma wypełnili jego ciało potęgą. Mendeln podniósł się pełen nadziei, pełen mocy.

I skupił całą swą potęgę na sztylcie... i zaklęciu.

Światło zapłonęło tak jasno, że widzieli je z pewnością w Kedzanie. Wokół Mendelna walczący zamarli osłupiali.

A morlu... morlu nareszcie umarli... ponownie. Przewracali się dziesiątkami, dwudziestkami, aż w końcu – Mendeln był pewien – padali setkami. Kiedy się odwrócił, widział jedynie ich ciała na przesiąkniętej krwią ziemi. Na szczęście wiedział, że nie powstaną po raz kolejny, postarał się o to, splatając własne zaklęcie.

„Już po nich – oświadczył Trag’Oul. – Już nie wstaną...”

Smok i Rathma wycofali się z umysłu Mendelna, a ten zachwiał się i padł na kolana. Jego jedyne ramię opadło, a wraz z nim światło płynące ze sztyletu.

„Na nich! – usłyszał w głowie głos Serentii rozkazującej edyremom. – Teraz są zagubieni! Nie wiedzą, co robić! Teraz musimy uderzyć... Za Uldyzjana!”

Ludzie zaczęli krzyczeć z radości i nawet Mendeln dał się ponieść i dołączył do nich drżącym głosem. Uczniowie Uldyzjana ruszyli na przeciwników. Parowali ataki Strażników, odbijali zaklęcia kapłanów. Broń szczękała zajadle, ale Mendeln widział też kule czystej energii, wyczyny, na jakie pozwalała tylko zwiększona czarami siła, i wiele innych dowodów na to, że edyremowie odzyskali wiarę w swe umiejętności. Niepokonani dotychczas wysłannicy Trójcy złamali szyki. Strażnicy walczyli jeszcze, ale już bez nadziei.

Mendeln zapragnął pograżyć się we śnie, ale zmusił się, by stanąć. Będzie mógł odpocząć dopiero wtedy, gdy żołnierze Lilith zostaną rozgromieni – nie wcześniej...

Wyczuł splątany czar. Uniósł sztylet i mruknął kilka słów. Wyobraził sobie, że czar kapłana zwraca się przeciwko niemu. Zobaczył, jak mroczny cień spowija zaklinacza i dosłownie pożera, póki nic nie zostało. Kapłan nie zdążył nawet krzyknąć.

Walka trwała, ale przewaga wreszcie była po stronie edyremów. Ich pewność siebie rosła gwałtownie, wiedzieli też, że ta chwila zaważy bezwzględnie na ich przyszłości. Mendeln zarówno nienawidził

Równowagi, jak i darzył ją szacunkiem, wiedział, że edyremowie muszą wygrać tę bitwę, nawet jeśli oznaczało to, że Uldyzjan zginie. Sanktuarium mogło przetrwać bez jego starszego brata, Mendeln to wiedział. Mógł mieć tylko nadzieję, że kawałek kości, jaki wysłał Uldyzjanowi, okaże się pomocny w walce z Lilith.

Biorąc jednak pod uwagę zło, jakie mieściło się w tym kawałku, być może Mendeln osiągnął skutek odwrotny od zamierzonego...

DWADZIEŚCIA DWA



Uldyzjan stał zagubiony w labiryncie.

Wiedział, że jest gdzieś w głównej świątyni, ale nic poza tym. Za każdym razem, gdy próbował użyć swych mocy, by stąd uciec, nie działało się absolutnie nic. Nie przenosił się do innego miejsca ani nie mógł wezwać do siebie Lilith. Dlaczego tak się działo, nie wiedział, ale stanowczo źle to wróżyło.

Nie widząc innego rozwiązania, szedł surowym kamiennym korytarzem. Drogę oświetlały mu pochodnie zawieszane na ścianach. Pamiętał doskonale swe zmagania z demonami w Świątyni w Toradzy, dlatego też czujnie obserwował kamienny sufit, podłogę i ściany. Wiedział, że taka rozproszona uwaga działa na korzyść Lilith, ale nic nie mógł na to poradzić.

Doszedł do rozwidlenia. Ponieważ ostatnio w takiej sytuacji skręcił w prawo, tym razem wybrał drogę prowadzącą w lewo. Gdzieś w głębi duszy podejrzewał, że bez względu na to, którądy pójdzie, i tak skończy w tym samym miejscu. W tym labiryncie było coś nienaturalnego, co właściwie nie powinno Uldyzjana dziwić, jako że miał do czynienia z kreacją demonów. Najpewniej był to twór Luciona.

Uczyniwszy kilka kroków kolejnym korytarzem, Uldyzjan odwrócił się nagle i uderzył pięścią w ścianę. Osłaniając i wzmacniając dłoń swą mocą,

zdołał wybić w murze ogromną dziurę. Cofnął dłoń, by ocenić efekty swego działania.

A ściana natychmiast się naprawiła. Kamienie wróciły na swoje miejsce, pęknięcia się zasklepiły, a wszystko zaś trwało krócej niż wybicie dziury.

Uldyzjan zaklął. Miał nadzieję, że działając tak impulsywnie, zaskoczy jakoś Lilith, jednak jej pułapka okazała się szalenie odporna i złożona.

Uldyzjan przeniósł się tu od razu. Nigdzie nie widział swej dawnej kochanki. Wciąż wyrzucał sobie, że zbyt wolno zareagował na jej nagłe pojawienie się na polu walki. W końcu to on powiedział, że chciałby ją tam zobaczyć...

Ale bez względu na to, jak bardzo się starał, nie mógł powtórzyć tego wyczynu. I też nie wiedział dlaczego. Lilith musiała coś mu zrobić...

Usłyszał jakiś dźwięk, jakby stukot, dochodzący z kierunku, w którym szedł.

Zupełnie jakby ktoś rzucił niewielki przedmiot. Dźwięk odbił się echem od kamiennych ścian i korytarz ponownie pogrążył się w ciszy. Uldyzjan wyteńczył wzrok, ale niczego nie zobaczył. Czyżby była to nowa tortura wymyślona przez Lilith? Zamierzała odwracać jego uwagę różnymi dźwiękami? Zważywszy, jak mocno waliło mu serce, Uldyzjan doszedł do wniosku, że to całkiem dobry pomysł.

Zrobił kilka ostrożnych kroków w stronę, skąd dobiegł go dźwięk. Początkowo nie zauważył nic szczególnego, ale po chwili dostrzegł mały, dziwnie blady kamyk pod jedną ze ścian. Sam nie wiedząc dlaczego, pomyślał o bracie, i choć nie ufał takim skojarzeniom, ostrożnie przykucnął, by podnieść kamyk.

Okazał się tak zimny, że Uldyzjan niemal go upuścił. Teraz jednak starszy z braci był pewien, że młodszy miał z tym coś wspólnego. Wyprostował się i obejrzał podniesiony przedmiot.

– Droga, której szukasz, jest za tobą...

Uldyzjan gwałtownie nabrał powietrza. Znał ten głos, znał aż za dobrze. Nie spodziewał się go usłyszeć już nigdy więcej, a zwłaszcza z kamienia.

Nie... to nie był kamień. Uldyzjan większość życia spędził na farmie, hodując zwierzęta, i natychmiast zorientował się, co trzyma w dłoni. Kość.

A głos należał do strasznego Malika.

– Droga, której szukasz, jest za tobą... – powtórzył głos.

– Dlaczego tu jesteś, kapłanie? – spytał Uldyzjan wiedziony przecuciem.

– Na rozkaz twego brata... i dla przyjemności zemsty...

Pierwszą część Uldyzjan zrozumiał od razu, druga na moment zbiła go z pantafelów. Nie pojmował, jak Mendeln mógł wysłać ducha Malika, wiedząc, że ten pragnie odwetu na Uldyzjanie. Potem zaś przypomniał sobie, kto był bezpośrednio odpowiedzialny za śmierć kapłana.

– Chcesz dopaść Lilith...

– Droga, której szukasz, jest za tobą...

Ta zagadkowa odpowiedź sprawiła, że Uldyzjan zmarszczył brwi zaniepokojony. Nie do końca ufał duchowi, nawet jeśli był to duch przysłany przez Mendelna. Nie miał jednak innego wyjścia, jak posłuchać wskazówek... przynajmniej na razie.

Wrócił do rozwidlenia i teraz ruszył drogą, którą poprzednio odrzucił. Kapłan milczał, więc Uldyzjan doszedł do wniosku, że powinien iść tak długo, póki duch nie odezwie się ponownie.

I rzeczywiście, przy następnym rozwidleniu Malik odezwał się znowu.

– W lewo...

– Jak długo to potrwa?

– Odległość maleje, Uldyzjanie ul-Diomedzie, nawet jeśli niebezpieczeństwo rośnie.

– A co to znaczy?

– To była zabawka mego pana Luciona... jeden źle zrobiony krok, źle wybrany zakręt, a będziesz miał pełne ręce...

Głos ucichł, a Uldyzjan zdecydował nie dociekać dalej. Malik najwyraźniej gotów był tylko wskazywać drogę, na resztę pytań odpowiadał zagadkami. Uldyzjan obiecał sobie zachować czujność i nie ufać duchowi.

Malik milczał, póki nie dotarli do następnego korytarza. Po kilku krokach Uldyzjan zauważył, że światło jest coraz bardziej przyćmione. Do tego poczuł, że dusi się w tych ciemnych, wąskich przejściach. Przypomniał sobie, jaki wpływ miała nań jaskinia Kamienia Świata. Otrząsnął się z tego wrażenia. A gdy pochodnie zaczęły pojawiać się w sporych odległościach, przywołał własne światło.

Zmiany otoczenia nie wróżyły niczego dobrego. Uldyzjan postanowił zwrócić się do kawałka kości w poszukiwaniu odpowiedzi.

– Co tu się dzieje, kapłanie?

– Idź prosto, środkiem – odpowiedział duch. Zupełnie jakby Malik stał tuż obok. – Nie dotykaj ścian, cokolwiek się stanie...

Uldyzjan miał zamiar posłuchać instrukcji, ale chciał znać powody tych zaleceń.

– Dlaczego? Co się stanie, jeśli...

Podłoga przechyliła się, posyłając go w lewo.

– Uważaj! Ściana!

Uldyzjan wczepił palce w przerwę między płytami podłogi. To go zatrzymało. Trzymał się z całych sił. Jednocześnie zauważył, że korytarz za nim wygląda zupełnie normalnie. Ostrożnie spróbował tam podpełznąć.

Podłoga wychyliła się ponownie, posyłając Uldyzjana prosto w zalegające cienie. To nie był żaden sprytny mechanizm – jedynym sposobem zmuszenia posadzki do takich harców była magia.

Skoncentrował się na pragnieniu, by podłoga znów była prosta. Kąt nachylenia kamiennych płyt zmalał nieco, a potem posadzka znów była normalna.

Uldyzjan zatrzymał się, by złapać oddech.

Podłoga przechyliła się w prawo.

– Ściana, głupcze!

Za późno. Uldyzjan znajdował się już zbyt blisko niej i nie zdążył zareagować. Uderzył ramieniem w kamienie. Te zaś poddały się i Uldyzjan poszybował w ciemność.

Chwilę później wylądował na twardej, śliskiej powierzchni.

– Wstawaj! Wstawaj, durniu! – krzyczał Malik w jego głowie. – Nadchodzą! Nadchodzą!

Uldyzjan usłyszał jakieś pomruki. Instynktownie przetoczył się tak, by znaleźć się jak najdalej od ich źródła.

Ciężki topór bojowy opadł dokładnie tam, gdzie przed chwilą była głowa człowieka.

Uldyzjan wylądował na plecach i spojrzał wprost w dwie czarne dziury – ślepie morlu.

Machnął ręką w stronę potwora. Makabryczny wojownik z rykiem gniewu poleciał do tyłu i uderzył w poszarpaną skalną ścianę. Ciało spadało przez kilka jardów, żeby w końcu rozbić się na dnie.

Ale gdy Uldyzjan się podniósł, zrozumiał, że Malik miał rację, używając liczby mnogiej. Przywódca edyremów znalazł się w rozległej jaskini wypełnionej morlu.

Uldyzjan był przekonany, że do walki z edyremami Lilith rzuciła wszystkie swe siły. Nigdy by nie uwierzył, że trzymała tyłu ohydnych żołnierzy blisko siebie na wypadek, gdyby Uldyzjan umknął z jej pułapki. Z drugiej strony może przygotowywała morlu do innych zadań, jak choćby zmagania z Inariussem, który na razie pozostawał nieobecny.

Uldyzjan nie miał czasu się zastanawiać, bo morlu zawyli na jego widok i ruszyli do ataku. Nacierali na intruza ze wszystkich stron jak mrówki. Jedni sięgali po broń, inni mieli chyba nadzieję rozerwać człowieka gołymi rękami.

Uldyzjan wrzucił odłamek kości do kieszeni i zwarł się z pierwszym napastnikiem. Mocował się przez chwilę, usiłując złapać ohydneho wojownika jak najlepiej, a potem błyskawicznie go odwrócił – wprost pod opadający topór kolejnego napastnika. Ostrze zanurzyło się w piersi morlu, przechodząc przez napierśnik jak przez papier.

Uldyzjan odrzucił ciało i wyrzucił w kolejnego morlu kulę ognia. Stwór natychmiast stanął w płomieniach. Być może przyczyną była jego natura. Uldyzjan kopniakiem posłał wojownika na jego pobratymców i zwrócił się w lewo, gdzie znajdował się najbliższy z atakujących.

Pchnął morlu falą mocy, wyrzucając stwora w powietrze, by upuścić go potem wprost do lawy. Morlu zatonął z sykiem.

Ale napastników było znacznie więcej. Uldyzjan krzyknął ze złością i zatoczył ramieniem półokrąg. Grunt wokół niego eksplodował i dziesiątki morlu zostało rozerwanych na strzępy albo odrzuconych na znaczną odległość. Powtórzył gest drugą ręką, uzyskując równie imponujący efekt. Wykonał go jeszcze dwukrotnie i udało mu się oczyścić z wrogów spory teren.

Szczątki morlu leżały wszędzie. Napędzany furią i frustracją, pewny przy tym, że nie skrzywdzi przypadkowych ofiar, Uldyzjan pokonał niemal tylu przeciwników, ilu stanowiło szeregi jednej armii. Takiej, jaka zaatakowała edyremów. Nie dbał o tych, co przeżyli, potrzebował tylko chwili przerwy, by złapać oddech, i był gotów dalej czyścić to miejsce ze szkodników.

I wtedy zobaczył, jak ramię leżące na jednym z trupów zsuwa się na bok i toczy do właściciela. Gdy doń dotarło, połączyło się ze swym ciałem. Uldyzjan spojrział w bok i zobaczył, że zamyka się rozerwana gardziel innego morlu.

Coś wyłoniło się z lawy. W lśniącej czerwieni zbroi całkowicie uleczony morlu, którego Uldyzjan pokonał chwilę wcześniej, teraz znów zamierzał atakować.

Demoniczni wojownicy leczyli się i wstawali jak okiem sięgnąć. Był to chyba jeszcze bardziej makabryczny widok, niż ten, jaki Uldyzjanowi przyszło oglądać w czasie walki. Mężczyzna nie miał jednak wątpliwości, że jedno z drugim jest jakoś powiązane.

– To Pocałunek Mefista podnosi ich z martwych! Ale Lilith zwiększyła jego moc – wyjaśnił Malik. – Szukaj czarnego kamienia pośrodku jaskini! Szukaj!

Ale morlu zasłaniali Uldyzjanowi wskazany kierunek. Uldyzjan nabrał głęboko powietrza i klasnął w dłonie. Huk przetoczył się po szeregach wojowników.

I wreszcie go zobaczył – kamień, który wedle Malika zwracał wojownikom siły i leczył ich rany. Wysokością dorównywał człowiekowi i lśnił czernią na trójkątnej kolumnie marmuru oznaczonego czerwonymi żyłami.

– To jest to! Trzeba go zniszczyć! Szybko!

Ale morlu chyba przejrżeli zamiar Uldyzjana, bo zaatakowali go wściekle, wrzeszcząc i wymachując bronią. Nacierali nań ze wszystkich stron.

On jednak całkowicie skupił się na kamieniu. Było mu o wiele łatwiej niż w wypadku Kamienia Świata. Uldyzjan zlokalizował skazę wewnątrz kamienia i napał na nią całą swoją wolą...

Z trzaskiem, który mocą dorównywał jedynie zderzającym się odłamkom Kamienia Świata, Pocałunek Mefista przestał istnieć.

Ale morlu nawet nie zwolnili. Ich nienawiść do Uldyzjana była nieskończona, a wrzaski przeraziłyby umarłego. Piana kapała im z powykrzywianych ust, a jedynym ich celem było starcie Uldyzjana z powierzchni ziemi.

Ten zaś tak jak wcześniej machnął ramieniem. Posłał makabrycznych wojowników daleko pod ściany, innych cisnął w fale lawy. Tych, którzy zdołali do niego podejść, palił ogniem i przebijał włócznią ze światła.

Ale nawet wtedy nie zatrzymał natarcia. Uldyzjan łapał więc morlu jednego po drugim, miażdżył im gardła, łamał kręgosłupy i karki. Ostrza zagłębiały się w jego ciało, ale natychmiast leczył wszelkie rany. Ręce w zbrojnych rękawicach sięgały ku niemu, ale sprawiał, że ześlizgiwały się puste, jakby próbowały pochwycić olej.

Uldyzjan wyobrażał sobie, że ma przed sobą Lilith. Kiedy przebijał się przez szeregi morlu, każdy wróg miał dla niego jej twarz. Każdy zabity był nią.

I nagle... nie było już morlu.

Trzeba było niemal minuty, by Uldyzjan uświadomił sobie ów zdumiewający fakt. Otaczały go ciała. Nie było chyba skrawka ziemi, który nie byłby zbryzgany krwią czy zasłonięty szczątkami. Tym razem potworni wojownicy nie wstali, by z nim walczyć. Morlu polegli, tym razem na zawsze.

– Nieźle rozegrane... Uldyzjanie ul-Diomedzie.

Uldyzjan stęknął głucho. Po raz pierwszy usłyszał szacunek w głosie kapłana. Nie było jednak czasu na gratulacje. Polowanie na Lilith wciąż trwało.

– Spójrz w górę, po prawej. Tam znajdziesz drogę...

Wskazówki Malika pozwoliły Uldyzjanowi odnaleźć drzwi, które ten wysadził z zawiasów, nie dbając już, że w ten sposób zdradza swoją obecność.

Za progiem natknął się na ciała dwóch morlu zabitych wybuchem i przeszedł nad nimi.

Czuł, że Lilith jest już blisko.

Przy pomocy ducha dotarł do pomieszczenia, które według Malika było prywatną komnatą Pierwszego. Nie było tu niczego poza tronem, w końcu Pierwszy był tylko maską Luciona, a potem jego siostry.

Ruszył w stronę drzwi, ale wtedy Malik odezwał się niespodziewanie.

– Trzymaj kość wysoko i bądź gotów – zażądał. – Przygotuj się, żeby rzucić!

Uldyzjan się spał. Ta instrukcja różniła się od poprzednich diametralnie. Dlatego też był pewien, że duch kapłana wiedział o czającym się za progiem niebezpieczeństwie, którego sam Uldyzjan nie wyczuwał.

Z tą myślą szarpnął za klamkę...

– Rzucaj! – rozkazał Malik.

Uldyzjan usłuchał, ciskając kość siłą ramienia i mocą jednocześnie. Poleciała ciemnym korytarzem za drzwiami i już miała zniknąć Uldyzjanowi z oczu, gdy gwałtownie skręciła w prawo.

Usłyszał, jak w coś uderza, i niemal w tej samej chwili rozległo się bolesne stęknienie. Po nim nastąpiło głucho łupnięcie, które Uldyzjan natychmiast rozpoznał.

Wybiegł z korytarza i rozejrzał się. Postać w szatach obrządku Dialona leżała nieruchomo pod ścianą. Krew na czole kleryka znaczyła miejsce, gdzie trafiła kość.

Uldyzjan miał już podnieść biały odłamek, gdy wyprostował się gwałtownie. Była tu.

– Biedny, biedny, kochany Durram! Tak bardzo chciał zasłużyć w oczach Pierwszego!

Uldyzjan rozejrzał się, ale choć wyteżał zmysły, nie mógł określić, gdzie się znajdowała. Aczkolwiek w końcu wiedział dlaczego. To była przecież główna świątynia Trójcy, zbudowana tak, by spełnić wszystkie oczekiwania Luciona. Niewątpliwie tak jak starożytną budowlę w dżungli i tę postawiono na „ogniwie”, w miejscu, gdzie anioły i demony zaczęły tworzyć nowy świat. Lucion niewątpliwie skorzystał z mocy tego miejsca i manipulował nimi, by ukryć zło, jakie się tu rozpanoszyło.

A owe siły maskujące zło Płonących Piekieł ukrywały też Lilith przed zmysłami Uldyzjana.

– Mój kochany, słodki Uldyzjan! – kpiła z niego. – Zawsze jesteś tak bliski zwycięstwa i zawsze pozwalasz, by w ostatniej chwili wymknęło ci się z rąk...

– Nie tym razem, Lilith! – odpowiedział i wyęzając całą swą wolę, wciąż próbował ją odszukać. – Nie tym razem!

– Ależ mój ukochany! Twój brat i przyjaciele nie żyją, a najdrożsi edyremowie są tu właśnie prowadzeni! Ta porażka nie mogłaby być większa!

Jej słowa rozpały iskrę strachu i rozpacz w piersi Uldyzjana, ale niemal w tej samej chwili mężczyzna przypomniał sobie, z kim rozmawia.

– Koniec twoich kłamstw. Koniec gier.

I rzucił się w przód, gdzie był pewien ją pochwycić.

Nagle na jego drodze pojawiły się ciężkie drzwi. Był przygotowany na przeszkody, więc jednym rozbłyskiem mocy rozbił je w drzazgi. Siła rozpędu przeniosła go przez próg chwilę później.

Wylądował na czworakach jak kot... i zamarł z szeroko otwartymi oczami.

Kucnął w wejściu do ogromnej sali, gdzie wierni zbierali się przed wysłuchaniem kazań kapłanów swego obrządku. Zdążył już poznać układ pomieszczeń w świątyniach, by wiedzieć, że nie powinien jeszcze się tu znaleźć. Lilith znów go przechytrzyła.

Dwa ogromne posągi duchów przewodnich spoglądały na niego ze swych postumentów. Figury Mefisa, czy raczej Mefista, ojca Lilith, nie było. Z wyglądu postumentu Uldyzjan wywnioskował, że statua popękała. Jakoś wątpił, by był to wypadek.

Wspomniawszy wydarzenia w Toradzy, Uldyzjan spoglądał czujnie na figury. Z jakiegoś powodu Lilith chciała, by tu dotarł, a więc wszystko wokół było podejrzan.

W tej samej chwili jej śmiech wypełnił salę.

– Gra dobiegła końca, mój miły, słodki Uldyzjanie! – zawołała zewsząd i znikąd. – Okazałeś się prawdziwym cudem i wszystkim, czego się spodziewałam, ale czas z tym kończyć. Mam jeszcze tyle do zrobienia!

Była tu... a zarazem jej nie było. Uldyzjan badał wszystkie kierunki. Za każdym razem wydawało mu się, że ją znalazł, i natychmiast czuł jej obecność w innym miejscu.

– Pokaż się! – warknął. – Pokaż, gdzie jesteś!

– Ależ jestem tutaj, ukochany.

Pojawiła się... i pojawiła... i pojawiła... i nie przestawała się pojawiać. Setka Lilith nagle zmaterializowała się w sali, a za nią kolejne setki.

„To jedynie iluzje” – pomyślał Uldyzjan. Jednak gdy próbował znaleźć prawdziwą Lilith wśród tysięcy falsyfikatów, wszystkie wydawały mu się identyczne. Żadna nie była jedynie obrazem.

– Weź mnie w ramiona po raz ostatni – kpiły chórem. Tysiące Lilith wyduło wargi. – Pocałuj mnie po raz ostatni, mój ukochany. – Ruszyły w jego stronę, sugestywnie kołysząc biodrami. – Pójdź i połącz się ze mną po raz ostatni...

Nie mogły być prawdziwe, ale jakimś sposobem były. Uldyzjan próbował się skupić, ale stracie z morlu pozbawiło go sił i koncentracji. Wiedział, że Lilith to zaplanowała. Osłabiony Uldyzjan był dla niej mniejszym zagrożeniem i zapewne wydawało jej się, że szybciej nad nim zapanuje. W końcu nadal chciała jego edyremów, a on był do nich najprostszą drogą.

I wtedy uświadomił sobie, że to ona, nikt inny, wysłała go do labiryntu i do legowiska morlu. Spodziewała się, że on to przeżyje. Nie miał co do tego wątpliwości. I jej wyraźne zdumienie, kiedy zmaterializowała się na polu bitwy. Zrozumiał, że jego umiejętności robiły na niej większe wrażenie, niż to okazała. Więcej, był pewien, że musiała się go trochę bać. Bo jaki mógł być inny powód dla tak skomplikowanych czarów? Czyżby nie mogła zmusić go do posłuszeństwa, po tym jak już go tu sprowadziła?

Być może nie... być może naprawdę musiała najpierw znacznie go osłabić...

Horda Lilith szła ku niemu z wyciągniętymi ramionami. Uldyzjan czuł, że jeśli teraz padnie jej ofiarą, nie będzie już dla niego ratunku. Musiał w jakiś sposób znaleźć tę jedyną, prawdziwą Lilith...

W jego zamroczonym umyśle pojawiło się pytanie.

To była główna świątynia, samo centrum życia sekty.

Gdzie w takim razie są ci, którzy powinni tu być? Lilith wysłała do dżungli jedynie kapłanów niższych rangą, Strażników Pokoju i morlu. Gdzie byli akolici, wyżsi kapłani, straż, cała ta reszta, dzięki której świątynia funkcjonowała jak należy? Uldyzjan widział tylko jednego – tego trafionego kością Malika.

I nagle zrozumiał.

A zrozumiawszy, nakazał swemu umysłowi zobaczyć rzeczywistość.

Lilith rozwiały się jak mgła. Na ich miejscu stali wierni. Akolici, kapłani, kapłanki, Strażnicy Pokoju i wielu innych. Cała sekta.

Tylko Lilith nie było między nimi.

Musiała tu gdzieś być. Przypomniał sobie, kogo tak naprawdę ścigał. Lilith bez trudu była zdolna do zmiany postaci, nawet wtedy, gdy Uldyzjan rozrywał jej iluzje na strzępy.

Słudzy Świątyni najwyraźniej zrozumieli, że czar już ich nie kryje, bowiem ruszyli na intruza jak ogarnięty szaleństwem tłum. Wciąż wierzyli, że służą Pierwszemu, i Uldyzjan wiedział, że nic nie jest w stanie zachwiać tą ich wiarą.

Ale z drugiej strony wszyscy tutaj rozumieli, czym była sekta; że tak naprawdę przywódcami kultu są potworni władcy Płonących Piekieł. I Uldyzjan przestał się nimi przejmować. Za nic mieli życie jego uczniów i niewinnych ludzi, którzy chcieli tylko wysłuchać „świętego” kazania.

Tak jak to uczynił z morlu, gestem ręki wywrócił całe szeregi sługusów Trójcy. Przy akompaniamencie krzyków, które odbijały się echem od ścian

sali, ciała pofrunęły we wszystkich kierunkach. Uldyzjan nie pominął żadnej ze stron. Wierni Świątyni zostali odrzuceni niczym śmieci, którymi w istocie byli.

Tylko jedna postać utrzymała się na nogach. Niewyróżniający się niczym szczególnym akolita w szarobrązowej szacie.

– Witaj, Lilith – powiedział Uldyzjan.

Jej odruch obronny tym razem zadziałał przeciwko niej. Ale już chwilę później zniknęła ludzka maska i Lilith stanęła przed Uldyzjanem w całej swej okazałości. Skoczyła w powietrze i zawisała nad swym adwersarzem.

– Mój drogi, słodki skarbie... – zagruchała. – Musisz być bardzo zmęczony! Cud, że jeszcze trzymasz się na nogach.

Rzeczywiście, był bardzo zmęczony. Nawet ostatni czar kosztował go już stanowczo zbyt wiele. Lilith z kolei wydawała się świeża i pełna sił.

– Będzie mi cię brakowało, ukochany – kontynuowała. – Ale wszystko kiedyś się kończy! Ja...

– Zamilcz, Lilith.

– Uldyzjanie... – spojrzała na niego z twarzą nagle mroczną. – Do mnie tak się nie mówi. Obawiam się, że tym razem naprawdę muszę cię ukarać...

I nagle stała tuż przed nim z wyciągniętymi szponami, uderzając ogonem jak biczem. Cięła pazurami, rozrywając jego zniszczone ubranie i ciało. Tym razem nie był w stanie całkowicie wyleczyć ran. Chciał upaść, ale wiedział, że nie może.

Pochwycił jej nadgarstek, zanim szponami drugiej dłoni sięgnęła mu do gardła. Zakręcił nią i cisnął wysoko w powietrze wprost na posąg Bali. Uderzenie rzuciło głowę figury.

Ale zanim wielki kawał marmuru dotknął ziemi, Lilith zniknęła i ponownie pojawiła się za Uldyzjanem. Wyciągnęła obie dłonie, sięgając do kręgosłupa.

Uldyzjan zdołał jednak wyczuć, gdzie Lilith zamierza się zmaterializować, i zdążył się odwrócić. Pochwycił jej ręce i siłą złożywszy

dłonie, mocno złapał za nadgarstki.

– To już koniec, Lilith – powiedział stanowczo.

Dudniący huk wstrząsnął całym budynkiem. Ci ze sług Świątyni, którzy zachowali przytomność i zdolność ruchu, teraz uciekali wszystkimi wyjściami. Nie mieli już powodu trwać na stanowiskach. Po Pierwszym nie było śladu, a Lilith sama obnażyła przed nimi swą prawdziwą naturę.

– No, no, słodki Uldyzjanie...

Nie powiedziała nic więcej. Wielka marmurowa dłoń pochwyciła Lilith i przycisnęła jej ramiona do ciała. Kusicielka wiła się i szarpała w uścisku, ale nie była w stanie ani zniknąć, ani się uwolnić. Uldyzjan nie zamierzał do tego dopuścić.

Oddychał chrapliwie. Trzeba szybko działać. Nie miał pewności, czy sam wyjdzie z tego żywy, ale była to niewielka cena.

Dłoń uniosła Lilith wysoko ponad jego głowę. Dołączyła do niej druga. Marmury uwięziły demona.

– To koniec – powtórzył jej.

Lilith schyliła głowę, uznając swą porażkę... i kolce, które zastępowały jej włosy, wystrzeliły w stronę Uldyzjana.

Chwiejąc się ze zmęczenia, Uldyzjan pozwolił, by prowadziła go moc. Jego ręka uniosła się, zupełnie jakby kierowana własną wolą. Przed nim uformował się błysk złotego światła.

Uldyzjan skorzystał z przykładu Luciona i posłał kolce z powrotem. Lilith nie mogła nic zrobić. Przebiły jej pokryte łuską ciało wszędzie tam, gdzie było widoczne spod kamiennych palców. Dwa kolce wbiły jej się w brzuch, trzy w pierś, jeszcze więcej w ramiona. Nawet w gardło.

Na marmur bryznęła zielona jucha. Lilith wciągnęła powietrze przy wtórze ohydneho bulgotu. Ale wciąż jeszcze żyła.

– Mój słodki Uldyzjanie... – zawołała. – Pomyśl tylko, co poczniesz bez mych... bez mych objęć...

– To, co robię teraz – odpowiedział z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Budynek zadrżał w posadach. Wielu ze sług Trójcy już uciekło, inni wciąż jeszcze próbowali się wydostać. Nie wiedzieli, że wszystkie wyjścia zostały zamknięte.

– Pamiętasz, kiedy ostatnim razem spotkaliśmy się w podobnym miejscu? – Udało mu się powiedzieć to bez przerwy na oddech, którego zaczynało mu brakować. – Pamiętasz? – Milczała, ale w jej oczach płonęła nienawiść. Jej ogon miotał się na wszystkie strony, znak, że choć uwięziona, wciąż była niebezpieczna. – Ostatnio tylko wysiłkiem mojej woli podtrzymałem budynek, by nie zawalił się, póki moi ludzie nie będą bezpieczni.

Teraz Uldyzjan słyszał już dochodzące spoza sali wrzaski kapłanów. Walili w drzwi, krzycząc, by ktoś wypuścił ich ze świątyni. Nie doczekają się pomocy, Uldyzjan o to zadbał.

Nabrał głęboko powietrza.

– Teraz zaś, nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz w moim życiu, zawalę te mury.

Rumor przybrał na sile tysiąckrotnie. Siateczka pęknięć rozprzestrzeniła się na ścianach, suficie i nawet na marmurowej podłodze. Ogromne kawały murów zaczęły padać niczym makabryczny grad.

– Żegnaj, Lilith. Po raz ostatni.

Zasyczała.

Jej ogon rozciągnął się nieprawdopodobnie i sięgnął w dół, by pochwycić przeciwnika. Zaskoczony Uldyzjan wywrócił się na plecy.

Ale jego czar już przyniósł pożądany efekt. Cały dach i wszystkie trzy wieże zapadły się nagle. Setki tysiące ton kamienia i drewna zwały się na ogromną komnatę i wszystko inne. Wrzaski wiernych na chwilę przebiły się nawet przez ryk walącego się budynku.

Lilith też krzyknęła wysokim głosem, gdy Bala i Dialon wywróciły się na siebie nawzajem, grzebiąc Lilith pod gruzowiskiem swych marmurowych ciał. Jej ogon znikł wraz z nią pod gruzami.

Uldyzjan nie mógł już skupiać się na tym, co działo się z Lilith. Teraz martwił się już tylko, by ująć z życiem z tej katastrofy. Nawet gdy waliły się nań kawały marmuru większe od niego z dwadzieścia razy, z całych sił walczył, by utrzymać osłaniającą go tarczę.

Ale kamień naciskał i naciskał, a zmagania z Lilith pozbawiły go sił. Zwalenie gigantycznego budynku okazało się zbyt wielkim wysiłkiem. Czuł, jak kamień napiera nań wciąż mocniej i mocniej...

I nagle nacisk zelżał. Uldyzjan wykorzystał to, by umocnić swą tarczę. Choć całe jego ciało błagało o odpoczynek, zmusił się, by klęknąć, a potem dźwignąć się na nogi.

Budynek się zawalił. Jeszcze tylko pył nie osiadł zupełnie.

Gdzie tylko okiem sięgał, widział rumowisko. Unoszący się w powietrzu pył nie pozwalał zobaczyć zbyt wiele. Ale Uldyzjan odebrał falę emocji płynącą z północy. Mieszkańcy Kedżanu musieli wyczuć zniszczenie Świątyni i bez wątpienia zobaczyć chmurę pyłu przesłaniającego gwiazdy. Nie minie wiele czasu, a przy ruinach pojawią się zwiadowcy, by sprawdzić, co się stało. Klany magów zapewne już wiedziały.

Uldyzjan ledwie trzymał się na nogach. W obawie, że mógłby pozostawić jakieś niedokończone sprawy, przeszukał okolicę myślą. I znalazł nikły ślad Lilith. Jednak i ten słabł z chwili na chwilę, aż wreszcie ustał zupełnie.

Była martwa.

Wszystko się skończyło.

Uldyzjan westchnął... i nogi się pod nim ugięły. Zanim stracił przytomność, pomyślał tylko, że chciałby wrócić do swoich. Tylko to jeszcze się dla niego liczyło.

„I tak się stanie... – usłyszał Trag’Oula. – I tak się stanie...”

DWADZIEŚCIA TRZY



Wielu stracili. Ale wielu przeżyło wbrew wszelkim oczekiwaniom. Mendeln i Serentia starali się zaspokoić potrzeby edyremów w przekonaniu, że pod nieobecność Uldyzjana powinni zrobić, co tylko było w ich mocy.

I mimo przelanej krwi, mimo poniesionych strat w obozie edyremów dało się wyczuć radość. Pokonali swych przeciwników. Starli ich w proch. Kilku Strażników Pokoju oraz kapłanów, którzy uszli z życiem, uciekło w głąb dżungli. Ich woła została zdruzgotana. I nie mieli się dokąd zwrócić. Wszyscy na polu bitwy wyczuli zagładę Świątyni. Jonas wspiął się nawet na drzewo i twierdził, że zobaczył czarny obłok przesłaniający niebo z tamtej strony. Słońce miało wstać już niedługo, nikt jednak nie musiał sprawdzać prawdziwości słów Jonasa... bo nagle Uldyzjan znalazł się między nimi.

I choć pojawił się sam, Mendeln wiedział, że to smok pomógł Uldyzjanowi dołączyć do swoich. Kolejny już zaskakujący czyn bytu, którego istnienie miało być najściślej strzeżoną tajemnicą. Mendeln uznał, że Równowaga najwyraźniej potrzebowała jego starszego brata.

Wraz z Serentią podeszli do Uldyzjana. Dziewczyna przyniosła mu coś do picia. Uldyzjan podziękował skinieniem głowy, napił się, ile zdołał,

i popatrzył uważnie na Serentię i Mendelna.

– Wiecie już?

– Tak – odparł Mendeln. – Uwolniłeś się od niej.

Ale Uldyzjan potrząsnął przecząco głową.

– Nigdy. – Rozejrzał się nagle. – Achilios?

– Był tu – odpowiedziała mu Serentia. – A potem przepadł. Nikt z nas nie widział, jak odchodził.

Mendeln milczał.

Uldyzjan skinął głową i wsparł się na ramionach swych towarzyszy. Wokół nich na milczące wezwanie Uldyzjana zaczęli zbierać się edyremowie.

– Świątynia Trójcy została ostatecznie pokonana – powiedział im. Wciąż jeszcze istniało kilka pomniejszych przybytków, ale te kierowały się wytycznymi z głównej świątyni. Uldyzjan wiedział, że te resztki też szybko ulegną rozproszeniu. – Pokonaliśmy Świątynię, teraz czeka na nas Katedra.

Nikt nie wiwatował. Nikt nie narzekał. Zaakceptowali jego słowa jak proste przedstawienie faktów. Bez względu na to, jaki cel postawi przed nimi Uldyzjan, zrobią wszystko, by go osiągnąć.

– Przyślijcie do mnie rannych i usuńcie ciała – polecił. – Potem odpoczniemy.

Odeszli, by wypełnić jego rozkazy, a Uldyzjan popatrzył na brata. Na jego ramię. Ramię, które znów było w całości.

– Można to wyjaśnić – powiedział młodszy brat.

– Smok?

– Rathma.

– Będą nas dalej wspierać? Czy znów zostaliśmy tylko my dwaj?

Mendeln zastanowił się chwilę.

– Sądzę, że dostrzegli, że powinni. Szala przechyliła się nieco na naszą korzyść. Równowaga będzie tego od nich oczekiwać. Tak jak od nas wiele oczekuje.

Uldyzjana zadowolona ta odpowiedź, nawet jeśli nie była do końca jasna.

– Jutro wyruszymy.

Mendeln i Serentia skinęli potakująco głowami.

– Jutro – powtórzyli.

Uldyzjan udał się pomagać rannym, ale choć jego twarz wyrażała jedynie dumę i troskę o tych, którzy postanowili iść za nim... on sam widział twarz Lilith, na zawsze wypaloną w jego umyśle.

Przynajmniej w tym względzie Lilith odniosła zwycięstwo.

Rathma pojawił się na szczycie gruzowiska, które kiedyś było świątynią. Przybył przekonać się, czy jego matka naprawdę zginęła. Rathma lepiej niż inni wiedział, jak przebiegła była lisica. Potrafiłaby okpić Uldyzjana, oszukać, by uwierzył, że zginęła. Ale Rathma był przekonany, że nie udałoby się jej to z własnym synem.

Ale gdy przeszukiwał ruiny, nie znalazł niczego więcej niż śmiertelnik. Wiedział, w którym miejscu powinna być pogrzebana, i gdy sięgnął tam myślami, odnalazł sztywniejące ciało. Niewiele z niego zostało, a zanim ten teren zostanie oczyszczony, nikt nie rozpozna szczątków.

– A zatem tym razem to już pożegnanie – mruknął. – Powiedziałbym, że mi przykro matko. Ale chyba oboje znamy prawdę.

I z tymi słowy porzucił ruiny. Nie było czasu opłakiwać zmarłych, szczególnie tych, którzy nie zasłużyli sobie na łyzy żywych. Rathma miał inne zmartwienia.

W końcu miał jeszcze ojca...

Odszedł.

Oszukała wszystkich, nawet tego niewdzięcznego wyrzutka, własnego syna. Mimo potwornych ran zdołała się uśmiechnąć.

Ciało, które Uldyzjan i Rathma uważali za jej, należało naprawdę do jakiegoś nieważnego kapłana. Lilith udało się uratować w ostatnim momencie. Wysiłając całą swoją wolę, stworzyła wokół siebie tarczę

i wypełzła spośród gruzów. Musiała jednak przyznać, że przetrwanie zawdzięczała szczęściu. Podobnie jak to, że ci dwaj jej nie znaleźli.

Ale zamierzała obrócić te wydarzenia na swoją korzyść. Odzyska siły i odplaci Uldyzjanowi i jego towarzyszom najokrutniejszymi torturami. Nawet jej syn dowie się, co znaczy gniew matki...

Padł na nią jakiś cień... zadrżała, bowiem nie wyczuła niczego. Jednak wiedziała doskonale, do kogo ów cień należy.

Próbowała rzucić się do ucieczki, ale jego moc trzymała ją nieruchomo.

– Uwolnij mnie! – syknęła. – Uwolnij mnie... Inariusie!

„PO TYM JAK ZROBIŁEM TYLE, BY CIĘ OCALIĆ?”

– Ocalić mnie? Ha! – Ale nawet gdy zaprzeczała, wiedziała, że mówił prawdę... Całe to jej szczęście nagle nabrało sensu. Uważała, że zawdzięcza to sama sobie, ale nie...

Anioł stał nad nią w całej wspaniałości swej prawdziwej postaci. Lilith nienawidziła go i pożądała jednocześnie.

„TAK, OCALIŁEM CIĘ, MOJA DAWNA MIŁOŚCI! OBIECAŁEM PRZED WIEKAMI, ŻE NIGDY CIĘ NIE ZABIJĘ ANI NIE POZWOLEM INNYM TEGO UCZYNIĆ!”

Zamiast tego zrobił coś o wiele okrutniejszego, przynajmniej w odczuciu Lilith. Doskonale pamiętała pustkę, otchłań, na którą została skazana, póki nie udało jej się uciec.

Z sykiem rzuciła się do ataku, ale równie dobrze mucha mogła próbować powalić konia. Inarius powstrzymał jej próby bez wysiłku.

„NIE POZWOLIŁEM CIĘ ODNALEŹĆ NAWET NASZEMU POTOMKOWI, ALBOWIEM CZUŁBY SIĘ ZOBOWIĄZANY UCZYNIĆ TO, CO CZŁOWIEK SĄDZIŁ, ŻE UCZYNIŁ. – Kaptur kołysał się w przód i w tył. – ŻADNE DZIECIĘ NIE POWINNO ZABIJAĆ SWEJ MATKI BEZ WZGLĘDU NA TO, JAK BARDZO JEST NIEWDZIĘCZNE I JAK ZŁA JEST MATKA... NIE, TYLKO JA MOGĘ WYMIERZAĆ

SPRAWIEDLIWOŚĆ, GDY CHODZI O CIEBIE... SPRAWIEDLIWOŚĆ
BEZ KARY ŚMIERCI, OCZYWIŚCIE, JAKEM PRZYSIĘGAŁ!”

– Oszczędź mi kazań...

„JAK SOBIE ŻYCZYSZ”.

Uniósł dłoń, w której uformowała się kula tak przejrzysta, że niemal niewidzialna.

Lilith wykrzywiła się nagle zdjeta przerażeniem.

– Nie, Inariusie! Nie!

Ale sekundę później znalazła się już w środku sfery.

„ZADBAŁEM, BY TYM RAZEM ZROBIĆ TO ODPOWIEDNIO. NIE
POWTÓRZĘ SWOICH BŁĘDÓW. ŻEGNAJ, TY, KTÓRĄ KIEDYŚ
KOCHAŁEM”.

Splunęła w jego stronę.

– Myślisz, że Sanktuarium jest twoje? Zobaczysz, co zgotuje ci ten
człowiek. Pokona cię, strąci na ziemię, Inariusie!

„NIE STRĄCI! CIEBIE POKONAŁ DZIĘKI MEMU WSPARCIU.
ŻEGNAJ – zakończył, zanim zdołała powiedzieć coś jeszcze. – ŻEGNAJ,
MOJA DAWNA MIŁOŚCI”.

Lilith krzyczała i przeklinała, ale jej głos stawał się coraz słabszy, a ona
sama coraz mniejsza. Sfera zmniejszyła się do rozmiarów niewielkiej kulki,
potem ziarna grochu.

Aż wreszcie skurczyła się tak bardzo, że zniknęła zupełnie.

„UWAŻAJ, ŻE SPOTKAŁO CIĘ SZCZĘŚCIE, MOJA DAWNA
MIŁOŚCI – powiedział Inarius w pustkę. – UWAŻAJ SWÓJ LOS ZA
ŁASKAWY W PORÓWNANIU Z TYM CZEKAJĄCYM
ŚMIERTELNIKÓW, KTÓRZY OŚMIELAJĄ SIĘ MYŚLEĆ, ŻE SĄ
CZYMŚ WIĘCEJ, NIŻ SĄ!”

Rozłożył swe wspaniałe skrzydła i uniósł się w powietrze. Zawisł nad
ruinami tylko na moment, na tyle długo, by spojrzeć w stronę Uldyzjana ul-
Diomeda i jego naiwnych naśladowców.

„PRZEKONAJĄ SIĘ, ŻE NIC SIĘ NIE DZIEJE BEZ MEGO ROZKAZU... ALE TAK JAK I TY, PRZEKONAJĄ SIĘ O TYM ZA PÓŹNO...”

I poleciał w niebo, niewidoczny, do swego Sanktuarium, by decydować o losach świata.

Koniec tomu drugiego
Tom kolejny: *Tajemniczy prorok*

O Autorze



Richard A. Knaak znalazł się na liście najlepiej sprzedających się pisarzy według „The New York Timesa”. Napisał ponad trzydzieści powieści fantasy oraz ponad tuzin krótkich dzieł, w tym *Legendę o Humie* z serii Dragonlance oraz epicką sagę *Wojna Starożytnych* w świecie Warcrafta. Poza licznymi powieściami związanymi z grami Warcraft, Diablo oraz serią Dragonlance słynie również z wielu powieści napisanych w cyklu *Smocze Królestwo*, w tym trzech mikropowieści oraz tak zwanej Trylogii Sunwell, opublikowanej przez TOKYOPOP mangi w świecie Warcraftu.

Jego trylogia *Aquilonia* powstała w oparciu o świat Conana stworzony przez Roberta E. Howarda i ukazała się nakładem wydawnictwa Ace.

Ci, którzy chcieliby dowiedzieć się czegoś więcej o tym autorze, powinni odwiedzić jego stronę: www.sff.net/people/knaak.